

ZESZYT DWUDZIESTY ÓSMY

ZESZYTY  
HISTORYCZNE

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1974



ZESZYT DWUDZIESTY ÓSMY

ZESZYTY  
HISTORYCZNE

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI

1974

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 244

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi  
par 78600-MAISONS-LAFFITTE

Piotr WANDYCZ

## PIERWSZA REPUBLIKA A DRUGA RZECZPOSPOLITA: SZKIC

Komparatystyka jest nieodłączną częścią metodologii historycznej. Historia niejako zmusza nas do robienia stałych porównań czy to w czasie czy przestrzeni. Już Lelewel pokusił się o nowatorską jak na jego czasy, próbę pokazania analogii między rozwojem dziejowym Polski i Hiszpanii, a wydaje się że wciąż za mało używamy metody porównawczej w opracowywaniu historii Europy Środkowo-Wschodniej. Oczywiście nie jest to zupełnie zaniedbana dziedzina. Już przed wojną, historyk węgierski Kosary wydawał w Budapeszcie pismo *Revue d'Histoire Comparée*. Ukazały się ciekawe opracowania zbiorowe traktujące o parlamentarystyce i faszyzmie w Europie Środkowo-Wschodniej. Są w toku różne dalsze badania, a jeśli chodzi o dzieje Polski i Czech — które są wdzięcznym polem studiów dla historyka komparatysty — to obszerne dwutomowe dzieło wydane w Pradze, *Cesi a Polacy v minulosti*, znacznie posunęło naprzód badania w tym zakresie.

W poniższych uwagach chciałbym naszkicować pewne podobieństwa i różnice między Czechosłowacją w latach 1918-1938 (Pierwsza Republika) a międzywojenną Polską (Druga Rzeczpospolita). Nie chodzi mi tu, rzecz jasna, o głębsze przebadanie jakiegokolwiek zagadnienia a jedynie o próbę porównania pewnych zjawisk. Jest to z jednej strony inwit do dyskusji, poprzez zaprezentowanie pewnych, niekoniecznie nawet do końca przemyślanych uwag i refleksji, z drugiej zachęta do dalszych prac w tej dziedzinie. Unikając celowo aparatu naukowego — czytelnik znajdzie na końcu trochę wybranych pozycji bibliograficznych — pragnę podkreślić szkicowy charakter moich rozważań. Szczupłe ramy artykułu wykluczają możliwość dotknięcia wszystkich istotnych zagadnień, tak więc wyłączone są takie problemy jak

tematyka społeczno-gospodarcza, studium porównawcze komunizmu w obu krajach, zagadnienie rodzimego faszyzmu, sprawy kulturalno-intelektualne a wreszcie najczęściej może poruszane kwestie charakteru narodowego polskiego i czeskiego. Aspekt słowacki jest również pominięty. To co pozostaje to pewne wy-cinki, w omawianiu których kładę celowo większy nacisk na stronę czeską, jako mniej znaną polskiemu czytelnikowi.

Zacznijmy od porównania „postaci dominujących”, które można by tu zdefiniować jako osoby nie tylko mające kapitalny wpływ na formowanie się struktury narodu i państwa, ale będące przy władzy przez przynajmniej większość omawianego okresu. W grę wchodzi tu ze strony polskiej Piłsudski a ze strony czeskiej Masaryk i częściowo Benesz. Na wstępie należy przypomnieć, że do tej pory nie ma naprawdę wyczerpującej i naukowej biografii o całości kształcie życia i działalności tych trzech postaci, choć napisano o każdym z nich tak wiele. Z jednej strony brak jest dostępnych materiałów (choć w Pradze archiwa Masaryka i Benesza są prawie że kompletne) z drugiej — nieodzwonej perspektywy historycznej. W sytuacji, w której trudno jest powiedzieć coś naprawdę nowego, można próbować nowych sformułowań z perspektywy lat 1970-tych.

Masaryk był przede wszystkim politykiem i mężem stanu, ale także uczonym z wszystkimi zaletami i wadami naukowca. Kładąc wielki nacisk na aspekty etyczne w polityce, Masaryk był otoczony nimbem „króla-filozofa”. Był nie tylko „prezydentem-oswobodzicielem”, ale i wyrazicielem duchowej elity kształtującej społeczeństwo. W polityce brał udział z wyzyna swego Olimpu. Poza pierwszym okresem, do roku 1921, Masaryk nie ingerował zbyt często, czy zbyt intensywnie, w bieżące życie polityczne Czechosłowacji. Nadawał ton i przedstawiał pewien światopogląd i koncepcje ogólnopolityczne, a swój *préstege* kładł na szalę w momentach kluczowych, jak na przykład kiedy chciał przeprowadzić wybór Benesza na swego następcę. Masaryk miał swą wyraźnie sformułowaną interpretację „sprawy czeskiej” (*ceska otazka*) — odpowiednika „sprawy polskiej” — której tak wiele miejsca poświęcono w czeskiej historiozofii i myśli politycznej. Miał wyrobiony pogląd na miejsce Czech w Europie i na misję dziejową czeską. Świadomie zajmował pozycję kontynuatora linii Hus-Komensky-Palacky, którą uważał za najwierniej reprezentującą istotę czeskich dziejów. Uniwersalizm i liberalny nacjonalizm, świecki racjonalizm i idea postępu stanowiły najważniejsze ingrediencje tego światopoglądu.

Najistotniejszą sprawą dla Masaryka było kształtowanie i wychowanie narodu czeskiego i stworzenie elity, uformowanej

w myśl jego światopoglądu. Rzutowało to oczywiście również na jego stosunek do czeskich Niemców i Słowaków i przejawiało się w różnorodny sposób w życiu politycznym kraju. Pozbawiony od siedemnastego stulecia „naturalnej” klasy wyższej, naród czeski budował swą elitę od podstaw i jej wzorzec nie był bynajmniej rzeczą obojętną. Model narzucany przez Masaryka — jeśli wolno to ująć tak skrótowo — to model narodu formowanego przez wykształcenie. Nie był to zresztą zaskakujący model dla człowieka nauki, a kariera samego Masaryka — syna woźnicy dworskiego z Moraw — służyła jako lekcja pogładowa jak drogą wiedzy i nauki osiąga się najwyższe godności w państwie oraz uznanie i szacunek zagranicą. Czy istniał przeciwstawny model w międzywojennej Czechosłowacji? Do pewnego stopnia dawał się zauważyć wśród nowobogackiej burżuazji, zwłaszcza pochodzenia chłopskiego (na przykład niektórzy liderzy agrariuszy), dla której miarą sukcesu były pieniądze, a stylem życia naśladowanie *genre'u*, obcego w swej większości, ziemiaństwa.

Wyrazicielem koncepcji Masaryka, a także przykładem ich zastosowania w praktyce, był niewątpliwie Benesz. Jest on postacią o wiele bardziej kontrowersyjną niż pierwszy prezydent Czechosłowacji. Masaryk miał pewne wrodzone cechy olimpijczyka, tak jak miał wrodzoną godność i prezencję arystokraty. U Benesza masarykowski światopogląd, który szczerze przyjął jako swój własny, wystawiany był często na ciężkie próby w zetknięciu z polityką bieżącą: wewnętrzną — która nosiła wiele naleciałości z okresu monarchii habsburskiej — i zagraniczną — w której frazeologia Ligi Narodów przeplatała się z brutalnymi wymogami *Realpolitik*. W pewnym stopniu Benesz ponosił konsekwencje „robienia” polityki z wszystkimi związanymi z tą czynnością wymogami gracza i taktyka. Z pewnością był on człowiekiem innego pokroju i innego formatu niż Masaryk. Filozof-mąż stanu (Masaryk) i socjolog-polityk (Benesz) widzieli rzeczywistość pod nieco innym kątem. Wizje Masaryka, sprowadzane na ziemię przez Benesza, stawały się bardziej prozaiczne a choć Benesz głęboko wierzył w ich immanentne walory, tłumaczył je na język socjologiczno-naukowy, w którym zatracał się aspekt ich wielkości. Cała zresztą sprawa wzajemnego stosunku Masaryka i Benesza, jak też ich poglądów i praktyk politycznych, jest bardzo złożona. Nie ma ona odpowiednika ze strony polskiej tak jak pojęcie Hrad (zamek) nie jest odpowiednikiem „zamku” czy „oboju belwederskiego”.

W sensie silnej i znaczącej osobowości, Piłsudski nie ustępował Masarykowi. Choć młodszy od niego o kilkanaście lat, Piłsudski wcześniej został „starym” czy „dziadkiem”. Podobnie więc

jak Masaryk dzielił go od jego zwolenników pewien dystans wieku. Jako człowiek był zupełnym przeciwstawieniem Masaryka. Polityk-żołnierz, konspirator-mąż stanu, powtarzający za Goethem, że „teoria jest zawsze szara”, Piłsudski był przede wszystkim człowiekiem o „duszy wodza” co zauważył kiedyś Dmowski. Wola i uczucie przeważały w nim nad intelektem. Przez całe życie myślał kategoriami wojskowymi, chociaż potrafił być też taktikiem politycznym i graczem na dużą skalę. O ile trudno jest mówić o różnych przeciwstawnych fazach w życiu Masaryka — w mojej przynajmniej opinii (wiem, że są różnice zdań na ten temat) istniało kilku Piłsudskich: i ten z epoki PPS'u („polski święty”, jak go określał Daszyński) i ten z lat Legionów i naczelnikostwa państwa, a wreszcie przedwcześnie postarzały, zgorzkniały i zawzięty Piłsudski z późno dwudziestych i trzydziestych lat.

Wiadomo, że Piłsudski, jak niegdyś margrabia Wielopolski, a także i Dmowski (o czym pisze w swym niewydanym a fascynującym dziariuszu Julian Zdanowski), wyrażał się nieraz z pogardą o Polakach. Z podobnymi opiniami o swoich rodakach nie zetknąłem się nigdy u Masaryka i Benesza, choć bardziej od nich gwałtowny Kramarz nazwał Czechów po przegranych wyborach w 1935 roku — bydłem. Piłsudski nie lekcewał zagadnienia wychowawczego w Polsce — kraju po przeszło stuletniej niewoli. Być może, że sam charakter wiekowych doświadczeń czeskich i polskich narzucał odmienny stosunek do tego zagadnienia, ale na specyficzne poglądy Piłsudskiego wpływał oczywiście też jego charakter i formacja psychiczna. Wiemy jaki był model wychowawczy Dmowskiego, choćby z „Myśli nowoczesnego Polaka”; u Piłsudskiego grały rolę inne elementy. Piłsudski, określający społeczeństwo polskie jako „wychodek” (w liście do Perla) i mówiący po maju 1926, „że nie nastąpiło odrodzenie duszy narodu”, był bardzo konsekwentny w swych poglądach. Głównym jego celem było wykorzenie u Polaków mentalności pozostawłej po rozbiorach. Stąd jego graniczące z maniactwem zwalczanie „obcych agentur” i przedstawianie „partyjnictwa” jako najwyższego zła. Piłsudski zdawał sobie sprawę z tego, że „bat” nie rozwiąże kwestii i że siłą nie wychowa się społeczeństwa. Niewątpliwie, miał do czynienia ze społeczeństwem mniej zdyscyplinowanym niż społeczeństwo czeskie, a mając sam skłonności despotyczne w silniejszym stopniu, lub przynajmniej inaczej objawiające się niż u Masaryka czy Benesza, Piłsudski sięgał po bat i łamał opory siłą. Z tragedii rządzenia przy pomocy siły, przy równoczesnej chęci wychowywania wolnego społeczeństwa, Piłsudski zdawał sobie sprawę. Patrząc na to



z zewnątrz i bez polskiego zaangażowania politycznego, historyk amerykański Rothschild, poświęcił ciekawe uwagi tej sprawie w swej książce o zamachu majowym (*Pilsudski's Coup d'etat*).

Jeśli czynnik wykształcenia jest jak gdyby kluczem do masarykowskiej koncepcji wychowania społeczeństwa, u Piłsudskiego na pierwszy plan wysuwa się wiara w imponderabilia. W sensie dydaktycznym oznacza to położenie nacisku na takie walory jak honor, ideowość w rozumieniu bezinteresownej ofiarności dla sprawy, odwaga cywilna i męstwo na polu walki. Tylekroć nadużywane hasło o skazywaniu Polski na wielkość ma jakiś specyficzny wydźwięk, którego na próżno szukalibyśmy w koncepcjach Masaryka i Benesa. Nie jest też chyba przypadkiem, że uczeń Piłsudskiego Józef Beck w swej słynnej mowie odrzucającej żądania Hitlera położył główny nacisk na *honor*, który określił jako bezcenną rzecz w życiu jednostek i narodów.

Sprawa legionistów w Polsce i legionarzy w Czechosłowacji nie jest całkowicie porównywalna. Legioniści stanowili jądro obozu Piłsudskiego, legionarze, choć odgrywali rolę grupy uprzywilejowanej zwłaszcza w wojsku i w dyplomacji, nie zawsze byli pretorianami Masaryka i Benesa. Niekiedy zbliżali się nawet do przeciwników *Hradu*. Bliższe zbadanie analogii i różnic między obu grupami byłoby pożyteczne i ciekawe, stanowiąc przy tym istotny przyczynek do studiów porównawczych polsko-czechosłowackich.

Od „postaci dominujących” przejdźmy z kolei do całokształtu życia politycznego obu państw, a szczególnie do kwestii obozu rządzącego, demokracji parlamentarnej, stronnictw politycznych i liderów opozycji prawicowych. Można zaryzykować twierdzenie, że Czechosłowacja była *par excellence* demokracją kierowaną. Rzeczpospolita — pomimo używania tego terminu — nigdy w istocie się nią nie stała, przechodząc od sejmokracji do autorytaryzmu. W układzie tym jedną z kluczowych ról grał charakter i typ obozu rządzącego. Historycy czechosłowaccy wysuwają ostatnio tezę, że w analizie struktury Pierwszej Republiki należy odejść od badania takich formalnych czynników jak władza ustawodawcza, wykonawcza i sądownicza i zastąpić je trzema elementami, które decydowały o treści życia politycznego. Są to: Hrad, koalicja rządowa i ośrodki dyspozycyjne bankowo-przemysłowe. Wydaje się, że takie podejście może istotnie okazać się bardziej przydatne dla zrozumienia procesów zachodzących w międzywojennej Czechosłowacji i uchronić nas od szeregu błędnych interpretacji. Hrad, koalicja rządowa i kompleks bankowo-przemysłowy przenikały się nawzajem i współistniały, jeśli nie w symbiozie,

to w każdym razie w sposób umożliwiający życie polityczne bez rewolucyjnych wstrząsów.

Pojęcie Hradu nie jest łatwe do zdefiniowania. Odnosi się ono do zespołu ludzi mających związki z Masarykiem, a później z Beneszem, nie tworzących jednakże ani politycznej partii, ani jakiejś formalnie zorganizowanej grupy. Jedynie dwa stronnictwa: socjaldemokracja i narodowi socjaliści (od chwili kiedy Benesz stanął na ich czele) jako całość, niezmiennie popierały linię Hradu. Masaryk utrzymywał bliskie kontakty z ludźmi właściwie wszystkich kierunków politycznych, co więcej, starał się o to, aby nie zrywali oni swych powiązań partyjnych, ale grali rolę pomostu między Hradem a stronnictwami. W Polsce, jak wiemy, sprawa wyglądała inaczej. Obóz piłsudczykowski wprawdzie nigdy nie był partią polityczną — tu występują pewne analogie — ale dążył do osłabienia stronnictw, patronował secesjom i powstawaniu grup, dla których wierność dla Piłsudskiego, a nie wobec programów partyjnych, była prawdziwym credo. Hrad miał charakter czynnika moderującego, choć niewątpliwie ingerował w sprawy innych ugrupowań i zapełniał swymi ludźmi aparat państwowy. Obóz belwederski, w dużej mierze identyczny z obozem legionowym, miał pogardliwy stosunek do stronnictw i zwalczał „partyjnictwo”. Innymi słowy, w Czechosłowacji grupa Hradu i partie w jakimś stopniu się uzupełniały; w Polsce stanowiły pojęcia przeciwstawne. Grał tu również rolę odmienny stosunek opinii publicznej do osoby Masaryka i Piłsudskiego. Choć Masaryk bywał atakowany i krytykowany, przyznawano mu zawsze wyjątkową pozycję. W Polsce opozycja obdarzała Piłsudskiego pewnym kredytem zaufania tylko w pierwszym roku lub w pierwszych dwóch latach po odzyskaniu niepodległości. Choć za prezydentury Benesza pojęcie Hradu zaczęło nabierać charakteru bardziej pejoratywnego — możliwości Hradu wpływania na losy państwa nie uległy zmniejszeniu. Silna władza prezydencka w Czechosłowacji wynikała więc nie tylko z przepisów konstytucyjnych i osobistego prestiżu Masaryka, ale również z faktu istnienia Hradu jako czynnika politycznego.

W Polsce istniały rządy koalicyjne; w Czechosłowacji koalicja rządowa. Są to dwa diametralnie różne pojęcia, które wynikły w dużej mierze z historycznego rozwoju życia politycznego w Czechosłowacji i w Polsce. Na terenie Czech stronnictwa wyłaniały się pierwotnie w formie odgałęzień od wspólnego pnia: ruchu najpierw Staroczeskiego a potem Młodoczeskiego. Większość polityków starego pokolenia terminowała u Młodoczechów, co stworzyło pewną wspólną platformę koncepcyjno-praktyczną.

Chociaż w przypadku polskim można powiedzieć, że przez socjalizm przeszli i Grabski, i Wojciechowski, i Daszyński, i Piłsudski, a także liczni „pułkownicy”, fakt ten jednak z czasem raczej dzielił niż łączył. Podobnie rzecz się miała z Ligą Narodową. Ogromną rolę odegrał tu także okres wojny światowej, podczas której, mimo ostrych nieraz konfliktów, społeczeństwo czeskie nie zostało rozerwane, tak jak polskie, na dwie wrogie sobie orientacje i obozy.

Czeska koalicja rządowa skupiła w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości wszystkie główne prądy polityczne: agrariuszy, narodowych demokratów, ludowców (stronnictwo katolickie), socjalistów i narodowych socjalistów. Chociaż w ciągu dwudziestolecia międzywojennego uczestnictwo w koalicji zmieniało się, w wyjątkowych jedynie okresach nie obejmowało ono równocześnie lewicy i prawicy. Co więcej, stronnictwa te w pewnej mierze równoważyły się, zwłaszcza pod wpływem Hradu, który odgrywał tu rolę jęczyczka u wagi. Osiągniętą w ten sposób stabilizację wzmacniały jeszcze inne czynniki. W okresie choroby Masaryka w 1921 roku, szefowie partii utworzyli rodzaj kolektywnej zastępczej prezydentury, znanej jako *Pietka* — piątka wielkich partii koalicyjnych. Szefowie lub ściśle egzekutywy partyjne tworzyły permanentny quasi-rząd, który decydował o życiu politycznym kraju. Wobec istnienia rygorystycznie interpretowanej dyscypliny partyjnej — posłowie wybrani z listy X nie mogli nigdy głosować niezgodnie z linią partyjną, gdyż wówczas tracili swe mandaty — biorąc praktycznie nie było możliwe, aby parlament znalazł się w konflikcie z koalicją rządową. Czy świadczyło to o stabilności czechosłowackiego parlamentaryzmu, czy o impotencji sejmu? Zdania są podzielone. W każdym bądź razie w parlamencie nie wniesiono nigdy votum nieufności dla rządu, a jedyny wypadek wyłamania się trzech posłów z dyscypliny partyjnej pociągnął za sobą natychmiastowe pozbawienie ich mandatów, przy pełnej aprobacie pozostałych stronnictw. Rozdział tek ministerialnych odbywał się według klucza partyjnego, choć Masaryk, wierzący w fachowość, liczył że partie wychowają specjalistów od różnych resortów. Koalicja rządowa przynosiła pewne korzyści materialne dla jej stronnictw, co zaszło raz tak daleko, że doszło do skandalu politycznego, związanego z podziałem zysków z importu węgla polskiego pomiędzy stronnictwa koalicyjnych. Jest to sprawa, o której znaleźć można trochę materiału w archiwach, ale niezmiernie mało w publikacjach, gdyż szybko zdołano ją zatuzować.

Tak więc koalicja rządowa uzupełniała odgórną rolę Hradu i udawało się unikać konfliktów tak typowych dla życia parla-

mentarnej ówczesnej Francji, czy też Polski z okresu przed majem 1926. Była to prawdziwa demokracja kierowana odgórnie, o której w warunkach polskich nie można było marzyć. Próby przestrzegania dyscypliny partyjnej w sejmie, podejmowane w Polsce przez niektóre stronnictwa, nie dawały rezultatu. Secesje były na porządku dziennym. Koalicje prawicowo-lewicowe były nie do pomyślenia, a naśladownictwo polityki „kartelowej”, uprawianej przez stronnictwa w Czechosłowacji, budziłoby nie aprobatę, ale oburzenie obozu rządzącego.

Jeden z historyków czechosłowackich próbował (prywatnie) wyjaśnić interesujące zjawisko, dlaczego prawica nie dążyła nigdy do zakazania partii komunistycznej w Czechosłowacji. Według jego interpretacji, motywy były wyłącznie natury praktycznej. Z chwilą zawieszenia działalności partii komunistycznej, większość głosów jakie uzyskiwała przy wyborach, szłoby automatycznie na listę socjalistyczną. Powodowałoby to zwichnięcie równowagi między prawicą a lewicą w rządzie i komplikowało jego funkcjonowanie. Jeśli nawet teoria ta nie jest prawdziwa, to odzwierciedla specyficzne pojmowanie istoty koalicji rządowej. *Si non e vero e ben trovato.*

Idea „demokracji kierowanej” w polskim wydaniu nawiązywała do bonapartystycznych koncepcji „władzy od góry i zaufania mas”. Zakładała osłabienie partii politycznych, jako czynnika stojącego między rządem a społeczeństwem i wypaczającego interesy narodowe dla wąskich interesów „kapliczek partyjnych”. Stwarzało to układ ni to parlamentarny, ni to dyktatorski. W swej formie autorytatywnej pomajowa Rzeczypospolita była zupełnym przeciwstawieniem rozwiązań czeskich, choć w obu wypadkach wolność wyboru jednostki malała na korzyść instytucji, bądź to rządu, bądź koalicji rządowej. W obu krajach zaznaczyła się tendencja do ograniczania swobód obywatelskich — konstytucja 1935 roku, a zwłaszcza ordynacja wyborcza w Polsce z jednej, a ustawy o ochronie republiki w Czechosłowacji z drugiej strony. Zasadniczą różnicę stanowiło jednak poszanowanie istniejących praw w Czechosłowacji, a coraz częstsze odwoływanie się do metod pozaprawnych (Brześć i Bereza) w Polsce.

Jak dobrze wiemy, Czechosłowacja (a ściślej mówiąc Czechy i Morawy) była krajem wysoce uprzemysłowionym i gospodarczo rozwiniętym. Klasa średnia była duża, a rodzima burżuazja przy pomiędzy model zachodni raczej niż środkowo-wschodnio-europejski. Nic też dziwnego, że czynniki takie jak Skoda — największe zakłady zbrojeniowe Europy Środkowej — lub banki praskie (na przykład Zivnobanka) odgrywały poważną rolę w życiu politycznym kraju. I tu znów zauważyć można interesujące

powiązania czynników bankowo-przemysłowych z Hradem z jednej, a ugrupowaniami centro-prawicowymi z drugiej strony. Z małymi odchyleniami Hrad nie miał wrogów, ale raczej sojuszników w tych kołach i poprzez długoletniego dyrektora Żivnobanki, Preissa, stępiał ostrze opozycji prawicowej. Ale, jak wspominałem na początku tego artykułu, zagadnienia ściśle gospodarcze nie będą tu poruszane i uwagi o czynniku gospodarczym wtrącone są jedynie po to, aby uzupełnić obraz polityczny i zaznaczyć kontrast pomiędzy znaczną rolą tego czynnika w Czechosłowacji, a o wiele mniejszą — wynikającą zresztą z mniejszych możliwości — rolą Lewiatana w Polsce. Zagadnienie to zresztą szczególnie nadaje się do szerszych prac o charakterze porównawczym.

Spróbujmy teraz porównać obu wielkich przywódców opozycji narodowo-demokratycznej w Polsce i w Czechosłowacji. Dmowski i Kramarz byli nie tylko głównymi politycznymi oponentami Piłsudskiego i Hradu, ale nazwiska ich były niejako symbolem alternatywy politycznej wobec istniejących reżymów. Wśród pewnych analogii na pierwsze miejsce wysuwa się fakt, że zarówno Kramarz jak i Dmowski byli u władzy przez bardzo krótki czas. Obaj z czasem skłaniali się do bardziej skrajnie prawicowych rozwiązań, pozostających pod niewątpliwym wpływem włoskiego faszyzmu. W wypadku Dmowskiego widzimy to zwłaszcza w chwili tworzenia Obozu Wielkiej Polski w 1926 roku; u Kramarza blisko dziewięć lat później w patronowaniu akcji Zjednoczenia Narodowego (*narodni sjednoceni*). U obu nacjonalizm i (w różnym stopniu) antysemityzm były kluczem do polityki wewnętrznej. Dmowski przeciwstawiał ideę narodową koncepcji racji stanu; Kramarz widział Czechosłowację jako narodowe państwo czeskie w nieco innym sensie niż Masaryk i Benesz, którzy szukali właściwego rozwiązania zagadnienia niemieckiego. Personalny antagonizm Dmowski-Piłsudski nie odzwierciedlał się z równą siłą w stosunku Kramarz-Masaryk, ale był przynajmniej równie ostry w sporze Kramarz-Benesz.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że starcie się orientacji Dmowskiego i Piłsudskiego w czasie pierwszej wojny światowej zaważyło na całym układzie życia politycznego Polski międzywojennej. Mniej natomiast mówi się o konflikcie orientacji Masaryk (Benesz) z orientacją Kramarza, a przecież i on miał swe wieloletnie reperkusje. Tak jak w Polsce przeciwstawiano „czyn zbrojny” Piłsudskiego „proaliantkiej dyplomacji” Dmowskiego, w Czechosłowacji kontrastowano osiągnięcia emigracji czechosłowackiej na Zachodzie (Masaryk-Benesz) z akcją wewnątrz kraju czeskiej Mafii i walkami legionu czeskiego na Syberii. W histo-

riografii czechosłowackiej określa się to jako konflikt między „walką wewnętrzną” (*domaci odboj*) a „walką zagraniczną” (*zabranicni odboj*). Tak jak obóz Dmowskiego odrzucał „czyn zbrojny” Piłsudskiego jako decydujący czynnik w odzyskaniu niepodległości, tak obóz Kramarza twierdził, że sukcesy dyplomatyczne Masaryka i Benesa były jedynie zdyskontowaniem akcji wewnętrznej i legionarskiej.

Dochodzi wreszcie jeszcze jedna analogia. W istniejącym układzie w II-jej Rzeczypospolitej endencja nie miała wielkich szans objęcia i utrzymania się przy władzy. W Pierwszej Republice czechosłowackiej obóz Kramarza również nie miał realnych możliwości objęcia rządów w kraju.

Pomiędzy Kramarzem a Dmowskim istniały oczywiście bardzo poważne różnice sprawiające, że obie te postacie są prawie że nieporównywalne. Kramarz tkwił bez reszty w XIX wieku, a rewolucja w Rosji była dla niego nie tylko zaprzeczeniem rozwoju historycznego, ale i jakąś osobistą tragedią. Jego program polityczno-ideologiczny opierał się w dużym stopniu na neoslawizmie, którego nie potrafił ani zrewidować ani krytycznie ocenić. W latach międzywojennych Kramarz stawał się coraz bardziej postacią anachroniczną, a obóz jego nabierał cech coraz węższego zgrupowania burżuazyjno-reakcyjnego. Jego flirt z faszyzmem były powierzchownymi próbami dostosowania nacjonalizmu do nowych koncepcji zdobywających szerokie koła europejskie; narodowa demokracja zapadała się w coraz to pogłębiający się stan marazu politycznego i ideologicznego.

Narodowa demokracja w Polsce przechodziła raczej odwrotny proces. Odchodząc od pozycji parlamentarno-liberalnych zbliżyła się do nowych prądów, choć te najskrajniejsze, jak ONR czy Falanga, nie mogły się pomieścić w jej ramach. Dmowski stawał swemu obozowi cele, które miały być realizowane na długą metę: zdobycie młodszego pokolenia i „wychowanie” społeczeństwa w myśl ideałów nowoczesnego nacjonalizmu. Choć sam Dmowski odchodził trochę w cień, ruch jego stawał się coraz bardziej dynamiczny. Przeciwnieństwo z narodową demokracją czeską jest tu całkowite.

Ksawery Pruszyński napisał kiedyś, że na pytanie kto naprawdę rządził Polską w okresie międzywojennym odpowiedzieć jedynie można: „rządzili wojskowi”. Wydaje się, że odpowiedź ta jest wielkim uproszczeniem i że można by z powodzeniem z nią polemizować. Cóż to znaczy „wojsko” czy „wojskowi”? Czy tak zwani pułkownicy, którzy w dużej mierze rządzili Polską w latach pomajowych, rządzili nią dlatego, że byli wojskowymi, czy też byli wojskowymi jedynie ze względu na bardzo specy-

ficzny rozwój sytuacji w Polsce w okresie odzyskania niepodległości? Wojsko za czasów Piłsudskiego nie prowadziło chyba swej własnej polityki, chociaż po jego śmierci *Polska Zbrojna* stała się organem politycznym w o wiele większym stopniu niż poprzednio. Ale nie o to tutaj chodzi. W kontekście tego artykułu wystarczy stwierdzenie, które jest chyba bezsporne, że wojsko odgrywało w II-iej Rzeczypospolitej bardzo poważną rolę, a ideał wojska i żołnierza choć bywał spaczony, co doprowadzało chwilami do soldateski, cieszył się powszechnym uznaniem.

W Czechosłowacji było wręcz odwrotnie. Zarówno Masaryk jak i Benesz traktowali wojsko jako zło konieczne. Nie oznacza to oczywiście, aby zaniedbywali sprawy wyszkolenia, uzbrojenia i przygotowania armii na wypadek konfliktu zbrojnego, ale wyznaczali wojsku miejsce nie tylko z dala od polityki ale podkreślali, że nie może ono być w żaden sposób uprzywilejowaną grupą w społeczeństwie. Nacisk kładziony na antymilitaryzm był nie tylko w zgodzie z poglądami społeczeństwa, ale nawet w niektórych wypadkach uważany był za niewystarczający. Kiedy liberalne pismo *Pritomnost* wydawane przez Peroutkę i stojące blisko Hradu, rozpoczęło polemikę z wypowiedziami młodych czeskich pacyfistów, którzy odrzucali w ogóle możliwość poświęcenia życia w obronie kraju, część czytelników *Pritomnosti* ujęła się za pacyfistami i krytykowała wypowiedzi redakcji pisma. Sprawa oparła się o Masaryka. Wojsko, a zwłaszcza oficerowie, byli niepopularni w społeczeństwie na co się uskarżali. Dopiero w 1930-ych latach Benesz rozpoczął akcję podnoszenia morale korpusu oficerskiego. Byłoby interesujące porównać jego wypowiedzi, zawarte w małej broszurze pt. *Demokraticka armada, pacifismus a zabranicni politika* z przemówieniem Piłsudskiego z 1924 roku na temat „Demokracja a wojsko” (*Pisma*, t. VIII).

Armia czechosłowacka pozostawała z dala od polityki. Uznawała w pełni, że sprawy wojny i pokoju należą do wyłącznej kompetencji rządu, do których wojsko nie ma prawa się mieszać. Wśród oficerów mających zmysł i ambicje polityczne wysuwa się na czoło — przez cały okres trwania Pierwszej Republiki, dwóch: gen. Gajda i ppłk Moravec. Pierwszy z nich został usunięty ze stanowiska szefa sztabu w 1926 roku, w okolicznościach, które nigdy nie były w pełni wyjaśnione. Późniejsza jego działalność polityczna nie może być traktowana zbyt poważnie. Moravec, pisujący artykuły i książki polityczno-wojskowe (często pod pseudonimem Stanisław Lester) był człowiekiem Benesza i jego działalność publicystyczna była z pewnością aprobowana przez Hrad. Po Monachium Moravec zmienił front o 180 stopni i stał się kolaborantem i ministrem w rządzie protektoratu Czech i Moraw.

W dziedzinie organizacji armii, byli legionarze odgrywali rolę nieco podobną do legionistów w Wojsku Polskim. Wcześniej nawet niż w Polsce objęli szereg funkcji dowódczych i w dużej mierze utrzymali je do końca republiki. W Czechosłowacji inspektorat sił zbrojnych podlegał całkowicie ministerstwu Obrony Narodowej, co podkreślało podporządkowanie czynnika wojskowego władzy cywilnej. W Polsce, uniezależnienie armii od rządu było jednym z głównych celów Piłsudskiego, który ostatecznie przeprowadził po przewrocie majowym. Uznanie Rydza-Śmigłego za drugą osobę w państwie, w gruncie rzeczy niezgodne z konstytucją, świadczyło o postępującym procesie dominacji armii w życiu Rzeczypospolitej.

„Brak polityki zagranicznej” pisał w swoich wspomnieniach Gawroński, poseł polski we Wiedniu, „jest tradycją naszych dziejów”. W szeregu wypowiedzi polityków i dyplomatów czechosłowackich w okresie między wojnami znajdujemy wiele podobnie krytycznych wypowiedzi pod adresem dyplomacji Drugiej Rzeczypospolitej. Zarzuca się Polakom, że nie potrafili wypracować własnej i logicznie skonstruowanej koncepcji polityki zagranicznej, że posunięcia Warszawy nie wynikały z jakiejś jasno określonej linii postępowania, że zbyt wiele było improwizacji i nagłych a nieoczekiwanych zwrotów. Czesi przeciwstawiali temu swą własną teorię stosunków międzynarodowych, którą Masaryk i Benesz rozwinęli i starali się konsekwentnie realizować w całym okresie między wojnami.

Analizując korzenie czechosłowackiej polityki zagranicznej, Kamil Krofta stwierdzał, że metoda opracowana przez Masaryka i Benesza była „nieomal naukowa”. Benesz, w jednym ze swych wczesnych przemówień na temat „polityka zagraniczna i demokracja: problemy i metody naszej polityki zagranicznej”, określał politykę jako naukę, która pozwala na realistyczną ocenę dzisiejszej rzeczywistości i prawdopodobnych realiów jutra. Stwierdzał on: „stworzyliśmy system polityczny oparty o założenia filozoficzne i naukowo udowodniony”. Koncepcja polityki zagranicznej wypracowana przez Masaryka i Benesza podczas wojny światowej opierała się zarówno na analizie historycznej jak i na ocenie kierunków rozwoju ludzkości. Zdając sobie sprawę z tego, że Czechosłowacja jako państwo nigdy nie istniała i że trudno budować program polityczny jedynie w oparciu o żądanie wymazania skutków klęski pod Białą Górą, przywódcy czescy łączyli sprawę czechosłowacką z ogólną sprawą walki o demokrację i przebudowę świata. Tak więc Masaryk wcześniej zdał sobie sprawę z tego, że Zachód może tylko wtedy zainteresować się dążenia-



mi Czechów i Słowaków, jeżeli przedstawi się ich jako nieodzowny czynnik składowy nowej demokratycznej Europy. Z oceny wyników wojny światowej Masaryk i Benesz wyciągnęli wniosek, że demokracja i elementy moralne przez nią wyzwalone, stanowią istotną siłę napędową historii i że identyfikowanie się z nimi jest zarówno moralnie słuszne, jak i obiektywnie właściwe. Uniwersalistyczne ujęcie roli Czechosłowacji w stosunkach międzynarodowych nawiązywało również do rodzimych tradycji Husa, Komenskego i Palackego.

Zarówno Masaryk jak i Benesz kładli nacisk na fakt, że Czechosłowacja jest państwem małym. Jak słusznie pisze jeden ze współczesnych historyków czechosłowackich: „Czechosłowacka koncepcja polityki zagranicznej opiera się na fakcie, iż CSR jako państwo małe i z wojskowego punktu widzenia stosunkowo słabe, nie może w wypadku konfliktu polegać na swej własnej sile. Dlatego też jego samodzielna egzystencja jest w znacznej mierze uzależniona od całokształtu rozwoju europejskiego czy światowego”. Zasadniczymi warunkami egzystencji Czechosłowacji są: *status quo*, zachowanie pokoju i utrzymanie demokracji w Europie.

Z powyższych założeń wyływała bardzo konsekwentna działalność dyplomacji czechosłowackiej, czy to w formie popierania „demokratycznej dyplomacji” Ligi Narodów, czy to w akcjach na rzecz kolektywnego bezpieczeństwa, czy to na szczeblu regionalnym przez popieranie Małej Ententy. Nie była to nigdy polityka bierna. Uniwersalistyczne założenia zmuszały do współuczestnictwa we wszystkich zagadnieniach wielkiej polityki. A współuczestnictwo oznaczało stałe próby maksymalnego wpływania na rozwój stosunków międzynarodowych. Stąd stałe podróże Benesza, które u niechętnych zyskały mu miano „dyplomatycznego komiwojażera”. Odchylenia od zasadniczych linii miały miejsce na szczeblu taktyki raczej niż strategii, a kontrasty pomiędzy głoszonymi szczytnymi celami a dość bezwzględna i prowadzona bez skrupułów grą dyplomatyczną Benesza przywodzą na myśl tezę, iż cel uświęca środki. Konsekwentna, nieraz może zbyt konsekwentna a przez to mało elastyczna polityka zagraniczna Pragi, wyływała również z faktu, że od 1918 do 1935 Benesz pełnił funkcje ministra spraw zagranicznych, a następnie (z wyjątkiem paru miesięcy kiedy tę rolę piastował Hodża) przeprowadzał swą politykę poprzez oddanego mu ministra Kroftę. W przeciwieństwie do państw zachodnich, gdzie ciągłość w dyplomacji bywa zapewniana przez aparat urzędniczy ministerstwa — przy częstych zmianach na stanowisku ministra — w Czechosłowacji

obserwujemy proces odwrotny. Personel ministerstwa zmieniał się, a rola pierwszej osoby po ministrze (w Czechosłowacji nie istniał urząd wiceministra czy podsekretarza stanu) nie była kluczową ani w wypadku Girsy ani Krofty.

W Polsce sprawy wyglądały inaczej. Micewski pisał kiedyś, że „polityka zagraniczna była jedyną dziedziną, w której sanacja miała swoją doktrynę”. Jest to słuszne jedynie w porównaniu z innymi odcinkami życia publicznego, wydaje mi się jednak, że jeśli istniała w Polsce jakaś teoretycznie rozpracowana i wywodząca się z analizy procesów dziejowych koncepcja stosunków międzynarodowych, to autorem jej była Narodowa Demokracja a nie obóz piłsudczykowski. Wróćmy jednak do pierwotnych założeń walki o niepodległość, która pozwoli nam na uchwycenie zasadniczych różnic pomiędzy polskimi a czeskimi sformułowaniami. W pierwszym rządzie rozbiory Polski były nieporównywalne z wymazaniem czeskiej niepodległości w bitwie pod Białą Górą i sprawa polska jako taka istniała na agendzie międzynarodowej aż do ostatnich dziesiątków lat XIX stulecia. Uzasadnienie — tak jak to musieli robić Czesi — prawa narodu do egzystencji nie było potrzebne. Polakom nie chodziło o powołanie do życia nowego tworu politycznego, ale o odtworzenie, choć w zmienionych warunkach, Pierwszej Rzeczypospolitej. Zarówno Piłsudski jak i Dmowski podkreślali, że Polska w odróżnieniu od wyzwających się sąsiednich narodów, jest wielkim narodem i cokolwiek by się powiedziało o wojnie polsko-bolszewickiej, poważna część społeczeństwa polskiego przyjęła ją jako samodzielne zwycięstwo Polski nad Rosją. Mało kto w Polsce zdawał sobie sprawę z tego co tak świetnie scharakteryzował francuski uczyony Louis Eisenman, gdy pisał: „Nieszczęściem Polski było to, że odrodziła się jako państwo zbyt słabe, aby mogło być mocarstwem, a zbyt wielkie, aby mogło pogodzić się z rolą państwa drugorzędnego”.

Polskiej mocarstwowości i związanej z tym pewnej megalomanii nie należy jednak przeciwstawiać czeskiej skromności. Benesz szafował w miarę możliwości „mocarstwowością” Małej Ententy, która dawała mu odskocznnię do pretendowania o quasi-stałe miejsce w Radzie Ligi Narodów. Mała Czechosłowacja nie odczuwała nigdy kompleksu niższości wobec Polski, z wyjątkiem może dziedziny kulturalnej, którą należałoby rozpatrywać na innej płaszczyźnie.

Obóz piłsudczykowski nie miał wypracowanej teorii stosunków międzynarodowych, miał jednak pewne zasadnicze założenia, na których zaważyła koncepcja i osobowość Piłsudskiego. To co

Micewski nazywa „doktryną”, a ja nazwałbym może „myślą przewodnią” — spór o słowa jest zresztą drugorzędного znaczenia — dotyczył tezy o przyszłości Polski na Wschodzie. Hołówko określał „nasze stanowisko mocarstwowe” jako objęcie „batuty nad szerzeniem nowych zasad współżycia narodów” (to znaczy wolnych i wyzwających się głównie na wschód od Polski). Czy nazwiemy to nową wersją „idei jagiellońskiej”, czy „prometeizmem”, koncepcja ta sprowadzała się do słusznego skądinąd stwierdzenia, że zapewnienie pełnej niezależności i bezpieczeństwa średniemu państwu, położonemu między dwoma gigantami — Rosją i Niemcami — jest kwadraturą koła. W Europie Wschodniej jest miejsce na jedno tylko mocarstwo i dopóki jest nim Rosja, szanse egzystencji Polski będą zawsze niepewne. To abstrakcyjne stwierdzenie nie miało jednak szans aby stać się teoretycznym założeniem polityki zagranicznej. W istniejącym układzie polityczno-gospodarczo-narodowym okresu międzywojennego było to po prostu niemożliwe. Polska nie była w stanie zrealizować tego typu koncepcji, a polityka — mimo wszystko — jest *l'art du possible*. Stąd też wpływał fakt, że rządy Polski międzywojennej nie mogły wypracować szerszej koncepcji polityki zagranicznej, a w praktyce dążyły przede wszystkim do rozerwania kleszczy niemiecko-rosyjskich i uniknięcia izolacji. Prowadziło to do prymatu taktyki nad strategią i konieczności stałego manewru. Dochodził tu jeszcze jeden czynnik, łączący się ściśle z mentalnością i doświadczeniami Piłsudskiego. Mam tu na myśli aksjomat „samodzielności” i obawy przed „obcymi agencjami”. Wszystkie wielkie poczynania Piłsudskiego dadzą się tym wyjaśnić: polityka samodzielności Legionów przeciw NKN, polityka POW przeciw Radzie Stanu i Regencji, samodzielność w stosunku do Francji, Białych Rosjan, czy Weyganda w 1920 roku, samodzielnie powzięta decyzja deklaracji polsko-niemieckiej wbrew francuskiemu sojusznikowi — oto etapy realizowania zasady samodzielności w polityce międzynarodowej, które prowadziły do, lub przynajmniej dawały złudzenie, osiągnięć i sukcesów.

Tak więc połączenie trzech czynników: dość mglistej „idei jagiellońskiej”, zmiennej taktyki w codziennej grze dyplomatycznej, oraz samodzielności w działaniu, stwarzało pozory nieskoordynowanej i niedającej się łatwo przewidzieć linii polityki zagranicznej Rzeczypospolitej.

Alternatywne rozwiązania w dziedzinie stosunków międzynarodowych, połączone z krytyką polityki grup rządzących były wysuwane zarówno w Czechosłowacji jak i w Polsce. Istniała tu jednak zasadnicza różnica. Masarykowsko-beneszowskiej teorii

i praktyce dyplomatycznej nie potrafiąco przeciwstawić równie logicznie i przekonująco sformułowanej koncepcji polityki zagranicznej. Tezy obozu Kramarza były zbyt mgliste i nierealne, aby można je było poważnie brać pod uwagę. Koncepcje Hodży, nawiązujące do postulatów Zielonej Międzynarodówki zasługują na większą uwagę, ale Hodża nie miał nigdy poważniejszych szans realizowania swych idei. W Polsce obóz Dmowskiego wypracował własną doktrynę polityki zagranicznej, opartą o analizę układu sił, kierunków rozwojowych i prądów ideologicznych Europy i świata. Dość nieprzekonywującym opracowaniem Matuszewskiego, Knolla, Lipińskiego, nie mówiąc już o Mackiewiczzu i raczej kompromitującej broszurze Łukasiewicza *Polska jest mocarstwem*, endecy mogli przeciwstawić książki Dmowskiego i Kozickiego, opracowanie Berezowskiego w ramach programu Obozu Wielkiej Polski i szereg innych pozycji, teoretycznie wartościowych i wskazujących na wysoki poziom analityczny. Koncepcje polityki zagranicznej PPS i ludowców, pomimo ciekawych opracowań Niedziałkowskiego, miały wartość i znaczenie drugorzędne.

Jest oczywiste, że niezależnie od teoretycznych założeń czy uzasadnień, politykę zagraniczną robili przede wszystkim ludzie i od ich przygotowania, poziomu i stylu zależało niezmiernie dużo. Wiele razy próbowano już porównywać Becka i Benesza, ale temat ten jest daleki od wyczerpania. Nie istnieją po dzień dzisiejszy studia o charakterze socjologicznym, dające obraz struktury i charakteru polskiej i czechosłowackiej służby zagranicznej. Po równywanie pochodzenia społecznego, wychowania, wykształcenia i powiązań politycznych polskich i czechosłowackich dyptomatów pozwoliłoby nam na interesujące studium porównawcze MSZ i MZV (*ministerstvo zahraničních vecí*).

Studium opinii publicznej w odniesieniu do zagadnień polityki zagranicznej w obu krajach i łączące się z tym porównawcze studium prasoznawcze przyniosłoby nowe elementy i pogłębiło badania. Rola komisji spraw zagranicznych w parlamentarystyce polską i czechosłowacką wymaga jeszcze dalszych opracowań.

Zaznaczyłem na wstępie, iż traktuję moje uwagi zarówno jako próbę rozpoczęcia dyskusji jak i zachętę do dalszych prac badawczych. Przeszłość, terażniejszość a może i przyszłość Polski związana jest silnie z losami naszego południowego sąsiada. Trudno jest więc zaprzeczyć, że lepsza znajomość obustronna pozwoli na bardziej obiektywne spojrzenie na splot zagadnień polsko-czechosłowackich i na odejście od stereotypów, które przyniosły i przynoszą wiele szkody Polakom, Czechom i Słowakom.

Piotr WANDYCZ

## NOTATKA BIBLIOGRAFICZNA

Opracowania poruszające w jakimś stopniu powyższą tematykę są tak liczne, że ograniczę się do zasygnalizowania jedynie prac bądź o charakterze porównawczym, bądź rzucających nowe światło na niektóre zagadnienia. Dwutomowe dzieło *Cesi a Polaci v minulosti* pod redakcją J. Macurka i V. Zaczka (Praha, 1964-67) jest jedyną wielką syntezą dziejów obu narodów. Okres międzywojenny jest pióra J. Valenty. Interesującą próbę przedstawienia zagadnienia faszyzmu w Europie Środkowo-Wschodniej w okresie dwudziestolecia zawiera *Native Fascism in the Successor States 1918-45* (Santa Barbara, 1971) pod redakcją P. F. Sugara. Sprawy czeskie i polskie opracowali Jan Havranek, J. Zaczek, H. Wereszycycki i P. Wandycz. Na szczególną uwagę zasługuje tom: *Dyktatury w Europie środkowo-wschodniej 1918-1939* (Warszawa, 1973) jak też i inne prace zbiorowe, wychodzące z Pracowni Europy Środkowej i Wschodniej Instytutu Historii PAN w Warszawie. Na założeniu komparatystycznym opiera się w pewnej mierze *Die Krise des Parlamentarismus in Ostmitteleuropa zwischen den beiden Weltkriegen* (Marburg, 1967) pod redakcją Hans-Ericha Volkmana. O Polsce piszą Hans Roos, G. W. Strobel i R. Breyer; o Czechosłowacji, P. Burian i H. Lemberg. W Polsce i Czechosłowacji ukazało się kilka opracowań — głównie w wyniku zjazdów komisji polsko-czechosłowackiej — badających na przykład stereotypy jak „Szwejk i Kozietulski”. Najobszerniejszą biografię Masaryka napisał Jan Herben; wśród mało krytycznych biografii Benesa mamy prace L. Eisenmanna, E. Hitchcocka, Comptona Mackenzie, J. Papuszka, R. Foustki itp. Poza biografiami Piłsudskiego, które wyszły spod pióra Poboga-Malinowskiego, Anatola Mühlsteina, Reddewaya, Starzewskiego itp., nie ma nowych i poważnych prac. J. Rothschild, *Piłsudski's Coup d'Etat* (New York, 1966) zawiera sporo interesujących sformułowań.

Ciekawe i nowatorskie podejście do spraw polityki wewnętrznej Czechosłowacji zawiera artykuł Vojtecha i Jarmili Menel, *Nacrt podstaty a vyvoje vrcholne sfery predmnichovske ceskoslovenske mocensko-politické struktury „Ceskoslovensky Casopis Historicky”, XVI* (1968, str. 341-368). Wielka synteza Ferdinana Peroutki o powstaniu państwa czechosłowackiego jest wciąż jeszcze kopalnią wiadomości. Ważną pozycję stanowi *Aktuelle Forschungsprobleme um die Erste Tschechoslowakische Republik* (München-Wien, 1969). Jeśli chodzi o stronę polską, to szczególnie ciekawe i pobudzające do refleksji są dwie książki Andrzeja Micewskiego, *Z geografii politycznej II Rzeczypospolitej* (Warszawa, 1964) i *W Cieniu Marszałka Piłsudskiego* (Warszawa, 1969). Można tu również wspomnieć zbiór artykułów M. M. Drodzowskiego, *Spółczeństwo, państwo, politycy II Rzeczypospolitej* (Kraków, 1972). Z dziedziny historii społecznej, nie poruszanej tutaj przeze mnie, należy zwrócić szczególną uwagę na nową książkę Janusza Żarnowskiego. Najnowsza praca o Kramarzu; Karel Herman i Zdenek Sladek, *Slovenska politika Karla Kramarze* (Praha, 1971) wnosi sporo interesujących naświetleń. Micewskiego *Roman Dmowski* (Warszawa, 1971), Tadeusza Bieleckiego, *W szkole Dmowskiego* (Londyn, 1968) oraz wstęp W. Wasiutyńskiego do Mariusza Kułakowskiego, *Roman Dmowski w świetle listów i wspomnień* (Londyn, 1968) dają najbardziej wartościowe analizy i pobudzają do kontrowersji. Wśród nowszych pozycji dotyczących roli wojska, godną uwagi jest książka Piotra Staweckiego, *Następcy Komendanta* (Warszawa, 1969) i artykuł Rudolfa Sandera, *Prehled vyvoje ceskoslovenske vojenske spravy w letach 1918-1939*, „Historie a Vojenství”, III (1965), str. 359-404. Tak samo wartościowe są i niektóre inne artykuły w tym periodyku. Ze starszych opracowań, książki gen. Blahy i ppłk. Moravca zasługują na wzmiankę.

Na temat polityki zagranicznej obu krajów pisano tak dużo, że nie sposób wyliczyć nawet najważniejszych pozycji. Najgłębsze może ujęcia polityki zagranicznej Piłsudskiego znajdzie czytelnik u Tytusa Komarnickiego, *Piłsudski a polityka wielkich mocarstw zachodnich* (Londyn, 1952) oraz w rozdziale „Polityka zagraniczna Piłsudskiego” *W kręgu historii* (Warszawa, 1970) Stanisława Zabięły. Szczególnie wartościowy ze względu na podjętą w nim próbę syntezy jest artykuł Aleny Gajanovej: *Ke vzniku a ukolum ceskoslovenské zahraniční politiky a k metodam a charakteru ceskoslovenské diplomacie*, „*Mezinarodni Vztahy*”, IV (1969), str. 43-54. Ze starszych pozycji dotyczących tej tematyki mamy wiele prac Kamila Krofty, zwłaszcza jego obszerny wstęp do zebranych przemówień Benesza i broszurę *Zahranicni politika ceskoslovenska a jej koreny* (Praha, 1937). P. Wandycz pokusił się o przeprowadzenie pewnych porównań między polityką czechosłowacką i polską w ostatnim rozdziale *France and her Eastern Allies 1919-1925* (Minneapolis, 1962) i w niedużym artykule o Beneszu i Becku. O tych ostatnich pisał również Cat-Mackiewicz w *Wiadomościach* nr 319 (1952). Najnowszą próbę syntezy polityki zagranicznej Benesza znaleźć można w *A History of the Czechoslovak Republic 1918-1948* pod redakcją V. Mamaty i R. Luzy (Princeton, 1973) w rozdziale P. Wandycza pt. „Foreign Policy of Edvard Benes 1918-1938”. Książka ta zawiera bogatą bibliografię. Wreszcie na przypomnienie i przeczytanie zasługuje Aleksandra Bregmana, *Opinia polska a sprawy zagraniczne: uwagi o niemocarstwie myslenia*, „*Przegląd Współczesny*”, XXXVI (1931), str. 398-420.

Piotr WANDYCZ

Józef GARLIŃSKI

## OŚWIĘCIM WALCZĄCY\*

(podziemne grupy różnych narodowości  
w oświęcimskim obozie)

### 1.

Z biegiem czasu obóz oświęcimski, zaplanowany początkowo wyłącznie dla Polaków, zmienił swój charakter. Niemcy opanowali wiele krajów Europy, wdarli się głęboko w ziemie należące do Sowieckiego Związku, wszędzie dokonywali masowych aresztowań i istniejące już, lub nowo zakładane, obozy okazywały się za małe. Do stale rozrastającego się Oświęcimia i jego podobozów<sup>1</sup> poczęto zwozić ludzi z różnych zakątków starego kontynentu, niezależnie od narastającej akcji eksterminacji Żydów, dla której obóz oświęcimski stał się najbardziej chłonną centralą. Lista narodów, których przedstawiciele znaleźli się w tym obozie, jest długa i obejmuje 30 pozycji. Byli tam: Amerykanie, Anglicy, Austriacy, Belgowie, Bułgarzy, Chorwaci, Cyganie, Czesi, Francuzi, Grecy, Hiszpanie, Holendrzy, Litwini, Łotysze, Niemcy, Norwe-

---

\* W roku 1970 w *Zeszytach Historycznych* (nr 18) wydrukowany został fragment pracy pod powyższym tytułem. Uzupełniono go przypisem, że stanowi on początek pracy o ruchu podziemnym w oświęcimskim obozie i że autor poszukuje materiałów i prosi wszystkich byłych uczestników tego ruchu o kontakt. Po trzech latach żmudnego zbierania materiałów, w czym pomocny okazał się apel *Zeszytów Historycznych*, o którym właśnie wspomniano, temat został opracowany i obroniony jako praca doktorska przed komisją egzaminacyjną londyńskiego uniwersytetu (*London School of Economics and Political Science*). Fragment drukowany obecnie jest jednym z rozdziałów zakończonego już opracowania. Ukaże się ono w wydaniu książkowym nakładem „Odnowy”. W przygotowaniu wydania angielskie i niemieckie.

1. Dnia 24 kwietnia 1943 roku stan obozu oświęcimskiego wraz z Brzezinką i podobozem w Monowicach (*Buna Werke*) wynosił 46,009 więźniów. W połowie roku 1944 ilość więźniów i więźniarek dosięgnęła prawie 150.000.

gowie, Polacy, Rosjanie, Rumuni, Serbowie, Słowacy, Szwajcarzy, Turcy, Ukraińcy, Węgrzy, Włosi i Żydzi z wielu krajów, także i z Palestyny. Byli ponadto: jeden Chińczyk, jeden Egipcjanin i jeden Pers.

Wśród tego międzynarodowego kłębowniska najliczniejsi pozostali do końca Polacy, po nich Żydzi z różnych krajów, dalej obywatele Związku Sowieckiego<sup>2</sup>, reprezentujący różne narodowości. Inne grupy narodowościowe były już znacznie mniej liczne, a że cyfra ich stale się wahała, trudno jest ustalić ich ilościową kolejność. Im mniej było przedstawicieli danego narodu w Oświęcimiu, tym mniejszy mieli wpływ na obozowe życie. Nie odnosiło się to do Niemców, którzy, choć niezbyt liczni i przeważnie kryminalni, mieli do końca bardzo wiele do powiedzenia, bo okupowali szereg ważnych obozowych funkcji, które dzierżyli od początku i z których niezawsze dali się usunąć. Ponadto, jako Reichsdeutsche, korzystali z różnych przywilejów.

Polacy, obok swej liczebności, tym także się wyróżniali, że stanowili na ogół element zwarty, którego, wbrew propagandzie szerzonej po wojnie w Polsce, nie dzieliły ani różnice klasowe ani poglądy polityczne. Doprowadzili do tego sami Niemcy, którzy stosowali w okupowanym kraju powszechny terror i tym zjednoczyli Polaków. Tak jak w okupowanych miastach, miasteczkach i wsiach każdy ścigany przez Niemców Polak mógł liczyć na pomoc swych rodaków, tak samo, mniej więcej, wyglądała sytuacja w Oświęcimiu. Wspólna niedola przekreśliła różnice i doprowadziła do dużej solidarności a podziemna wojskowa siatka, zapoczątkowana przez Pileckiego (nr 4859)<sup>3</sup> i oparta o ruchy polityczne, solidarność tę wzmogła.

Żydzi, również liczni w obozie centralnym, ale przede wszyst-

---

2. Dnia 20 stycznia 1944 w obozie centralnym przebywało 18.418 więźniów, wśród nich: 8.648 Polaków, 3.830 Żydów z różnych krajów, 2.989 obywateli Związku Sowieckiego, 742 Niemców, 155 Francuzów, 66 Serbów i drobne ilości przedstawicieli innych narodowości.

3. Witold Pilecki zgłosił się ochotniczo do Oświęcimia, by zorganizować tam podziemną siatkę wojskową. Dał się ogarnąć w warszawskiej łapance i znalazł się w obozie 22 września 1940. Siatka, którą stworzył, nazywała się „Związek Organizacji Wojskowej”. Numer w nawiasach przy nazwisku Pileckiego jest numerem, który dano mu zaraz po przybyciu do obozu. Przebywał tam pod nazwiskiem Tomasz Serafiński.

Numery tatuowano w Oświęcimiu na lewych przedramieniach, komenda obozu znała więźniów pod tymi numerami. Znajomość ich jest dla badacza obozu bardzo ważna, pozwala bowiem ustalić datę przybycia danego więźnia do obozu. Stało się to możliwe dzięki doskonałej pracy Danuty Czech, „Kalendarz wydarzeń w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka”, w której zweryfikowano wszystkie transporty.



kim w Brzezince i Monowicach<sup>4</sup>, byli już elementem znacznie mniej zwartym. Wielowiekowe przebywanie w odmiennych zupełnie krajach, różnice obyczajowe, językowe, kulturalne, światopoglądowe, nawet religijne, wszystko to sprawiło, że wybitny naukowiec z Niemiec czy z Francji lub milioner — kupiec diamentów z Amsterdamu, choć ogołocony ze wszystkiego, z trudem porozumiewał się z nędzarzem, przywiezionym z Salonik czy z Berdyczowa. Żydzi byli ponadto elementem bardzo płynnym, traktowanym przez SS-Mannów z największą brutalnością i pod każdym względem najgorzej sytuowanym w obozie. Wielkie ich zdolności i znajomość obcych języków sprawiały, że i oni dochodzili do ważnych obozowych funkcji, że i wśród nich znajdowali się ludzie z opaskami funkcyjnych, ale w ogólnym bilansie ich szanse przetrwania były znacznie niższe niż przedstawicieli innych narodowości. Obliczało się, że Żydzi żyli w Oświęcimiu przeciętnie nie dłużej niż trzy miesiące i to w okresie, gdy zaprzestano mordowania zdrowych ludzi, bo przemysł niemiecki wołał o ręce do pracy. Ograniczało to ich konspiracyjne możliwości i zmniejszało szanse stworzenia silniejszej, podziemnej, obozowej grupy.

Na wcześniejszych stronach wspomniano już o kontakcie, który został nawiązany przez Pileckiego z Czechami, i o losach Czechów w obozie<sup>5</sup>. Mowa już była także o pierwszym kontakcie z obywatelami Związku Sowieckiego, nawiązanym przez płk. Karcz (nr 23569) w Brzezince<sup>6</sup>. Mało jest danych, które pozwalają na przedstawienie problemu tych a także i innych narodowości. Kilka źródeł umożliwia bardzo fragmentaryczne odtworzenia poczynań grupy austriackiej, francuskiej i rosyjskiej, tak, jak kolejno powstawały.

## 2.

Hermann Langbein (nr 60355), wiedeński komunista od

---

4. Brzezinka była olbrzymim podobozem, odległym od centrali o 3 km., gdzie obok obozu męskiego i cygańskiego, znajdował się obóz kobiecy i gdzie pracowały 4 wielkie komory gazowe i krematoria. Monowice były podobozem odległym od centrali o 7 km., gdzie znajdowała się duża fabryka gumy syntetycznej *Buna Werke*.

5. Czechów zaczęto przywozić do Oświęcimia od połowy roku 1941. Trzymali się na ogół dobrze. W roku 1942 Pilecki nawiązał sekretny kontakt z ich przywódcą, Janem Stranskim z Pragi.

6. Płk Jan Karcz, b. szef departamentu kawalerii, był dowódcą wojskowej konspiracji w Brzezince z ramienia „Związku Organizacji Wojskowej”. Został rozstrzelany w obozie 25 stycznia 1943.

wczesnych lat młodości, brał udział w domowej wojnie hiszpańskiej po stronie czerwonych brygad, w lutym 1939 roku przekroczył granicę francuską i znalazł się w obozie dla internowanych w Saint-Cyprian. W kwietniu tegoż roku przeniesiono go do obozu w Gurs pod Pirenejami a w maju roku następnego do La Vernet, niedaleko Tuluzy. Były to wszystko obozy międzynarodowe.

Ponieważ toczyła się już wojna i młodzi ludzie nie chcieli być bezczynni, zaczęły się pertraktacje z władzami francuskimi. Austriacy, mając własny kraj zajęty przez Hitlera, proponowali stworzenie pod francuską komendą legionu do walki z Niemcami, ale władze miały inne propozycje i dały dwie alternatywy do wyboru: Legia Cudzoziemska lub wcielenie do oddziałów francuskich mających walczyć w Finlandii przeciwko Sowiетom. Obydwie możliwości zostały odrzucone i wyłoniła się trzecia. Francja padła, przyszło zawieszenie broni i do nieokupowanej części kraju przybyli oficerowie niemieccy. Zjawili się w obozie, zaczęli namawiać do powrotu, obiecywali wolność i pracę. Po pewnym czasie przyjęli propozycję Czesi, jakiś czas po nich Austriacy. Nie ufali hitlerowcom, ale zupełnie biernego internowania nie mogli już wytrzymać. Niektórzy przewidywali najgorsze: więzienie lub obóz koncentracyjny, ale nawet to ich nie przerażało. „*Wir können im Lager politische Arbeit leisten!*...” (możemy w obozie prowadzić robotę polityczną). Pesymiści mieli rację. Dnia 24 kwietnia 1941 roku wszyscy znaleźli się w Dachau.

Po przybyciu do Oświęcimia Langbein przez krótki czas przebywał na bloku szpitalnym nr 21, ale gdy został sekretarzem naczelnego lekarza SS, trafił na „prominencki” blok nr 24 i chodził do szpitala dla SS-Mannów, który mieścił się tuż za drutami na pierwszym piętrze tego samego baraku, w którym na parterze urzędował Oddział Polityczny<sup>9</sup>. Był człowiekiem młodym, lat około 30-tu, posiadał duże doświadczenie konspiracyjne, bo działał w podziemiu komunistycznym w Austrii jeszcze przed hiszpańską wojną, zapoznał się z konspiracją obozową w Dachau, miał więc nastawienie aktywne i spodziewał się, że w Oświęcimiu

---

7. H. Langbein, *Die Stärkeren*, Wiedeń, 1949, str. 32.

8. Żargonowe określenie więzienia na dobrej obozowej funkcji.

9. W każdym niemieckim obozie koncentracyjnym znajdowało się lokalne Gestapo, nazywające się *Politische Abteilung* (Oddział Polityczny). Ono prowadziło ewidencję wszystkich więźniów i było przedłużeniem ramienia niemieckiej policji i władz bezpieczeństwa, które skierowały danego więźnia do obozu. Oddział Polityczny wydawał wyroki na więźniów, które wykonywano na bloku nr 11, pod ścianą śmierci.

także coś zorganizuje. Funkcja sekretarza dr. Wirthsa<sup>10</sup> dawała mu wielkie możliwości i z tego zdawał sobie doskonale sprawę, ale aby coś osiągnąć, musiał najpierw poznać nowy obóz. Był odeń odizolowany specjalną funkcją, ale rozglądał się doświadczonego okiem i już na wstępie wyrobił sobie pewne opinie. Na tle Dachau Oświęcim wcale mu się nie podobał. Niezależnie od ciasnoty i działania komór gazowych, w których dzień i noc mordowano ludzi, razili go liczni niemieccy więźniowie kryminalni na obozowych funkcjach<sup>11</sup>. Nie wiedział jeszcze, że w obozie działa dobrze zorganizowany polski ruch podziemny i że posiada on swych ludzi na wielu kluczowych pozycjach. Nie domyślał się także, że niektórzy niemieccy funkcyjni współpracują z tym ruchem, choć może niezawsze z pełną świadomością.

By poznać obóz i najważniejsze jego tajemnice a także, by zacząć jakakolwiek podziemną robotę, musiał nawiązać wstępne kontakty a te musiały dotyczyć w pierwszym rzędzie austriackich komunistów. O dwóch wiedział jeszcze przed wyjazdem z Dachau, bo poinformował go o nich jeden z kolegów. Byli to: Ernst Burger (nr 23850), kancelista (*Schreiber*) bloku nr 4, i Ludwig Vesely (nr 38169) w doskonałym komandzie *Fabrbereitschaft*<sup>12</sup>. Odnalazł ich a później skontaktował się jeszcze z Hiaslem Neumeierem (zmarł niebawem na tyfus), z Rudolfem Friemlem (nr 25173), także z *Fabrbereitschaft*, oraz z Siomą Lachtmannem i z dr. Alfredem Klahrem, członkiem centralnego komitetu austriackiej partii komunistycznej, który przebywał w obozie jako Lokmanis. Obydwaj pracowali w kopalni podobozu Jowaszowice i Langbein ściągnął ich do obozu centralnego, kierując Lachtmanna do *Fabrbereitschaft* a dr. Klahra do komanda DAW<sup>13</sup>.

---

10. SS-Obersturmführer Eduard Wirths przybył do Oświęcimia z Dachau we wrześniu 1942 roku i objął stanowisko naczelnego lekarza całego garnizonu a więc i obozu. Był człowiekiem dobrej woli, starał się ulżyć doli więźniów. Po wojnie trafił do brytyjskiej niewoli i po wstępnych przesłuchaniach odebrał sobie życie, wieszając się w więziennej celi.

11. W obozach, podobnie jak w więzieniach, bardzo wiele wykonawczych funkcji obsadzonych było przez więźniów. Dawało im to różne przywileje. W obozach niemieckich początkowo wszystkie funkcje zostały obsadzone przez SS więźniami kryminalnymi, ale gdy zaczął się wielki napływ więźniów politycznych, rozpoczęła się walka o wpływy, która została przez więźniów politycznych wygrana. W Dachau, z którego przybył Langbein, od dawna już rządili więźniowie polityczni, przeważnie komuniści, Oświęcim był jednak obozem nowym i w nim, w roku 1942, wielu niemieckich kryminalistów pozostawało na ważnych funkcjach. Niektórzy z nich, jak Otto Küsel (nr 2), kierownik biura przydziału pracy (*Arbeitsdienst*), okazali się pożądanymi ludźmi i współpracowali z ruchem podziemnym.

12. Warsztaty samochodowe.

13. *Deutsche Ausrüstungswerke*.

Od nich dowiedział się, że w obozie przebywa zaledwie kilkadziesiąt Austriaków i że pozycja ich nie jest najlepsza, bo Polacy odczuwają zrozumiałą wrogość do wszystkich, którzy mówią po niemiecku. Z Polakami trzeba się było liczyć, bo stanowili większość w obozie, byli w nim najdłużej, więc opanowali wiele funkcji, obóz położony był na polskiej ziemi i otoczony polską ludnością, a tuż obok, w Generalnej Guberni, działał szeroko rozbudowany polski ruch podziemny. Nawet pod samym obozem, na terenach wcielonych do Rzeszy, działały polskie grupy konspiracyjne i powstawały oddziały partyzanckie, o czym Langbein miał się przekonać w niedługim czasie. Podobna sytuacja wokół Dachau była zupełnie nie do pomyślenia.

Taki stan faktyczny a także świadomość, że siły komunistyczne, choćby nawet sięgnąć do wszystkich znajdujących się w obozie narodowości, mogą się okazać grubo za słabe, kazały Langbeinowi szukać innych rozwiązań.

*„Wszyscy, którzy nienawidzą faszystów i są gotowi do walki, obojętne czy są komunistami czy nie, muszą iść razem... Bardzo ważne jest, byśmy utrzymywali kontakt z towarzyszami innych narodowości... Najważniejsze jest jednak, byśmy nawiązali dobry polityczny kontakt z Polakami<sup>14</sup>”.*

Rozumiał on także, że najłatwiej będzie działać w odrębnych grupach narodowościowych, choćby z przyczyny trudności językowych, i dlatego, choć było ich zaledwie kilku, stworzył załóżek grupy austriackiej. Miało to miejsce pod koniec roku 1942. Posiadał już luźne kontakty z paroma Francuzami, z jakimiś kilkoma Czechami, poznał także bliżej kilku Polaków, którzy według niego reprezentowali pewne konspiracyjne możliwości. Langbein nie podaje jednak prawie żadnych nazwisk i nie określa siły organizacyjnej, jaką przedstawiały te kontakty. Z Francuzów wymienia tylko imiona dwóch komunistów, Roberta i André, z Polaków znanego sobie jeszcze z La Vernet komunistę imieniem Szymon<sup>15</sup> oraz Józefa Cyrankiewicza (nr 62933) i Tadeusza Hołuja (nr 62937). Obydwu spotkał po prostu na bloku szpitalnym gdzie byli nocnymi kancelistami, notującymi zgony. Domyślał się, że muszą mieć jakieś dobre powiązania, bo mimo wysokich numerów, a więc bardzo niedawnego przybycia do obozu, już byli

14. H. Langbein, *Die Stärkeren*, op. cit., str. 90-91.

15. Szymon Zajdow (nr 27832).

na doskonałych funkcjach<sup>16</sup>. Choć od razu po przybyciu trafił do szpitala, ani słowem nie wspomina o tamtejszej podziemnej działalności Polaków, która, gdy przybył do obozu, była już tam bardzo rozległa i skuteczna. Trudno przypuścić, by tak doświadczony konspirator nie potrafił jej zauważyć, raczej należy przyjąć, że wolał przymknąć na nią oczy, bo nie była komunistyczna, i rozpocząć budowanie nowej siatki z ludźmi takich samych lub zbliżonych do niego poglądów. Można także założyć, że Langbein nie orientował się w polskich stosunkach i nastrojach i, opierając się na znanej sobie sytuacji w Dachau, pod pierwszym wrażeniem zdecydował, że skoro nie działają tam sekretnie komuniści, nie działa w ogóle nikt. W Oświęcimiu takie rozumowanie nie znajdowało pokrycia w rzeczywistości.

Równolegle do montowania tych pierwszych konspiracyjnych kontaktów, które w tej fazie miały charakter prawie symboliczny, Langbein układał powoli swój stosunek do dr. Wirthsa i badał jego nastawienie do objętej niedawno, ważnej funkcji naczelnego lekarza całego Oświęcimia. Było nie do pomyślenia, by oficer SS mógł działać wbrew rozkazom swych przełożonych, ale ostatnie polecenia Berlina, które nakazywały podniesienie wydajności więźniów przy pracy i zmniejszenie śmiertelności, oraz selekcjonowanie żydowskich transportów, pozwalały przypuszczać, że przy odpowiedniej interpretacji przepisów los więźniów może ulec poprawie. Dr Wirths mógł być w tym zakresie bardzo pomocny i Langbein doskonale to rozumiał. Było dlań także oczywiste, że jego własne możliwości na tak ważnej funkcji sekretarza naczelnego lekarza całego Oświęcimia mogą się okazać lepsze i skuteczniejsze niż podziemna siatka, którą próbował zmontować. Rzeczywistość potwierdziła ten pogląd w całej rozciągłości.

W obozie nadal szalał tyfus i dr Wirths otrzymał z Berlina kategorię rozkaz, że ma go zwalczyć za wszelką cenę. Dotychczasowe odwszenia nie pomagały i lekarz SS nie mógł zrozumieć gdzie kryje się przyczyna trwania epidemii. Był za krótko w Oświęcimiu, by mógł znać wszystkie jego sekrety, choć powinien był wiedzieć co dzieje się w szpitalu. Langbein uznał, że musi mu powiedzieć prawdę i wyjawiał, że więźniowie boją się iść z chorobą do szpitala, bo czeka ich tam zamiast leczenia selekcja do komory gazowej lub zastrzyk fenolu<sup>17</sup>. Wirths był wstrząśnięty

16. Cyrankiewiczowi, który należał do PPS, pomogli w obozie koledzy partyjni, współpracujący jak najbliżej ze „Związkiem Organizacji Wojskowej”.

17. Obok gazowania zabijano także więźniów zastrzykami fenolu wprost w serce. Wybierano do zastrzyków przede wszystkim więźniów chorych, słabych i rekonwalescentów, selekcji dokonywano w szpitalu.

i oburzony, robił wrażenie człowieka, który naprawdę nie wiedział o tych praktykach. Langbein wyczuł, że jego ryzykowny krok może przynieść korzyści obozowi i pozwoli mu mieć pewien wpływ na lekarza SS w przyszłości.

Dnia 3 marca 1943 roku zaszły w szpitalu obozowym wielkie zmiany. SS-Manni odkryli, że na bloku nr 21 Hans Bock (nr 5)<sup>18</sup>, *Lagerältester* wszystkich szpitalnych bloków, posiadał zamaskowany pokój, w którym spotykał się z młodymi chłopcami, przeważnie polskimi pielęgniarkami. Tego samego dnia przeniesiono go na blokowego do szpitala w Monowicach (*Buna Werke*) a jego funkcję w szpitalu centralnym przejął Ludwig Wörl (nr 60363), niemiecki komunista, sprowadzony z Monowic z takiej samej funkcji.

W tym samym czasie Oddział Polityczny zwrócił uwagę na fakt, że w szpitalu pracuje bardzo wielu polskich sanitariuszy i zażądał od Wirthsa zmiany tego stanu. Naczelnny lekarz SS poruszył ten problem z Langbeinem i zaakceptował jego sugestię, że należy wprowadzić do szpitala sanitariuszy innych narodowości, by łatwiej mogli porozumiewać się ze swymi współrodakami. Już następnego dnia Langbein dostarczył Wirthsowi szereg numerów należących do komunistów austriackich, czeskich i francuskich. Wszyscy zostali przyjęci. Przy tej okazji miał on także przeforsować zasadę, że do szpitala będą również przyjmowani lekarze-Żydzi pod warunkiem, że mogą leczyć wyłącznie innych Żydów.

Nowi sanitariusze nie powiększyli liczby szpitalnego personelu, zajęli jedynie miejsca swych kolegów. Ci, których usunięto, poszli przeważnie do złych komand i szanse przeżycia znacznie dla nich zmalały. Nie była to walka pomiędzy więźniami politycznymi a kryminalnymi o wpływy w obozie, bo wszyscy usunięci polscy sanitariusze nosili czerwone trójkąty<sup>19</sup>. Była to walka o władzę, prowadzona w imię ideologii politycznej. Na terenie niemieckich obozów koncentracyjnych stanowiła objaw dosyć popularny.

---

18. Bock był niemieckim więźniem kryminalnym, który, choć nie miał żadnego przygotowania fachowego, został postawiony na czele budującego się szpitala dla więźniów w Oświęcimiu. Okazał się porządnym człowiekiem i przy pomocy polskich lekarzy, doprowadził do stworzenia szpitala, w którym uratowano życie tysiącom więźniów. Zdjęty z funkcji i przeniesiony do Monowic a później do Brzezinki, zmarł tam, wycieńczony długoletnim więzieniem i zażywaniem narkotyków.

19. W niemieckich obozach koncentracyjnych każdy więzień kryminalny nosił na bluzie i spodniach trójkąt zielony a więzień polityczny trójkąt czerwony. Badacze pisma św. nosili trójkąty fioletowe, homoseksualiści różowe a aspołeczni — czarne.

### 3.

Kobiety francuskie pojawiły się w Oświęcimiu z racji przybycia pierwszego transportu kobiet w ogóle, gdy dnia 26 marca 1942 roku przywieziono z Ravensbrück 999 więźniarek, przeważnie Niemek, ale pierwsi Francuzi znaleźli się tam dopiero 8 lipca tegoż roku. Przyszedł wówczas z Compiègne pod Paryżem transport 1.170 mężczyzn, w którego skład wchodził przede wszystkim obywateli francuscy. Dano im numery od 45157 do 46326 i kazano naszyć zielone trójkąty, choć wszyscy byli więźniami politycznymi. Miało to, przypuszczalnie, utrudnić im kontakty z innymi więźniami, bo cały ten transport przysłano w ramach akcji *Nacht und Nebel*<sup>20</sup>.

Nowoprzybyłych rozmieszczono po różnych blokach centralnego obozu i rozrzucono po różnych komandach, przeważnie złych. Około 600 trafiło do Brzezinki. Mimo lata Francuzi poczęli ginąć masowo. Już po 5-ciu miesiącach pozostało ich zaledwie 200, a z tych, co poszli do Brzezinki, tylko 20. SS-Manni musieli mieć instrukcje, by traktować ich brutalnie, niezależnie od tego, odporność francuskiego transportu, pochodzącego z bogatego kraju o wysokiej stopie życiowej, okazała się słabsza niż podobnych grup z innych części Europy.

Pewien procent przybyłych stanowili komuniści z francuskiego ruchu oporu i ci, mając już pewne konspiracyjne doświadczenie, zabrali się do nawiązywania pierwszych podziemnych kontaktów. Na wstępie polegały one na ratowaniu ginących kolegów i na próbie zahamowania katastrofalnej śmiertelności. Zabrał się do tego Georges Varennes, nauczyciel z Yonne, ale wielka jego ofiarność i dzielenie się z innymi własną głodową racją spowodowały, że zmarł z wycieńczenia pod koniec roku 1942. Mniej więcej w tym samym czasie jego kolega, Roger Abada (nr 45157), spotkał austriackiego komunistę Rudolfa Friemla, który miał już kontakty wśród nielicznych w obozie współrodaków. Dosyć łatwo

---

20. *Nacht und Nebel* (Noc i Mgła), był to kryptonim specjalnej operacji, opartej na dekrete Hitlera z 7 grudnia 1941 roku. Gdy osoby cywilne z okupowanych przez Niemców krajów, Belgii, Danii, Francji, Holandii i Norwegii, popełniły przestępstwo przeciwko niemieckim siłom zbrojnym, osoby te, po aresztowaniu, były wysyłane do Rzeszy niemieckiej w celu osądzenia lub ukarania. Z reguły kierowano je do któregoś z obozów koncentracyjnych, ale nie pod ich normalnymi nazwiskami a jedynie pod literami NN. Nie wolno im było utrzymywać żadnej korespondencji z rodzinami. Ostrożności te wprowadzono w związku z budową „Wału atlantyckiego”.

doszli do porozumienia i zaczęli ustalać zasady współpracy, która dotyczyła głównie wymiany usług i okazywania sobie pomocy w trudnym obozowym życiu. Obok Abady do rozmów dołączyli jego koledzy, Eugène Garnier (nr 45571) i Rozer Pelissou, którzy spełniali rolę politycznych przywódców nielicznej grupki francuskich komunistów. Abada podaje, że ustalona została łączność z podobnymi grupkami Niemców, Czechów, Polaków i Rosjan, których liczebność była mniej więcej jednakowa, ale nie cytuje żadnych nazwisk ani sposobów tej łączności.

Jak już wspomniano, głównym celem tych kontaktów było, w tej fazie, ratowanie współtowarzyszy. Osiągano to przez „organizowanie<sup>21</sup>” żywności i najpotrzebniejszych rzeczy z magazynów oraz przez umieszczanie kolegów na dobrych funkcjach, w kuchni, w pralni, w magazynach itd. Trzech Francuzów udało się umieścić w szpitalu jako pielęgniarzy, zaczęli wnosić lekarstwa, mogli bezpośrednio zająć się chorymi współrodakami<sup>22</sup>. Postarano się o kontakt z kobietami. Jeden z Francuzów (Abada podaje tylko „towarzysz G” — był to przypuszczalnie Garnier) dostał się do komanda ogrodników, które chodziło do podoboju Rajsko, gdzie pracowały więźniarki. Tym kanałem nawiązano z nimi łączność i poczęto przetrzucać lekarstwa, wiadomości i różne polecenia. Skontaktowano się także z działającą tam francuską komunistką, Danielle Casanova<sup>23</sup>.

Grupa francuska, podobnie jak i austriacka, była mała, musiała więc szukać oparcia w innych grupach narodowościowych. Najliczniejsi byli Polacy, ale, jak Abada miał się przekonać, w olbrzymiej większości nie podzielali jego poglądów politycznych. Będąc komunistą, nazywał on Polaków „reakcjonistami”. Było to określenie zupełnie bezpodstawne, nie mające żadnego oparcia w rzeczywistości. Błędne było także jego przypuszczenie, że Polacy, pod wpływem niemieckiej propagandy, byli nastawieni antyfrancusko. Kulturalne i polityczne kontakty polsko-francuskie, istniejące od kilku stuleci, były tak silne, że nawet wypadki toczącej się wojny nie mogły tego przekreślić. Każdy Francuz, wykazujący wystarczającą odporność, był z reguły traktowany przez Polaków z przyjaźnią i niejednokrotnie otrzymywał od nich pomoc. Poglądy polityczne nie odgrywały prawie żadnej roli. Po

21. Obozowy żargon określający nielegalne zdobywanie żywności, bielizny itd. z kuchni i magazynów.

22. Abada i tu nie podaje ani nazwisk ani kontaktów, które pozwoliły dostać się Francuzom do szpitala. Ponieważ byli komunistami, można przypuszczać, że stało się tak w wyniku akcji Langeina, o czym była już wcześniej mowa.

23. Casanova zmarła na tyfus dnia 10 maja 1943 roku.



natrafieniu na polskich komunistów, Francuzi wydali wraz z nimi w roku 1943 jeden numer tajnego pisma, przepisane ręcznie w kilku egzemplarzach, a później, w tymże roku, manifest polityczny w kilku językach<sup>24</sup>.

Później grupa francuska, mając już oparcie w kilku innych narodowościowych zespołach, zaczęła rozprzestrzeniać wiadomości ze świata, zdobywane z niemieckiej prasy, zbierać informacje typu wywiadowczego i organizować ostrożny sabotaż w zakładach zbrojeniowych, pobudowanych na terenie obozu. Ucieczek nie próbowano, bo bez znajomości języka polskiego i otaczających obóz terenów, nie miały one szans powodzenia. Rozwój wypadków wojennych sprawił, że coraz poważniej poczynano myśleć o stworzeniu podziemnych kadr wojskowych.

#### 4.

Po bezprzykładnej tragedii 12 tysięcy sowieckich jeńców wojennych, przywiezionych z Łambinowic, których w krótkim czasie wymordowano prawie doszczętnie, zaczęły przybywać do obozu dalsze liczne grupy obywateli sowieckiego Związku. Po uderzeniu na niedawnego sojusznika i po okupowaniu bardzo rozległych terenów, Niemcy zaczęli wywozić do Rzeszy setki tysięcy zdolnych do pracy mężczyzn i kobiet. Umieszczano ich w obozach pracy, w barakach przyległych do fabryk, na farmach, i przeważnie traktowano bardzo źle. Ludzie ci, doprowadzeni do rozpacz, tęskniący za własnym krajem, nienawidzący swych prześladowców, próbowali wyrwać się z wrogich rąk, zmieniali pracę, uciekali. Łapano ich i wysyłano do obozów koncentracyjnych. Trafiali tam także jeńcy wojenni z obozów w głębi Rzeszy, gdzie jakie takie traktowanie pozwalało na vegetację, ale nie hamowało pędu do ucieczek. Wśród zwykłych żołnierzy poukrywało się wielu oficerów, zwłaszcza politycznych, których wyszukiwało Gestapo i mordowało bez żadnej apelacji. Ci byli najbardziej aktywni i najczęściej inicjowali ucieczki. Kończyły się one przeważnie na ponownym pochwyceniu i na częstych egzekucjach, ale także i na transportach do Mauthausen, Neuengamme czy do Oświęcimia.

Ludzie sowieccy odznaczyli się na ogół dużą solidarnością, choć wcale nie byli elementem jednolitym. Rosyjskie imperium,

---

<sup>24</sup>. Informacje te nie potwierdzają się w źródłach innych grup narodowościowych.

kontynuowane przez komunistów, obejmowało wiele ludów, zamieszkujących ten olbrzymi kraj, ale wspólna ideologia polityczna, wpajana przez tyle lat, oraz wdrożenie do wielkiej dyscypliny sprawiały, że obywatele sowieccy trzymali się razem i dawali pełny posłuch swym przywódcom. Byli nimi przeważnie, wspomniani już, oficerowie polityczni, nierozpoznani przez obozowe Gestapo i przebywający w obozie jako ludzie prości. Wieloletnia izolacja i propaganda, przedstawiająca w negatywnym świetle inne narody i kraje, musiała wywrzeć swój wpływ na obywateli Związku Sowieckiego, którzy z tego powodu bardzo nieufnie podchodzili do wszelkich kontaktów. Przełamać tę nieufność było trudno, gdy jednak wzbudziło się zaufanie, na ludzi sowieckich można było liczyć. Prawie wszyscy byli bardzo odporni i dawali sobie dobrze radę z trudami obozowego życia. Dużym ich mankamentem był powszechny brak znajomości języka niemieckiego, co uniemożliwiało obejmowanie obozowych funkcji, podostawali się jednak do kuchni, do magazynów i do dobrych komand, bo wielu z nich posiadało kwalifikacje rzemieślnicze. Ich stosunki z Polakami, mimo przeszłości historycznej, układały się dobrze, bo mieli podobne podejście do ciężarów obozowego życia i do podstawowych założeń obozowej roboty podziemnej. Obok pomocy, dawanej potrzebującym, walkę uważali za główny cel obozowej konspiracji.

Pierwsze kontakty z Rosjanami zostały podjęte przez organizację Pileckiego (ZOW) już wówczas, gdy w jesieni 1941 roku odgrodzono 9 bloków w centralnym obozie, nazwano je obozem jenieckim i poczęto zwozić do nich sowieckich jeńców. Mordowano ich w okrutny sposób, izolowano od reszty obozu, pędzono we własnych komandach do budowy Brzezinki, ale korzystali z tej samej kuchni, znajdowali się na terenie tego samego obozu i SS-Mannom nie udało się odciąć ich kompletnie od polskich więźniów. Pierwsze kontakty podjął Henryk Bartosiewicz (nr 9406), miał je także Czesław Ostańkowicz (nr 8233), później przejął je Ludwik Rajewski (nr 4217)<sup>25</sup>. Były to sporadyczne zetknięcia się, hamowane warunkami obozowego życia i nieufnością. Czasem udało się dostarczyć nieszczęśliwym jeńcom nieco chleba lub kilka dodatkowych kotłów zupy. Z ich strony nie wyczuwało się jeszcze jakiegos zorganizowanego działania. Ginęli zbyt szybko, by były na to realne szanse.

Gdy w marcu 1942 roku przeniesiono ich ostatecznie do Brzezinki, żyło ich już mniej niż tysiąc, ginęli nadal z każdym dniem, ale niewielki procent dostał się do możliwych komand

---

25. Wszyscy trzej byli członkami obozowego, wojskowego podziemia.

i z tymi nawiązał kontakt płk Karcz. Nie robił tego osobiście, łączność tę za niego podtrzymywał Bogdan Gliński (nr 11958). Jeńcy zaczęli już organizować początki konspiracyjnej grupy, spodziewali się zagazowania, chcieli się bronić. Chodziło nie o walkę, która nie miała żadnych szans powodzenia, a o masową ucieczkę. W jesieni 1942 roku, gdy sytuacja była bardzo naprężona i każdej nocy spodziewano się skierowania jeńców do komór gazowych, płk Karcz zetknął się osobiście z przywódcami sowieckiej grupy. Byli to: Mikołaj Miszyn, Aleksander Baranow, Aleksiej Soroka i inżynier z Leningradu o polskim nawisku Siciński. Wcześniej jeszcze z centralnego obozu przyszło, przyniesione przez Bartosiewicza, polecenie, że gdyby sowieccy jeńcy zdecydowali się na ucieczkę, powinni otrzymać pomoc. Do gazowania ich ostatecznie nie doszło, ale nie zahamowało to dalszej olbrzymiej śmiertelności.

Systematyczna robota konspiracyjna zaczęła się wśród obywateli Związku Sowieckiego dopiero wówczas, gdy w roku 1942 i później poczęto ich przywozić z obozów w Niemczech i ze wschodu, i gdy dano im takie same prawa jak i innym więźniom. Mieli w obozie pracować aż do utraty sił, ale wolno im było żyć.

Najlepsze warunki dawał, jak zawsze, obóz centralny, tam więc powstał pierwszy załazek podziemnej organizacji. Dał mu początek major wojsk politycznych Aleksiej Lebediew (nr 88349), który uciekł z obozu jeńców w głębi Rzeszy, został pochwycony w Czechosłowacji i, nadal nie rozpoznany, jako zwykły żołnierz, przysłany do Oświęcimia transportem z Brna w dniu 16 stycznia 1943 roku. Umieszczono go na bloku nr 17, pracował w komandzie *Neubabnhof*. Spotkał tam *Vorarbeiter*'a<sup>26</sup> Jugosłowianina, który był kiedyś w Rosji i mówił po rosyjsku. Ten skontaktował Lebediewa z dwoma austriackimi komunistami, Ludwigiem, mówiącym po rosyjsku, i Ernestem, który był kancelistą na bloku nr 4<sup>27</sup>. Ci pomogli mu zmienić komando i dostać się do magazynu odzieżowego, gdzie z-cą Kapo<sup>28</sup> był Bernard Świerczyna (nr 1393), jeden z wybitniejszych członków Związku Organizacji Wojskowej. Polacy wyciągnęli pomocną dłoń i w krótkim czasie

---

26. *Vorarbeiter* — kierownik małej grupy więźniów pracującej na wyznaczonym jej terenie.

27. Byli to: Ludwig Vesely i Ernst Burger, wspomniani już przy omawianiu grupy austriackiej.

28. Kapo był więźniem stojącym na czele samodzielnej grupy pracy (komanda). Wyraz ten został zapożyczony z włoskiego (*Capo* znaczy po włosku „szef”, dosłownie „głowa”). Używali go robotnicy włoscy pracujący w południowych Niemczech przy budowie dróg. Przyjął się najpierw w Dachau a stamtąd przeszedł do innych obozów, pisano go przez C, w dosłownym włoskim brzmieniu. W polskiej literaturze obozowej ustaliła się zasada pisania tego wyrazu przez K.

pracowało już w tym doskonałym komandzie około 20 obywateli sowieckich. Wówczas organizacyjny, tajny kontakt z nimi przeszedł do rąk Świerczyny. Tam Lebediew spotkał 16-letniego chłopca z Zaporozża, Konstantina Sorokina, i wciągnął go do załóżka swej organizacji. Sorokin okazał się niezastąpiony. Z magazynu poczęły wędrować najpotrzebniejsze rzeczy do innych członków sowieckiej grupy.

Znowu zadziałali austriaccy przyjaciele i skontaktowali Lebediewa z Fiodorem Sgibą, nauczycielem z Uralu, a w wojsku oficerem politycznym. Po nim do małej grupy wszedł mjr Władimir Sokołow (zwany *Papasza*), dalej starszy politruk Gricko, który pracował w pralni, por. Władimir z Dniepropetrowska, pracujący w magazynie chleba, lotnik Kola, sprzątający w szpitalu SS i wnoszący stamtąd lekarstwa, Wiktor, inżynier z Moskwy, który miał kontakty z polskimi inteligentami w obozie, wreszcie por. Aleksiej, którego uratowali od śmierci polscy lekarze. Dalsza rekrutacja postępowała powoli, bo wszędzie kręcili się prowokatorzy. Każdego nowego kandydata obserwowano, poddawano próbom, sprawdzano jak trafił do niewoli, w jakich przebywał obozach jenieckich, kiedy, jak i z kim uciekał.

Na wiosnę 1943 roku podziemna grupa sowieckich oficerów była już dosyć liczna. Stały przed nią następujące zasadnicze cele: współpraca ze wszystkimi siłami w obozie, które przeciwstawiły się hitlerowcom; ratowanie od śmierci sowieckich ludzi, głównie oficerów; organizowanie dywersji i ucieczek; rozprzestrzenianie prawdziwych wiadomości o sytuacji międzynarodowej i kontrapropaganda; wreszcie przygotowanie do walki orężnej. Samorzutnie wyłoniło się kierownictwo, złożone z najlepszych ludzi<sup>29</sup>.

Dzięki pomocy Polaków setki obywateli sowieckich dostało się do tak dobrych komand jak „Kanada<sup>30</sup>”, kuchnia, magazyn chleba. Pracujący tam nie tylko sami uzyskali warunki dające szansę na przetrwanie, ale mogli także dawać wybitną pomoc swym kolegom. Fiodor Sgiba trafił może najlepiej, bo znalazł się w szpitalu jako sanitariusz. Tam przekonał się jak pracują polscy lekarze i jak ratują więźniów od selekcji do gazu, oka-

29. Lebediew nie wymienia nazwisk tych przywódców ani nie podaje, że on kierował całością, ale inni informatorzy: Hermann Langbein, Bruno Baum, Henryk Bartosiewicz, utrzymują, że tak na pewno było.

30. Było to obozowe, żargonowe określenie trzydziestu baraków, położonych w północno-zachodniej części Brzezinki, niedaleko krematoriów, w których segregowało się rzeczy odebrane Żydom przed wysłaniem ich do komór gazowych. Stamtąd, pod groźbą kary śmierci, wnoszono brylanty, złote dolary, biżuterię, konserwy, drogą bieliznę, zegarki itd., i przemycano do obozu lub poza obóz. Robili to więźniowie w porozumieniu z niektórymi SS-Mannami.

zując zewnętrzną brutalność i wyrzucając ich na obóz tuż przed przybyciem SS-mańskich komisji. Tak zostali uratowani lotnicy, Walentin Sitnow i Wiktor Iwanow, mjr Piotr Machura, płk Kuźma Karcew (ps. *Wasili*). Wszyscy oni należeli do sowieckiej podziemnej grupy.

Podjęto dwa zasadnicze kierunki działania i podzielono funkcje. Piotr Machura, były dowódca 17-tej gwardyjskiej brygady pancерnej, zajął się uciezkami. Zaplanował i zaczął rozpracowywać trzy warianty: a) przekupienie SS-mańskich strażników rzeczami wyniesionymi z „Kanady”; b) dostawanie się do transportów do innych obozów i ucieczki z nich przy obezwładnianiu straży; c) wyjeżdżanie poza obóz w ciężarówkach, pod wywozonymi rzeczami. Machurze powierzono także kontakt z obozem kołbięcym w Brzezince. Był w komandzie elektryków i miał możliwość poruszania się po rozległej „strefie interesów”<sup>31</sup> całego obozu. Pomagali mu, lotnik Mikołaj, który pracował na maszynie oczyszczającej kanalizację, i cudem ocalały jeńiec wojenny, Piotr Miszin.

Problem ewentualnej walki orężnej powierzono płk. Kuźmie Karcewowi. Wszedł on do sowieckiej podziemnej grupy dopiero w lutym 1944 roku, bo późno przybył do obozu, ale dla jego zadań był to okres odpowiedni. Myślał on o powstaniu zbrojnym w obozie i w tym zakresie zbliżył się bardzo do planowania Związku Organizacji Wojskowej a także częściowo do austriackich komunistów, bardzo zresztą nielicznych w obozie, i do niektórych Czechów. Wciągnął do współpracy oficerów: Kuwalina, Liaguszowa, Bobkowa i Pettito, prof. Krugłowa, oraz komsołców, Pawła Artimienko i Włodzimierza Wjazmitinowa (nr 181953). Razem rozpracowali rozstawienie wyżek i łańcucha straży, ewentualne drogi wyjścia z obozu i system elektryczny, który otaczał obóz naładowanymi prądem drutami. Przy pomocy Polaków nawiązał kontakt z Serbami i Rosjanami, którzy jako robotnicy cywilni pracowali w mieście Oświęcim.

W marcu 1944 roku Lebediew, Sitnow, Machura i 10 innych sowieckich oficerów skorzystało z pomocy Ernsta Burgera i przeniosło się do podobozu Manowice, by dostać się do pracy w *Buna Werke*. Było tam zatrudnionych wielu robotników cywilnych a także kilkuset angielskich jeńców wojennych. Sowiec-

31. Na zachód, północ i południe od obozu centralnego wysiedlono wszystkich mieszkańców, wioski ich zrównano z ziemią i na tym rozległym terenie, obejmującym na długość 10 km. a na szerokość 4 km., pobudowano szereg podobozów, jak Brzezinka, Rajsko, Pławy Harmże. Teren ten nazwano „strefą interesów obozu”. W czasie dnia otaczał go wielki łańcuch SS-mańskich straży.

cy oficerowie liczyli na okazję do ucieczki i na przedostanie się do oddziałów polskich partyzantów, operujących w Beskidach. Nawiązali kontakt z Anglikami, wśród których było kilkunastu chcących uciekać razem i kierować się na wschód, w stronę frontu. Planów tych nie udało się zrealizować.

## 5.

W szczytowej fazie rozrostu oświęcimskiego obozu, to jest w drugiej połowie roku 1943 i w roku 1944, gdy nasilenie transportów różnych narodowości było największe, musiały wśród nich powstać przynajmniej załóżki grup podziemnych. Kilka z nich zostało już omówionych powyżej, wcześniej mowa była o grupie czechosłowackiej i jej powiązaniach ze Związkiem Organizacji Wojskowej. Niestety kilka istniejących czeskich i słowackich źródeł nie poszerzyło tego tematu i nie dorzuciło szczegółów, które pozwoliłyby na szersze jego ujęcie. Na pewno istniała grupa jugosłowiańska, ale nie ma źródeł, które by ją omawiały. Dzięki relacjom Polek wiadomo, że Jugosłowianki działały w obozie kobiecym i że były podzielone na dwie grupki: królewską i komunistyczną. Przymuszczać było tak samo i w obozie męskim. Trzeba ponadto pamiętać, że Jugosławia zamieszkała jest przede wszystkim przez dwa narody: Serbów i Chorwatów. Dzielili ich, zwłaszcza w czasie ubiegłej wojny, duże różnice polityczne, wygrywane umiejętnie przez Niemców. Istniały nawet chorwackie formacje SS. Nie ułatwiało to stworzenia wspólnej podziemnej grupy w oświęcimskim obozie. Według Langbeina jugosłowiańska konspiracja była silniejsza w obozie kobiecym niż w męskim.

Brak jest zupełnie danych, które pozwoliłyby na, choćby najbardziej fragmentaryczne, przedstawienie podziemnych obozowych poczynań Bułgarów, Belgów, Holendrów, Hiszpanów, Norwegów. Przyjąć należy, że poszczególne jednostki szukały kontaktów z podziemnymi grupami innych narodowości, z którymi mogły się porozumieć w jakimś europejskim języku, lub z którymi łączyły je wspólne przekonania polityczne. Przynależność do ruchów, które miały zasięg międzynarodowy, jak socjalizm czy komunizm, mogła okazać się pomocna.

W specjalnej sytuacji znajdowali się w Oświęcimiu Niemcy, którzy po Polakach, Żydach z różnych krajów i obywatelach Związku Sowieckiego, reprezentowani byli najliczniej. Przeważnie stanowili oni element kryminalny, który od samego początku obsadził wszystkie ważniejsze obozowe funkcje i był z nich po-

woli, ale zdecydowanie wypierany przez Związek Organizacji Wojskowej, przez wspierające go polskie podziemne grupy polityczne i przez więźniów politycznych z innych, tworzących się, podziemnych zespołów. Niektórzy z niemieckich kryminalnych funkcyjnych okazali się porządnymi ludźmi i ci, świadomie lub pół-świadomie, zostali wciągnięci do roboty podziemnej<sup>32</sup>, reszta, znienawidzona przez ogół więźniów, tworzyła zwarty blok wspomagających się przestępców, ale żadnej konspiracyjnej grupy, oczywiście, nie zbudowała. Było wśród Niemców nieco dawnych socjal-demokratów i komunistów, ale stanowili oni już tylko resztkę działaczy politycznych, których aresztowano w roku 1933, zaraz po dojściu Hitlera do władzy, i przepędzono przez piekło obozów koncentracyjnych, w których olbrzymia ich większość zginęła. W Oświęcimiu czynni byli bardzo nieliczni niemieccy komuniści (Ludwig Wörl, Karl Lill — nr 60356, Bruno Baum — nr 118359), ale własnej grupy nie stworzyli, szukając powiązań z komunistami innych narodowości. Współpraca z nimi była bardzo trudna, bo chcieli koniecznie przeprowadzić i nie godzili się na jakąkolwiek konspiracyjną podległość w stosunku do przedstawicieli innych narodowości. Specjalnie uprzedzeni byli do Polaków i Żydów. Z drugiej strony trudno było sobie wyobrazić, by jakikolwiek Polak, mający pełną świadomość swej przynależności narodowej, zgodził się na podleganie Niemcowi w robocie konspiracyjnej na terenie oświęcimskiego obozu. Wymuszona podległość SS-Mannom najzupełniej wystarczała.

Mimo braku własnej grupy Niemcy byli w podziemiu potrzebni, bo nadal obsadzali wiele eksponowanych funkcji, szukano więc z nimi kontaktów i starano się ich sobie pozyskać.

Józef GARLIŃSKI

#### Ż R Ó D Ł A

(wyłącznie już opublikowane i odnoszące się przede wszystkim do powyższego rozdziału)

- Abada Roger, „Organisation de la Résistance au Camp d'Auschwitz, Témoignages sur Auschwitz, Paryż, 1946.  
Baum Bruno, *Widerstand in Auschwitz*, wyd. II, Berlin, 1962.  
Brandhuber Jerzy, „Jeńcy radzieccy w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu”, *Zeszyty Oświęcimskie*, nr 4, 1960.  
Czech Danuta, „Kalendarz wydarzeń w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka”, *Zeszyty Oświęcimskie*, nr 2-7, 1959-1964.  
Dziubińska Barbara, „Ruch oporu w obozie masowej zagłady w Oświęcimiu”,

32. Byli to: Otto Küsel (nr 2), Hans Bock (nr 5), Arthur Balke (nr 3), Fritz Biesgen (nr 4), Johann Lachenich (nr 19).

- Wojskowy Przegląd Historyczny*, tom III, Warszawa, 1965.
- Höss Rudolf, *Wspomnienia komendanta obozu oświęcimskiego* (napisane w więzieniu w Polsce w roku 1946/47), Warszawa, 1956.
- Kamiński Andrzej Józef, *Hitlerowskie obozy koncentracyjne i środki masowej zagłady w polityce imperializmu niemieckiego*, Poznań, 1964.
- Kaul Friedrich, *Aerzte in Auschwitz*, Berlin, 1962.
- Kempner Robert M. W., *Eichmann und Komplizen*, Zürich, 1961.
- Kulka Erich, *The Death Factory* (tłumaczenie z czeskiego), Londyn, 1966.
- Langbein Hermann, *Die Stärkeren*, Wiedeń, 1949.
- Lanik Jozef, *Co Dante nevidel*, Bratysława, 1964.
- Lebidiew Aleksiej, *Soldaty małej wojny*, Moskwa, 1957.
- Szkodowa Julia, *Tri Roky bez Mena*, Bratysława 1962.
- Smoleń Kazimierz, *Auschwitz 1940-1945*, Oświęcim, 1965.
- Sobański Tomasz, *Ucieczki Oświęcimskie*, wyd. II, Warszawa, 1969.
- Szvalbova Manca, *Wyhasnute Oči*, Bratysława, 1964.
- Vrba Rudolf i Bestic Alan, *Factory of Death*, Londyn, 1964.
- Veble Jožica, *Preživela sem Taboriszče Smrti*, Lublana, 1960. Z materiałów nieopublikowanych najcenniejszą, obok dokumentów i materiałów innych świadków, jest relacja Witolda Pileckiego, znajdująca się w Studium Polski Podziemnej w Londynie.



## OKRUCHY HISTORII

Jan DREWNOWSKI

### „PROCES CENTRALNEGO URZĘDU PLANOWANIA” W 1948 ROKU

#### Relacja o początku stalinizmu w Polsce

W ubiegłym roku minęło 25 lat od wydarzenia o dużej doniosłości w powojennej historii Polski. Wydarzenie to jest tym bardziej warte przypomnienia, że niemal wcale o nim nie pisano. Chodzi o tzw. „Proces CUP”, który się odbył 18 i 19 lutego 1948 roku. Te dwa dni można uznać za początek stalinizmu w Polsce. Poznanie prawdy o tym co się wtedy stało jest konieczne dla zrozumienia wszystkiego, co się działo później i tego, co się dzieje w Polsce do dzisiaj. Jako jeden z uczestników tych przełomowych wydarzeń uważam, że powinienem spisać i opublikować niniejszą relację.

Opieram się głównie na pamięci. Jedynym drukowanym źródłem, którym rozporządzam (i jedynym, jak się zdaje, obszerniejszym sprawozdaniem jakie istnieje) jest artykuł H. Minca<sup>1</sup> opublikowany wkrótce po „Procesie” i przedstawiający stanowisko strony atakującej CUP. Artykuł ten był mi pomocny w przypomnieniu sobie niektórych elementów dyskusji, ale nie daje on czytelnikowi żadnego pojęcia o rzeczywistym przebiegu „Procesu” ani o jego konsekwencjach.

#### *Ogólne tło polityczne*

Wypadki, które w tym czasie nastąpiły w Polsce, były częścią

---

1. Hilary Minc: „O właściwe metody planowania w Polsce”. *Nowe Drogi*, Nr 8, Marzec 1948, str. 17-38.

procesu konsolidacji władzy Związku Sowieckiego na terenach, które po wojnie stały się sferą jego wpływów. Proces tej konsolidacji właśnie wtedy zaczął przybierać na sile. Na jesieni 1947 utworzony został Kominform. Powstanie jego nadało kształt instytucjonalny supremacji Związku Sowieckiego nad jego satelitami. Wkrótce potem, pod naciskiem ZSSR kraje Europy Wschodniej odrzuciły Plan Marshalla. Nie minął jeszcze tydzień od „Procesu CUP” a nastąpił zamach stanu w Pradze: ustąpienie Benesza, śmierć Masaryka i objęcie władzy przez komunistów. W ciągu kilku miesięcy wybuchł kryzys jugosławiański.

Dramatycznym wydarzeniem, które było zapowiedzią pogorszenia się sytuacji w Polsce była ucieczka Mikołajczyka z kraju w listopadzie 1947. Kongres PPS zwołany do Wrocławia w grudniu 1947 odbył się w atmosferze niepokoju i przygnębienia. Zamykając Kongres Cyrankiewicz zakończył swe przemówienie słowami: „PPS jest Polsce potrzebna”. Zapewnienie to wywołało powszechne westchnienie ulgi, ale naprawdę uspokoiło tylko najbardziej łatwowiernych. Stawało się coraz bardziej oczywiste, że użyteczność PPS dla Polski jest bez znaczenia, że wszystko zależy od tego, czy jej dalsze istnienie służy polityce Związku Sowieckiego. A to stawało się coraz bardziej wątpliwe.

PPS odgrywała do tego czasu rolę pewnego rodzaju partii opozycyjnej. Była potrzebna Sowiетom w pierwszym okresie dla zneutralizowania niechęci robotników wobec PPR. Podobnie jak było im potrzebne PSL na terenie wsi a Mikołajczyk w rządzie. Ale rolę tę przyznano tym partiom tylko na czas ograniczony. Od ucieczki Mikołajczyka PSL podlegało brutalnej likwidacji i można się było obawiać, że PPS czeka podobny los. Formalnie PPS „dzieliła władzę” z PPR (pamiętamy, że Cyrankiewicz był premierem) ale faktycznie jej wpływy były bardzo małe a stosunki z PPR coraz gorsze. Wprawdzie porozumienie między tymi partiami działało jeszcze jako tako na samej górze, ale na niższych szczeblach organizacyjnych dochodziło do wyraźnej wrogości.

Szczególna sytuacja powstała w kierownictwie gospodarki narodowej. Od jesieni 1945 działał w Polsce Centralny Urząd Planowania. Stanowisko prezesa CUP zajmował Czesław Bobrowski. W czasie wojny przebywał on we Francji, a po powrocie do kraju wstąpił do PPS. W krótkim czasie udało mu się zwerbować do pracy w CUP wielu wyróżniających się ekonomistów młodszego i średniego pokolenia, którzy w nowych warunkach gotowi byli pracować dla odbudowy i rozwoju gospodarki kraju. Wśród nich odróżnić można było dwie grupy, które określały charakter pracy CUP. Pierwszą stanowili członkowie przedwojen-

nego zespołu „Gospodarki Narodowej”, pisma wydawanego w latach trzydziestych przez ruchliwych, młodych urzędników ówczesnych resortów gospodarczych. Do tej grupy należał sam Bobrowski. Drugą stanowili ekonomiści, którzy po wojnie powrócili z Zachodu, wielu z nich po studiach tam odbytych lub kontynuowanych. Duża część pracowników CUP pochodzących z obu tych grup wstąpiła do PPS i stąd CUP stał się domeną tej partii. Stał się on także ośrodkiem samodzielnej myśli ekonomicznej, gdzie metody analityczne ekonomii zachodniej próbowano stosować do praktycznych zagadnień odbudowy i planowania.

Zadaniem CUP było wprowadzenie w Polsce gospodarki planowej. Opracowano więc pierwszy plan gospodarczy o zasięgu krajowym. Był to Plan Inwestycyjny na trzy kwartały (II, III i IV) roku 1946. Następnie przygotowano projekt uchwały Krajowej Rady Narodowej wprowadzającej planowanie gospodarcze oraz opracowano „Wytyczne Ogólne” i „Tymczasowe Liczby Podstawowe Planu Odbudowy Gospodarczej” (który w pierwszej wersji miał obejmować lata 1946-1949). Dokumenty te zostały zatwierdzone przez Krajową Radę Narodową we wrześniu 1946. Następnie opracowano „Plan Odbudowy Gospodarczej”, który ostatecznie objął okres trzech lat 1947-1949 i został zatwierdzony w lipcu 1947. Równocześnie prowadzono prace nad metodologią planowania długoterminowego, przygotowując podstawy opracowania planu mającego nastąpić po Planie Odbudowy. Druga połowa roku 1947 poświęcona była głównie na przygotowaniu projektu planu rocznego 1948, tj. obejmującego drugi rok Planu Trzyletniego. Projekt ten został ukończony i był gotów do zatwierdzenia w styczniu 1948.

Pomimo tych wszystkich prac i osiągnięć CUP nie stał się ośrodkiem kierującym faktycznie gospodarką narodową. Nie dopuściła do tego rządząca w Polsce PPR. W gospodarce, podobnie jak i w innych dziedzinach, PPR dzieliła władzę z innymi partiami w stopniu jak najmniejszym. W dziedzinie gospodarki zgodziła się dzielić władzę z PPS tylko pozornie: studia, prace metodologiczne i przygotowywanie planów pozwolono prowadzić kierowanemu przez PPS CUP-owi, ale operatywne decyzje i zarządzanie gospodarką pozostawały w ręku PPR. Dwie instytucje były wtedy narzędziem kontroli PPR nad gospodarką: Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów, który zbierał się co tydzień i decydował we wszystkich ważniejszych sprawach polityki gospodarczej, oraz Ministerstwo Przemysłu, któremu bezpośrednio podlegał przemysł państwowy, ale którego wpływy rozciągały się na wszystkie gałęzie gospodarki. Na czele obu tych instytucji

stał Hilary Minc i w jego ręku skupiała się władza nad gospodarką polską.

Resorty kontrolowane przez PPR współpracowały z CUP niechętnie i często bardziej przeszkadzały niż pomagały w jego działalności. Do czasu jednak pewne pozory współpracy musiały być zachowane. Ten czas trwał mniej więcej do końca 1947 roku.

### *Preliminaria*

W listopadzie i grudniu 1947 odbyły się w CUP dwa wewnętrzne zebrania, na których — jako dyrektor departamentu planu długoterminowego — referowałem metodologię prac nad tym planem. Dyskusje, które odbyły się po obu referatach, ujawniły zaczepny a nawet wrogi stosunek do tych propozycji ze strony PPR-owców obecnych na zebraniach. Było to dość nieoczekiwane, bo jak się zdawało, propozycje te nie zawierały niczego, co by mogło wzbudzić taki sprzeciw. Dotyczyły one wyłącznie metod planowania a nie polityki. Ponadto PPR-owcy pracujący w CUP<sup>2</sup> unikali dotąd merytorycznych dyskusji z PPS-owskim kierownictwem CUP, ponieważ nie mogli w takich dyskusjach liczyć na sukces. Do tych incydentów nie przywiązywałem wtedy większej wagi. Dopiero później okazało się, że stanowiły one początek zorganizowanej akcji.

Zaraz po Nowym Roku 1948 doszło do naszej wiadomości, że w różnych resortach gospodarczych krążą memoriały ostro krytykujące metody planowania CUP. Nie było trudno zapoznać się z ich treścią i ustalić źródło ich pochodzenia, którym okazały się albo Komitet Centralny PPR albo Ministerstwo Przemysłu. Zarzuty zawarte w tych memoriałach wydawały się mało poważne i łatwe do obalenia. Sprawa więc została podniesiona przez prezesa CUP po linii partyjnej. Wtedy krytyki zostały oficjalnie zgłoszone i uzgodniono, że CUP będzie miał możliwość obrony swego stanowiska. W tym celu postanowiono zwołać międzypartyjne „Zebranie dyskusyjne” na temat metod planowania. Wyznaczono je na 18 lutego 1948 w gmachu Prezydium Rady Ministrów na Krakowskim Przedmieściu. Przewodniczyć miał premier Cyrankiewicz i on też rozesłał zaproszenia, które

---

2. Jak wyżej wspomniano kierownictwo CUP było PPS-owskie i bezpartyjne. Nie można jednak było uniknąć zatrudnienia pewnej liczby PPR-owców. W czasie, o którym mowa, PPR-owcami byli: jeden z wiceprezesów, trzech dyrektorów departamentu i jeden wice-dyrektor. Liczba PPR-owców na niższych stanowiskach była nieznacząca. Stanowili oni dość izolowaną grupę.

otrzymali czołowi działacze gospodarczy obu partii. Nadanie zebraniu charakteru międzypartyjnego osłabiło stronę obrony, gdyż automatycznie odsunęło od udziału w nim bezpartyjnych pracowników CUP, podczas gdy po stronie atakującej PPR-owcy mogli wystąpić w komplecie. PPS zgodziła się na to uważając, że PPS-owcy z CUP i spoza niego stanowią zespół dostatecznie silny, żeby obronę przeprowadzić nawet bez pomocy bezpartyjnych.

Pierwszym krokiem przygotowującym tę obronę było listowe zwrócenie się do profesora Oskara Langego z prośbą o opracowanie odpowiedzi na zarzuty dotyczące sposobu obliczania dochodu narodowego przez CUP. Lange był wówczas za granicą na sesji Rady Ekonomicznej i Społecznej ONZ. Opracowanie swoje, bardzo jasno i przekonująco napisane, Lange nadesłał niezwłocznie.

Głównym organizatorem obrony CUP z ramienia PPS został Adam Rapacki (wówczas członek prezydium CKW PPS i minister Żeglugi). Porozumiewał się on z Cyrankiewiczem w sprawach ogólnego planu działania i wciągania do akcji członków PPS spoza CUP, a w sprawach związanych z treścią wystąpień i udziałem w dyskusji pracowników CUP z Bobrowskim i ze mną. Pod kierunkiem Rapackiego ustalono też taktykę PPS na samym zebraniu. Ponieważ przewidywano, że główne uderzenie krytyków skierowane będzie przeciw samemu Bobrowskiemu, postanowiono go nie obciążać zadaniem kierowania przebiegiem dyskusji. Zadanie to wziął na siebie Rapacki, przeciw któremu PPR nie wysuwał żadnych zarzutów. Ponieważ Rapacki nie orientował się we wszystkich szczegółach pracy CUP, miałem na zebraniu zająć miejsce obok niego i pomagać mu w wykonywaniu tego zadania. Wydawało się wtedy, że ja także nie będę osobiście atakowany, ponieważ przedmiotem krytyki był projekt planu na rok 1948, za który nie byłem bezpośrednio odpowiedzialny. Ustalono również, że Bobrowski będzie przemawiał pod sam koniec narady. W ten sposób pierwszy atak będą mogli odeprzeć wcześniej przemawiający obrońcy CUP wykazując bezpodstawność poszczególnych zarzutów, prezesowi zaś pozostałoby wtedy wykazanie niemożności całej krytyki i potwierdzenie słuszności zajmowanego stanowiska. Przewodniczący zebrania, Cyrankiewicz, miał potem podsumować wyniki dyskusji i stwierdzić, że prawidłowość metod planowania stosowanych przez CUP została udowodniona. Wypadki potoczyły się jednak inaczej niż przewidywaliśmy.

Niedługo przed zebraniem dowiedzieliśmy się, że otworzyć je ma referat Hilarego Minca krytykujący metody planowania

CUP. Nie zaskoczyło to nikogo, bo źródło ataków na CUP było powszechnie znane. Wkrótce potem zostały rozesłane tezy tego referatu. Stało się wówczas oczywiste, że konieczny jest koreferat, który by przedstawił stanowisko CUP. Chodziło o to, kto go ma wygłosić. Decyzja w tej sprawie, niewątpliwie powzięta przez Cyrankiewicza, zapadła bardzo późno. Koreferat powierzono Tadeuszowi Dietrichowi (wówczas wiceministrowi Finansów). W CUP wybór ten przyjęto bardzo niechętnie. Dietrich był mało zorientowany w pracach CUP i nie ulegało wątpliwości, że nie dorasta do powierzonego mu zadania. Było jednak za późno, żeby kwestionować tę decyzję. Najgorsze moje obawy potwierdziły się, gdy w dzień narady rano otrzymałem tekst referatu Dietricha. Referat był napisany niezdarnie, był prymitywny w argumentacji ekonomicznej a w polemice chwiejny i nieprzekonywujący. W kilku spornych sprawach stanowisko referenta wydawało mi się nadmiernie ustępliwe.

Uważałem, że tak sformułowana obrona CUP może przynieść więcej szkody niż pożytku. W porozumieniu z Bobrowskim i Rapackim pojechałem jeszcze tego samego dnia do domu Dietricha (nie wiem, dlaczego nie urzędował on w tych godzinach w swoim Ministerstwie, może przygotowywał się do wystąpienia na zebraniu) i starałem się go przekonać, żeby zmienił niektóre sformułowania a inne wykreślił. Niczego nie osiągnąłem. O ile pamiętam, powiedział mi, że referat ten został uzgodniony z Cyrankiewiczem. Rozmowa z Dietrichem bardzo mnie zaniepokoiła.

### *Przebieg „Zebrania Dyskusyjnego” czyli „Procesu CUP”*

Zebranie zwołane było na godz. 16.00 dnia 18 lutego 1948 a trwało mniej więcej do godz. 0.30 w nocy. Prowadzone było dalej dnia następnego od godz. 18.00 do mniej więcej 23.00. Rozpoczęło się przy obecności około 100 lub 120 osób. W drugim dniu liczba obecnych była mniejsza. W chwili zamknięcia zebrania było na sali około 60 osób.

Cytowany na wstępie artykuł w *Nowych Drogach* podaje, że przemawiało 20 mówców. Gdybym polegał wyłącznie na swojej pamięci podałbym prawdopodobnie większą ich liczbę, bo 2 referaty i 20 przemówień to trochę za mało, aby wypełnić aż 13 i pół godziny czasu. Ale rzeczywiście niektórzy mówcy przemawiali bardzo długo a inni zabierali głos po dwa lub trzy razy. Poza tym zapewne w *Nowych Drogach* uwzględniono tylko tych mówców, którzy wygłosili regularne przemówienia a nie liczono tych, którzy wnieśli do dyskusji tylko krótkie wyjaśnienia lub uwagi.

Wreszcie w obu posiedzeniach były przerwy, tak że obrady trwały faktycznie mniej niż 13 i pół godzin. Dlatego decyduję się przyjąć, że liczba 20 mówców podana w *Nowych Drogach* jest prawdziwa.

Starając się odtworzyć z pamięci listę mówców doszedłem do tych 20 nazwisk: 11 z PPR i 9 z PPS. Co do paru osób miałem pewne wątpliwości, ale mam nadzieję, że nie pomyliłem się więcej niż w jednym lub najwyżej dwóch wypadkach.

A więc ze strony PPR referat wygłosił Hilary Minc a przemawiali: Bienkowski, Blinowski, Brus, Jędrzychowski, Bronisław Minc, Popiel, Rzendowski, Szyr, Wang, Wyrozembski i Żurawicki. Ze strony PPS koreferat wygłosił Dietrich a przemawiali: Bobrowski, Drewnowski, Foryś, Greniewski, Jastrzębski, Lipiński, Rapacki, Sokołowski, Surzycki.

Zauważyć można, że ze strony PPR byli obecni przez cały czas zebrania: Gomułka (wówczas I sekretarz PPR) i Berman. Berman nie zabrał głosu ani razu ale najwyraźniej kierował całą akcją PPR wyznaczając mówców i dając im instrukcje. Gomułka przysłuchiwał się dyskusji i wtrącił się tylko raz. Nie pamiętam dokładnie o co mu chodziło, ale wystąpienie miało na celu wyjaśnienie jakiegoś nieporozumienia i w ten sposób złagodzenie ostrości sporu. Takie stanowisko Gomułki było dla mnie wtedy zaskoczeniem. Obecnie jest ono jednak jasne. Gomułka już wtedy zdawał sobie sprawę, że podobne zarzuty mogą być skierowane wkrótce przeciw niemu. Jak wiadomo stało się to tylko kilka miesięcy później.

Wśród wybitniejszych członków PPS byli obecni, ale nie zabierali głosu: Szwalbe, Topiński i Kaczorowski (wówczas minister Odbudowy).

Zgodnie z programem zebranie zaczęło się od referatu Hilarygo Minca. Treść jego była znana z poprzednio rozesłanych tez. Zawierał on krytykę metod planowania CUP zastosowanych przy opracowaniu planu rocznego na 1948. Zarzucał on projektowi planu trzy zasadnicze błędy: (1) koncepcję dochodu narodowego opartą na ekonomii „zachodniej” a nie na nauce Marksa; (2) orientację planu na konsumpcję zamiast przyjęcia zasady prymatu produkcji; (3) niedostateczne uwzględnienie elementów mobilizujących do wykonania i przekraczania planu m.in. wskutek niejasnego rozgraniczenia zadań planu i prognoz. W części poświęconej koncepcji dochodu narodowego (która zajmowała więcej niż połowę referatu) zawarta była również krytyka podziału gospodarki na sektory: w koncepcji CUP istniały trzy

sektory: państwowy, spółdzielczy i prywatny. Według referatu należało gospodarke dzielić na sektor uspołeczniony, drobnotowarowy i kapitalistyczny. Referat dotyczył jeszcze paru innych spraw (m.in. cen stosowanych w planowaniu) ale nie poświęcał im większej uwagi.

Po referacie Hilarego Minca koreferat wygłosił Dietrich. Charakterystykę tego opracowania podałem wyżej. Po referacie Dietricha jako przedstawiciel PPR głos zabrał Brus. Przemówienie jego było istotnym uzupełnieniem referatu Hilarego Minca, dotyczyło bowiem tematu nie poruszonego ani w referacie, ani w poprzednio rozsyłanych memoriałach. Brus zaatakował mianowicie moją pracę „Próba ogólnej teorii gospodarki planowej<sup>3</sup>”, którą uznał za wyraz wpływów „burżuazyjnej” (tzn. zachodniej) ekonomii na metody planowania CUP i za główne źródło popełnionych błędów. Była to przesada. Praca ta oczywiście znana była w CUP, ale trudno twierdzić, że na niej oparto stosowane przez CUP metody planowania; teoretyczna rozprawa tego rodzaju po prostu nie mogła odegrać takiej roli. Jedno tylko było prawdą: była ona napisana językiem nowoczesnej ekonomii, a tego samego języka używał CUP w swoich pracach.

Krytyka tej książki była PPR-owcom potrzebna ze względów taktycznych. Nie tylko dlatego, że w ten sposób na samym zebraniu inicjowali nowy kierunek ataku i psuli szyki obronie przygotowanej do odpierania innych zarzutów. Ale przede wszystkim po to, aby rozszerzyć front ataku i objąć nim nie tylko projekt planu na rok 1948 i osoby bezpośrednio odpowiedzialne za jego przygotowanie, ale całość działalności CUP i wszystkich jego koncepcyjnych pracowników, zarzucając im, że całą swą pracę opierają na błędnych założeniach. Nie chodziło bowiem naprawdę PPR o poprawienie planu na rok 1948 ale o całkowite rozbitcie CUP.

Atak Brusa zmusił mnie do niezwłocznego zabrania głosu i obrony nie tylko mojej książki, ale również metod rozumowania nowoczesnej ekonomii w ogóle. Pamiętam jak dowodziłem, że nowoczesna ilościowa analiza ekonomiczna nie musi się odnosić wyłącznie do gospodarki kapitalistycznej, ale można się nią posługiwać przy opracowywaniu planów i oprzeć na niej politykę

---

3. Jan Drewnowski: *Próba ogólnej teorii gospodarki planowej*, Trzaska, Evert i Michalski, Warszawa 1947. Praca moja ogłoszona na krótko przed wojną, właśnie przed kilku miesiącami została wydana ponownie. Była to nieduża rozprawa z czystej teorii ekonomii, która dzięki aktualności zagadnień planowania zyskała wtedy pewną popularność nawet poza kręgiem ścisłych specjalistów.



prowadzącą do podniesienia dobrobytu ludności. Wykazałem także bezzasadność zarzutów zawartych w referacie Minca<sup>4</sup>.

W dyskusji, która się następnie rozwinęła przedstawiciele PPR i PPS przemawiali na przemian. PPR-owcy powtarzali na ogół w różnych wersjach argumenty wysunięte przez Hilarego Minca i przez Brusa wnosząc do nich niewiele nowego. Trudno mi zdać sprawę z poszczególnych przemówień, bo wszystkie były do siebie podobne. Ze strony PPS odczytano opracowanie Langego o obliczaniu dochodu narodowego a poszczególni mówcy odpowiadali na krytyki PPR-owców. Z pierwszego dnia obrad zapamiętałem trzy przemówienia. Każde z nich było inne. Prof. Lipiński rozprawił się w sposób bardzo przekonujący z wulgaryzacją „marksowskich” koncepcji wysuwanych przez PPR i wyjaśnił istotne znaczenie narzędzi analitycznych ekonomii „zachodniej”. Mówił z dużym przekonaniem i moim zdaniem dowiódł swych twierdzeń w sposób nie budzący żadnych wątpliwości<sup>5</sup>. Greniewski, wówczas dyrektor departamentu koordynacji w CUP, którego dziełem był „schemat koordynacyjny” planu 1948 bronił swych koncepcji, ale unikał ostrych polemicznych sformułowań. Robiło wrażenie, że przestał wierzyć, że może kogokolwiek przekonać. Jeszcze inne i wręcz zaskakujące było przemówienie Jastrzębskiego. Ten stary działacz socjalistyczny rozpoczął od przypomnienia swojego udziału w Rewolucji Październikowej a następnie nawołując do oparcia gospodarki polskiej o zasady marksizmu zaakceptował wszystkie tezy PPR. Jeśli bronił CUP to tylko tłumacząc, że jego błędy wynikły z braku informacji o przodujących metodach planowania, stosowanych w Związku Sowieckim. Po referacie Dietricha był to drugi znak, że trzeba się liczyć z dywersją w szeregach PPS.

W drugim dniu zebrania najbardziej znaczące były przemówienia członków PPS Rapackiego i Bobrowskiego. Rapacki mówił bardzo błyskotliwie i starał się ośmieszyć prymitywne chwytły przeciwników. Było to trafne i potrzebne, ale brakowało jego argumentom powagi, na którą sprawa zasługiwała. Bobrowski przemawiał jak człowiek pokonany. Opuściła go właściwa mu swada, częściowo nawet czytał swoje przemówienie. Przemawiając pod koniec zebrania nie wyzyskał możliwości korzystnego dla siebie podsumowania argumentów obu stron. Może liczył na koń-

---

4. Wiele znaków wskazuje na to, że tego przemówienia (i paru replik w dyskusji) PPR-owcy nigdy mi nie zapomnieli. Wnoszę z tego że moje argumenty były trafne.

5. Jego przemówienie musiało celnie ugodzić przeciwników, bo w niedługim czasie prof. Lipiński „zdjęty” został ze stanowiska prezesa Banku Gospodarstwa Krajowego.

cowe przemówienie Cyrankiewicza, ale raczej wiedział, że sprawa jest przegrana i zaostrenie sporu może mu tylko zaszkodzić.



Chociaż nie byłem w stanie odtworzyć wszystkich przemówień ogólną treść dyskusji mam dobrze w pamięci. Toczyła się ona głównie nad trzema sprawami wysuniętymi w referacie Hilariego Minca. Spośród nich najwięcej czasu poświęcono krytyce obliczania dochodu narodowego.

Powszechnie wiadomo na czym polegają różnice w obliczaniu dochodu narodowego metodą „zachodnią” i metodą „marksistowską”. Każda z nich ma swoje wady i zalety. Zachodnia metoda obliczania dochodu narodowego była jednak w owym czasie dużo lepiej opracowana. Prace nad obliczaniem dochodu narodowego prowadzono bowiem na Zachodzie od dłuższego czasu i systematycznie publikowano materiały w tej dziedzinie. Według tej metody obliczano także dochód narodowy w Polsce przed wojną. Była więc ona dobrze znana ekonomistom CUP, podczas gdy zapoznanie się z marksowską metodologią obliczania dochodu narodowego stosowaną w Związku Sowieckim było utrudnione na skutek braku dostępnych publikacji na ten temat. Było więc zupełnie naturalne, że CUP oparł się w swoich pracach na „zachodniej” koncepcji dochodu narodowego. Podkreślić jeszcze trzeba, że wyniki obliczania dochodu narodowego tymi dwoma metodami są z sobą łatwo porównywalne, bo przecież przedmiot obliczeń jest w dużym stopniu ten sam, a różnice w wynikach dają się łatwo określić. W istocie rzeczy chodzi więc o dwa różne sposoby prezentacji tych samych danych, które następnie można interpretować w różny sposób niezależnie od tego według jakiej metody zostały zebrane. Krytyka PPR w stosunku do CUP polegała na tym, że „burżuazyjne” zasady obliczania dochodu narodowego stanowią „apologię kapitalizmu”, popieranie „pasożytniczych elementów” w gospodarce i umniejszanie roli produkcyjnej pracy robotnika. Oczywiście, że żadnych podobnych tendencji w CUP nie było. Zarzuty PPR były bezpodstawną insynuacją. W ich prawdziwość nie mogli wierzyć nawet sami ich autorzy.

Następnym zarzutem postawionym CUP-owi było przyjęcie prymatu konsumpcji w projekcie planu na rok 1948. Krytycy twierdzili, że plan powinien się opierać na prymacie produkcji. Już samo sformułowanie tego hasła budzi wątpliwości. Produkcja jest procesem dostarczającym gospodarce dóbr, które mogą być albo skonsumowane (służą wtedy do zaspokojenia potrzeb

ludności) albo zakumulowane (wtedy powiększają majątek narodowy). Produkcja jest środkiem do osiągnięcia pewnych celów. Jak więc można mówić o prymacie środka nad jednym z celów? Oczywiście jest, że zagadnienie zostało błędnie postawione. Aby zrozumieć o co właściwie chodzi, trzeba sięgnąć do źródła sloganu o prymacie produkcji. Pochodzi on ze Związku Sowieckiego, gdzie wyraża jedną z tzw. zasad planowania gospodarki narodowej. Podobnie jak wszystkie takie zasady, i tę legitymowano w jakiś sposób cytatami z Marksa, ale nie zatroszczono się o to, żeby ją poprawnie sformułować. Prawdziwą jej treścią jest nakaz dla organów planowania, aby dążyły do rozbudowy produkcji a nie dbały o to, jak to się odbije na stopie życiowej ludności. Zastosowanie w praktyce tak właśnie rozumianej zasady prymatu produkcji przyniosło Związkowi Sowieckiemu jego monumentalne „budowle socjalizmu” oraz ucisk i nędzę mas pracujących.

W konkretnym wypadku krytyki pracy CUP wysunięcie zasady prymatu produkcji dawało PPR podstawę do zadania dwóch uderzeń. Po pierwsze, można było potępić projekt planu jako niemarksowski i sprzeczny z wzorami planowania sowieckiego. Był to argument tej samej kategorii co potępienie nie marksowskiego sposobu obliczania dochodu narodowego. Ale drugie uderzenie było może ważniejsze. Przypomnieć trzeba, że podniesienie konsumpcji na głowę ludności było jednym z głównych zadań planu na rok 1948 (jak zresztą całego Planu Odbudowy, który nazywano „trzylatką sytości”). Sprawa ta była wobec tego wyeksponowana w tekście projektu. Między innymi w ten sposób, że plan konsumpcji był zawarty w jednym z pierwszych rozdziałów planu zaraz po planie dochodu narodowego. Nie oznaczało to oczywiście, że w CUP nie rozumiano roli produkcji w gospodarce. Rozumiano ją doskonale, ale pamiętano także o tym, że celem produkcji powinno być podniesienie dobrobytu ludności. Wysuwając zarzut braku prymatu produkcji w projekcie planu, PPR w zamaskowany sposób uderzał w dążenie do szybkiego podniesienia stopy życiowej. Podniesienie stopy życiowej w Polsce nie leżało bowiem ani w interesie Związku Sowieckiego, ani PPR przystępującego do pełnego opanowania władzy w Polsce. Podobnie jak w pięciolatkach sowieckich, plan miał służyć nie dobrobytowi ludności, ale umocnieniu pozycji grupy, która miała władzę w swym ręku<sup>6</sup>.

---

6. Najlepszym dowodem, że takie były zamierzenia PPR jest jej dalsza polityka. Po „trzylatce sytości” (przygotowanej przez PPS i tylko częściowo zniekształconej przez PPR) nastąpiła w pełni opracowana przez PPR sześciolatka, nosząca nazwę planu „budowy socjalizmu” a będąca w istocie planem ucisku, wyzysku i nędzy mas ludności.

Trzecim zarzutem przeciw CUP-owi był rzekomy brak jasnego rozróżnienia w projekcie planu pomiędzy dyrektywnymi zadaniami w ścisłym sensie a wskaźnikami planu mającymi charakter przewidywań. Jest to problem bardzo istotny w metodologii planowania i przyznać można, że projekt planu nie był pod tym względem wolny od niejasności. Z drugiej jednak strony, wiele rozdziałów planu nie przedstawiało żadnych wątpliwości co do charakteru wskaźników w nich zawartych. Zarzut ten był więc co najwyżej tylko częściowo słuszny. Wyciągnięto zaś z niego wnioski, które były całkowicie pozbawione podstaw. Uznano mianowicie, że z tego właśnie powodu plan nie jest dostatecznie mobilizujący, to znaczy nie zawiera elementów, które by zachęcały do usilnej pracy dla jego wykonania. PPR-owcy zakładali oczywiście, że podstawowym środkiem mobilizującym musi być „współzawodnictwo pracy” czyli stachanowskie metody stosowane w Związku Sowieckim. Twierdzenie to miało bardzo mało wspólnego z takim czy innym charakterem wskaźników planu. Dotyczyło ono zupełnie innej sprawy, w której poglądy CUP rzeczywiście różniły się znacznie od stanowiska PPR.

Współzawodnictwo pracy istotnie nie odgrywało znaczniejszej roli w planach przygotowywanych przez CUP, a to dlatego, że panował tam sceptyczny stosunek do stachanowskich metod podnoszenia wydajności pracy<sup>7</sup>. Wcale to jednak nie znaczyło, że wskutek tego plany nie mogły być mobilizujące. Jasne sformułowanie zadań, które są wykonalne i zgodne z aspiracjami ludności jest dostatecznie mobilizujące i może się obejść bez zakłamanych sloganów. Ale krytyce oczywiście chodziło raz jeszcze o podkreślenie niezgodności treści planów CUP z praktyką planowania w Związku Sowieckim.

Takie były główne kierunki uderzenia podjęte przez PPR. Ciekawe, w jak małym stopniu dotyczyły one rzeczywiście istniejących słabych stron pracy CUP. A było ich sporo. Wynikały one z braku doświadczenia i z konieczności uczenia się na własnych błędach. Do najważniejszych należała praktyka budowania planów opartych na zbyt szczupłych i bardzo niepewnych danych statystycznych. Metody szacunkowe, których używano w tych warunkach musiały budzić poważne wątpliwości. Drugim ważnym brakiem była sprawa cen. Jest to trudne zagadnienie i nie można się było spodziewać, że znajdzie ono już wtedy zadawalające rozwiązanie, ale należało mu poświęcić więcej uwagi. Nie-

---

7. Teraz już nie ma wątpliwości, że ten sceptycyzm był słuszny. Współzawodnictwo pracy okazało się z jednej strony tematem kłamliwej propagandy, a z drugiej metodą wyzysku robotników.

które przemówienia PPR-owców dotyczyły zagadnień statystyki i cen, bo trudno było przeoczyć tak oczywiste braki, ale krytyka ta była potraktowana zdawkowo. Tłumaczy się to tym, że w obu sprawach, nawet przy najlepszych chęciach, trudno było powoływać się na przykład Związku Sowieckiego. Braki gospodarki sowieckiej w tych właśnie dziedzinach były zbyt dobrze znane. Wskutek tego zarzutom dotyczącym statystyki i cen nie można było nadać ostrza politycznego. Przywiązywano więc do nich mniejszą wagę.



O charakterze i znaczeniu Procesu CUP nie decydowała jednak wyłącznie treść zarzutów podniesionych przeciw metodom planowania. Istotny był również sposób prowadzenia dyskusji i cała atmosfera zebrania. Proces CUP był premierą stalinowskiego stylu życia publicznego w Polsce.

Po raz pierwszy usłyszeliśmy wtedy, że współczesną naukę ekonomiczną trzeba nazywać „ekonomią burżuazyjną”. Również pierwszy raz w publicznej dyskusji zaczęto używać terminów „niemarksowski” i „antymarksowski” jako określeń dyskwalifikujących argumenty przeciwnika bez potrzeby wnikania w ich treść. Pierwszy raz także wyrwane z kontekstu cytaty z Marksa, Lenina i Stalina posłużyły jako magiczne zaklęcia dające zwycięstwo w polemice. Po raz pierwszy wreszcie zaczęto przytaczać przykład Związku Sowieckiego jako wzór, który ślepo trzeba naśladować. W miarę jak dyskusja się posuwała, wrażenie stawało się wręcz niesamowite. Jasno sformułowane argumenty natrafiały na mur rozmyślnego niezrozumienia i zaplanowanej wrogości. Drobny incydent, który nastąpił pod koniec dyskusji, dobrze oddaje tę atmosferę. Jeden z mówców PPS usiłował przekonać zebranych, że koncepcja wielkości krańcowych, od dawna znana w ekonomii, może znaleźć zastosowanie także i w gospodarce planowej. Zdanie to spotkało się z wrogim szmerem wśród PPR-owców. Tu i ówdzie padły nawet głośniejsze okrzyki. Pomyślałem wtedy: jeszcze chwila a zaczną krzyczeć: „precz z rachunkiem różniczkowym!”

Pod koniec zebrania zdawałem już sobie jasno sprawę z historycznego znaczenia przeżywanej chwili: że oto Polska wkracza w nową epokę i staje się częścią obcego nam świata. Że chodzi o całkowite podporządkowanie Polski Związkowi Sowieckiemu i że dlatego PPR chce zastraszyć ludzi myślących samodzielnie, odebrać im chęć i możliwość wypowiedzania swych poglądów, zdławić próby samodzielnych koncepcji gospodarczych i politycznych i doprowadzić do przecięcia kontaktów z Zachodem. Zrozumia-

łem, że to były prawdziwe cele, dla których PPR doprowadził do procesu CUP.

Hilary Minc podsumował dyskusję. Powtórzył wszystkie twierdzenia PPR i po prostu zignorował kontrargumenty PPS. Pogratulował sobie, że „wielu towarzyszy z PPS stanęło również na marksistowskim stanowisku”, pomijając milczeniem oczywisty fakt, że marksizm w rozumieniu PPS był czymś zupełnie różnym od marksizmu PPR. Na zakończenie wezwał do „rozwijania i szerzenia marksizmu” i do „wpuszczenia marksizmu do uniwersytetów”. W przedstawieniu wyników zebrania jako zwycięstwa marksizmu tkwił jednak głęboki fałsz. System, który PPR wprowadzał wtedy do Polski powoływał się głośno na Marksa, ale w istocie był przeciwieństwem wszystkiego, co Marks najwyżej cenił i co naprawdę głosił.

Streszczenie podsumowania Minca zamieszczone jest w *Nowych Drogach*<sup>8</sup>. Ale brakuje tam dwóch bardzo charakterystycznych fragmentów, które wbiły mi się w pamięć. Pierwszy dotyczył notatki Langego o obliczaniu dochodu narodowego. Minc potraktował Langego bardzo lekceważąco. Powiedział coś w tym rodzaju: „w dorobku prof. Langego to opracowanie pozostanie pozycją, której będzie się musiał wstydzić”. Pamiętam także, że ostatnimi słowami przemówienia Minca było zdanie: „CUP stał się wąskim gardłem polskiej gospodarki”. Zabrzmiało to jak groźba. Okazało się niebawem, że istotnie była to groźba i że nie trzeba było długo czekać na jej wykonanie.

Według planów PPS przemówienie zamykające zebranie miał wygłosić jego przewodniczący to jest Cyrankiewicz. PPS-owcy spodziewali się, że w tym przemówieniu sformułuje on prawdziwe wnioski z zebrania, podkreślające słuszność stanowiska CUP i PPS. Tymczasem, natychmiast po przemówieniu Hilarego Minca Cyrankiewicz po prostu zamknął zebranie. W ten sposób ostatnie słowo zostało przy PPR, a słowem tym była groźba wobec CUP.

Potwierdziły się w ten sposób obawy, które krążyły już przedtem jako plotka, że PPS został zdradzony i że próżny był wysiłek tych, którzy bronili koncepcji PPS i prac CUP; że kierownictwo PPS (to znaczy Cyrankiewicz) skapitulowało za plecami tych, którzy bronili pozycji PPS i zgodziło się na reorganizację CUP i przestawienie jego prac według postulatów PPR. Ostateczna zakulisowa kapitulacja PPS miała rzekomo nastąpić w roz-

---

8. *Nowe Drogi*, Nr 8, Marzec 1948, str. 37 i 38.

mosach odbytych 19 lutego rano w przerwie między pierwszym a drugim posiedzeniem. Nie umiem powiedzieć o ile ta wersja odpowiada prawdzie.

W każdym razie po zamknięciu zebrania zapanowało wśród PPS-owców rozgorzenie. Około północy wracaliśmy z Rapackim do domu w nastroju poniesionej klęski. Rapacki oburzał się na Cyrankiewicza, a przyszłość PPS oceniał pesymistycznie. Uważał za niemożliwe aby w tych warunkach PPS mogła się długo opierać żądaniu połączenia partii.

### *Skutki i następstwa*

Proces CUP był pierwszym i decydującym krokiem na drodze prowadzącej do stalinizacji Polski<sup>9</sup>. Zmienił on zasadniczo sytuację polityczną w Polsce. Odsłonił zamiary PPR, ujawnił słabość PPS i rozwiął wszelkie nadzieje na możliwość współpracy czy nawet współistnienia odmiennych od siebie kierunków politycznych. Stało się zupełnie jasne, że odtąd będzie rządził PPR, służąc nie sprawie polskiej lecz interesom obcego mocarstwa.

Wkrótce nastąpiły pociągnięcia, które były dalszymi krokami na drodze stalinizacji Polski. Wspomnę tu po krótko o tych, które z Procesem CUP wiązały się bezpośrednio.

### *Pogrom CUP i sowietyzacja metod planowania*

Nazajutrz po Procesie prezes CUP Bobrowski wziął urlop zdrowotny i już do pracy nie wrócił. Kierownictwo Urzędu objął zastępczo PPR-owski wiceprezes<sup>10</sup> Popiel. W tych warunkach praca Urzędu uległa faktycznie zawieszeniu. Wśród pracowników panowało przekonanie, że nastąpi daleko idąca reorganizacja i krążyły na ten temat rozmaite plotki. Okres ten trwał dokładnie jeden miesiąc.

20 marca 1948 zwołano zebranie pracowników CUP i ogłoszono na nim decyzję o reorganizacji. Wszyscy dyrektorzy departamentów<sup>11</sup> PPS-owcy lub bezpartyjni zostali usunięci ze swych

---

9. Proces CUP ma historyczne znaczenie również i z tego powodu, że był on ostatnią w Polsce publiczną dyskusją, w której otwarcie przeciwstawiano się doktrynie sowieckiej. Od 26 lat takiej dyskusji w Polsce nie było. Polemiki w okresie Października były zaledwie jej słabym echem. A później nawet i tego zabrakło.

10. Było trzech wiceprezesów: z PPR, z PPS i bezpartyjny.

11. Było 13 departamentów, z czego tylko 3 miały dyrektorów z PPR.

stanowisk. To samo spotkało większość wicedyrektorów i wielu naczelników wydziałów a nawet niektórych urzędników na niższych szczeblach. W sumie „zdjęto” około 60 osób. Niektórzy z usuniętych zostali w ogóle zwolnieni z CUP i musieli szukać sobie pracy gdzie indziej, inni w ramach CUP zostali przesunięci na niższe stanowiska.

Prezesem CUP został Tadeusz Dietrich. Był on członkiem PPS ale należał do tych nielicznych, którzy na procesie CUP działali jako narzędzie PPR. Wiceprezesem został Stefan Jędrzychowski, który z ramienia PPR miał sprawować rzeczywistą władzę w CUP. PPR-owców dotychczas zatrudnionych w CUP masowo awansowano, a ponadto (głównie na stanowiska dyrektorów) sprowadzono pewną liczbę ludzi spoza CUP.

Zarządzenia te weszły w życie natychmiast. Dotychczasowa kadra CUP przestała istnieć i wszystkie prace koncepcyjne zostały niezwłocznie i definitywnie przerwane.

Nowy CUP rozpoczął swą działalność od intensywnej akcji tłumaczenia sowieckich instrukcji planowania, które były potrzebne, aby wprowadzić w życie metody planowania postulowane przez PPR. Efekty tych usiłowań nie były jednak natychmiastowe. Oczywiście za późno już było na gruntowne przepracowanie krytykowanego planu na rok 1948. Został on przyjęty z powierzchownymi tylko zmianami. Nawet przy opracowywaniu planu na rok 1949 okazało się, że trudno jest całkowicie przestawić gospodarkę i nadać akcji odbudowy kraju kierunek odmienny od koncepcji stworzonych w CUP<sup>12</sup>. W rezultacie, mimo wysiłków PPR, Trzyletni Plan Odbudowy został wykonany w sposób, który przynajmniej w przybliżeniu odpowiadał zamierzeniom „dawnego” CUP i PPS. Tym się tłumaczy fakt, że przyniósł on wyraźną poprawę stopy życiowej ludności. Dopiero Plan Sześćioletni, który nastąpił po nim (1950-1955) był w pełni dziełem PPR całkowicie opartym na sowieckich metodach planowania.

Centralny Urząd Planowania został ostatecznie rozwiązany w kwietniu 1949. Miejsce jego zajęła Państwowa Komisja Planowania Gospodarczego, której powstanie uwieńczyło proces sowyetyzacji aparatu planowania i zarządzania gospodarką. Niektóre z zarządzeń wydanych w tym okresie zasługują na szczególną uwagę.

12. Fakt, że PPR nie udało się całkowicie popsuć Planu Trzyletniego przypisać trzeba częściowo ociężałości koncepcyjnej i niesprawności organizacyjnej „nowego CUP” pod kierunkiem Dietricha. Posłuszne miernoty na prędko pościągane z różnych resortów zawiodły swoich mocodawców. Dopiero w Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego PPR zyskał sprawniejszy instrument implantacji sowieckich metod planowania.



Przed wszystkim zlikwidowano Instytut Gospodarstwa Narodowego. Była to niewielka placówka badawcza, zorganizowana po wojnie przez prof. Edwarda Lipińskiego, i będąca w pewnym sensie przedłużeniem przedwojennego Instytutu Badania Koniunktur i Cen. IGN pracował w porozumieniu z CUP i prowadził badania nie służące bezpośrednio zadaniom operatywnym, ale dla prac CUP bardzo pomocne. Nieliczny, ale wybitnie zdolny i wysoko kwalifikowany młody personel IGN poszedł w rozsypkę.

Następnie przystąpiono do niszczenia statystyki. Wstrzymano obliczanie wielu indeksów, które Główny Urząd Statystyczny podjął po przerwie wojennej. M.in. wstrzymano całkowicie badania budżetów rodzinnych. Zawieszono publikację roczników statystycznych, wprowadzono zasadę tajności danych posuniętą tak daleko, że nawet funkcjonariusze pobierający decyzję na wysokich szczeblach często nie mieli dostępu do potrzebnej im informacji.

Archiwa CUP zostały oddane na przemiał. Bardzo starannie usiłowano zatrzeć ślady pierwszych samodzielnych polskich koncepcji planowania gospodarczego.

### *Likwidacja PPS*

Proces CUP zadał śmiertelny cios PPS. Przed wszystkim była to klęska moralna. Ujawniła się dywersja na szczytach hierarchii partyjnej. Okazało się, że ci z PPS-owców, którzy byli gotowi bronić swej Partii i jej koncepcji politycznych i gospodarczych zostali zdradzeni przez naczelne władze Partii. W tych warunkach nie można było już liczyć na nieustępliwość PPS wobec nacisku PPR, który powiększał się z dnia na dzień na wszystkich szczeblach organizacji partyjnej.

Po wtóre, faktyczna utrata kierownictwa CUP ograniczyła bardzo poważnie wpływ PPS na decyzje rządu w sprawach gospodarczych. Chociaż CUP nie miał nigdy mocnej pozycji politycznej, to jednak znajomość zagadnień gospodarki i sprawność w projektowaniu rozwiązań polityko-ekonomicznych zapewniała mu dość znaczny wpływ na pobieranie decyzji. Teraz to się skończyło. Inne resorty, które formalnie miały na czele PPS-owców nigdy nie miały tej samodzielności co CUP, a poza tym były od wewnątrz coraz bardziej opanowywane przez PPR.

W tych warunkach, w czasie następnych paru tygodni po reorganizacji CUP, a więc w kwietniu-maju 1948, zaczęły się oficjalne rozmowy o połączeniu PPS i PPR. Zaczął się okres dogorywania PPS. Zasługuje on bardzo na uwagę historyka, ale

wykracza poza ramy niniejszej relacji. Moje informacje o tych rozmowach są zresztą bardzo fragmentaryczne, bo nie brałem w nich żadnego udziału.

18 września 1948 odbyło się zebranie Rady Naczelnej PPS. Byłem na nim obecny w charakterze gościa, ale nie zabierałem głosu. Było to ponure widowisko. Od procesu CUP minęło zaledwie siedem miesięcy. Ale o ile na procesie tylko paru PPS-owców działało przeciw własnej Partii, a inni bronili jej stanowiska — czasem nawet z dużą determinacją — to na Radzie Naczelnej mówcy prześcigali się w wypowiedziach pochwalnych dla PPR wypierając się tradycji PPS. Większość wypowiedzi miała charakter „samokrytyki” na wzór całkowicie sowiecki. Stopień kłamania, który temu towarzyszył był rewelacyjnie nowym elementem w życiu politycznym Polski. Różnica z procesem CUP polegała na tym, że tam świadomie fałszywych argumentów używała tylko jedna strona, a tutaj nikt nie mówił prawdy. Ale nie można twierdzić, że nie było tu dwóch stron i dwóch różnych postaw. Aktywny, choć ukryty za kulisami, PPR wywierał nacisk i zmuszał do kłamliwej samokrytyki, pokonana PPS ulegała temu naciskowi. Trzeba pamiętać, że represje wobec PPS były wtedy w pełnym toku i przybierały ostrą formę szczególnie na prowincji, a także, że jednocześnie przygotowywano proces przed sądem wojskowym przeciw sześciu przywódcom PPS z okresu okupacji. Rzucało to postrach na tych PPS-owców którzy by się nie chcieli podporządkować odgórnym dyrektywom.

Likwidacja PPS nastąpiła, jak wiadomo, 15 grudnia 1948 na Zjeździe Zjednoczeniowym. Nie byłem na nim obecny.

### *Spustoszenia w naukach ekonomicznych*

Ważnym elementem w procesie CUP był zainicjowany tam atak na „burżuazyjną” naukę ekonomiczną. W zakończeniu swego przemówienia Hilary Minc zapowiedział, że „trzeba wpuścić marksizm do uniwersytetów”. I rzeczywiście, zaczęło się to „wpuszczanie” z początkiem roku akademickiego 1949/50.

Pierwszym radykalnym krokiem otwierającym tę akcję było upaństwowienie najważniejszego ośrodka nauk ekonomicznych, jakim była Szkoła Główna Handlowa w Warszawie. Technika przeprowadzenia tej operacji była nieco podobna do „reorganizacji” CUP. Najpierw długo chodziły różne plotki o zamierzonych zmianach, ale niczego nikt nie wiedział na pewno. Nawet tego, jak będzie się nazywała upaństwowiona Szkoła. Pewnego dnia,

w połowie września 1949, wszystko się ujawniło. Szkoła otrzymała nazwę Szkoły Głównej Planowania i Statystyki a rektorem został prof. Czesław Nowiński. Dawniej filozof prawa na Uniwersytecie Stefana Batorego, a obecnie specjalista w zakresie materializmu dialektycznego i historycznego oraz marksizmu-leninizmu. Razem z nim przybyło do uczelni siedmiu nowych profesorów. To jest ściśle mówiąc nie profesorów — bo żaden z nich nie miał kwalifikacji akademickich — ale „zastępców profesora”, którym powierzono stanowiska profesorskie. Nowa ekipa zajęła wszystkie kluczowe stanowiska akademickie i na oczekaniu wyprowadziła w życie nowy program nauczania. Jego wykonanie wymagało znacznego powiększenia personelu a więc przydzielono do uczelni jako pomocniczych pracowników naukowych około 20 osób, przeważnie PPR-owców z różnych resortów gospodarczych. Młodszy asystentami mianowano po prostu wielu „politycznie pozytywnych” studentów trzeciego roku. Rok akademicki 1949/50 zaczął się z niewielkim tylko opóźnieniem według nowego programu i pod nowym kierownictwem.

Na tym etapie nie zwalniano jeszcze dawnego personelu, odsuwając go tylko od stanowisk kierowniczych i niektórych „ideologicznych” wykładów. Jedynym wyjątkiem było zwolnienie z SGH jej ówczesnego prorektora prof. Edmunda Dąbrowskiego.

Czystka zaczęła się na dobre dopiero w następnym roku akademickim, ale wtedy objęła nie tylko SGPiS lecz także i inne ośrodki nauczania ekonomii na wszystkich uczelniach polskich.

Odebrano katedry wszystkim profesorom ekonomii politycznej: Adamowi i Witoldowi Krzyżanowskim z Krakowa, Edwardowi Taylorowi z Poznania, Wincentemu Stysiowi z Wrocławia, Wacławowi Fabierkiewiczowi z Łodzi, Stefanowi Zaleskiemu z Uniwersytetu Warszawskiego, Edwardowi Lipińskiemu z SGPiS. Jeden tylko Aleksy Wakar nieco dłużej utrzymał swoją katedrę w Akademii Nauk Politycznych, gdzie był również rektorem, ale za to kiedy zdjęto go z tych funkcji, to także usunięto go z Partii a wkrótce potem aresztowano i wywieziono do Związku Sowieckiego, gdzie siedział w więzieniu ponad 4 lata. Ciekawy był wypadek Oskara Langego. Był on zaproszony do objęcia katedry ekonomii w SGH i oczekiwano, że rozpocznie stałą pracę od początku roku akademickiego 1949/50. Ale tymczasem nastąpiło upaństwowienie i w SGPiS nie powołano go na katedrę ekonomii a tylko na katedrę statystyki. Najwidoczniej uznano, że nie odpowiadał kwalifikacjom ideologicznym, których wymagano od profesorów ekonomii. Dla uzupełnienia tej listy mogę

także dodać, że chociaż nie zajmowałem katedry ekonomii, ale katedrę gospodarki planowej (jedyną wówczas w Polsce) zostałem w tym czasie najpierw usunięty z Partii a potem pozbawiony katedry.

Los profesorów usuniętych z katedr był różny. Starszych wiekiem przenoszono na emeryturę, co w owym czasie oznaczało wprost głodowe warunki bytowania. Tak postąpiono wobec Adama Krzyżanowskiego i Edwarda Taylora. Młodszych wiekiem pozostawiano na ogół na uczelniach, ale przesuwano na stanowiska profesorów „przydzielonych do katedr” prowadzonych przez kogo innego<sup>13</sup>. Jednocześnie pozbawiono ich prawa wykładania, prowadzenia seminariów i posiadania asystentów. Zakaz wykładania mógł mieć różny zakres: zawsze dotyczył głównego przedmiotu tj. ekonomii politycznej, ale zdarzało się, że zezwalało na wykładanie przedmiotów pomocniczych np. historii gospodarczej. Czasem całkowicie zabraniano wykładania na własnej uczelni, ale godzono się na prowadzenie wykładów zleconych z jakiegoś mniej ideologicznego przedmiotu na innej uczelni. Często obciążano pozbawionego katedry profesora jakimiś dodatkowymi obowiązkami administracyjnymi. Do tego dodać należy niemożność publikowania. Wynikała ona albo z wyraźnego zakazu drukowania prac określonej osoby, albo po prostu z faktu, że takich prac, jakie ci profesorowie mogli i chcieli napisać nie publikowano wtedy w ogóle. Ograniczenia dostępu do zagranicznej literatury naukowej i całkowity zakaz wyjazdów za granicę dopełniają obrazu sytuacji<sup>14</sup>.

Ta polityka poniżającego traktowania profesorów ekonomii i uniemożliwiania im pracy przyniosła krajowi bardzo wielkie szkody, ale najdotkliwsze spustoszenia nastąpiły nie wśród kadry profesorskiej, lecz wśród młodszych pracowników naukowych. Profesorowie jakoś przetrwali. Wielu z nich wróciło nawet z czasem do swych warsztatów pracy naukowej. Natomiast spośród licznych młodych pracowników nauki, czynnych wtedy w dziedzi-

---

13. W tym właśnie celu stworzono wtedy nową jednostkę organizacyjną (wzorowaną na uczelniach sowieckich) zwaną katedrą zbiorową. Na jej czele stał kierownik katedry a przydzieleni do niej mogli być inni profesorowie, docenci i pomocniczy pracownicy naukowi (adiunkci i asystenci). Kierownikami katedr zostawali przeważnie „zastępcy profesorów” z awansu politycznego.

14. Nie można pominąć milczeniem aresztowań pracowników nauki, które były istotnym elementem określającym atmosferę tych czasów. Ośmiu znanych mi osobiście pracowników naukowych z dziedziny samych tylko nauk ekonomicznych aresztowano i trzymano w więzieniu po parę lat bez żadnych powodów. Liczba aresztowanych pracowników aparatu gospodarczego była oczywiście niepomiaralnie większa. Nawet nie próbuję jej szacować.

nie ekonomii i planowania gospodarczego, tylko nieliczne jednostki utrzymały się przy swych specjalnościach.

Wtedy kiedy profesorowie tracili katedry, młodzi pracownicy nauki tracili etaty asystentów. Musieli więc szukać innego zatrudnienia. Ci, którzy nie chcieli odejść od pracy naukowej, próbowali zmienić swoją specjalność na politycznie mniej eksponowaną. Z ekonomii politycznej przerzucali się więc na tzw. ekonomiki branżowe, finanse, statystykę, rachunkowość, lub nawet do pracy bibliotecznej. Niektórym się to udało. Prawie wszyscy pozostali jednak potem przy swych nowych specjalnościach i dla ekonomii politycznej zostali straceni. Z wysoko kwalifikowanych ekonomistów, którzy musieli odejść na podrzędne stanowiska administracyjne, wróciło do nauki tylko paru.

Młoda kadra ekonomistów nie składała się jednak wyłącznie z pomocniczych pracowników naukowych już zatrudnionych na wyższych uczelniach. Większość jej stanowili ludzie na szczeblu doktorantów. Przygotowywali oni prace doktorskie, jednocześnie pracując na różnych stanowiskach w administracji gospodarczej. Zainteresowanie naukami ekonomicznymi i planowaniem gospodarczym było w owym czasie bardzo duże. Liczba doktorantów była znaczna i stosunkowo wielu spośród nich okazywało duże zdolności i rokowało najlepsze nadzieje. W ciągu tych kilku lat, które minęły od wojny, niektórzy z nich dość znacznie zaawansowali swe prace. Całe to pokolenie zostało zmarnowane. SeminaRIA doktorskie uległy po prostu rozwiązaniu a rozpoczęte przewody doktorskie unieważniono. Wkrótce potem zniesiono zresztą stopień doktora.

Na miejsce stopnia doktora wprowadzono sowiecki stopień kandydata nauk. Ale dawni doktoranci na tym nie skorzystali. Do przewodów kandydackich dopuszczano tylko bardzo nielicznych, politycznie starannie przesianych „kandydatów na kandydatów”. Stąd też praktycznie biorąc, studia ekonomiczne na poziomie doktoranckim przez kilka lat na wyższych uczelniach nie istniały. Przewody kandydackie z ekonomii zaczął natomiast prowadzić IKKN (Instytut Kształcenia Kadr Naukowych przy Komitecie Centralnym PZPR), który miał zapewnić dopływ na uczelnie należycie przeszkolonych aktywistów partyjnych.



Tak zaczął się stalinizm w Polsce. W bardzo wielkim skrócie przedstawiłem jego początki i wskazałem na jego pierwsze skutki w dziedzinie gospodarki i myśli ekonomicznej. Ale stalinizm trwał lata. Nie ograniczył się do gospodarki, ale objął wszystkie dzie-

dziny życia politycznego i społecznego, nauki i kultury. Do dziś nie naprawiono szkód, które wyrządził.

Czasy stalinizmu są najmniej znanym okresem najnowszej historii Polski. Bardzo mało dotąd nad nimi pracowano. Wielkie i pilne zadanie czeka na historyków.

Jan DREWNOWSKI

## WYJAŚNIENIA SZTABOWCA

Niedawno przyjechał do Londynu na krótko z drugiej półkuli, gdzie stale przebywa, starszy oficer Naczelnego Dowództwa w Londynie z okresu 1943-44, dobrze zorientowany w pracach organizacyjnych i operacyjnych sztabu gen. Sosnkowskiego — Oddziałów Organizacyjnego, Operacyjnego i Specjalnego. „Sztabowiec z Rubensa” (jak sam siebie określa) zgodził się odpowiedzieć na szereg pytań, przedłożonych mu przez jednego z londyńskich współpracowników *Zeszytów Historycznych*. Nie zgodził się natomiast na ujawnienie swego nazwiska.

*Redaktor*

*Liczni świadkowie którzy byli w bliskim kontakcie z ppłk. dypl. Utnikiem potwierdzają, iż w 1943 i początkach 1944 był on zdecydowanym zwolennikiem ograniczonej akcji w kraju i nieujawniania się AK przed władzami sowieckimi, czyli był on zwolennikiem instrukcji „październikowej”. Natomiast później, po przyjeździe gen. Tatara wiadomo, iż ppłk Utnik stał się zwolennikiem szukania przez AK porozumienia z władzami sowieckimi i ujawniania się wobec tych władz, de facto ppłk Utnik stał się jednym z najbardziej zaufanych ludzi gen. Tatara. Co przyczyniło się do tej zmiany stanowiska? Jakich argumentów i perswazji używał gen. Tatar, człowiek prawdopodobnie stojący na niższym szczeblu inteligencji niż ppłk Utnik, aby przekonać go o słuszności swego stanowiska i działalności i pozyskać ppłk. Utnika całkowicie dla swoich zamierzeń i planów?*

Zachowanie się ludzi, zajmujących eksponowane stanowiska w londyńskim środowisku Polaków po śmierci gen. Sikorskiego zależało w dużym stopniu od indywidualnej czy też środowiskowej oceny warunków dla powojennej odbudowy polskiej państwowości. Dwa szczególnie kryteria były zawzięcie dyskutowane: suwerenność terytorialna i polityczna oraz ustrój politycz-

ny, społeczny i gospodarczy. Dotychczas zgodnie działające, pod wpływem optymistycznych zapewnień Sikorskiego, instytucje państwowe, stronnictwa polityczne, organizacje jawne jak i konspiracyjne zaczęły podlegać podziałom.

Realisci, którzy oceniali trudne warunki i perspektywy dla powojennych spraw polskich wytwarzali odrębne nurty działania:

a) Kapitulantów z Mikołajczykiem, Kotem, Grabskim, Popielem, Stańczykiem i Grosfeldem wraz z sekundującą im garścią działaczy cywilnych (Strasburger, Winiewicz, Zarański, Kaczyński, Banaczyk, Kulerski) oraz kilkunastu oficerami w stopniach generałów i pułkowników (Paszkiwicz, Boruta-Spiechowicz, Tatar, Cepa, Witkowski).

b) Wojujących antykomunistów z Raczkiewiczem, Łukasiewiczem, Sosnkowskim, Hełczyńskim na czele oraz młodsze grupy działaczy NID-u wraz z sekundującymi im zespołami młodych oficerów w siłach zbrojnych.

c) Oddzielną grupę stanowili „prorocy III wojny światowej”, skupiający się wokół gen. Andersa.

Pierwsza z tych grup, niesłusznie posądzana o „ciągoty komunistyczne” szarpała się w poszukiwaniu rozwiązań umożliwiających odbudowę powojennego „polskiego organizmu państwowego” w istniejących warunkach politycznego i wojskowego osamotnienia Polski, i w końcu zsunęła się do współpracy z agenturą sowiecką na terenie kraju.

Druga i trzecia musiały tracąc złudzenia, przesuwać się na pozycje emigracyjne (druga z planem długoletnim włącznie do „formowania Polski ze stolicą w Tobruku” — ppłk dypl. Stanisław Maleszewski, szef Oddziału Planowania Sztabu Głównego, a trzecia na krótko, byle doczekać wybuchu III Wojny Światowej).

Tylko w tym układzie można prawidłowo ocenić zachowanie się zarówno rozpatrywanej grupy „Tatarowskiej”, oraz poszczególnych ludzi z tej grupy, jak i spoza niej.

Po zerwaniu stosunków dyplomatycznych polsko-sowieckich nie od razu zdawano sobie sprawę z konsekwencji tego wydarzenia dla Armii Krajowej. Utnik, pracujący wówczas w Oddziale Planowania nad projektem odbudowy Sił Zbrojnych w powojennej Polsce, zetknął się z koniecznością z oceną warunków w jakich ta odbudowa nastąpi. A więc z możliwością ingerencji na naszym terenie czy nawet czasowej okupacji Polski przez Czerwoną Armię. Projektowana przez brytyjski *Joint Planning Staff* ofensywa z Bałkanów nie wszystko rozwiązywała, gdyż Anglicy nigdy by nie przekroczyli linii Curzona. Była zatem konieczność wycofania (czy też nie?), oddziałów AK zza Bugu, był problem ustosunkowania się do formowanej dywizji (a może armii?) Berlinga.

Współpraca Utnika w zespole „prezydenckim” i w kołach „zielonej, błękitnej i granatowej” półkonspiracji wojskowej<sup>1</sup> umożliwiła mu zajęcie, po śmierci Sikorskiego, stanowiska zastępcy Szefa Oddziału Specjalnego Sztabu N.W.<sup>2</sup> i uzyskanie znacznego wpływu na dyrektywy dla wojskowego ruchu oporu w Polsce. Wyjeżdżając do Italii w listopadzie 1943 roku z zadaniem zorganizowania bazy Oddziału Specjalnego na zapleczu przewidywanego frontu bałkańskiego, Utnik ustalił ze swym szefem ppłk. Protasewiczem, że współpraca z Czerwoną Armią może być nawiązana tylko po przywróceniu stosunków dyplomatycznych polsko-sowieckich. W bazie Oddz. Spec. pod Brindisi zapoznał się z planami angielskimi (zrzut skoczka Retingera do Polski), jak

1. Zespoły konspiracyjne młodych oficerów PSZ w latach 1942-1945 mają swój początek w Londynie. Z inicjatywy kpt. dypl. Mariana Utnika i jego paru najbliższych kolegów zebrała się latem 1942 roku grupa kilku oficerów pracujących w Naczelnym Dowództwie. — Sztab N.W., Inspektorat Lotnictwa, Kierownictwo Marynarki Wojennej. — Celem pierwszych zebrań było zorientowanie się w sprawach międzynarodowej pozycji Polski na tle zawartych międzyaliantkich traktatów i wydarzeń na wojennych frontach. Potrzeba takiej orientacji wyłoniła się na skutek mylnych i zbyt optymistycznych wypowiedzi gen. Sikorskiego, jak również rządu i Rady Narodowej.

Pierwszymi uczestnikami zebrań byli: mjr dypl. Marian Zajączkowski, kpt. dypl. Jan Kamiński, kpt. dypl. Marian Utnik, kpt. dypl. Roman Czerniawski, kpt. dypl. Jan Krzyżanowski, kpt. dypl. Jan Lenkiewicz, kpt. dypl. Zygmunt Węgorek i rtm. dypl. Zdzisław Gadomski.

Gdy zespół znacznie się powiększył podzielono się na 3 podzespoły: Koło Zielonych — wojsko lądowe; Koło Błękitnych — lotnicy; Koło Granatowych — Marynarka Wojenna. Na czele zespołów wyłonili się dwu- lub trzyosobowe kierownictwa: Zielonych — Utnik, Gadomski, Jachnik; Błękitnych — Poziomek, Czerniawski, Bujalski; Granatowych — Karnicki, Wroński.

W miarę potrzeby reprezentanci trzech kół zbierali się na naradę w sprawach całości tej „półkonspiracji”. Nie było pisanych statutów czy też regulaminów — nie składano przyrzeczeń. Przyjęcie do „Koła” nowego członka wnioskowało dwóch już zaangażowanych. Selekcja nie była zbyt rygorystyczna, bazowana na koleżeńskiej uczciwości i na świadomości, że cele są słuszne i wynikają z patriotycznej postawy członków.

Należy zaznaczyć, że „Kolorowych” nie miały nic wspólnego z tzw. „Łańcuszkiem Dobrych Przyjaciół” rozprzestrzenianym wśród lotników. Zdarały się jednak wypadki, że ten sam oficer brał udział w obu ruchach młodej kadry oficerskiej.

W 1944 roku niektórzy z założycieli „Kolorowej Konspiracji” odeszli od niej, a londyńskie i szkockie ogniwa przeszły pod wpływem „proroków trzeciej wojny”, przydzielanych z 2-go Korpusu w dość znacznej ilości przez gen. Kopańskiego do Naczelnego Dowództwa w Londynie (Przyp. „Sztabowca”).

2. Ustąpienie z rządu gen. Sosnkowskiego w lipcu 1941 roku i jego wycofanie się z kierownictwa sprawami krajowymi spowodowało podporządkowanie się wojskowego ruchu oporu w Polsce bezpośrednio Szefowi Sztabu — gen. Klimeckiemu, a przez niego Naczelnemu Wodzowi gen. Sikorskiemu.



również z planami Sosnkowskiego (zrzut skoczka płk. Okulickiego do Polski).

Wspólna instrukcja rządu i Naczelnego Wodza z października 1943 roku tylko częściowo zaakceptowana przez Komendę Główną A.K. została w kraju przerobiona (motywacja — dostosowanie do warunków okupacyjnych) na „Instrukcję do akcji 'Burza' Komendanta Głównego A.K.". Po powrocie do Londynu w marcu 1944 roku Utnik zastał zupełnie odmienne decyzje niż przewidywała to instrukcja rządu i Naczelnego Wodza; zatwierdzono: ujawnianie się delegatów rządu londyńskiego i lokalnych dowództw A.K., nawet bez nawiązania stosunków między Kremlem a Mikołajczykiem, a ze strony Naczelnego Wodza dyrektywę ustną daną Okulickiemu (ps. Kobra) na tworzenie głębokiej antysowieckiej konspiracji, opartej na członkach A.K. i skoczках zwerbowanych w 2-gim Korpusie (kurs w Ostuni, w Italii) — ludziach na ogół zdekonspirowanych w polskim środowisku komunistycznym. Wpłynęło to na zmianę dalszego postępowania Utnika, który był przeciwny tego rodzaju założeniom.

Z pozycji zastępcy Szefa Oddziału Specjalnego Utnik mógł ocenić, że „kapitulanci” za pośrednictwem misji Brzozy-Retingera dążą do podporządkowania spraw polskich Churchillowi, zaś „antykomuniści” za pośrednictwem misji Kobry-Okulickiego zbliżają się do krawędzi „wojny domowej”. Przyjazd Tatara, którego Utnik znał jako patriotę endeka od 1923 roku, nie nasuwał

---

W tym czasie na czele Oddziału VI (nazwanego w 1943 roku „Oddziałem Specjalnym”) byli oficerowie związani z gen. Sosnkowskim i przedwojennym reżymem, tzw. sanacją. Szefem Oddziału był płk dypl. Józef Smoleński, szef Oddziału II w kampanii Wrześniowej 1939 roku w sztabie Rydza-Śmigłego, a jego zastępcą płk dypl. Franciszek Demel, I Oficer Inspektoratu gen. Sosnkowskiego przed wojną. Referentem od spraw wywiadu w Polsce był mjr dypl. Kijak z Oddziału II, a telegramy do kraju szyfrował i deszyfrował Oddział II Sztabu.

W kwietniu 1942 roku szefostwo Oddziału VI objął ppłk dypl. Michał Protasewicz, który pełnił poprzednio funkcję oficera do zleceń przy gen. Sikorskim i cieszył się jego pełnym zaufaniem. Nastąpiło wtedy na żądanie Sikorskiego pełne rozdzielenie prac Oddziału II i Oddziału VI. Poza zmianami personalnymi (odejście Smoleńskiego i Demela, z pułkowników pozostał w Oddziale VI tylko mjr Kwieciński — referent personalny Oddziału) nastąpiło również przeniesienie referatu wywiadu z mjrem Kijakiem do Oddziału II, a w Oddziale VI zorganizowano Wydział Szyfrów, niezależny od Oddziału II.

W ciągu całej wojny pełnił jednak służbę w Oddziale VI oficer kontrwywiadu, do którego należały sprawy zabezpieczenia przed obcym wywiadem i obserwacja wszystkich pracowników centrali, na placówkach zagranicznych Oddziału, oraz kurierów i skoczków związanych z pracą Oddziału VI. Początkowo funkcję tę pełnił kpt. Lipiński, a po jego śmierci w 1943 roku mjr Giedronowicz. Obaj byli oficerami przedwojennego kontrwywiadu (Przypisek „Sztabowca”).

mu podejrzeń, że Tatar ma jakiegokolwiek powiązania czy aspiracje prokomunistyczne. Nie raz przecież, nawet w liczniejszym gronie, nazywał P.P.R. agenturą moskiewską.

W rozważaniach sztabowych między Sosnkowskim-Kukiem-Kopańskim-Tataram-Protasewiczem-Utnikiem precyzowała się coraz bardziej pewność, że Alianci poprą nasze sprawy w ograniczonym zakresie i tylko w pertraktacjach i układach z Sowietami. W wypowiedziach z okresu po-powstaniowego Utnik stawiał problem wyraźnie: „Z dwojga złego lepsza jest współpraca z Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego Bieruta i Osóbki-Morawskiego niż wojna domowa i dywersja na rzecz Zachodnich Aliantów”. Naraził się tymi wypowiedziami „niezlomnym”, którzy, jak np. Stanisław Żochowski, posądzili go o dążenie do roli „czerwonego marszałka”, a inni uznali za pomyłonego „pułownika zza biurka” jak twierdzili Jan Nowak i Jerzy Lerski.

Dalszy los Utnika łącznie z wyrokiem na 15 lat więzienia był tylko wynikiem jego ówczesnych poglądów, a zapewne szybkiej orientacji i negatywnych decyzji kontrahentów.

*Oddział Specjalny był w stałym codziennym kontakcie z oficerami brytyjskimi z SOE. Jaki był stosunek tych oficerów do wiadomości nadchodzących z kraju latem 1944? Czy popierali oni Burzę? Jak oni reagowali na wiadomość wydania rozkazu „stanu czujności do powstania z dniem 25 lipca godz. 001”, którą gen. Bór-Komorowski wystął 21 lipca? Do Oddziału Specjalnego dotarła ona 23 lipca wieczorem? Jak reagowali ci oficerowie brytyjscy na wiadomość o gotowości „do walki o Warszawę” z 25 lipca, która dotarła do Oddz. Spec. 26 lipca? Czy zachowywali neutralność, a może czynili jakieś obietnice, pomimo oficjalnego stwierdzenia najwyższych władz brytyjskich, że działania A.K. nie mogą być włączone do ogólnego planu strategicznego Aliantów?*

Sprawy polskiego ruchu oporu w Polsce, Francji, Belgii, na Bałkanach i na Węgrzech miały liczne powiązania i były niezwykle pozazębiane z Anglikami w zakresie wywiadu, dywersji, sabotażu, zaopatrzenia pieniężnego i materiałowego oraz łączności (zarówno radiowej jak i kurierskiej). Skąpstwo angielskie i wyraźna różnica poglądów między CCS (*Combined Chiefs of Staffs*) a polskim naczelnym dowództwem w sprawie odbudowy polskiego państwa, w szczególności po konferencji Teherańskiej w listopadzie 1943 roku, doprowadzały we współpracy polsko-angielskiej do częstych scysji między kierownikami SOE i Od-

działem Specjalnym Sztabu N.W. Były to jednak kłótnie typu handlowego: np. na konferencji w SOE we wrześniu 1943 roku Szef Oddziału Specjalnego żąda większych dotacji finansowych i materiałowych, a pułkownik z SOE wykazuje skąpstwo; ich dyskusja:

*Szef Oddz. Spec.:* — „Każde 1000 słów meldunku wywiadowczego kosztuje krew lub życie jednego Polaka, a bez pieniędzy straty te są 2 lub 3 razy większe”.

*Płk SOE:* — „Pan więc chce sprzedawać polską krew”.

*Szef Oddz. Spec.:* — „Sprzedaję to co mam do sprzedania Anglikom, polska krew jest droga, płacicie albo przerywamy dostarczanie wiadomości z Polski!”.

Argument zrozumiwały dla kupieckiej mentalności odniósł skutek. Już następnego dnia znalazły się potrzebne środki. Sytuacja zmieniła się znacznie, gdy na przedwojenne tereny polskie wkroczyła Armia Czerwona. Zbiegło się to z przybyciem gen. Tataru do Londynu w kwietniu 1944 roku i objęciem przez niego kierownictwa odcinkiem krajowym. Niektórzy uważali, że to on popsuł współpracę między SOE i Oddz. Spec. Sprawa miała jednak tło ogólniejsze i znacznie poważniejsze. Nie przyjęto w CCS do wiadomości planów polskiego ruchu oporu, również i po wizycie Mikołajczyka z Taborem w Waszyngtonie w czerwcu 1944 roku (protokoły z konferencji w CCS płk. Mitkiewicza, który towarzyszył Tatarowi zostały ogłoszone w Polsce w końcu lat sześćdziesiątych w zeszytach „Najnowsza Historia Polski”).

Dotacja Roosevelta, 10 milionów dolarów, choć oficjalnie miała zasilić ruch oporu w Polsce przeciw Niemcom, w zasadzie przeznaczona była na sfinansowanie celów politycznych Mikołajczyka — kompromisowego dogadania się z Kremlem i objęcia przez stronnictwa ugodowe władzy w Polsce na zachód od Bugu.

Pierwsze wiadomości o nieporozumieniach i starciach na terenach zabużańskich między realizującymi „Burzę” oddziałami AK a partyzantką sowiecką i wojskami Armii Czerwonej przyjmowali przedstawiciele SOE z ubolewaniem i dość wyraźnymi aluzjami, że to przecież tereny sporne, jeśli nie całkowicie rosyjskie. Coraz wyraźniej wskazywali, że przygotowywany przez Churchilla wyjazd Mikołajczyka do Moskwy wyjaśni wszystkie sprawy.

W tym czasie baza lotniczo-zaopatrzeniowa Oddz. Specjalnego w Italii w maksymalnym możliwym stopniu zaopatrywała AK, przesuwając jedynie rejon zrzutów coraz bardziej na Zachód. Odlecieli wtedy (maj-czerwiec) do Polski: Retinger, gen. Okulicki, gen. Kossakowski, kilkudziesięciu skoczków wojskowych i dość duża ilość kurierów Min. Spraw Wewnętrznych. Przesłano

duże ilości pieniędzy i materiałów, jakie zaplanowano jeszcze w okresie zimowym.

O przebiegu wydarzeń w Wilnie, Lwowie i na Wołyniu gen. Tatar i szef Oddz. Spec. ppłk Potasewicz poinformowali bezzwłocznie SOE a generałowie Sosnkowski i Kopański przedstawili sprawy w Joint Planning Staff. Alianci zachodni uważali, że te problemy powinien uregulować angielski sztab za pośrednictwem jego Misji Wojskowej w Moskwie. O kontynuowaniu akcji „Burza” na terenach rdzennie polskich informowano SOE na bieżąco.

W lipcu 1944 roku zaczęły napływać do Oddz. Spec. wiadomości o przygotowaniach do akcji „Burza” na terenach na zachód od Bugu — w Okręgach AK Białystok, Lublin, Rzeszów, Radom oraz na obszarze Warszawa. Przedstawiciele SOE wyrażali nadzieję — na niczym zresztą nieopartą — że na terenach tych lepiej się ułoży współpraca z Armią Czerwoną. Takie też były nadzieje w Sztapie Naczelnego Wodza chociaż nie dysponowano konkretniejszymi wiadomościami o zamierzeniach Związku Patriotów Polskich i rządu sowieckiego, ani o planach armii Berlinga i Żymierskiego na okres po przekroczeniu Bugu przez Armię Czerwoną. Odmienne opinie wyrażali gen. Sosnkowski i jego współpracownicy w Londynie, a na terenie kraju Komendant Białostockiego Okręgu AK i jego szef sztabu skoczek, ppłk dypl. Wincenty Ściegienny, bardzo bliski przyjaciel ppłk. Utnika. Nie wpłynęło to jednak na zmianę postępowania ani kierownictwa w Londynie, ani Komendy Głównej AK w Warszawie.

Decyzja Mikołajczyka z dnia 25 lipca 1944, aprobowana *post factum* przez Radę Ministrów pod przewodnictwem wicepremiera Kwapińskiego, o przekazaniu uprawnień do wywołania powstania (w rozumieniu Oddz. Specjalnego — powstania powszechnego na terenie bazy AK, tj. całego General Gubernatorstwa) Delegaturze Rządu i Komendantowi Głównemu AK, zmieniła całkowicie dotychczasowe założenia. Decyzja ta była zaskożeniem dla Oddziału Specjalnego, a również dla angielskiej SOE. Nie było bowiem planu pomocy i zaopatrywania AK na taki wypadek. Gen. Sosnkowski nie odwołał planów do powstania ogólnopolskiego ustalonych jeszcze w 1942 roku przez poprzedniego Naczelnego Wodza, gen. Sikorskiego. Widocznie uznał, że instrukcje do „Burzy” z października 1943 i z lutego 1944 roku automatycznie wykluczają powstanie ogólnopolskie. Świadome to było niedomówienie, czy też brak wyobraźni?

Stan czujności do powstania zdecydowany przez Komendanta Głównego AK gen. Bora-Komorowskiego w dniu 21 lipca, a więc wyprzedzający upoważnienie rządowe do takiej decyzji (wyjęte

z instrukcji i planów do powstania powszechnego) był jednak ograniczony do Okręgu Warszawskiego AK. Jednocześnie gen. Bór nakazał prowadzenie akcji „Burza” w pozostałych okręgach. Decyzje Komendanta Głównego w ten sposób zaimprovizowane były dla Oddz. Specjalnego nie tylko zaskoczeniem, ale również nakazem do „zaimprovizowania” pomocy dla podjętych przez Komendę Główną AK „nieplanowych akcji”. Z uwagi na krótkie terminy i brak wyraźnie określonych celów tych akcji Oddz. Specjalny niewiele mógł zrobić. Gen. Tatar uważał, że gen. Bór zaimprovizował to działanie na podstawie rozkazu gen. Sosnkowskiego z dnia 7 lipca 1944, polecającego uchwycenie suwerennego obszaru przed wejściem Sowietów.

Kierownictwo polskiej sekcji SOE poinformowane przez gen. Tatara i ppłk. Utnika o decyzji rządu Mikołajczyka i o przygotowaniach gen. Bora w kraju oświadczyło natychmiast, przez interwencję kierownika tej sekcji mjr. Pickles'a, że nie jest przygotowane do wsparcia takiej akcji. Chociaż generałowie Kopański i Tatar twierdzili, że Mikołajczyk uzgodnił swoje decyzje z Churchilllem; w tym czasie byli oni jednak obaj w Moskwie. Sprawa przeniesiona przez gen. Tatara na szczebel szefa SOE gen. Gubbins'a i jego zastępcy operacyjnego płk. sztabu gen. Keswick'a spotkała się z taką samą odpowiedzią w dniu 2 sierpnia, a więc już po rozpoczęciu walki w Warszawie.

W dniu 2 sierpnia 1944 roku zjawił się u ppłk. Utnika przedstawiciel SOE szef sekcji środkowo-europejskiej płk Perkins, a rozmowa między nimi miała mniej więcej taki przebieg:

*Ppłk Perkins:* — „Walka w Warszawie w pełnym toku, a 'my' nic nie możemy pomóc. Jak Pan ocenia sytuację, ile dni to może potrwać?”

*Ppłk Utnik:* — „Broni i amunicji mają na 7 do 10 dni, ale znając Polaków musi się Pan liczyć, że może się będą bili i 100 dni”.

Ppłk Perkins, uderzając czapką w biurko ppłk. Utnika powiedział w swojej łamanej polszczyźnie „Szakrew” i wybiegł bez pożegnania. Świadkiem tej rozmowy był por. Michał Różański, adiutant Utnika, o czym później dyskretnie opowiadał.

Dalsze dni to był jeden ciąg interwencji u Anglików i Amerykanów, żeby wydusić z nich chociaż minimalną pomoc. Ile uzyskano — a niezbyt wiele — o tym mówią dokumenty i relacje uczestników zarówno walki powstańczej jak i bezradnych „podpowiadaczy” londyńskich.

Dla załagodzenia napiętych stosunków między SOE i Sztabem Naczelnego Wodza, Anglicy zgodzili się na wysłanie misji wojskowych do działających po powstaniu oddziałów AK. Planowano wysłanie 3-ch misji — do Komendy Głównej AK, do Komend

Okręgów Krakowskiego i Radomskiego. Zrealizowano tylko jedną do gen. Okulickiego, pod kryptonimem „Freston”.

*Dlaczego nie zapewniono N.W. sprawnej łączności radiowej z Włoch w lipcu 1944? Techniczne możliwości zorganizowania takiej łączności były. Kto był odpowiedzialny za utrzymanie łączności radiowej między N.W. we Włoszech i Sztabem N.W. w Londynie? Sugestie niektórych osób zainteresowanych, iż N.W. sam sobie łączność organizował, lub iż została ona tak ułożona jak tego sobie życzył N.W., jest raczej trudna do przyjęcia, bo przecie po to są szefowie oddziałów sztabu i ich szefowie łączności, żeby dopatrzeć iż N.W. ma środki działania w swym ręku. De facto N.W. miał do dyspozycji jedynie takie możliwości:*

- (i) Brindisi-Barnes Lodge — Oddz. Spec. Szyfr: płk dypl. Memel — kpt. Jagiełło. (Specjalny szyfr ustalony do tego celu, to był jedyny specjalny środek przedsięwzięty z okazji wyjazdu N.W. do Włoch).*
- (ii) Radiostacja przy D-twie 2-go Korpusu — Stacja pośrednicząca na Środkowym Wschodzie — Barnes Lodge — Oddz. Inf.-Wyw. Normalny szyfr Oddz. Inf.-Wyw. używany w tej sieci.*
- (iii) Radiostacja MSZ w Rzymie — Centrala MSZ pod Londynem — MSZ. Normalny szyfr MSZ.*

*Połączenia (ii) i (iii) zostały użyte tylko raz każde. Przepraszam, (iii) zostało użyte dwa razy, raz tam i raz z powrotem. Natomiast w większości wypadków, chyba ze względu na specjalny szyfr, co jest w tym wypadku zrozumiałe, używane było połączenie (i). Ponieważ N.W. poruszał się po Włoszech (Rzym, Ancona, Porto S. Giorgio etc.) gońcy motocyklowi ganiali po całych Włoszech z i do Brindisi z wiadomościami dla lub od N.W. Trzeba przyznać, że jak na stan techniki posiadanej w ręku Sztabu N.W. i 2-go Korpusu w 1944 r, był to bardzo prymitywny sposób komunikowania się.*

Odtwarzanie stanu faktycznego wydarzeń historycznych traci zwykle na dokładności, jeżeli jedynym celem jest poszukiwanie winnych za złe wyniki. Przykładem tego jest wyznaczenie przez gen. Sikorskiego w Paryżu „Komisji do badania przyczyn klęski wrześniowej”. Ustalenie odpowiedzialności za poszczególne decyzje i czynności nie jest trudne, gdy się dysponuje wielostronnym materiałem historycznym, ale wykorzystanie materiałów częściowych może doprowadzić do wniosków niezbyt uzasadnionych. Przy badaniu dokumentów natury operacyjnej (dotyczy przede

wszystkim rozkazów do walki) nie można pominąć ustalonej wówczas hierarchii władzy i dyscypliny obowiązującej w danym okresie. W zasadzie za niewykonanie zadania na niskim szczeblu odpowiedzialny jest nie tylko wykonawca, ale i jego przełożony. Za błędy dowódcy plutonu odpowiada dowódca kompanii, z błędów dowódcy kompanii musi tłumaczyć się dowódca batalionu.

Na wyższych szczeblach drabiny dowódczej i w wyższych sztabach sprawy się komplikują. Tu bowiem dochodzi jeszcze do głosu prawidłowy układ uprawnień i zakresu działania. Były wielkie jednostki i ich sztaby w których dowódca upoważniał swego szefa sztabu do podpisywania w jego imieniu zasadniczych rozkazów i instrukcji, ale byli również tacy dowódcy wielkich jednostek, którzy wymagali, aby przeniesienie kilku ludzi czy 2-3 samochodów było ważne tylko za ich podpisem.

Ten dość długi wstęp trzeba mieć na uwadze, gdy się rozpatruje poruszoną sprawę odpowiedzialności za podjęcie decyzji o rozpoczęciu przez Armię Krajową walki w ramach akcji „Burza”, która zaczęła się z chwilą zajęcia w dniu 4. 1. 1944 r. m. Sarny przez Armię Czerwoną, następnie była kontynuowana przez walki w Wilnie, we Lwowie, w Nowogródzkim Okręgu AK, przez walki 27 partyzanckiej dywizji piechoty na Wołyniu i wreszcie przez „nieplanowane” działania dla opanowania Warszawy.

Uprawnienia do podejmowania decyzji do rozpoczęcia działań w ramach akcji „Burza” można podzielić na dwie grupy — decyzje wynikające z planów i instrukcji, znacznie wyprzedzających same walki, oraz decyzje doraźne podejmowane bądź w sytuacji przymusowej i braku łączności z przełożonym, bądź też wbrew ogólnym zamiarom przełożonego. Bo i takie zdarzały się wypadki w naszych polskich warunkach, gdy dowódca małego szczebla (Okręgu AK, dywizji, partyzanckiego oddziału leśnego) chciał wpłynąć na układ sił w skali państwowej czy europejskiej. Jest to zbyt obszerny temat na „okruchy historii” więc trzeba ograniczyć się do wydarzeń poprzedzających wybuch walk w Warszawie.

Instrukcja Komendanta Głównego AK do akcji „Burza” 1. 2100 nadana do Oddziału Specjalnego w Londynie 26. XI. 1943 roku określała cel i zadania „Burzy” jako:

- podkreślenie woli bicia Niemców w warunkach nie pozwalających na podjęcie „powszechnego powstania”;
- samoobrona przed wyniszczeniem Polaków przez wycofujących się Niemców;

- nękanie niemieckich straży tylnych i dywersja na całej głębokości terenu;
- użycie na terenach zabużańskich całości uzbrojonych sił i środków, a na terenach Generalnej Guberni wszystkich oddziałów partyzanckich oraz „wyselekcjonowaną” potrzebną ilość plutonów powstańczych.

Rozkaz Komendy Głównej AK 1. 2100 był jednocześnie zarządzeniem do wzmożonego nasłuchu radiowego dla „Burzy”. Uruchomienie akcji następowało przez specjalne hasła radiowe ustalone w K-dzie Gł. AK a nadawane na jej polecenie w polskich audycjach BBC i potwierdzane pisemnie przez kurierów K-dy Głównej do Okręgów AK. Naczelnny Wódz gen. Sosnkowski rozkazem l.dz. 281/26 tj. z dnia 6. 1. 1944 zatwierdził tę decyzję a o ujawnianiu się wobec wkraczających Rosjan powiedział: „Motywy waszej decyzji... zasługują na najwyższy szacunek”. Zaprojektowany i uruchomiony mechanizm akcji „Burza” nie może już dziś budzić wątpliwości z chwilą, jakże słusznej, decyzji p. Witolda Babińskiego by ogłosić pełny tekst dokumentów (*Zeszyty Historyczne* Nry 23 i 24). Ale nawet wówczas wszystkie odpowiedzialne osoby i instytucje kierowały się tymi samymi ocenami i podstawami do decyzji. Zastrzeżenia gen. Sosnkowskiego co do sposobu wykonania „Burzy”, wskazówki i rady udzielane Borowi oraz wyjaśnienia przesyłane do premiera Mikołajczyka miały raczej charakter teoretycznych rozważań i na podejmowane decyzje wpływały tylko pośrednio.

Odmienne przedstawia się sprawa podjęcia walki o charakterze powstania powszechnego. Trzy decydujące organy władzy — Rząd, Naczelne Dowództwo i Komenda Główna AK miały — każde z osobna — inny pogląd na sprawę „powszechnego powstania”. Komendant Główny AK w załączniku do telegramu 1. 2100 rozróżnił dwa wypadki: w punkcie III — zarządzenia do powstania powszechnego, oparte jeszcze na rozkazie gen. Sikorskiego z 1942 roku, kiedy front był nad Wołgą i pod Moskwą oraz w punkcie IV zarządzenia do wzmożonej akcji dywersyjnej „Burza”. Naczelnny Wódz gen. Sosnkowski mówił tylko o ograniczonej akcji typu „Burza” we wszystkich rozkazach, ale nie unieważnił punktu III Instrukcji gen. Bora. Dla londyńskiego rządu każde działanie zbrojne większe czy mniejsze nazywało się „powstaniem”.

Trzy fazy działania przewidziane dla powstania powszechnego zastosowano do podjętych walk w Warszawie:

- ◁ a) wzmożony nasłuch (który był już nakazany w listopadzie 1943 r. rozkazem 1. 2100 dla akcji „Burza”);



- b) stan czujności (zatwierdzony przez gen. Bora dla Okręgu Warszawskiego w dniu 21. VII. 44 r. miał obowiązywać od dnia 25. VII godz. 00.01; od tego też momentu zaczęto nadawać w polskich audycjach BBC dwa sygnały — stan czujności i sygnał „Burzy” dla całej bazy powstańczej w G.G.);
- c) pogotowie, które automatycznie przechodziło w walkę powstańczą (zarządził je gen. Bór na dzień 1. VIII godz. 17.00; decyzję podjął gen. Bór w dniu 25. VII, a godzinę rozpoczęcia ustalił w dniu 31. VII i wydał rozkazy do rozpoczęcia walki gen. Monterowi, Komendantowi Warszawskiego Okręgu).

Zarządzenie wzmożonego nasłuchu stawiało w stan pełnej gotowości *tylko* Komendantów Okręgów AK i ich sztaby, mogło być zarządzane i odwoływane dowolną ilość razy. Natomiast zarządzanie stanu czujności (pkt b) mobilizowało *całe oddziały* przeznaczone do wystąpienia w pierwszym okresie walki, połączone z otwarciem magazynów broni i amunicji, z uruchomieniem wzmożonej służby łączności. Teoretycznie stan czujności mógł być odwołany, jednak w warunkach okupacyjnych odwołanie go nie zabezpieczało przed dekonspiracją i stratami. Jak wynika z dokumentów dowództwa 9 Armii niemieckiej zarządzenie stanu czujności było przez Niemców dostrzeżone i zostały powzięte niemieckie akcje antypowstaniowe. Zarządzenie pogotowia było już nieodwołalne. Tak to również zreferował gen. Kopańskiemu gen. Tatar po otrzymaniu telegramu gen. Bora w dniu 23. VII. 1944 roku.

Nikt dotychczas nie zwrócił uwagi, że decyzje i rozkazy przewidziane w punktach b) i c) mógł podjąć Komendant Główny AK tylko po uprzedniej decyzji rządu w Londynie i zezwoleniu Naczelnego Wodza. Uchwała rządu zapadła w dniu 25. VII, telegram do Delegata Rządu w Warszawie przekazał minister Banaczyk w dniu 26. VII, a gen. Tatar potwierdził tę wiadomość telegramem do K-dy Gł. AK *dopiero* w dniu 28. VII, gdy się o tym dowiedział na Radzie Ministrów. Jeśli więc wszystkie dane są zgodne ze stanem faktycznym to wnioski muszą być inne niż wyciągnięte dotychczas, a mianowicie że:

1) Gen. Bór i Komenda Główna AK wraz z Delegatem Rządu w Warszawie postanowili postawić władze londyńskie wobec faktu dokonanego, działać na własną odpowiedzialność, licząc na późniejszą akceptację rządu, którą uzyskali.

2) Delegat Rządu, wicepremier Jankowski, mógł otrzymać uprzednio zapewnienie Mikołajczyka (choćby nawet przez Retin-

gera), że w wypadku uzgodnienia z gen. Borem decyzji do powstania, uzyskają oni aprobatę rządu londyńskiego.

3) Gen. Bór i Komenda Główna AK uznały wytyczne gen. Sosnkowskiego z dnia 7. VII. 44 l.dz. 5480/tjn. za upoważnienie do samodzielnego podejmowania decyzji — jak to było przewidziane dla akcji „Burza” — mylnie interpretując, że zdobycie tak poważnych środków jak Wilno-Lwów-Warszawa — można uważać za równoznaczne do uderzenia na cofające się tylne strażę niemieckie. Wydaje się, że ten ostatni wniosek jest najbliższy prawdy w zestawieniu z wypowiedzią gen. Bora w wywiadzie udzielonym prof. Januszowi Zawodnemu w 1966 roku: „Zarzut Sosnkowskiego nielojalności w stosunku do Naczelnego Wodza — to bardzo bolesne. Jemu to chluby nie przyniesie, a zaciemnia obraz”.

Trzech ludzi mogących wyjaśnić zagadkę „decyzji do powstania” — Mikołajczyk, Sosnkowski, Bór-Komorowski nie chcieli powiedzieć wszystkiego. Dziś nie żyją, a ich współpracownicy albo nie wiedzą wszystkiego, albo nie mają chęci, by to wyjaśnić. Wydaje się, że historia te trzy osoby obciąży solidarnie za błędne decyzje i ofiary w Powstaniu Warszawskim, które nie przyniosły oczekiwanych przez nich rezultatów.

Analiza dokumentów przekazujących nam decyzje najwyższego szczebla jest niezbędna i pożyteczna, ale jako zawodowy oficer uważam, że trzeba wziąć pod uwagę następujące zastrzeżenia:

1) Prezydent Raczkiewicz zatrzymał przedstawioną mu depeszę w dniu 3. VIII od gen. Sosnkowskiego do gen. Bora z negatywną oceną decyzji do powstania podpisaną na froncie włoskim w dniu 28. VII, a otrzymaną w Londynie w dzień czy dwa dni później. Z notatki gen. Kopańskiego wynika, że motywem wstrzymania była uchwała rządu z dnia 28. VII o aprobacie decyzji Jankowskiego i Bora, a przecież było to także w trzecim dniu walki o Warszawę. Czy Prezydent mógł postąpić inaczej?

2) Gen. Stanisław Kopański, jeden z najbardziej subordynowanych i lojalnych oficerów w przedwojennym dwudziestoleciu, zupełnie niezainteresowany w sprawach wielkiej polityki. Przed wyjazdem Naczelnego Wodza do 2-go Korpusu szereg razy referował sprawy AK wraz z gen. Taborem. Był uczestnikiem opracowywania rozkazu dla gen. Bora z dnia 7. VII. 1944, również w obecności Tatara, który ten rozkaz przyniósł osobiście do Oddziału Specjalnego celem nadania go do kraju. Obaj generałowie byli zatem zorientowani w intencjach Naczelnego Wodza. Musiało się zatem coś nie zgadzać z wytycznymi sprzed wyjazdu, skoro zdecydowali się w oparciu o ministra Kukiela i Prezydenta Raczkiewicza na korygowanie telegramów Sosnkowskiego z włos-

kiego frontu do Bora w Warszawie. Zasłużyli sobie u Sosnkowskiego na miano „cenzorów”, łagodnie zresztą sformułowane, gdyż Sosnkowski żadnego z nich nie pozbawił stanowiska. Może miał wpływ na tę zmianę poglądów wyjazd Mikołajczyka do Moskwy, którego Sosnkowski nie przewidział przed odlotem do Italii?

3) Gen. Tabor (gen. Stanisław Tatar) najbardziej kontrowersyjna postać tego okresu. Wysłany do Londynu przez Komendę Główną AK, zdawałoby się dla reprezentowania interesów Komendanta Krajowego, już od pierwszej chwili wszedł w konflikt z Kopańskim i Protasewiczem, którzy pierwsi z nim rozmawiali na terenie Anglii. Kopański, znając przyjazny stosunek Tatar do Utnika jeszcze z okresu Oficerskiej Szkoły Artylerii w Toruniu w latach 1924-1926, wysłał mjr. Utnika, zastępcę Protasewicza, dla wysondowania powodów tych nieporozumień. Tatar był wtedy jeszcze na angielskiej stacji wyczekiwania dla skoczków. Utnik spędził na stacji całe popołudnie, a wieczorem odwiedził stację gen. Sosnkowski. Po tych spotkaniach zapanowały dość poprawne stosunki na całym odcinku krajowym. Tatar, po kilku rozmowach z Anglikami jeszcze w izolacji, przyjechał do Londynu i objął stanowisko Zastępcy Szefa Sztabu dla Spraw Krajowych. Uzyskał duży wpływ u Kopańskiego w sprawach przede wszystkim skomplikowanej polityki w kierownictwie ruchu oporu i był w tych sprawach przez długi czas wyrocznią dla Kopańskiego. Zdawało się że w pierwszych miesiącach również Sosnkowski ulegał jego sugestiom. Wydaje się, że pewną rolę odegrał mjr Utnik, który formalnie zastąpił Protasewicza, a faktycznie pełnił swoją dotychczasową funkcję kierownika i organizatora technicznego, z tym tylko, że awansował na podpułkownika. Naczelnny Wódz miał w stosunku do Utnika dług wdzięczności za dość wczesne ujawnienie misji Retingera. Funkcję kierownika spraw ruchu oporu po Protasewiczu przejął całkowicie Tatar z tym tylko, że jako generał uzyskał stanowisko zastępcy Szefa Sztabu dla Spraw Krajowych.

W okresie rozgrywania się w Polsce akcji „Burza” i podczas Powstania Warszawskiego Tatar ściśle współpracował z Kopańskim. Ich drogi postępowania zaczęły się rozchodzić po wynikach referendum w Polsce w 1946 roku. Czy wobec tego Tatar mógł wówczas działać samowolnie?

4) Ppłk dypl. Michał Protasewicz, oficer z profesorskiego grona Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie, kolega płk. Mareckiego, płk. Sulisławskiego i gen. Klimeckiego. Był krótko oficerem do zleceń gen. Sikorskiego, a od kwietnia 1942 r. szefem Oddziału Specjalnego Sztabu N.W. (Oddz. VI). Cieszył się dużym zaufaniem

Sikorskiego, jak również Kukieła i Klimeckiego. Kontaktował się często z Retingerem. Był jednym z oficerów, którzy wyjechali do Gibraltaru z Kukielem po katastrofie samolotu Naczelnego Wodza. Gen. Sosnkowski utrzymał go na stanowisku Szefa Oddziału Specjalnego N.W., mimo licznych zabiegów oficerów legionowych, by go pozbawić tego stanowiska. Współpraca z Tatarem nie układała się Protasewiczowi dobrze i na własną prośbę odszedł na front do 2-go Korpusu w końcu maja 1944 roku.

5) Ppłk Marian Utnik, rok urodzenia 1902, Oficerską Szkołę Artylerii w Toruniu ukończył w 1926 r., dyplom W.S.Woj. uzyskał w 1935 r. W okresie od mianowania oficerem do studiów w W.S.Woj. pełnił służbę w oddziałach liniowych artylerii i piechoty. Do wojny i przez cały czas wojny był pracownikiem sztabów; w brygadzie kawalerii, w Wyższej Szkole Wojennej, w Sztapie Głównym Oddział III w 1939 r., w Naczelnym Dowództwie Oddział III w czasie kampanii wrześniowej, w sztabach 1 i 3 Dyw. Piechoty we Francji. W Anglii Utnik rozpoczął służbę od sztabu 1 Bryg. Piech. w Szkocji, następnie Sztab N.W., Oddział III 1940-1941, sztab Misji gen. Ducha 1941-1942, ponownie Sztab N.W. Oddział VI w 1942 r., Oddział Planowania w 1943 r. i znów po śmierci Sikorskiego w Oddziale Specjalnym Sztabu N.W. Nie bez powodu „niezłomni” zaczęli go nazywać od końca 1945 r. „pułkownikiem z za biurka”. Przebieg służby Utnika wskazuje na to, że był przydatny do prac w różnych działach służby wojskowej, a jeśli czasem się „buntował” przesuwano go do innego działu pracy. Tak było w 1941 r. z przydziałem do Misji gen. Ducha, gdy Utnik opracował projekt instrukcji dla dowódcy polskiej armii w Rosji, tak było z przeniesieniem do Oddziału Planowania w styczniu 1943 roku gdy ułatwił Prezydentowi kontakty z kurierami odchodzącymi do kraju wbrew wytycznym gen. Sikorskiego. Gen. Kopański uważał Utnika za lojalnego pracownika swego sztabu do końca wojny. Czy w tych warunkach można mieć wątpliwości, że działał zgodnie z zamierzeniami swych przełożonych? Gen. Sosnkowski miał swoją koncepcję układania stosunków ze Związkiem Sowieckim od początku wojny, gdy we Francji jako Komendant Główny Z.W.Z ustalił zasady walki o niepodległość z „dwoma wrogami” Polski, a potem później w 1941 roku gdy ustąpił z rządu Sikorskiego. Nie zmienił też swoich poglądów gdy po katastrofie gibraltarskiej objął stanowisko Naczelnego Wodza i układał szczegółowo rozgrywki Armii Krajowej ze zbliżającą się do Polski „wyswobodzicielską armią Stalina”. Do planów tej gry wprowadzał swoich bliskich współpracowników (Okulickiego, Demela, Smoleńskiego, Babińskiego, a w kraju Pełczyńskiego, Iranka-Osmeckiego), im

powierzał opracowanie środków do realizacji tych zamiarów. To też jeżeli łączność między Sosnkowskim a Borem w okresie podejmowania decyzji do powstania nie była należycie zaplanowana, albo źle realizowana, to albo Sosnkowski nie przywiązywał do tego wielkiej wagi, albo realizacja jego planów była już dostatecznie zabezpieczona przez obecność w sztabie Bora jego ludzi. A jeśli wykonawcy woli Wodza źle zrozumieli jego utajoną myśl lub przekroczyli dane im upoważnienia, to ani Kopański, ani Tatar ani też Utnik nie mogli tego zmienić.

Czy zatem nie ulegając sympatiom ani niechęciom nie należałoby postawić paru pytań:

1) Dlaczego gen. Sosnkowski opuszczając stałe miejsce swego postoju w Londynie nie zabrał ze sobą do Italii oficera z Oddziału Specjalnego (choćby Szefa Wydziału Łączności), który by mu na miejscu zorganizował szybką i sprawną łączność zarówno z Warszawą jak i Londynem? Wydaje się, że ten dodatkowy oficer nie obciążyłby zbyt ciężko ekipy Naczelnego Wodza.

2) Dlaczego gen. Sosnkowski widząc niebezpieczeństwo wybuchu poważniejszych walk w kraju, gdy otrzymał wiadomość o akcji 27 Dyw. Piech. i w obszarze „Wilno” nie udał się natychmiast samolotem łącznikowym 2-go Korpusu, by za godzinę znaleźć się na lotnisku w Brindisi, skąd po kwadransie mógłby być w bazie Oddziału Specjalnego w Latiano? Baza ta miała łączność radiową z Londynem czynną przez całą dobę, a z Komendą Główną AK 2-3 razy na dobę. Komórka szyfrowa bazy w Latiano (3-ch bardzo sprawnych szyfrantów) miała szyfry do porozumiewania się z Londynem i z Warszawą, szyfrowała i czytała telegramy przynajmniej 5-ciokrotnie szybciej od niesprawnego w tych sprawach płk. Demela, Szefa Oddziału Operac. Sztabu N.W.

Bez odpowiedzi na te pytania trudno będzie ustalić jak było w rzeczywistości historycznej.

*Dokumentacja wskazuje, że decyzje wysyłania poszczególnych wiadomości ze Sztabu N.W. do N.W. we Włoszech trasą (i), przez Oddz. Spec., były pobierane przez trzy osoby — gen. Kopański, gen. Tatar, ppłk Utnik — pojedynczo przez każdą z nich, lub też wspólnie (z wzajemnym porozumieniem). Podczas nieobecności N.W. nadeszły trzy ważne wiadomości z kraju:*

*(a) aresztowanie i likwidacja wileńskiej AK z 19 lipca, nr 390;*

*(b) czujność do powstania z 21 lipca, nr 406;*

*(c) walka o Warszawę z 25 lipca, nr 441.*

*Pierwsza z nich (a) została przekazana N.W. w całości i wy-*

wołała dość gwałtowną reakcję N.W., która została przekazana do kraju w skorygowanej wersji.

Druga (b) która składała się z dwóch części, została potraktowana w sposób następujący. Ppłk Utnik przestał dalekopisem kpt. Popkiewiczowi taki oto rozkaz: (zachował się oryginał tego rozkazu dalekopisowego):

„Marta. Nota. Telegram z Wandy 4 nr 406/1/xxx/999 proszę przekazać do Mewy po zmianie numeru na 406/vv/555. Drugiego telegramu z nr. 406/2/xxx/999 proszę nie przekazywać. Szef Oddz. Spec. ppłk dypl. Utnik. 24. VII”.

Pierwszy telegram tu wymieniony (pierwsza część) zawierał jedynie ocenę sytuacji na polskim terytorium, natomiast ważna wiadomość o wydaniu rozkazu do czujności do powstania była na końcu drugiego telegramu (druga część), tego właśnie który ppłk Utnik kazał zatrzymać. Należy wnioskować, iż celowo nie zawiadomiono N.W. o czujności. Zachodzi pytanie czy ppłk Utnik działał z własnej inicjatywy, czy też z rozkazu, lub w porozumieniu z gen. Tatarem, albo też z gen. Kopańskim.

Trzeci telegram (c) nie został nigdy N.W. do Włoch przekazany, z wyjątkiem jego mniej istotnych stwierdzeń, które przesłał gen. Kopański. Wniosek: żaden z trzech oficerów — Kopański, Tatar, Utnik — nie uważał za stosowne zawiadomić N.W., że w Warszawie zapadła decyzja przeprowadzić „walkę o Warszawę”, akcję uprzednio nie planowaną i nie znaną w nomenklaturze Sztabu N.W.-K.G. AK. Dlaczego? Czy to była zbiorowa decyzja tych trzech oficerów?

Przygotowania organizacyjne, techniczne i materiałowe każdej operacji wojennej zależą od zamiaru (na wyższym szczeblu planu) zwierzchnika oraz od posiadanych sił i środków. Przy analizie zamiaru i planów gen. Sosnkowskiego powiedziano bardzo dużo o tym czego Sosnkowski nie chciał. Nie często jednak zastanawiają się badacze decyzji do walk Armii Krajowej w 1944 roku nad tym „czego właściwie Sosnkowski chciał, gdzie i kiedy to powiedział” w swej tasiemcowej korespondencji ze wszystkimi.

A jednak powiedział i to niejednokrotnie, a da się to odtworzyć z dokumentów przez niego podpisanych.

1) Gen. Sosnkowski, jako Komendant Główny Z.W.Z. w latach 1939-1940 przekazał do kraju rozkazy nakazując przygotowanie do walki z „dwoma okupantami” na terytorium całego państwa w granicach Polski z dnia 31 sierpnia 1939 roku. Emisariusze i kurierzy przekazali te rozkazy kierownikom organizo-

wanego ruchu oporu w Warszawie, Lwowie i Wilnie. Odprawa krajowych działaczy Z.W.Z. w Belgradzie na początku czerwca 1940 roku przypieczętowała przyjęcie tego programu przez kierownictwo wojskowego ruchu oporu w Polsce. W odprawie wzięli udział gen. Gustaw Paszkiewicz i płk Demel z paryskiej Komendy Z.W.Z. Protokół z tej odprawy ogłoszono w Warszawie w połowie lat sześćdziesiątych na łamach wydawnictwa „Najnowsza Historia Polski”. W tym okresie gen. Sikorski aprobował całkowicie plany i działalność Sosnkowskiego.

2) W okresie od czerwca 1940 do lipca 1941 roku gen. Sosnkowski traci stopniowo wpływ na wojskowy ruch oporu w kraju. Na skutek załamania się obrony Francji został usamodzielniony gen. Rowecki i uzyskał uprawnienia Komendanta Głównego Z.W.Z., a następnie Armii Krajowej na całym obszarze Polski. Po puczu gen. Stefana Dąb-Biernackiego w Anglii<sup>3</sup> Oddział VI (Krajowy) Sztabu Naczelnego Wodza został podporządkowany szefowi sztabu gen. Klimeckiemu, a gen. Sosnkowski sprawował tylko ogólny nadzór jako minister w rządzie Sikorskiego. Po ustąpieniu z rządu w lipcu 1941 roku Sosnkowski stracił „prawie całkowicie” wpływy na konspirację wojskową w Polsce na okres pełnych dwóch lat.

3) Dyrektywy gen. Sosnkowskiego, Naczelnego Wodza od lipca 1943 roku, w sprawach ruchu oporu w kraju, a w szczególności odnośnie zachowania się AK, były ograniczane jedynie

---

3. Naczelny Wódz gen. Sikorski zarządził we Francji w 1939 roku segregację oficerów z punktu widzenia przyczynienia się do klęski w polskiej kampanii jesiennej. W maju 1940 roku została powołana przez Sikorskiego rządowa Komisja „Badania Przyczyn Klęski Wrześniowej”. Przewodnictwem tej Komisji objął prof. Winiarski (por. „Polskie Siły Zbrojne”, t. II, cz. 1).

Gen. dyw. Stefan Dąb-Biernacki we wrześniu 1939 roku nieudolnie dowodził Armią Odwodową Naczelnego Wodza pod Piotrkowem, a następnie nie wywiązał się z zadania obrony Bugu pod Brześciem, jako dowódca Frontu Północno-Zachodniego.

Dla źle wykonywujących obowiązki w czasie kampanii w Polsce zorganizowano we Francji w Cerizay obóz dla oficerów nieprzydzielonych, których działalność w czasie jesiennej kampanii zbadała Komisja prof. Winiarskiego. Oficerowie z obozu w Cerizay po ewakuacji z Francji zostali skierowani do różnych obozów na terenie Szkocji i Anglii. W tym czasie piłsudczycy prowadzili akcję w celu pozbawienia Sikorskiego stanowisk Premiera i Naczelnego Wodza. Na terenie wojskowych obozów w Szkocji akcję tę organizował gen. Dąb-Biernacki, przygotowując bunt „nieuzbrojonego” wojska przeciw Naczelnemu Wodzowi.

Po nieudanych próbach zamachu politycznego Łukasiewicz - Raczkiwicz - Zaleski, oraz niepowodzeniu „buntu w wojsku”, gen. Dąb-Biernacki został osądzony przez Sąd Polowy przy Naczelnym Dowództwie, zdegradowany wyrokiem tego sądu do stopnia szeregowca i osadzony w więzieniu angielskim na czas wojny (*for a duration*). Dalsze losy Dąb-Biernackiego nie są znane.

posunięciami rządu Mikołajczyka na arenie międzynarodowej oraz naciskami Delegatury rządu londyńskiego na Komendę Główną AK w Warszawie. Gen. Sosnkowski od września 1943 roku nie zmienił ani toku prac w Oddziale Specjalnym ani zarządzeń wysłanych Roweckiemu przez jego poprzednika. Zatwierdził gen. Bora-Komorowskiego na stanowisku Komendanta Głównego AK z równoczesną nominacją do stopnia generała dywizji i odznaczeniem go krzyżem Virtuti Militari IV klasy.

Wypadki na frontach wojennych — gwałtowne i udane ofensywy sowieckie od wiosny 1943 roku, a z drugiej strony powolna likwidacja agresji Niemców w Afryce i opóźniona do roku 1944 ofensywa zachodnich aliantów na Europę od południa czy od zachodu — zmusiły polskie kierownictwo w Londynie i w Warszawie do poglądu: „nie będą wyzwalać Polski zachodni Alianci, gdyż wyprzedzi ich w zajęciu nie tylko spornych, ale i rdzennie polskich terenów Armia Czerwona wraz z idącą z nią Armią Berlinga i jej politycznym zapleczem Związkiem Patriotów Polskich”.

Gen. Sosnkowski pod presją Komendy Głównej AK podjął we wrześniu 1943 roku, za zgodą Prezydenta Raczkiewicza, inicjatywę uzgodnienia z rządem Mikołajczyka instrukcji jak się ma zachować ruch oporu w Polsce przy tym najprawdopodobniejszym założeniu „wyzwolenia kraju przez Sowiety”.

Uzgodnioną instrukcję Rządu i Naczelnego Wodza wysłano do kraju 27. X. 1943 roku.

- 4) Dotychczasowe zestawienie wydarzeń wskazuje, że gen. Sosnkowski zgodził się na następujące działania Armii Krajowej:
- podjęcie z Niemcami walk w ramach akcji „Burza”, łącznie z zasadą ujawniania się wobec Sowietów podczas walki lub po jej zakończeniu;
  - zatwierdził plan Komendanta Głównego AK l. 2100, który zmieniał instrukcję Rządu i prócz „Burzy” zaplanował po staremu (jak za Sikorskiego) przygotowania do „powstania powszechnego”;
  - w telegramie dla Bora w dniu 13. I. 1944 roku ponownie akceptował ujawnianie się mimo braku stosunków dyplomatycznych i przewidywał walkę na dwa fronty: „W razie gwałtów sowieckich brak reakcji ze strony rządów alianckich (anglosaskich?) może doprowadzić do walki Kraju na dwa fronty” — ale planów i przygotowań do powstania powszechnego nie odwołał, dalszego ujawniania się nie zakazał, zarządzeń do akcji „Burza” nie zmienił. A wprost przeciwnie w dniu 4. I. 1944 roku zakomunikował Mikołajczykowi (jak w telegramie do Bora l.dz. 281 /26 tjn. z dnia 13. I. 1944 r.),



że wobec możliwości przerodzenia się „Burzy” w „próbę samorzutnego zbrojnego powstania... obowiązkiem moim może stać się niebawem być przy zastępach Armii Krajowej”.

Gen. Sosnkowski chce w tym czasie „powstania” i mało tego — chce stanąć na czele jego kierownictwa. Na sześć miesięcy przed wybuchem powstania w Warszawie była to w warunkach okupacyjnych „prawie nieodwołalna” decyzja w skali całego kraju (ponad 200 tysięcy członków w organizacji konspiracyjnej).

5) Gen. Sosnkowski dowiedział się o wypadkach w Puszczy Nalibockiej (rozbite przez Sowiety Baonu Stołpeckiego) i o wydarzeniach w 27 partyzanckiej dywizji na Wołyniu jeszcze przed wyjazdem w połowie lipca 1944 do 2-go Korpusu. Poinformował Komendę Główną AK, że wsparcie angielskie dla walk AK nie przekroczy dotychczasowych norm, wystarczających zaledwie na dywersję i sabotaż, że Anglicy zażądali oddania do ich dyspozycji polskiej Brygady Spadochronowej (z czym gen. Bór się pogodził), że polskie lotnictwo dostało prawo użycia tylko 18 samolotów do wsparcia walk AK. Nie zmienił jednak decyzji do walki, a przeciwnie telegramem l.dz. 5480/tjn. z dnia 7. VII. 1944 potwierdził konieczność kontynuowania „Burzy” (pkt. 4 telegramu) i zalecił w p-cie 5 choćby przejściowe opanowanie Wilna, Lwowa, innego większego centrum (choć nie wymienione w telegramie pozostały już tylko Kraków i Warszawa na terenach dostępnych dla AK). Ponadto w p-cie 8 nakazał rozpraszanie oddziałów po walce, dalszą konspirację i prowadzenie wywiadu pod sowiecką okupacją. Wszystko co działo się w kraju do wybuchu walk w Warszawie było zgodne z tymi rozkazami.

6) Naczelny Wódz rozpoczął protest i odwoływanie swoich rozkazów dopiero po 25 lipca, gdy otrzymał wyniki wydarzeń w Wilnie, których się spodziewał gdy nakazywał w pkcie 8 swego telegramu rozpraszanie oddziałów po walce z Niemcami. Pierwszy protest zalecający zresztą tylko rozagę, a nie zakaz powstania, wysłał za pośrednictwem Szefa Sztabu gen. Kopańskiego, a nie wprost do Bora z bazy Nr 11 w Latiano, i tylko do wiadomości Kopańskiego i Tatara. Czy mógł Naczelny Wódz liczyć na skuteczność wyraźnego zakazu wywołania powstania wysłanego dn. 28 lipca z frontu włoskiego, znając czas na dotarcie wiadomości do Bora drogą okrężną przez Londyn? Policzmy jeszcze raz czas obiegu telegramów tą drogą — Bór podejmuje decyzję do „Stanu czujności dnia 21. VII (sławny telegram 1406 w dwóch częściach), do Londynu wiadomość dotarła 23. VII godz. 21.55 (dwa dni), do Bazy w Latiano dnia 24. VII (drugą część z terminem „stanu czujności” przekazał gen. Kopański krótszą

drogą przez 2-gi Korpus), odpowiedź gen. Sosnkowski podpisał 28. VII na froncie włoskim (?), do Londynu dotarła szyfrem Demela prawdopodobnie 30 lub 31. VII, do Bora mogła dotrzeć w najlepszym wypadku już po ustaleniu godziny rozpoczęcia walki i wydaniu rozkazów Monterowi. Nawet w normalnej armii czy dywizji na froncie wstrzymanie w tych warunkach natarcia byłoby trudne, albo zgoła niemożliwe, gdy oddziały zajęły podstawy wyjściowe do natarcia. W warunkach konspiracyjnych, gdy łączność opierała się na pieszych łączniczkach, taki rozkaz wydaje się nieporozumieniem.

Zarówno Naczelnego Wodza jak i Szefa Oddziału Operacyjnego naczelnego dowództwa nie można posądzać o nieuctwo lub brak wyobraźni. Trudno zatem uznać, że protest był przeznaczony dla Bora. Trudno również przypuścić, że w dniu podpisywania (28. VII) telegramu Naczelnny Wódz nie wiedział o wyjeździe w dniu 25. VII Mikołajczyka z Londynu do Moskwy. Może więc ten protest był odcięciem się od uchwał rządowych i był przeznaczony dla londyńskich polityków?

Sprawność techniczna urządzeń łączności (radiowej, kurierskiej) Oddziału Specjalnego budzi wątpliwości dzisiejszych badaczy. Miały one zapewnić Naczelnemu Wodzowi niezawodne kierowanie sprawami Armii Krajowej. Trzeba stwierdzić, że dzięki wysiłkowi oficerów łączności — ppłk. dypl. Tadeusza Roli, ppłk. inż. Adama Krzyczkowskiego, a w szczególności mjr. dypl. inż. Tadeusza Lisickiego, mjr. dypl. Adama Szansera, kpt. inż. Sylwina Popkiewicza — rozbudowa łączności radiowej osiągnęła stan organizacyjny, który można nazwać „prawie doskonałym”, a sprawność pracy obsługi doprowadzona do maksymalnych granic. Tylko z urządzeń tych trzeba było „chcieć umiejętnie korzystać”. Funkcjonowanie sieci radiowej naczelnego dowództwa nie zawodziło nawet wtedy, gdy „gospodarze Anglicy” starali się, dogadzając Sowietom, ograniczyć te możliwości do minimum.

Pyta więc badacz wydarzeń z 1944 roku dlaczego zawiodła ona Sosnkowskiego i Demela i to w tak ważnym momencie? Odpowiedź jest tylko jedna: sami stworzyli w owym czasie takie warunki do których organizacja sieci łączności Oddziału Specjalnego nie była dostosowana (łączność radiowa Latiano z 2-gim Korpusem), a mało tego — jeszcze nie powiedzieli płk. Hańczy i ppłk. Utnikowi, że mają im zapewnić łączność radiową nieomal na połowie obszaru Italii. Stąd telegramy zamiast osiągać adresatów w ciągu godzin wędrowały nieraz i dwa dni. Zresztą pod adresem Hańczy i Utnika nigdy Sosnkowski nie wysunął pretensji że mu utrudniali łączność. Nie o szybkość telegramów chodziło, a o to, że zastępujący Naczelnego Wodza w Londynie „Ko-

mitet Generalski" Kopański, Kukiel, Tatar za aprobatą Prezydenta Raczkiewicza — poprawiał treść tych dokumentów. Tym bardziej, że dokumenty te niezależnie od ich treści i formy nie mogły wpływać na podjęte już decyzje w Komendzie Głównej AK w Warszawie.

Czy można zatem na poprawkach Kopańskiego i Tataru czy też na adnotacjach Kopańskiego i Utnika na telegramach budować tezę o braku odpowiedzialności Sosnkowskiego za „wybuch powstania”, nie rozpatrując treści poprzednich podstawowych dokumentów?

Trzeba jeszcze dodać, że na podstawie dokumentów nie można ustalić odpowiedzi na takie pytania jak np. „Co myśleli albo co chcieli osiągnąć Kopański i Tatar, gdy 'cenzurowali' telegramy Sosnkowskiego, albo czy Utnik działał z własnej inicjatywy czy też z rozkazu przełożonych”, gdy zatrzymywał telegramy lub zmieniał ich pilność. Tylko wypowiedzi tych oficerów ogłoszone i podpisane nazwiskami mogłyby wnieść więcej światła do analizowanego zagadnienia. Jeszcze żyją, więc może się wypowiedzą.

*Dlaczego Oddział Specjalny nie korzystał z wiadomości przechodzących z poszczególnych okręgów AK do K-dy Gł. AK? Właściwie to nie jest słuszne, bo istnieje dostateczna ilość danych, aby przypuszczać, iż sam Oddz. Spec. korzystał z telegramów przechodnich, odszyfrowywał je, i znał ich treść, ale wiadomości w ten sposób uzyskanych nie przekazywał nikomu i fakt odszyfrowania nie był wpisywany do dokumentów Oddz. Spec. Dopiero kiedy w jakiś czas później K-da Gł. AK przystąpiła do Oddz. Spec. tę samą wiadomość zostawała ona odszyfrowywana oficjalnie i przekazywana do innych działów Sztabu Nacz. Wodza, czy też osób zainteresowanych, Szef sztabu, Nacz. Wódz etc.*

*Tak postępowano nie tylko w stosunku do telegramów typowo przejściowych, tzn. zaadresowanych jedynie do K-dy Gł. AK, ale również w stosunku do tych telegramów, które były zaadresowywane przez dany okręg zarówno do K-dy Gł. AK jak i do Sztabu N.W.*

*Tego rodzaju procedura powodowała dostarczenie danej wiadomości do osób wyżej postawionych w hierarchii londyńskiej z poważnym opóźnieniem.*

*Np. Wiadomość o aresztowaniach pod Wilnem była zaadresowana do K-dy Gł. AK i do Sztabu N.W. Przechodziła ona przez Londyn 17 lipca i od tego dnia była znana ppłk. Utnikowi i może gen. Tatarowi, ale została ona podana wyżej dopiero po otrzymaniu w tej sprawie telegramu od gen. Bora-Komorowskiego*

*z 19 lipca, co miało miejsce dopiero 21 lipca. Czyli całe cztery dni opóźnienia w zawiadomieniu wyższych władz o wypadkach wileńskich. Nieco dziwna procedura. Z czego ona wynikała?*

Studiowanie wydarzeń przeszłości oparte słusznie na pełnej obecnie osiągalnej dokumentacji musi uwzględniać przy ocenie działania ówczesnych aktorów sceny historycznej przede wszystkim znane im elementy przy pobieraniu decyzji. Stąd wynika, że analizujący badacz zobowiązany jest do wnikliwego rozpatrywania posiadanych dokumentów, ale jednocześnie musi się wystrzegać gołosłownych przypuszczeń czy insynuacji. Zdarzają się wypadki „fryzowania” historii już w czasie bieżących wydarzeń, ale jest to możliwe tylko w stosunku do pojedynczych wydarzeń przy małej ilości zainteresowanych uczestników, przykładem takich możliwości mogą być akcje: Sosnkowski-Demel na froncie włoskim od 20 do 31. VII. 1944 roku, misja Retingera z inspiracji Churchill-Mikołajczyk, zabójstwo w Rzymie płk. Hańczy na jesieni 1945 roku, przekazanie do Polski części majątku Oddziału Specjalnego przez Tatarą, Nowickiego, Utnika, Woydata.

Zastosowanie tego rodzaju „mystyfikacji historycznej” w sprawie utajania w Oddz. Spec. części korespondencji między AK a Londynem, przy zaangażowaniu przy tej czynności nie tylko aktualnego Szefa Oddziału, ale całego wydziału szyfrowego z 15 pracownikami, zainteresowanych materiałem kpt. Leliwy i kpt. Pomiana, przy kontroli 3-ch przełożonych (Tatar, Kopański, Sosnkowski) jest niemożliwe. Hipoteza taka wskazuje albo na zbyt pobieżne zapoznanie się z materiałem albo nieporadność badacza. Błędne jest założenie, że rozszyfrowane w czerwcu lub lipcu telegramy z Wilna, Nowogródka czy Rzeszowa zostały na rozkaz Szefa Oddziału lub upoważnionego pracownika opisane w nagłówkach jako rozszyfrowane dopiero — jedno we wrześniu, inne w listopadzie, a niektóre nawet później. Sugeruje to posiadanie przez decydujących o tym ludzi jakiejś niemal „diabelskiej” wyobraźni i intuicji, że te właśnie dni a nawet godziny będą dla czegoś pożyteczne. Proste wytłumaczenie i zgodne z rzeczywistością podał w swej notatce „Archiwista”.

Nie o błędną czy niedokładną analizę chcę się tu spierać, bo wiem jest sprawa znacznie ważniejsza. Badacz czyta szereg dokumentów, których nie treść, ale strona formalna wydaje mu się dziwna, nie zna bowiem atmosfery pracy instytucji której dokumenty bada. A szczerze mówiąc, bada je tylko w takim zakresie w jakim wyda się to słuszne opiekunom archiwów. Z niewyjaśnionych zagadek dla badacza rodzi się podejrzenie przestępstwa, dobiera się człowieka, a ponieważ nie od jednego to zależy —

więc znowa, a zatem instytucja ta to siedlisko zdrajców, a może agentów przeszłego U.B. Znany to sposób rozumowania, ale nie po tej stronie bariery.

Należy jednak stwierdzić, że dobór ludzi do prac związanych z akcją w kraju zarówno przed Sosnkowskim jak i w czasie jego naczelnego dowództwa był niezmiernie rygorystyczny, uwzględniający przede wszystkim walory moralne kandydatów. Wykluczono w miarę możliwości z prac Oddz. Spec. zarówno faszystujących oenerowców czy agresywnych endeków i piłsudczyków jak również komunistów czy sympatyzujących z nimi „lewicowców”. Unikano zawodowych „dwójkarzy”. Wystarczy przejrzeć kartoteki personalne Oddz. Spec., które Utnik przekazał na zagraniczne przechowanie zanim jeszcze powstały Komisja Likwidacyjna, komitet Tataru i PKPR.

Na pytanie z czego wynikała ta dziwna procedura Oddz. Spec. łatwiej znajdzie się odpowiedź, jeśli spróbuje się udowodnić tezę, że „był to zespół patriotycznych i solidnych pracowników, zaprzysiężonych według zasad Armii Krajowej”. Do czasu rozwiązania Oddz. Spec. były stwierdzone tylko dwie zdrady — jeden skoczek oenerowiec i jeden skoczek komunista. Tezę odwrotną, że „była ta banda łobuzów kierowana przez międzynarodowego gangstera Utnika” wygłosił „Naczelnny Prokurator Odrodzonego Wojska” płk Zarakowski na procesie „generalskim” w 1951 roku w Warszawie.

*Istnieje coraz więcej przekonujących poszlak, iż gen. Tatar i jego środowisko rozpoczęło „sypać” organizację podziemną w kraju latem 1945, tzn. natychmiast po zakończeniu wojny.*

*O ile można by zrozumieć usiłowania w kierunku rozładowania podziemia poprzez akcję demobilizacyjną (dostarczenie środków materialnych ludziom konspiracji do aklimatyzacji w nowych warunkach — ubrania cywilne, odpowiednie dokumenty, pieniądze na zaczątek itd.), czego zresztą nikt nie robił, czy też poprzez akcję legalizacyjną (ujawnianie się), to wydawanie w ręce UB swoich niedawnych kolegów i podkomendnych zrozumieć jest trudno. Jakie były przesłanki prowadzące do tego „sypania”?*

„Poszlaka” jest to pojęcie z dziedziny prawa karnego niewiele mające wspólnego z dziedziną badań historycznych, które w wypadkach niezupełnie udokumentowanych stosują metodę „hipotez” mniej lub więcej prawdopodobnych. Otóż „hipoteza”, że Tatar i jego środowisko (jaki zasięg tego środowiska?) rozpoczęło latem 1945 roku „sypać” organizację podziemną w kraju (jaka

organizację, przecież AK została rozwiązana dekretem Prezydenta w styczniu 1945 roku) musi być oparta na dokumentach lub relacjach imiennych (plotki trzeba odrzucić).

W Archiwach Sztabu Głównego kierowanego przez gen. Kopańskiego i gen. Bora-Komorowskiego jako Naczelnego Wodza znajdują się raporty organizacji „Hel”. Kierował tą organizacją płk Nowicki, składając systematyczne raporty Kopańskiemu, Pełczyńskiemu i Borowi. Tatar w tym czasie był w Szkocji Szefem Artylerii 1-go Korpusu. Centrala „Hel” była zorganizowana rzeczywiście w środowisku, które nazwano „tatarowskim”, ale współpracowała z Delegatem Sił Zbrojnych w kraju płk. Rzepeckim, uznającym zwierzchnictwo Kopańskiego i Bora. Wciąganie przez „Hel” Delegatury Rzepeckiego do akcji wyborczej na rzecz Mikołajczyka w Polsce i to dopiero w 1946 roku można różnie oceniać, ale nie ma podstaw, by zakwalifikować to jako „sypanie”.

Ułatwienie dla władz bezpieczeństwa w Polsce do prześladowania i tępienia byłych członków Armii Krajowej stworzyła inna akcja zapoczątkowana w kraju po tak zwanej pierwszej amnestii: „akcja ujawniania się Batalionów Chłopskich” na polecenie Mikołajczyka, jak również równoległa z nią akcja ujawniania się Akowców zapoczątkowana przez płk. Armii Krajowej Mazurkiewicza (ps. Radosław). Do współpracy z Peperowskimi władzami weszli znacznie wcześniej od Tataru i jego środowiska Jerzy Kirchmayer, Franciszek Herman, a nieco później, po wyjściu z więzienia, Jan Rzepecki, wszyscy z Komendy Głównej AK.

*Okoliczności wyjazdu do kraju gen. Tataru i ludzi z jego środowiska są sprawą szeroko oplotkowaną, ale konkretnie mało znaną. Wszelkie źródłowe wiadomości na ten temat i na temat przeniesienia do PRL zasobów materialnych, których powiernikami byli Tatar, Utnik i Nowicki byłyby bardzo pożądane.*

Ze środowiska Tataru najwcześniej nawiązał kontakt z przedstawicielami PRL w Londynie ppłk Utnik na początku 1946 r., a później w ciągu 1946 generałowie Kutrzeba i Tatar, a w roku 1947 po likwidacji „Helu” płk Nowicki. Rozmowy prowadzono z amb. Michałowskim, Szefem Misji Wojskowej Groszem i attaché wojskowym Kuropieską. Tatar wyjechał po raz pierwszy do Polski w czerwcu 1947 roku na rozmowę z gen. Spychalskim, a Utnik był dwukrotnie w Polsce w październiku 1947 i czerwcu 1949 roku dla przeprowadzenia rozmów związanych z przekazaniem majątku Oddziału Specjalnego do Ministerstwa Obrony Na-

rodowej w Warszawie. Nowicki był w Polsce latem 1948 roku. Następny wyjazd do Polski Tatara, Nowickiego i Utnika w październiku 1949 roku zakończył się aresztowaniem i publicznym procesem w 1951 roku. Ocena zarówno procesu jak i późniejszej rehabilitacji w 1956 roku może być różnie komentowana, ale to przekracza również zakres postawionego pytania.

*I jeszcze jedno. Wiadomo, iż na skutek instrukcji otrzymanych z Oddz. Spec. centrala radiowa w Barnes Lodge korespondowała z pewnymi radiostacjami i przekazywała i odbierała pewne wiadomości, które nie były w Barnes Lodge zapisywane do żadnych ksiąg rejestracyjnych. Nie były one też przekazywane do Oddz. Spec. dalekopisem, a wysyłane specjalnym gońcem motocyklowym i dostarczane do rąk własnych pptk. Utnika. W ten sposób wiadomości te nie były nigdzie rejestrowane. Podobnie telegramy wychodzące przesyłane były gońcem od pptk. Utnika do kpt. inż. Popkiewicza z rozkazem nadania do jednej z tych tajemniczych stacji bez żadnej rejestracji, lub też z rozkazem nadania do jednej ze stacji krajowych, ale też bez żadnej rejestracji. W tym wypadku nagłówki telegramów zawierały specjalne oznaczenia.*

*Istnieje poważne podejrzenie iż jedną z nierejestrowanych korespondencji była wymiana wiadomości pomiędzy płk. dypl. Irankiem-Osmeckim w Warszawie i płk. dypl. Franciszkiem Demelem w Londynie. Czy tak?*

*Istnieją również poważne poszlaki iż do tego typu należała korespondencja pomiędzy gen. Tatarem a radiostacją na terytorium sowieckim. Barnes Lodge prowadziła tego rodzaju nierejestrowaną korespondencję z jakąś nieznaną stacją położoną bez mała na pewno na wschód od frontu sowiecko-niemieckiego. Korespondencja była regularna i punktualna, a obustronna wymiana telegramów systematyczna. Wszystkie telegramy tak odebrane jak i do nadania były przekazywane gońcem między kpt. Popkiewiczem i pptk. Utnikiem. Miało to miejsce późną wiosną i latem 1944. Z chwilą wybuchu powstania warszawskiego radiostacja ta pomimo wołania przez Barnes Lodge zamilkła. Czy rzeczywiście gen. Tatar korespondował z jakimiś władzami sowieckimi po przybyciu do Londynu?*

Sprawę korespondencji radiowej z krajem od upadku Powstania Warszawskiego do cofnięcia uznania rządowi Arciszewskiego można podzielić na trzy zagadnienia:

- Korespondencję z Komendą Główną AK — Okulickiego w Częstochowie i z Okręgami AK pod okupacją niemiecką.
- Korespondencję z nowoorganizowaną siecią radiową dla organizacji „Nie”.
- Korespondencję z resztkami komórek konspiracyjnych AK na tyłach frontu sowieckiego.

Przesyłanie przez stacje nadawcze w Barnes Lodge telegramów typu Demel-Iranek za czasów płk. Protasewicza nie było stosowane po objęciu funkcji Oddziału Specjalnego przez Utnika. Treść telegramu oraz jego oznakowanie — nadawca, adresat, data nadania — pozwoliłyby tylko niektórym pracownikom Oddz. Spec. (Utnik, Szanser, Jagiełło) na dokładne ustalenie dziś dla czego w tym wypadku ominięto normalny tok korespondencji.

W tym opisie trzeba ograniczyć się do ogólnej charakterystyki wymienionych trzech rodzajów korespondencji.

Korespondencja z Okulickim nie odbiegała w swej charakterystyce od metod z okresu dowodzenia przez Bora. Była prowadzona za zgodą Anglików do rozpoczęcia ofensywy sowieckiej w 1945 roku. Później nadawanie z Anglii było zabronione przez angielskie stacje podsłuchowe i odbywało się za pośrednictwem bazy w Latiano. Nasłuch stacji krajowych, odbiór telegramów wraz z technicznym potwierdzeniem odbioru prowadziły zarówno Barnes Lodge jak i baza w Latiano.

Korespondencja z siecią „Nie” gen. Fieldorfa rozpoczęła się jeszcze w okresie Powstania na żądanie Bora. Elementy ruchu upodobniono do sowieckich, co stwarzało większe bezpieczeństwo dla stacji krajowych, ale na zewnątrz i dla podsłuchu nasuwało przypuszczenie, że była to korespondencja ze stacjami sowieckimi. Radiostacje sieci „Nie” były rozrzucone na terenie całego kraju, a więc i na tyłach frontu sowieckiego.

Radiostacje sieci AK które uratowały się w czasie przesuwania frontu niemiecko-sowieckiego wznawiały często, na dłużej lub krócej, korespondencję z Barnes Lodge lub Latiano. W ten sposób odezwały się stacje: z Okręgu Nowogródzkiego (mjr Sędziak, ps. Warta), Białostockiego (ppłk Ściegienny, ps. Las), Podokręgu Rzeszowskiego (czynna dość długo), Podokręgu Warszawa-Wschodnia, oraz niektóre z Okr. Krakowskiego. Korespondencja ta — nie tylko nadawanie ale i odbiór — była dla nasłuchu angielskiego wykazywana jako przechodnia i nieczytelna, a od 1. I. 1945 zniknęła z wykazów Barnes Lodge, by uniknąć tłumaczenia się wobec Anglików.

Często pomijano nazwy i numery nadawców krajowych, by można było wykazać kontroli angielskiej jako łączność z terenem okupowanym jeszcze przez Niemców.



Sytuację znacznie ułatwiało istnienie ośrodka radiowego w Italii nad którym zachodni alianci nie zorganizowali tak ścisłej kontroli jak w Anglii, a z którym łączność Oddziału Specjalnego aż do lipca 1945 roku była przez Anglików tolerowana.

Jeszcze jedną wątpliwość może budzić próba Oddziału Spec. nawiązania łączności z dowództwem armii Rokossowskiego w czasie Powstania Warszawskiego. Oddział Spec. za pośrednictwem angielskiej Misji Wojskowej w Moskwie przekazał elementy ruchu jednej ze stacji w Barnes Lodge, która nadała na tych elementach kilka telegramów podając cele na terenie Warszawy do zwalczania przez lotnictwo i artylerię sowiecką. Łączności dwustronnej nie nawiązano, potwierdzenia odbioru telegramów nie otrzymano. Jedynie gen. Monter meldował z Warszawy, że niektóre z tych celów ostrzeliwała artyleria sowiecka. Trudno jednak na tej podstawie twierdzić, że adresat odebrał nadane telegramy.

„Poszlaka” o korespondencji Tatar w miesiącach maj-lipiec 1944 roku z radiostacją sowiecką jest tylko plotką, gdyż pośrednictwo Utnika, cieszącego się w tym czasie zaufaniem gen. Kopńskiego, było niemożliwe. Tatar natomiast aż do końca 1944 roku nie miał bezpośredniego kontaktu z ośrodkiem radiowym i kpt. Popkiewicz czy mjr. Lisicki nie wykonaliby rozkazu Tatar bez zameldowania o tym Utnikowi. Aby potwierdzić taką „poszlakę” trzeba by uzyskać poważne dowody.

## W. KSIĘSTWO LITEWSKIE

Wiktor SUKIENNICKI

### WILNO NA SCHYŁKU RZĄDÓW CARSKICH

#### MEMORIAŁ ROSYJSKIEGO OBERPROKURATORA

W przedrewolucyjnej Rosji prokurator sądu apelacyjnego był wysokim dygnitarzem o dużym znaczeniu politycznym. Szczególnie w Wilnie, stolicy rozległego kraju, który pomimo przeszło stu lat rządów rosyjskich był wciąż jeszcze niezasymilowany. Z wyjątkiem prawosławnych Białorusinów, zaliczanych, niezawsze zgodnie z ich wolą, do Rosjan, cała miejscowa ludność oficjalnie była uważana za obcych *inorodców* i mniej lub bardziej ograniczona w prawach. Szczególnie upośledzeni byli Żydzi, pomimo iż w ostatnich dziesięcioleciach coraz liczniej przyjmowali zewnętrzną kulturę rosyjską. Uważając, iż zasady etyczne judaizmu są rzekomo zasadniczo sprzeczne z prawosławiem stanowiącym najistotniejszą cechę rosyjskości, odmawiano uznawania ich za Rosjan, nawet wtedy gdy gorąco tego pragnęli. Była to jedna z przyczyn licznego udziału Żydów w rosyjskim ruchu rewolucyjnym.

Podjęta po pierwszym rozbiore przez Jezuitów w Połocku próba wytworzenia Rosjan-katolików nie dała spodziewanych rezultatów i przyczyniła się jedynie do szybszej rusyfikacji wschodniej Białorusi i łatwiejszej likwidacji tam Unii. Tradycyjne przeciwstawianie wiary „ruskiej” i „polskiej”, prawosławia i katolicyzmu, przetrwało rozbiory i do połowy XIX wieku ciężące ku Wilnu katolickie obszary nie tylko były potocznie nazywane „guberniami polskimi” czy „litewskimi” (co wówczas było jednoznaczne), lecz — jak ze zgorzeniem pisał w 1866 Murawiew — wielu rosyjskich dygnitarzy wciąż uważało „cały Kraj Zachodni za nierosyjski, lecz rzekomo odwiecznie (*iskoni*) polski”

(*Russkaja Starina*, 1882, str. 412). Murawiew był odmiennego zdania i od jego czasów zostało w Rosji wszystkim oficjalnie do wierzenia podane, że Wilno i cały „Kraj Zachodni” nigdy nie były polskie, lecz „odwieczne” (*iskoni*) prawosławne i zatem rosyjskie, a tylko sztucznie skatoliczone i spolszczone. Odtąd też głównym, czy nawet jedynym, zadaniem całej administracji stało się ich odpolszczenie i odkatoliczenie. Nie będąc jednak jeszcze państwem totalitarnym, a tylko policyjnym, Rosja carska z trudem przełamywała solidarny opór społeczeństwa i po kilkudziesięciu latach zdecydowała ograniczyć się na razie do „odpolszczenia katolicyzmu”.

Stosowana od 1890-tych lat nowa metoda okazała się bardziej skuteczna. Rychło rozbiła, czy co najmniej osłabiła dotychczasową spistość miejscowego społeczeństwa katolickiego i wywołała w szeregu świątyń katolickich gorszące zajścia, czy nawet krwawe bijatki, narażając na szwank wysoki dotychczas autorytet moralny katolicyzmu. Represje w stosunku do katolicyzmu jako takiego nie były przy tym zaniechane, szczególnie gdy ośmielał się przeciwstawiać ofensywie prawosławia. Gdy w 1902 roku biskup wileński, Stefan Zwierowicz, w liście pasterskim przestrzegł katolickich rodziców by nie posyłali dzieci do prawosławnych szkółek parafialnych (*cierkowno-prichodskije ucziliszcza*), został niezwłocznie administracyjnie wywieziony z Wilna do Tweri. Nie chcąc zadrażniać stosunków, Watykan przeniósł go oficjalnie do Sandomierza zaś do Wilna na jesieni 1903 wyznaczył innego biskupa.

Edward Baron von Ropp urodził się w 1851 w okolicach Dźwińska na Inflantach i był — jak w 1917 pisał pruski Litwin Johannes Wronka<sup>1</sup> — „trochę Polakiem, trochę Niemcem, trochę Litwinem, a przede wszystkim katolikiem”. Odbił studia i praktykę prawniczą w Petersburgu, następnie zaś, w wieku lat 28, wstąpił do seminarium w Kownie, gdzie opanował język litewski. Po wyświęceniu, przez przeszło lat 10 był proboszczem w Libawie, po czym w 1902 został biskupem tyraspolskim z siedzibą w Saratowie wśród Niemców Nadwołżańskich. Po przeniesieniu do Wilna usiłował prowadzić tam pracę społeczno-kulturalną, starając się o przywrócenie solidarności katolików różnych narodowości, i w 1905 zainicjował utworzenie stronnictwa katolicko-demokratycznego, z którego ramienia został wybrany do Pierwszej Dumy w 1906. Wśród Polaków stronnictwo to przeciwstawiało się cieszącemu się wówczas znacznym powodzeniem stron-

1. *Kurland und Litauen Ostpreussens Nachbarn* von Johannes Wronka, Freiburg im Breisgau, 1917, str. 113.

nictwu narodowo-demokratycznemu i zmierzało do ogarnięcia również katolików innych narodowości. Sukcesy polityczne wileńskiego biskupa zaniepokoiły władze rosyjskie, gdyż groziły podważeniem ich akcji odpolszczenia (i rozbijania) katolicyzmu, i po „przywróceniu porządku” w 1907, Ropp został administracyjnie usunięty z diecezji, podobnie jak jego poprzednik. Tym jednak razem Watykan nie poszedł na ustępstwa i odmówił mianowania innego biskupa, zlecając zarząd diecezją prałatowi Kazimierzowi Michalkiewiczowi w charakterze Administratora Apostolskiego.

Urodzony w 1865 we wsi Opaniszki powiatu Wiłkomierskiego guberni kowieńskiej, Michalkiewicz usiłował kontynuować politykę biskupa Roppa. Uważając się za „trochę” Polaka, „trochę” Litwina, „trochę” Białorusina, dążył do pojednania wszystkich katolików i był m.in. współwydawcą litewskich katolickich pism *Viltis* i *Ausra* oraz białoruskiego *Biełarus*. Nie zjednywało to mu jednak uznania i popularności. Zwalczający się nawzajem nacjonałiści żądali wyłączności i całkowitego oddania się „swojej” narodowości i zarzucali Michalkiewiczowi „renegactwo”, względnie stosowanie szczególnie perfidnych metod zmierzających do „polonizacji”.

Walka z katolicką („jezuicką”) „perfidią” i likwidowanie „polskich intryg” (*kozni*) było głównym zadaniem i troską wileńskiego oberprokuratora. Był on do tego zadania szczególnie kwalifikowany, gdyż, sądząc z brzmienia nazwiska Zamysłowski, pochodził z niegdyś polskiej i, prawdopodobnie, katolickiej rodziny. Ewakuacja z Wilna we wrześniu 1915 przerwała jego prace, na wznowienie których oczekiwał w Rosji, pozostając formalnie na swoim dawnym stanowisku i otrzymując dawne pobory. Gdy, po bolszewickim przewrocie, sytuacja w Rosji uległa zasadniczej zmianie i dalsze tam pozostawanie przestało być dla carskich prokuratorów bezpieczne, skorzystał z pierwszej możliwości po brzeskim traktacie by latem 1918 wrócić do „rodzinnego” Wilna. Po przyjeździe, stwierdził, że okupacyjna administracja niemiecka ma podobne co dawna rosyjska kłopoty z Polakami i katolikami i stosuje wobec nich analogiczne metody.

Jak to ujawnił w swoim memoriale szef niemieckiej administracji w okręgu wileńskim, rotmistrz von Beckerath, już w maju 1916 niemiecki „Głównodowodzący na Wschodzie wydał rozporządzenie by w podległych mu okręgach zwalczano wpływy polskie i przeciwstawiano im oraz popierano inne narodowości (Litwinów, Białorusinów i Żydów)”, zaś jeden z przywódców niemieckich katolików, Matthias Erzberger, w powojennych wspomnieniach pisał, że niemiecki

„aparatus administracyjny znajdował się niemal wyłącznie w rękach protestanckich i wykazywał zupełną obcość względem uczuć religijnych, tak drażliwych u uciśnionego narodu. Traktowanie miejscowego duchowieństwa stało się w licznych wypadkach wprost skandalem”. (*Erlebnisse*, str. 185).

Do „skandalu” szczególnie głośnego doszło akurat po powrocie Zamysłowskiego do Wilna. Wychodzący wówczas nielegalnie *Biuletyn Wileński*, Nr 27 z 10 lipca 1918, pisał co następuje:

#### WYWIEZIENIE Ks. ADMINISTRATORA K. MICHALKIEWICZA.

Dn. 19 czerwca o godz. 10-ej wieczorem do mieszkania Ks. Administratora zjawili się przedstawiciele władz niemieckich z oświadczeniem, iż na mocy rozkazu rządu niemieckiego Ks. Michalkiewicz zostanie wywieziony i internowany w Niemczech. Jako uzasadnienie tej decyzji podane są powody następujące:

- 1) niezyczliwy stosunek ks. Michalkiewicza do władz niemieckich;
- 2) niespełnianie rozporządzeń tychże władz;
- 3) budzenie waśni narodowościowej wśród ludności miejscowej.

Po odczytaniu rozporządzenia o wywiezieniu pozwolono ks. Michalkiewiczowi spakować rzeczy, uporządkować dokumenty i pieniądze oraz zaprosić do siebie ks. Puciato, który mógłby ewentualnie razem jechać. ... Mieszkanie ks. Michalkiewicza było otoczone przez warty wojskowe.

Rozgłos i ogólne poruszenie spowodowane przez zastosowanie do Administratora diecezji wileńskiej tak drastycznego środka skłoniły rosyjskiego Oberprokuratora do zaoferowania niemieckim kolegom swych usług jako doświadczonego w takich sytuacjach rzeczoznawcy. Oferta została przyjęta i, datowany w lipcu, memoriał, ujawniający niebezpieczeństwo polsko-katolickich perfidnych metod niezwłocznie wydrukowany przez urzędową *Wilnaer Zeitung*. Fakt, iż był napisany w obcym języku odbił się być może na jego formie, ale i treść memoriału jest na poziomie znacznie niższym, niż dotyczącego tego samego okresu memoriału Michała Romera, wydrukowanego w 17-ym *Zeszyście Historycznym*. Jest to jednak dokument historyczny stwierdzający jak stosunki i sytuacja w Wilnie były widziane i oceniane przez czynniki rządzące u schyłku rządów carskich.

Możliwie dokładny przekład z oryginału niemieckiego został dokonany bez żadnych skrótów. Liczne w oryginale ustępy rozstrzelonym drukiem podajemy *kursywą*; hasła w oryginale wyrzucone na margines grupujemy w tytułikach podrozdziałów, które w oryginale są zaznaczone większymi odstępami. Wstrzymując się od polemiki, w przypisach ograniczam się do najniezbędniejszych wyjaśnień.

Wiktor SUKIENICKI

MEMORIAŁ O STOSUNKACH POLITYCZNYCH  
W GUBERNI WILEŃSKIEJ POD PANOWANIEM  
ROSYJSKIM,

złożony po powrocie do Wilna przez byłego rosyjskiego  
Oberprokuratora SAMISŁOWSKI'ego.

Wilno, w lipcu 1918.

WSCHODNIA CZĘŚĆ GUBERNI WILEŃSKIEJ JEST  
ETNICZNIE ROSYJSKA!

Rdzenną ludnością guberni wileńskiej w części zachodniej są Litwini w części wschodniej Rosjanie w ich białoruskiej odmianie.

Przewagę mieli Rosjanie, gdyż kulturalnie górowali nad Litwinami.

Panującym wyznaniem było grecko-katolickie.

Polacy zjawili się znacznie później jako zdobywcy.

Wszystkie przechowywane w wileńskim archiwum dawne akta dotyczące administracji i sądownictwa pisane są pismem słowiańskim. W końcu XVII wieku pod polskim wpływem pismo słowiańskie zostało zastąpione łacińskim, którym pisane były wszystkie akta do roku 1793. W 1795 gubernia wileńska przypadła Rosji przy trzecim rozbiórze Polski.

Po tym gdy Polacy ugruntowali się w guberni wileńskiej na prawach zdobywcy, rozpoczęli polonizowanie kraju. Z wyższymi klasami ludności, szczególnie z właścicielami dóbr, Polacy załatwili się szybko. Litewska szlachta uległa polonizacji na skutek wyższej polskiej kultury.

Polonizacja gminu odbywała się przez kościół katolicki i zakon Jezuitów, który w 1582 założył w Wilnie polskie seminarium duchowne.

Katolicyzm zrobił olbrzymie postępy. Był on nierozdzielnie połączony z państwowością polską i ideą jagiellońską i w stosunku do Białorusinów wysunął zasadę: być katolikiem znaczy być Polakiem!

Dla ułatwienia osiągnięcia celu została wprowadzona jako stopień przejściowy Unia, to znaczy wyznanie grecko-katolickie uznające jednak zwierzchnictwo papieża. W czasach nowoczesnych, przede wszystkim Leon XIII podjął usiłowania unijne. W 1896 powołał stałą komisję złożoną z kardynałów, zadaniem

których jest znalezienie właściwych sposobów zrealizowania idei ponownego połączenia kościołów Wschodu i Zachodu.

*Polacy nie mogli pogodzić się z upadkiem Polski jako samodzielnego mocarstwa. Po nieudanej próbie przywrócenia Polski przez Napoleona, którego Polacy w 1812 roku przyjmowali w Wilnie z wielkim entuzjazmem, doszły do skutku dwa polskie powstania w 1831 i 1863. W powstaniach brało udział duchowieństwo, posiadacze dóbr oraz mieszczaństwo.*

Jeśli chodzi o chłopów to nie przyłączali się oni do powstańców widocznie dlatego, że pod panowaniem rosyjskim czuli się znacznie lepiej niż pod władzą polskich panów. W niektórych okolicach chłopci nawet więzili powstańców i wydawali ich władzom rosyjskim.

Po tym jak polskie powstanie w 1863 zostało stłumione przez Murawiewa, Rosjanie wystąpili przeciwko Polakom. Majątki uczestników powstania zostały skonfiskowane i nabywanie dóbr ziemskich przez Polaków zostało dozwolone jedynie w wypadku dziedziczenia. Skonfiskowane wówczas dobra zostały częściowo uznane za własność państwa, częściowo przekazane cerkwi prawosławnej. Część ich została oddana osobom prywatnym, bądź to jako dar za współudział w tłumieniu powstania, bądź sprzedana na wyjątkowo dogodnych warunkach za inne okazane państwu usługi. Obecnie Polacy próbują odzyskać część przynajmniej dóbr, szczególnie cerkiewnych. Próby te są jednak bezzasadne, gdyż w tym wypadku wchodzi w grę rosyjskie ustawy o przedawnieniu.

**POTAJEMNA WALKA POLAKÓW Z RZĄDEM ROSYJSKIM!  
SZPIEGOWSKA SIEĆ POLSKIEGO DUCHOWIEŃSTWA  
W WILNIE! TAJNE SZKOŁY POLSKIE! PROCESJE JAKO  
DEMONSTRACJE NARODOWO-POLITYCZNE! PRÓKLA-  
MOWANIE POLSKIEGO KOŚCIOŁA NARODOWEGO  
PRZEZ BISKUPA von der ROPPA! KSIĄDZ LUBIANIEC  
GŁOWA JEZUITÓW W WILNIE! UNIWERSYTET WILEŃ-  
SKI ROZSADNIKIEM POLONIZACJI!**

Ponieważ po 1863 Polacy czuli się zbyt słabi aby otwarcie wystąpić przeciwko rządowi rosyjskiemu, prowadzili z nim cichą potajemną walkę, zawsze skierowaną ku temu aby podtrzymać i umocnić ideę państwowości polskiej. Czołowymi osobistościami w tej walce byli duchowni, narzędzie w walce o polski język i wiarę.

Pomimo iż *zakony katolickie zostały skasowane* przez administrację rosyjską, zdołało jednak katolickie duchowieństwo, wśród którego byli również tajni Jezuici, wytworzyć z katolickich kobiet związki „*Tercjarek*” i „*Dewotek*”, które były tajnymi pół-mniszkami. Do ostatnich czasów połowa prawie wileńskich służących należała do *Dewotek*. Musiały one codziennie być w kościele, *spowiadać się* bardzo często, składać ślubu *szczególne* posłuszeństwa swym duszpasterzom i zazwyczaj zapisywały cały swój majątek Kościołowi w wierne ręce kapłana. Dzięki instytucji *Dewotek* mogli Jezuici uzyskiwać informacje o wszystkich władzach i urzędnikach i byli zawsze bieżąco poinformowani politycznie.

Ponieważ w rosyjskich szkołach państwowych duchowieństwo katolickie nie mogło wywierać potrzebnego wpływu na młodzież, zaś polskie *szkoły prywatne były zakazane*, księża zajmowali się przy pomocy polskich właściolecek dóbr oraz sił kobiecych spośród miejskiej inteligencji *nauczaniem potajemnym* i tworzeniem *tajnych szkół*. Robione to było pod pozorem zakładów dobroczynności oraz przygotowywania dzieci do spowiedzi.

*W tym nauczaniu dzieciom zaszczepiana była idea państwa polskiego nierozłącznie związanego z katolicyzmem.*

Według obowiązujących do 1905 ustaw, dzieci z małżeństw mieszanych bezwarunkowo musiały być prawosławne. Księża robili co mogli aby je chrzcili jako katolicko-polskie. Pomoc zawsze znajdowali u *polskich właścioleci dóbr*. Znalazłszy się w trudnościach ekonomicznych, właścioleci ci uzyskiwali od sąsiadów wszystko, jeśli byli katolikami, nic — gdy byli prawosławnymi.

Od 1905 rozpoczęły się ponownie katolickie procesje religijne, które przed tym były zakazane. *Owe procesje kościelne natychmiast przybrały charakter demonstracji narodowo-politycznych*. Wraz z obrazami świętych były niesione plakaty z napisem „*Zbaw Polskę*”. Matka Boska nazywana była „*Patronką korony Jagiellonów*”. Na *chorągwiach kościelnych* umieszczone były daty *polskich powstań* i rewolucji: 1831, 1863 i 1905. Niektórzy księża w kazaniach pozwalali sobie wypowiadać otwarte protesty przeciwko rosyjskiej administracji. Wypadki przymusowego nawracania na katolicyzm i duchowego terroru były coraz częstsze.

Po przywróceniu porządku, rząd rosyjski usunął *katolickiego biskupa wileńskiego*, barona Roppa, który w wydanym w 1905 roku programie partii polsko-narodowo-demokratycznej, w paragrafie 9 proklamował *polski kościół narodowy*. Paragraf ten głosił:



„Kościół katolicki jest *narodową* instytucją *Polski*. Musimy go strzec przed nieprzyjaciółmi zewnętrznymi oraz przed przenikaniem elementów antynarodowych. Ustalamy zasadę, że partia ma *stale nadzorować* zarówno politykę władz duchownych jak i obywatelską akcję kleru. *Podobnie jak inne instytucje narodowe, kościół katolicki również podlega kontroli partii*”<sup>2</sup>.

Ponadto rząd rosyjski wszczął postępowanie karne przeciwko pewnej liczbie księży i spowodował ich skazanie na więzienie. Jednakże duchowieństwo katolickie w dalszym ciągu potajemnie uważało barona *Roppa* za swego *biskupa*, gdyż ze strony papieża *nie* nastąpiło potwierdzenie jego zwolnienia i *nie* było nominacji jego następcy.

*Za głowę Jezuitów w Wilnie* uważa się, także obecnie podczas okupacji niemieckiej, księdza *Lubianca*, inspektora *wielkopolskiego*<sup>3</sup> *seminarium duchownego*.

Przysięga w sądzie składana być musiała w języku rosyjskim. Polacy odmawiający złożenia przysięgi po rosyjsku traktowani byli jako niestawiający się w sądzie i skazywani na wysokie grzywny, względnie ponosili koszty przegranych procesów.

Na *procesje kościelne* trzeba było za każdym razem uzyskiwać zezwolenie władzy świeckiej. Wszelkie emblematy o charakterze *narodowym lub politycznym* były przy tym bezwzględnie zakazane. Dlatego *Polacy* ukrywali napisy i emblematy pod szarfami, które przytwierdzali do obrazów świętych i kościelnych chorągwi. Za okupacji niemieckiej szarfy te zostały znowu usunięte.

Śpiew *hymnu polskiego* był niedozwolony, gdyż zawierał on obrazę Rosji. Z tego powodu robione były stale usiłowania dodawania do uroczystości *religijnych* charakteru *narodowo-politycznego*, chociażby tylko po kryjomu. Tak, na przykład, 2 listopada kościół katolicki święci dzień zmarłych. W dniu tym zebrani na katolickich cmentarzach Polacy co roku po modlitwach śpiewają pieśni o treści *narodowo-politycznej*. Co roku też w dniu tym na cmentarzu katolickim wysyłane były wzmocnione oddziały policji, która *rozpędzała* śpiewających gdy tylko przechodzili od *modlitwy do polityki*.

Kościóły nie były poddane specjalnej kontroli. Jednakże od czasu do czasu kazania wielkopolskich<sup>3</sup> księży były potajemnie

2. Nie zdołałem sprawdzić tej cytaty w jej oryginalnym (polskim?) brzmieniu. W każdym razie twierdzenie, że inflancki baron, inicjując partię katolicko-demokratyczną (nie „narodowo-demokratyczną”), zmierzał do Polskiego Kościoła Narodowego, jest bałamuctwem.

3. W tym i kilku innych wypadkach „grosspolsch” użyte jest w sensie „panpolonizmu” i nie oznacza prowincji wielkopolskiej.

nadzorowane dla stwierdzenia czy nie są śpiewane pieśni o treści *narodowo-politycznej*.

Podczas rewolucji 1904/5 rząd rosyjski był skłonny do *ustępstw*. Polacy domagali się w szczególności:

1. utworzenia *uniwersytetu w Wilnie*, jaki niegdyś tam istniał, lecz został zniesiony z powodu nastawienia antyrosyjskiego. Taki uniwersytet stałby się *rozsadnikiem polonizacji*.
2. wprowadzenia ziemstwa, które by wydało (w ręce) *polских właścicieli dóbr* krajowy *samorząd*.

Rząd rosyjski, nie odmawiając wówczas kategorycznie, odroczył odpowiedź w tych sprawach.

## SZKOLNICTWO! JĘZYK MACIERZYSTY! SZKOŁY ŚREDNIE!

Co się tyczy *szkolnictwa* to cały personel nauczający składał się z prawosławnych Rosjan, z wyjątkiem nauczycieli języków niemieckiego i francuskiego. Ani *Polacy* ani białoruscy katolicy nie byli dopuszczani na stanowiska nauczycielskie w kraju. Całość nauczania odbywała się w języku rosyjskim. W szkołach elementarnych nauczano czterech przedmiotów: rosyjskiego, arytmetyki, historii i religii. Religia rzymsko-katolicka nauczana była przez księdza w języku rosyjskim, zawsze w obecności rosyjskiego nauczyciela.

W 1905 zostało zezwolone nauczanie religii w języku macierzystym uczniów. Kwestia, jaki język ma być uważany za język macierzysty uczniów, była rozstrzygana przez zapytanie o to ich rodziców. *Prawie wszyscy Białorusini-katolicy odpowiadali, że ich językiem macierzystym jest polski i nauczanie Białorusinów przez polskich księży odbywało się w języku polskim*. Nauczanie Białorusinów w języku polskim wywołało jednak rychło protesty administracji oraz władz szkolnych. Przypuszczano, że odpowiedzi katolików-Białorusinów na pytanie, jaki jest ich *język macierzysty*, udzielane były *pod silnym naciskiem duchowieństwa rzymsko-katolickiego*, przechodzącym niekiedy w *groźby*. Poza tym z *nauczania religii* księża robili lekcje *języka polskiego*, choć dzieci białoruskie często go nie rozumiały. Dlatego też rosyjskie ministerstwo *oświecenia* zarządziło, że samo oświadczenie rodziców nie jest wystarczające dla ustalenia *języka macierzystego* i że mają być zbierane dodatkowe informacje w *jakim języku* mówi się

rzeczywiście w domu ucznia<sup>4</sup>. Na to zarządzenie księcia wszechpolscy<sup>3</sup> odmówili nauczania religii w języku rosyjskim. W tym tak ostro zadrażnionym stanie pozostawała sprawa języka macierzystego aż do zajęcia Wilna przez Niemców.

W szkołach średnich spór w sprawie nauczania religii miał zupełnie podobny przebieg jak w szkołach elementarnych. Poza tym w szkołach średnich było dozwolone nieobowiązkowe nauczanie języka polskiego.

Nauczanie początkowe było dopuszczalne jedynie w *szkołach państwowych* oraz *szkołach prawosławnych gmin religijnych*. *Szkoły prywatne* dla nauczania początkowego były *zakazane*. Wszystkie takie szkoły, otwierane przez *księżę* i *właścicieli dóbr*, były natychmiast *zamykane* po ich ujawnieniu.

Prywatne szkoły średnie mogły istnieć. Dla ich otwarcia, w każdym wypadku trzeba było uzyskać zezwolenie władz. Każda z takich szkół znajdowała się pod ścisłą kontrolą rządu. Całość nauczania w takich szkołach odbywała się przez rosyjskich nauczycieli i w języku rosyjskim.

## SAMORZĄD MIEJSKI I WILEŃSKI BANK ZIEMSKI! ŻYDZI! LITEWSKA JEROZOLIMA!

W ostatnich latach panowania rosyjskiego, *samorząd miejski* i *Wileński Bank Ziemski* były *twierdzami polskości*. Prawie wszyscy urzędnicy tych instytucji byli *Polakami*, aczkolwiek nie stanowili oni większości w stosunku do tak samo licznej ludności żydowskiej. Zmiana nazwy dawnego zaułka żandarmskiego na *ulicę Jagiellońską* nastąpiła prawdopodobnie bezpośrednio po objęciu miasta przez samorząd miejski.

*Politycznym zadaniem Wileńskiego Banku Ziemskiego* było niedopuszczenie do przechodzenia polskich majątków w ręce *niepolskie*. Na krótko przed wojną orzeczenie Senatu, że *sprzedawane przez bank dobra winny by, uważane za grunta sprzedawane przez Rosjan*, sprawiło bankowi poważne trudności. Polakom *zakazane* było nabywanie ziemi od Rosjan. Od tego czasu bank zaczął unikać sprzedawania dóbr, *zastępując je przez parcelację na wzór poznański*. W Wilnie bank zajmował się budową domów, które przekazywał przeważnie swoim urzędnikom, aby ich *związać mocno ze sobą oraz polską ideą*.

---

4. Analogiczne argumenty wysuwano przy kwestionowaniu odpowiedzi na pytanie o język macierzysty podczas spisów ludności za okupacji niemieckiej.

RUCH SPOŁECZNO-REWOLUCYJNY! RUCH LITEWSKI  
OD 1905! POLACY WILEŃSCY W DUMIE PAŃSTWOWEJ!  
LITWINI I DUMA PAŃSTWOWA! YCZAS! ZWYCIĘSTWO  
POLAKÓW W WYBORACH DO DUMY PAŃSTWOWEJ  
W GUBERNI WILEŃSKIEJ!

Tak jak silny jest w tym kraju ruch *narodowo-polski*, tak słaby był przed wybuchem wojny ruch społeczno-rewolucyjny wśród ludności polskiej i białoruskiej, szczególnie na wsi. Dość silna w *Warszawie* polska *partia socjalistyczna*, słynna PPS, która dokonała tylu terrorystycznych wyczynów i stanowi mieszalinę socjalizmu z polskim nacjonalizmem, ma w Wilnie nielicznych tylko zwolenników.

Od 1905 wzmocnił się litewski ruch narodowy. Rząd rosyjski, przestraszony siłą *polskości*, udzielał mu poparcia. Tak, np. biskupem kowieńskim *nie został* jak dotychczas *Polak*, lecz Litwin *Karevicius*, w stosunku do którego *Polacy* w diecezji kowieńskiej *ustosunkowali się zgóry wrogo*.

W *Dumie Państwowej* wileńscy *Polacy* tworzyli oddzielną grupę z 6-7 osób, która przybrała nazwę „Koła Polsko-białorusko-litewskiego”, chociaż w rzeczywistości miała na względzie jedynie cele *wielkopolskie*<sup>5</sup>, a bynajmniej nie białoruskie czy litewskie. *Cechą charakterystyczną* tej polityki była gotowość poparcia głosami polskimi rządu *pod warunkiem*, że rząd poczyni *koncesje w sprawach czysto narodowych polskich*. O ile można sądzić z informacji prasy, polska grupa w *niemieckim Reichstagu* stosuje *taką samą* taktykę.

Większość Litwinów (w *Dumie*) przystąpiła do grupy *socjalistycznej*, nazywającej się „Trudownikami”. Grupa ta skupiała socjal-rewolucjonistów i narodowych socjalistów. Przywódcą tej grupy w czwartej *Dumie* był *Kiereński*, w trzeciej — Litwin *Bułat*.

Pojedynczy posłowie litewscy przystępowali do lewicowych grup burżuazyjnych. *Yczas* był członkiem partii Kadetów, ksiądz *Zankaptis*<sup>5</sup> — Postępowców. Walka wyborcza toczyła się pomiędzy grupami narodowymi. *Polacy* zwalczali blok żydowsko-litewski. W *guberni wileńskiej* zwyciężyli *Polacy*, w guberni kowieńskiej *blok litewsko-żydowski*. W guberni suwalskiej, do której należą obecne powiaty mariampolski, wołkowski i władysławow-

5. Chodzi o księdza Łankajtisa — o jego wyborze w guberni suwalskiej ob. Memoriał Romera, *Zeszyty Historyczne* Nr 17, str. 100-1.

ski, zwyciężyli *Litwini*. Rosyjska ludność prawosławna *nie* brała udziału w tej walce, gdyż na mocy ustawy tworzyła *oddzielną* kurię i samodzielnie wybierała swych odrębnych przedstawicieli.

## ZYDZI W GUBERNI WILEŃSKIEJ! WILNO LITEWSKĄ JEROZOLIMĄ! TĘSKNOTA WILEŃSKICH ŻYDÓW ZA ROSJĄ!

Żydzi w guberni wileńskiej trzymają się kultury *rosyjskiej*, a nie polskiej, do której ze względu na polski antysemityzm ustosunkowują się wrogo. Przez to wileńscy Żydzi, którzy nazywają swe miasto *litewską Jerozolimą*, różnią się od Żydów warszawskich, nazywających siebie „Polakami wyznania mojżeszowego”.

Żydzi wileńscy stoją na gruncie *narodowej* kultury *żydowskiej*. Są oni prawie tak samo silni jak *Polacy*. Ruch społeczno-rewolucyjny był wśród Żydów wileńskich rozpowszechniony. Znajduje swój wyraz w partii „Bund”, związku socjal-demokratycznym żydowskich robotników Litwy i Polski. Była to partia dobrze zorganizowana, obejmująca swą działalnością cały kraj północno-zachodni. Jej komitet centralny znajdował się w Wilnie.

Ruch syjonistyczny rozpada się na trzy grupy, które się różnią pomiędzy sobą stopniem skłonności do socjalizmu.

*75.000 Żydów wileńskich mocno tęskni do powrotu Wilna do Rosji.*

SAMISŁOWSKI

Wiktor SUKIENNICKI

## POCZĄTKI OBER-OSTU I SPRAWA KONFEDERACJI W. KS. LITEWSKIEGO W 1915-1916

Rosyjski Gen. Gubernator Wieriołkin, opuszczając Wilno w nocy z 17/18. IX. 1915, zatwierdził KOMITET OBYWATELSKI w składzie 12 Polaków i 13 przedstawicieli innych trzech narodowości. Litwini, mimo opozycji prawicy, wysunęli St. Kairysa, J. Kimontasa, J. Saulysa, V. Stasinskasa i J. Vileisisa; Żydzi — syjonistę dr. J. Wygodzkiego, demokratę dr. Z. Szabada i dwóch socjalistów: J. Izbickiego i Litauera; Białorusini — A. i I. Łuckiewiczów

i W. Lastowskiego. Podobno 4-y przedstawicielem Białorusinów w Komitecie miał być niezależny socjalista Al. Zasztowt, uważający się zasadniczo za Polaka.

Pomimo nie najlepszego doświadczenia międzynarodowościowej współpracy w Komitecie Obywatelskim, na przełomie 1915/16 podjęta została inna próba zorganizowania zbiorowego wysiłku dla dobra wspólnej ojczyzny. W końcu grudnia 1915 ukazał się drukowany w językach polskim, litewskim, białoruskim i żydowskim (Yidisz) *Uniwersał Konfederacji Wielkiego Księstwa Litewskiego*. Anonimowi inicjatorzy zapowiadali w nim akcję w celu stworzenia „wspólnymi siłami” na okupowanych przez Niemców ziemiach litewskich i białoruskich, „ongiś w skład W. Ks. Lit.” wchodzących, samodzielnej „jednostki państwowej z zagwarantowaniem pełni praw wszystkim narodowościom pomienione terytorium zamieszkującym”. (Tekst w L. A. *Litwa podczas wojny*, str. 21). W lutym 1916 została wydana nowa ulotka Konfederacji, wydrukowana następnie w broszurze M. Bogdanowicza, *Białoruskie Widrodzenie*, Wiedeń 1916, str. 28-30. Zwracała się do „Obywateli”, zawierając mocne akcenty anty-rosyjskie, natomiast pokładała nadzieje w mocarstwach centralnych, uważając, że w ich interesie leży by na wyzwolonych od Rosjan ziemiach polskich, litewsko-białoruskich i nadbałtyckich zostały utworzone jednostki państwowe, pozostające „w takiej czy innej kombinacji z państwami środkowej Europy”. Pozostawiając szczegóły organizacyjne do rozstrzygnięcia powołanej w powszechnym głosowaniu Konstytuancie w Wilnie, ulotka wzywała wszystkich obywateli ziem litewsko-białoruskich do „skupienia się przy wspólnym hasle, gdyż tylko w jedności jest siła. Porzućmy kłótnie i spory, od których cierpi kraj cały... Stańmy gromadą, mocną i twardą, i zgodnie, bez różnicy stanu, narodowości czy wiary, przy sztandarze naszego wolnego kraju rodzimego, — Litwy i Białej Rusi”.

Pomimo szczerego czy też powodowanego względami taktycznymi oświadczenia się po stronie państw centralnych, władze okupacyjne, mając w stosunku do zajętych terenów odmienne plany, nie tylko nie poparły Konfederacji, lecz zdusiły ją w zarodku.

Przybyły do Wilna szef okręgu wileńskiego niemieckiej administracji okupacyjnej, rtm. von Beckerath, uznał ten Komitet za przedstawicielstwo miejscowej ludności i przez kilka miesięcy z nim współpracował. Przedstawiciele Komitetu, adw. Br. Krzyżanowski i J. Saulys, jeździli w listopadzie 1915 roku do Poznania i Berlina, gdzie uzyskali środki na pomoc dla ofiar wojny m.in. od Komitetu w Vevey (H. Sienkiewicz). Na tle podziału tych środków doszło do polsko-litewskiego konfliktu i Komitet Obywatelski zaczął się rozpadać. Podziałem pomocy z zewnątrz zaczęła się zajmować administracja niemiecka i przydzielać ją narodowościowym komitetom pomocy ofiarom wojny.

W końcu października 1915 roku przybył do Kowna gen. Lüdendorff. Jako szef Sztabu Nacz. D-cy na Wschodzie, gen. Hinden-

burga, zamierzał on po kilkunastuletniej przerwie wznowić „kulturalną akcję” Krzyżaków na Wschodzie i przystąpił do reorganizacji i centralizacji okupacyjnej administracji. Niedługo zorientował się, że nie Rosjanie, jak początkowo sądził, lecz Polacy stanowiącą będą największą przeszkodę w realizacji jego zamierzeń i zdecydował zastosować politykę *divide et impera* i nadać administracji okupacyjnej charakter antypolski, którego — szczególnie w Wilnie — dotąd nie miała. Ograniczył używanie języka polskiego (szczególnie w Kowieńszczyźnie), zmniejszył ilość poznańców jako tłumaczy itp., itd. Już 4. XI. 1915 stworzył w Sztacie Nacz. D-cy na Wsch. (*Ober Ost*) „departamenty administracyjne” jako centralną władzę dla całego terytorium i od 1. XII. zaczął wydawać w Kownie *Befehls-u. Verordnungsblatt der Ober Ost* jako quasi „Dziennik Ustaw”.

W tajnych okólnikach nakazał szefom okręgów administracyjnych ograniczyć, a potem przerwać, współpracę z komitetami obywatelskimi i Polakami w ogóle, natomiast popierać i opierać się na miejscowych narodowościach nie-polskich. W związku z niezwykle owocną akcją powstałego w Wilnie KOMITETU EDUKACJI, który z rozpoczęciem roku szkolnego uruchomił w Wilnie, nieustępującą wiele przedwojennej, rosyjskiej, sieć polskich szkół początkowych i średnich i założył na prowincji 300-400 szkół początkowych, używając rzekomo funduszy Vevey (to było tło sporu z Litwinami), zwrócono Ludendorffowi uwagę, że w podręcznikach szkolnych mówi się nie tylko o „polskim” Wilnie, ale także o „polskim” Gdańsku i Poznaniu. Oburzony, zdecydował to zlikwidować i w końcu grudnia wydał *Grundlegende Richtlinien zur Wiederbelebung des Schulwesens*, ogłoszone jako załącznik do nr. 7 „Dz. Ust.” z 28. I. 1916, Komitet Edukacji został zlikwidowany i jako jedyna władza szkolna ustanowieni niemieccy Inspektorzy Szkolni, przeważnie podoficerowie Landsturmu. Rozpoczęli oni likwidować szkoły polskie a zakładać litewskie i białoruskie.

Początkowo Niemcy nie uznawali odrębnego istnienia Białorusinów i zakazywali używania białoruskiego języka, uważając go za dialekt rosyjski. Gdy w tym samym czasie co rozporządzenie o szkolnictwie wprowadzone były obowiązujące paszporty dwujęzyczne: niemiecko-łotewskie, litewskie, polskie i żydowskie — nie było wśród nich białoruskich; wprowadziło je dopiero rozporządzenie Ludendorffa z 27 marca 1916.

Białorusinami Ludendorff zaczął się interesować gdzieś na przełomie 1915-16. Początkowo, rzekomo nie mógł ich „znaleźć”; następnie doszedł do wniosku, że jest to lud liczny, ale tak spolonizowany, że „wiele czasu minie zanim będziemy mogli coś dla nich zrobić” (*My War Memories*, London, t. I, str. 188; oryginał niemiecki, Berlin 1920, str. 145; tłumaczenie polskie u M. Sokolnickiego, *Polska w pamiętnikach Wielkiej Wojny*, str. 135). Pomimo to zdecydował wykorzystać Białorusinów w swojej antypolskiej polityce i postanowił rozpocząć wydawanie HOMAN’u.

W pierwszym okresie okupacji niemieckiej prasa obcojęzyczna nie była dozwolona. Jedyne wyjątkiem stanowił litewski *Dabartis*, redagowany przez postać do pruskiego Landtagu i rtm. rez. armii niemieckiej, Steputata-Steputajtisa, który następnie został naczelnikiem wydawnictwa prasowego w Ober Ost. *Dabartis* zaczął wychodzić w Tylży od 1 września 1915 roku, następnie został przeniesiony do Kowna i był oficjalnie wydawany przez Ober Ost. Rozporządzenie „O prasie” zostało wydane w grudniu 1915 (Dz. Ust. nr 3), ale weszło faktycznie w życie w końcu stycznia 1916, kiedy Ludendorff zdecydował wydawać *Homana*. Według rozporządzenia każda narodowość miała mieć w Ober Ost swoje pismo. Wówczas jednak gdy łotewskie *Dsimtes Sinas*, żydowskie *Letzte Nai's* i polski *Dziennik Wileński* wydawane były przez osoby prywatne, *Dabartisa* i *Homana* wydawały władze okupacyjne (*Homana* w wydawnictwie *Wilnaer Zeitung*). Redagował *Homana* podobno W. Lastowski, potem A. Łuckiewicz. Początkowo *Homan* nie miał antypolskiego charakteru i był bardzo pozytywnie oceniony przez berlińskie *Polnische Blaetter*, nr 19 z 1. IV. 1916; następnie jednak w raporcie przesłanym z Wilna do Krakowa w maju 1917 był określony jako „gazeta specjalnie używana do akcji skierowanej przeciw Polakom i polskości kraju” (*Litwa za rządów Isenburga*, str. 95).



Do maja 1916 Ludendorff sprzeciwiał się jakiegokolwiek akcji politycznej mieszkańców Ober Ost. Jednakże po wizycie wysłannika prez. Wilsona, płk. House, w Berlinie w styczniu 1916, niemieckie MSZ zdecydowało wszcząć wielką akcję propagandową, występując jako rzekomy protektor i obrońca narodów uciskanych przez Rosję. Bałtyckim baronom Roppowi i Broedrichowi oraz, w szczególności, znanemu niemieckiemu publicyście, autorowi głośnej pracy *Russland und wir*, P. Rohrbachowi, w prywatnych rozmowach z Ludendorffem na wiosnę 1916 udało się go przekonać by zezwolił Litwinom i Białorusinom z Ober Ostu na wzięcie udziału w tej akcji.

Z drugiej strony niemieckiemu posłowi w Szwajcarii i Steputowi udało się pozyskać współpracę J. Gabrysa, kierownika litewskiego biura informacyjnego w Bernie-Lausanne i wydawcy pisma *Pro Lituania*, oraz faktycznego kierownika przedwojennej *Union des Nationalités* i jej wydawnictwa. Na podstawie tajnych niemieckich dokumentów, Fritz Fischer w *Grief nach der Weltmacht*, str. 614, pisał: „...und übernahm ihn... mitsamt seiner Zeitschrift durch einen förmlichen Vertrag in deutsche Dienste”.

Niemiecka akcja propagandowa na wielką skalę rozpoczęła się w maju 1916. (W tym czasie Ludendorff już całkowicie opanował sytuację, zwolnił v. Beckeratha, zniósł odrębną administrację okręgu wileńskiego łącząc go z Suwałkami i przygotował „konstytucję” Ober Ostu, podpisaną przez Hindenburga 6. VI.



i ogłoszoną 26. VI. 1916 w „Dz. Ust.” nr 34). Pierwszym publicznym wystąpieniem był apel do Prez. Wilsona, przygotowany w Berlinie i ogłoszony 10. V. 1916 jednocześnie w Szwajcarii i Szwecji. Były pod nim podpisy 19 osób, w tym 5-ciu z Ober Ost: J. Saulys, St. Kairys i „Surguntas” (A. Smetona) w imieniu Litwinów, oraz W. Lastowski i J. Sołowej w imieniu Białorusinów; od Polaków z Gen. Gub. były podpisy W. Sieroszewskiego i M. Łempickiego. Był to krótkotrwały okres, kiedy niepodległościowcy polscy wierzyli w możliwość lojalnej polsko-niemieckiej współpracy; jeszcze 3 marca 1917 Józef Piłsudski mówił: „Lojalność za lojalność oczywista. Nie straciłem jeszcze ostatniej nadziei, że z tej mąki niemieckiej upieczą się jakiś chleb dla naszego wojska (W. Baranowski, *Rozmowy z Piłsudskim*, str. 72).

Osoby podpisane pod apelem uzyskały zezwolenie na wyjazd do Szwajcarii, gdzie 25. VI. odbył się „zjazd”, który oficjalnie powołał do życia Ligę nierosyjskich Narodów Rosji, wybierając jej prezesem Łempickiego, a sekretarzem barona Fred. Roppa. Następnego dnia wszyscy uczestnicy wzięli udział w tzw. 3-ej konferencji *Union des Nationalités*, zorganizowanej przez Gabrysa na bardzo szeroką skalę i szeroko reklamowanej. (Dwie pierwsze konferencje były w Paryżu w 1912 i 1915). Pieniądze na to były niemieckie, ale to starano się możliwie zakamufłować i nawet usiłowano nadać konferencji charakter „pro-aliancki” czy nawet „pro-polski” (Ropp). Lastowski i Sołowej na konferencji publicznie nie występowali, a w ich imieniu „sprawozdanie” składał wyznaczony przez Gabrysa Szwajcar, Brecher. Natomiast prasa doniosła, że po przemówieniu Łempickiego przedstawiciel Białorusinów (Lastowski?) publicznie się z nim ucałował na dowód „polsko-białoruskiego braterstwa”.

Kontynuując akcję propagandową, poza bardzo licznymi wydawnictwami w różnych językach „3-ej Konferencji Narodowości”, wydano w końcu 1916 i na początku 1917 w trzech językach: niemieckim, francuskim i angielskim, w Niemczech i w Szwajcarii książkę *Kennen Sie Russland*. Francuskie wydanie wyszło pod pseudonimem „Inorodetz”, do którego następnie przyznawali się zarówno Ropp jak Gabrys. Książkę opracowano i wydano pod auspicjami berlińskiego Min. Spraw Żagr. Inna działalność Ligi nie-rosyjskich Narodów nie była duża — kilka artykułów podpisanych przez Łempickiego jako jej prezesa. Planowany na luty-marzec (1917) 2-gi zjazd Ligi w Sztokholmie do skutku nie doszedł z powodu rewolucji w Rosji.

Jak z powyższego wynika akcja niemiecka od maja 1916 nie miała nic wspólnego z Konfederacją W. Ks. z grudnia 1915 - lutego 1916. Czy taka Konfederacja istotnie istniała, czy też jej „Uniwersał” i odezwa były tylko „humbug’iem”, pozostaje tajemnicą.

Litwini o tej Konfederacji nie wspominają nic, Białorusini stosunkowo dużo (ostatnio wspomina o niej W. Panucewicz w *Pamiętniku Wileńskim*, Londyn, 1973, str. 338-9) a Żydzi trochę.

M.in. na zorganizowanej w 1960 w New Yorku wystawie YIVO „Vilna. A Jewish Community in Times of Glory and in Time of Destruction” wystawiony był „Uniwersał” Konfederacji oraz zaproszenie na odczyt dr. Szabada, organizowany przez „grupę osób odczuwających potrzebę zbliżenia pomiędzy lokalnymi narodowościami”. Niestety data tego odczytu wskazana nie była. Po stronie polskiej sprawą istnienia Konfederacji zajmował się jeszcze w 1916 Wacław Studnicki. W ogłoszonym 1 maja 1916 w piotrzkowskich *Wiadomościach Polskich* (Organ Dep. Wojsk. NKN, redagowany przez prof. Kota) artykule „Głos z Litwy” pisał, że „jakaś intryga polityczna puściła w Wilnie odezwę pt. „Uniwersał”, podpisana przez bezimienną... nikomu nieznaną „Komisję tymczasową W. X. Litewskiego” i twierdził, że „przeprowadzono ankietę”, która nie zdołała jednak wyjaśnić, kto Konfederację organizował. W datowanym w Wilnie 20. IV. 1916 liście Studnicki twierdził, że poza Polakami interpelował „wpływowo partie litewskie i jednostki... 'Bund' żydowski i, zdaje się, żadna partia żydowska również z tą fikcyjną Konfederacją nic wspólnego nie mają. Białorusini także się do tego nie przyznają”.

Osobiście sądzę, że inicjatywa Konfederacji wyszła od krajowców wileńskich i była próbą stworzenia jednolitego frontu miejscowych narodowości w momencie, gdy zaczęła się ujawniać polityka Ludendorffa *divide et impera*. Ze względu na ówczesną sytuację polityczną, nie dała ona żadnych praktycznych rezultatów. Postulowany przez Niemców w ich własnym interesie rozdzwięk i antagonizmy międzynarodowościowe nie tylko nie malały, lecz wzrastały, prowadząc do wzmocnionych walk, jeśli nie wręcz wojny domowej.

Oparte na konkretnych danych wyjaśnienie, kto Konfederację zainicjował oraz kto, i w jakim stopniu, ją popierał, byłoby — moim zdaniem — bardzo pożądane.

Wiktor SUKIENNICKI

Kazimierz OKULICZ

## OPOWIEŚCI NOBLIWE I SENTYMENTALNE\*

Znamy wspomnienia różnego rodzaju i bardzo nierównej wartości. Zwykłym kryterium poczytności jest kto je napisał, o czym i jak. *Poszło z dymem* napisał książdź prałat J. S. Walerian Meysz-

\* X. Walerian Meyszowicz: *Poszło z dymem*. Gawędy o czasach i ludziach. I. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1973.

towicz, syn zamożnej rodziny szlacheckiej — „pańskiej”\*\*, jak sam ją określa — człowiek bardzo wykształcony, o wysokiej dziedzicznej kulturze, obyty z Rosją i z Europą łacińską, jej duchem i cywilizacją, dobry pisarz, patriota i żołnierz, wreszcie kapłan, dyplomata i uczonec. Czy można od pamiętnikarza oczekiwać większych kwalifikacji? Opisuje czasy 1890-1940, życie „pańskie” na rodzinnej Litwie, potem studia i działalność w Petersburgu, Wilnie i Rzymie; przesuwając przed czytelnikiem długi łańcuszek postaci obojga płci, często nazwanych zdrobniałym imieniem, z wskazaniem dworu, którego są *beati possidentes*; postacie historycznie ważne i nieważne; wśród nich znaczny poczet niewiast z trzech pokoleń, z reguły pełnych stosownych do ich pozycji cnót. Pisze barwnie, z werwą, skrótami, jak rozmowa ludzi czynnych, pełnych energii. To są naprawdę gawędy ale nie gadulstwo. Czy może być dla naszej emigracyjnej społeczności bardziej atrakcyjna lekka lektura? A w kraju, w Polsce? Wszędzie, gdzie istnieje ta *par excellence* polska warstwa, zwana inteligencją, gdzie powiewa genealogicznym snobizmem, książka będzie z pewnością bardzo poszukiwana.

Książd Meysztowicz zastrzega we wstępie, że będzie stosował zasadę *de mortuis aut bene aut nihil*, a o żyjących nie będzie pisał w ogóle nic. Krytykowi trudno akceptować tę zasadę w stosunku do rzeczy minionych, gdyż może to dać w rezultacie zupełnie opaczny obraz kraju i jego społeczeństwa. To by była klepsydra, wspomnienie pośmiertne, a nie wspomnienie świadka historii. Wskutek braku polskich źródeł do najnowszej historii tego kraju, książka księdza Meysztowicza będzie przyjęta jako poważne źródło — choćby dlatego, że autor jest poważnym i poważanym człowiekiem. Przy tym, nie skąpi ocen politycznych i warstwę „panów” dźwiga na wyżyny duchowego i politycznego przywództwa społeczeństwa polskiego na Litwie Historycznej.

Z poniższych uwag staram się wyłączyć części książki, w których jest mowa o sprawach rodzinnych i prywatnych. Bez wiel-

---

\*\* Autor używa terminów „panowie”, „pański” nie w sensie historycznym, lecz współczesnym, stosując je do wielkich właścicieli ziemskich niezależnie od rodowodu. Terminy „panowie”, „pański” w sensie historycznym odnoszą się do członków dawnej Rady Wielk książęcej i Sejmu Litewskiego. „Panami” zwali się także bojarzy, którzy urodli do większego znaczenia i uzyskali przywileje: stawania pod własną chorągwią i sądzenia ich wyłącznie przez Wielkiego Księcia. Spośród wymienionych przez W. Kamienieckiego („Społeczeństwo litewskie w XV wieku”) około stu ówczesnych rodów pańskich, istnieje jeszcze obecnie około 30-tu. Z tych zaledwie około 10 można zaliczyć do „panów” według kryterium księdza Meysztowicza.

kiego zresztą powodzenia, bo często wplatają się te sprawy w ogólne tło obyczajów i pojęć społeczeństwa, jego kultury i dojrzałości społecznej. Gdyby „Gawędy” były tylko wspomnieniami „panicza” *bene nati et possessionati* o jego dzieciństwie, o ekskluzywnych latach szkolnych, młodości i pracowitym wieku męskim — poczytność ich byłaby niemniejsza, lecz nie zabierałbym o nich głosu. Ale autor nie jest i nie chce być politycznie neutralny. Omawia prawdziwe i urojone fakty i dążenia, wypowiada swoje o nich opinie i wyroki. Z opiniami można się spierać lub nie, ale fakty zaleca się przekazywać potomności takimi, jakimi one były. Legend mamy już w naszej historii co niemiara. Jako rówieśnik (nieco starszy) księdza Meysztowicza i współpoczątkownik, czasy, które on opisuje, tamże przeżyłem, a potem pilnie je studiowałem. Nie mogę więc przemilczeć niektórych ocen i sądów autora.

Wspomnień wydanych drukiem po polsku, opisujących ludzi, stosunki i wydarzenia na Litwie, a zwłaszcza na Litwie etnicznej w pierwszych dziesiątkach lat XX wieku, jest kilka zaledwie\*. Z *Poszło z dymem* dowiadujemy się, że pamiątki Aleksandra Meysztowicza, ojca autora, z pewnością bardzo cenne, spaliły się w Bibliotece Krasińskich w Warszawie. Jest to wielka strata dla historii tego okresu. Być może, kiedyś wyrzą ze schowków i ocalałych archiwów dalsze zapiski z dramatycznych dla Polski i Litwy lat 1905-1945. Dziś książka księdza Meysztowicza, pod względem czasu i terytorium, o którym w niej mowa, jest niemal unikatem.

„Gawędy” są pisane około pół wieku po wydarzeniach i o osobach już nieżyjących. Pisał je autor lekką ręką, skutkiem czego obfitują w niezwykłą ilość błędów faktycznych. Niektóre sprostuję w dalszym ciągu tych uwag.

### *Panowie... i reszta*

Jakimże widzi autor świat swego dzieciństwa i wczesnej młodości, do którego należy wszystkimi fibrami duszy i serca? Nade wszystko jest to świat „panów” i ich wiernych sług. Za „panami” stoi murem „związana z nimi liczna szlachta”, gęsto

---

\* W 20-leciu: H. Korwin-Milewskiego, E. Wojniłowicza, częściowo W. Glinki; niewydane w PRL: K. Skirmunta, J. Osmałowskiego, E. Iwaszkiewicza, M. St. hr. Kossakowskiego, zapiski L. Wasilewskiego; na emigracji wydane St. Kościałkowskiego, Zygmunta Jundziłła, Janiny Żółtowskiej; na emigracji niewydane: E. Romera (zapewne również inne).

rozproszona po dworach, dworkach i zaściankach, oraz „z niej powstała inteligencja”. Przy słabym Mikołaju II strach przed okupantem zmalał i wszystkie te warstwy przeciwstawiały się prawdziwemu okupantowi, którym byli — zdaniem autora — „czynownicy wielcy i mali”.

„Panowie” mieli duże ambicje... Wielka własność szlachecka — pisze autor — „przetrwała wszystkie burze, z ostatnią 1863 włącznie, zachowała świadomość polityczną, wolę niepodległości”... (Czyż tylko wielka? Autor kilkakrotnie powraca do tej woli niepodległości). Istniała wówczas — pisze gdzie indziej — „świadoma sobie warstwa społeczna o starej tradycji, oparta o posiadanie ziemi”. Tworzyła ona „pewną wspólnotę rodzin, które siebie uważały za dalszy ciąg Senatu Rzeczypospolitej i miały ukrywaną lecz świadomą wolę niepodległości”. W tej warstwie „powstał program polityczny. Zawsze mający na celu niepodległość, stawiał sobie za najbliższe zadanie wzięcie rosyjskich czynowników w karby, a w dalszym etapie pozbycie się ich zupełnie. Drogą do tego miało być tymczasowe oparcie o dynastię, wzorem galicyjskich Stańczyków” (czasowy sojusz z monarchą przeciwko jego gubernatorom i „isprawnikom”?). „Szkoły, uniwersytet, organizacje gospodarcze — to wszystko były najbliższe cele; a gdzieś daleko — za horyzontem — niepodległość Rzeczypospolitej Obojga Narodów” (gdzie ten drugi partner do restaurowanego związku?). Na tym programie budowana była „polityka realna, ugodowa, (która) szła równolegle z walką zbrojną o niepodległość”. Ruch narodowo-demokratyczny i PPS pojawiły się na Litwie jednocześnie. Narodowa Demokracja tu „postawiła sprawę języka narodowego... przed sprawą niepodległości”...

„Socjaliści szli z hasłem wywłaszczania ziemi — czyli byli sami w pozycji ataku na ziemiaństwo”. „... nacjonalizm głotologiczny (językowy) wzrastał wszędzie — pisze autor — dla powodów dotąd niewyjaśnionych, więc i obudzony przez Polaków (tej zaślugi nie uświadamialiśmy sobie dotąd), poparty przez okupantów nacjonalizm litewski („litwomanią” to wówczas nazywano — zaznacza autor) wyrósł do rozmiarów lokalnej potęgi”... i nie chciał słyszeć o zgodzie z Polską”. Znalazło się miejsce w tej części wspomnień dla cesarza Mikołaja II, premiera Stolypina, Aleksandrowskiego Liceum, starowierów, lekarzy i koni.

A więc fragmenty obrazu zachodniej połowy Litwy Historycznej, zgrupowane na warstwie „panów”. Nie ma zwykłej szlachty, małej i średniej, Białorusinów, Żydów, resztek innych autochtonów, należących do mozaiki narodowościowej tego kraju. Brak

młodzieży z dworów, miast, miasteczek i wsi, rówieśnej autorki, która w owym czasie zaczęła nadawać mu żywszy kolor i szybsze tętno. Nie ma wielu wileńskich instytucji o powszechnym znaczeniu, nadających Wilnu znamię żywo pulsującego centrum życia umysłowego i kulturalnego, promieniującego na cały wielki kraj przez pielgrzymki do Matki Boskiej Ostrobramskiej, Uniwersytet, Instytut Europy Wschodniej, Bibliotekę im. Wróblewskich i inne, bogate czasopiśmiennictwo, teatry, jarmarki, obchody... Nic o ogromnej pracy społeczno-gospodarczej Józefa Montwiłła, pobieżnie o oświatowej Stanisława Kościałkowskiego i Zygmunta Nagrodzkiego, artystycznej Ferdynanda Ruszczyca. Gdzie są znakomite krajowe pióra kobiece sprzed epoki Piłsudskiego: Eliza Orzeszkowa, Helena Romer-Ochenkowska, Maria Rodziewiczówna? Konstancja Skirmuntówna?... To nie zarzuty, to raczej ubolewanie. Czyżby autor nie widział, nie zetknął się z tym wszystkim, nie nadawał temu większego znaczenia?

### *Ojciec i syn*

Duży rozdział swej pracy poświęca autor ojcu, Aleksandrowi Meysztowiczowi. W warstwie wielkoziemiańskiej, na ogół nieodznaczającej się talentami, wyróżniał się on umysłem politycznym i wytrawnością sądu, zdobył więc sobie wpływ i autorytet. Bardzo wrażliwy na genealogie i koligacje, nie nadymał się wobec tych, kogo uważał za niższych w swojej hierarchii społecznej. Miał poczucie władzy, doradców nie szukał, był zwolennikiem „silnej ręki”, hierarchii społecznej i autorytatywnego ustroju. Miał w sobie (czy chciał mieć?) coś z innego Aleksandra — Wielopolskiego. Syn wyznaje, że „patrzył w niego jak w słońce”. Nic też dziwnego, że filozofię społeczno-polityczną ojca przejął całkowicie, a działalność opisał apologetycznie. W społeczeństwie polskim była ona oceniana rozbieżnie. Kolejnymi etapami Aleksandra Meysztowicza były: Towarzystwo Rolnicze w Kownie, pomnik Katarzyny II w Wilnie, Rada Państwa w Petersburgu, Litwa Środkowa, Wileński Bank Ziemi i Ministerstwo Sprawiedliwości w Warszawie.

Towarzystwa Rolnicze w trzech guberniach zachodnich „Siewiero-Zapadnawo Kraja” były pierwszymi od powstania 1863 roku instytucjami z większością faktycznie polską i już dlatego miały cechę polityczną. Wileńskie powstało raczej przypadkowo. Jak opowiada Korwin-Milewski, w końcu XIX wieku cesarz zapytał od niechcienia gen. Trockiego, gen.-gubernatora wileń-

skiego, podczas prywatnej audiencji jak się rozwijają u niego Towarzystwa Rolnicze. „Ależ u mnie ich nie ma, Wasza Cesar-ska Mość” — odrzekł spłoszony Trocki. „To szkoda — zauważył Mikołaj II — bo Jeremołow (minister rolnictwa) powiada, że to bardzo pożyteczna instytucja”. Służbiście Trockiemu tego było dość. Zaraz po powrocie do Wilna kazał wydobyć z szaf i „nadać bieg” spoczywającej bez ruchu, wszczętej od dawna przez Polaków sprawie Towarzystwa Rolniczego. W roku 1900 powstało Towarzystwo Wileńskie, a niedługo potem Towarzystwa w Kownie i Grodnie. (Mińskie już istniało, dzięki stosunkom w Petersburgu Edwarda Wojniłowicza, później też członka Rady Państwa).

Nieudana rewolucja 1905 roku spłodziła sporo „nowinek”, które trudno już było usunąć. Między innymi, Dumę Państwową i zreformowaną Radę Państwa, do której weszli teraz członkowie z wyborów, po jednym na gubernię. A. Meysztowicz został wybrany w Kownie przez grono wielkich właścicieli ziemskich (obowiązywał bardzo wysoki cenzus majątkowy) i był członkiem Rady aż do końca jej istnienia. Ogólny bilans jego pracy w Radzie Państwa warstwa wielkoziemiańska oceniała dodatnio.

Ksiądz Meysztowicz niesłusznie bagatelizuje dzień 23 września 1904 roku, kiedy to na pryncypalnym placu wileńskim, u podnóża pomnika Katarzyny II, który miał odświeżyć cesarz, stanęło około 60-ciu (nie „zaledwie kilku”, jak notuje autor) wyfraczonych „panów” polskich. Po 40 latach ucisku i poniżania, wystawienie pomnika rozbiornicy Rzeczypospolitej w Wilnie z napisem *Ottorzennyja wozwratic* (po starosłowiańsku „oderwane przywróciłam”) było odczute jako prowokacja. Fala oburzenia i protestu przewaliła się przez całą Polskę. Zastraszeni tym niektórzy uczestnicy tchórzliwie ekskuzowali się, że „Meysztowicz nas namówił”. Wiedzano ogólnie, że był on stanowczym zwolennikiem tego kroku. Mikołaj II w ostatniej chwili odwołał swój przyjazd (rzekomo z obawy zamachu!) i wysłał swego brata W. Księcia Michała Aleksandrowicza. Zechciał on odwiedzić Ostrą Bramę. Przyjmując go, ks. biskup Ropp zaintonował „Pod Twoją Obronę”, a w przemówieniu polecał zgromadzony lud opiece „Tej, co z Ostrej świecąc Bramy, wyprowadza nas ze złych przygód...”. *Wot nacha!* — odzywali się potem członkowie świty W. Księcia.

Skrzyżowali wówczas szpady dwaj wybitni konserwatyści z dużą odwagą cywilną: Marian Zdziechowski i Aleksander Meysztowicz. „Pójść dalej w zaparcie się godności narodowej nie podobna” — pisał Zdziechowski w krakowskim *Głosie naro-*

du. Odpowiadał mu bezimiennie w broszurze „List otwarty obywatela z Litwy do prof. M. Zdziechowskiego” Meysztowicz: „Jeżeli odmówimy, zwróci to uwagę i będzie dowodem nielojalności naszej... pójść pod pomnik była to ciężka decyzja... ale przodkowie nasi już tyle, tyle stracili, a ta odmowa czy nie będzie ostatnim aktem samobójstwa?”

Z perspektywy lat 70-ciu manifestacja lojalności „panów”, zwanych podówczas ugodowcami lub „kataryniarzami”, oceniana na zimno, była po prostu zbędna, a więc politycznie błędna. W cesarstwie narastała rewolucja. Całe społeczeństwo rosyjskie żądało reform. Zabójstwo ministra spraw wewnętrznych Plehwe'go w lipcu 1904 wprawiło aparat administracyjny w przerażenie. Z Dalekiego Wschodu nadchodziły czarne wieści o klęskach na lądzie i morzu. Akt wiernopoddańczy „uciskanych Polaków” w tej konstelacji depopularyzował ich w oczach liberalnej Rosji i bynajmniej nie chronił przed stołypinowską reakcją. Gdy ugodowcy zwrócili się do min. Światopołk-Mirskiego, który ich pod pomnik ściągnął, o rekompensatę („uważając los swój za nierozłącznie związany z losem reszty Cesarstwa”, prosili o „zrównanie z innymi obywatelami rosyjskimi w prawach obywatelskich i politycznych”), nie było na to odpowiedzi. Przynajmniej wskazał wybitny ugodowiec Erazm Piltz na ogólnym zebraniu Stronnictwa Polityki Realnej w Warszawie w styczniu 1910 roku: „Rząd był najmocniej przekonany, że rozdając tytuły dworskie i ordery, już stosunek swój do tzw. ugodowców określił i uregulował...”. Uchylenie praw wyjątkowych antypolskich na Litwie nie miało z pomnikiem Katarzyny II najłżejszego związku. Ten „nowy kurs” — który ksiądz Meysztowicz ufnie przypisuje aktowi lojalności „kataryniarzy” — był skutkiem rosnącego nacisku ruchu rewolucyjnego i ogólnych reform w całym Cesarstwie. Mirski zaraz po masakrze pod Pałacem Zimowym w Petersburgu dostał dymisję. Mówili o nim Rosjanie po jego krótkich rządach: „Kazano mu zapalić świecę, a on zapalił olbrzymi stos, od którego rozpoczął się pożar”.

Rzekome sympatie polskie ks. Mirskiego ukazały się w pełnym świetle po 10 latach. Będąc członkiem *Sowieszczanja* (nara-  
dy) na temat realizacji odezwy W. Księcia Mikołaja Mikołajewicza z sierpnia 1914, wystąpił z propozycją, aby w zamian za autonomię Polski etnicznej, naród polski wyrzekł się swoich historycznych i kulturalno-narodowych aspiracji w „Zachodniej Rosji”, a zamieszkali tam Polacy „przeistoczyli się w wiernych i szczerych na miejscu przewodników rosyjskiej społeczności i państwowości”.



Książd Meysztowicz pisze o Mirskim: „Zachował jakieś polskie sentymenty. Zgoda panów z dynastią stała się jego programem”. Jak widać, tylko z „panami” — i na bardzo krótko.

Opowieść księdza Meysztowicza o Litwie Środkowej jest pełna sentymentu, ale grzeszy wielkimi nieścisłościami. Zadaniem ostatniego suwerena Litwy Środkowej A. Meysztowicza, było — po nieudanych próbach innego rozwiązania — przeprowadzenie wyborów do Sejmu, który by określił przyszły los tej niewielkiej resztki W. Księstwa z ludnością około 750 tys. głów. Wynik nie ulegał wątpliwości. Drobne grupy świadomych Litwinów i Białorusinów nie były żadnym zagrożeniem dla większości żądającej jedności z Polską. Tym gorącym Zniczem, szerzącym na cały ten kraik i zagrzewającym propolskie uczucia, było, oczywiście Wilno. Koncepcja federacyjna była niezrozumiała dla przeciętnego wyborcy, pragnącego przede wszystkim odczepić się od bolszewików i Litwinów. Hasło bezwarunkowego zjednoczenia z Polską było nie do zastąpienia przez cokolwiek bądź innego. Ale wydawany przez Litwinów po polsku *Głos Litwy* tym zawzięciej atakował władze Litwy Środkowej, obsypując je wszelkiego rodzaju oskarżeniami i nawołując do bojkotu wyborów. Cała procedura wyborcza była prowadzona nienagannie (jak i potem same wybory), ale pilnie i podejrzliwie śledzona przez gromadę dziennikarzy zagranicznych, którzy później tę nienaganność w swoich pismach uznali.

Nienawykły do demokratyczno-parlamentarnych metod, zirytowany tą kampanią Meysztowicz zarządził całą serię represji przeciwko instytucjom i działaczom litewskim i białoruskim, zarzucając im „spiskowanie” — nierealne ze względu na stosunek sił. Nie pomogły interwencje Komisji Ligi Narodów i min. Narutowicza w imieniu Rządu polskiego. „Suweren” uparł się i aresztowanych „prewencyjnie” przed dniem wyborów 33 działacze litewskich i białoruskich wysiedlił do Republiki Litewskiej. Był to zupełnie bezprawny krok, który na Komisji Ligi Narodów, dziennikarzach zagranicznych i poważnej opinii polskiej z Rządem włącznie zrobił fatalne wrażenie, a stosunki z Litwinami rozjątrzył — dając im dodatkowy argument dla odrzucenia projektu Hymansa Nr 1 w Genewie. Projekt ten — wbrew temu co pisze o nim ks. Meysztowicz — nie przewidywał federacji czy unii Litwy wileńsko-kowieńskiej z Polską lecz tylko kantonu wileńskiego z kowieńskim. Dopiero ta całość miała wejść z Polską w stosunek konfederacyjny — na podobieństwo stosunku Węgier z Austrią w byłej Monarchii Habsburskiej. „Silna ręka”

Aleksandra Meysztowicza okazała się w tym wypadku, krokiem niepraworządnym i w swoich skutkach szkodliwym.

### *Bank Ziemiński — Nieśwież*

O Wileńskim Banku Ziemińskim, potężnej przed I wojną instytucji, kierowanej przez Polaków od chwili jej powstania w końcu lat 70-tych XIX wieku, ksiądz Meysztowicz jest źle poinformowany. Po hr. Adamie Broel-Platerze — pierwszym prezesie banku, który wraz z dwoma Rosjanami, ks. Witgensteinem i hr. Zubowym potomkiem amanta obdarowanego przez Katarzynę skonfiskowanymi dobrami polskimi na Żmudzi, wyjednali w Petersburgu koncesję na ten bank, jako instrument pomocy finansowej dla wielkiej własności ziemskiej — prezesurę objął Paweł Kończa, który zmarł w czasie wojny. Po nim dopiero na to stanowisko został wybrany Aleksander Meysztowicz.

Ale już od początku lat 80-tych jednym z dyrektorów i faktycznym kierownikiem działalności banku był aż do śmierci w roku 1911 Józef Montwiłł, najpopularniejsza postać wileńska w owych latach. Zawzięty jego wróg, H. Korwin-Milewski pisze w swoich wspomnieniach: „Było mu sądzonem odegrywać przez blisko 30 lat w życiu wileńskim rolę pierwszorzędną”. Długoletni pracownik banku, Witold Godlewski, w notatce dla *Pamiętnika Wileńskiego* pisze: „Do szczytu rozwoju i znaczenia dla kraju doszedł bank za czasów, gdy w skład zarządu wszedł Józef Montwiłł... Wybitny finansista i administrator, pojmował świetnie zadania banku”. Montwiłł rozszerzył działalność kredytową banku na drobną własność i nadał mu charakter zdrowej instytucji finansowej. Pod pomnik Katarzyny II, będąc zaproszony, nie stawiał się i do klanu „panów” nie należał. Wybrany z Wilna do II Dumy Państwowej, był prezesem Koła Posłów z Litwy i Rusi, lecz złożył wkrótce mandat, pragnąc poświęcić się pracy społeczno-gospodarczej. Bankrutujący ziemianie znajdowali w banku nie tylko kredyt, ale i posady, umożliwiające spłaty długu. Wilno ufundowało Montwiłłowi pomnik przed murami po-franciszkańskimi, gdzie głównie rozwijał swoją działalność.

O bytności Marszałka Piłsudskiego w Nieświeżu u ks. Albrechta Radziwiłła kursowało moc plotek. Ksiądz Meysztowicz był tam obecny, jako jedyna osoba duchowna, ale cel Piłsudskiego ocenia niezbyt trafnie. Inicjatorem tego zjazdu był — według jego wyznania, potwierdzonego przez innych uczestników (inicja-

tywy są zawsze trudne do ustalenia) — Stanisław Mackiewicz, który pozyskał dla tego pomysłu Aleksandra Meysztowicza i ks. Eustachego Sapiechę, a w końcu i Marszałka. Okazją było dekorowanie orderem *Virtuti Militari* adiutanta Marszałka, ks. Stanisława Radziwiłła, poległego w kampanii kijowskiej 1920. Premierem był wtedy Piłsudski (a nie — jak pisze błędnie autor — Bartel) i w tym charakterze przyjechał do Nieświeża. Co gorsze, nie Meysztowicz i Niezabitowski „wzięli” teki w „pułkownikowskim” (!) rządzie Bartla — jak notuje autor — lecz Piłsudski wziął ich do swego rządu, utworzonego 2. X. 1926, trzy tygodnie przed Nieświeżem.

W Nieświeżu Marszałek chciał podkreślić swoją ponadpartyjność, niezależność od lewicy (której głosom zawdzięczał legalizację przewrotu majowego przez wybór go na prezydenta Rzeczypospolitej), odciągnąć światlejsze elementy konserwatywne od Endecji i pozyskać je dla swoich rządów. Ten cel udał się w znacznym stopniu i w następnym sejmie była już w Bloku Bezpartyjnym grupa konserwatystów, której przewodził ks. Janusz Radziwiłł.

Z biskupami było trudniej, m.in. z powodu absencji w Nieświeżu i uprzedzeń w stosunku do Marszałka miejscowego biskupa Łozińskiego. Przychylnie Piłsudskiemu osoby duchowne wyrażały podówczas opinię, że sympatyzująca endecji znaczna część episkopatu nie dowierzała ex-socjaliście, który odbył drogę z Bezdana do Nieświeża. W następnych latach rządów Piłsudskiego ten stosunek uległ zmianie.

### *Rzeczywistość*

„Gawędy” księdza Meysztowicza (zwłaszcza trzy pierwsze rozdziały) są podzwonnem, a zarazem penegirykiem warstwy wielkoziemiańskiej, „zubrów”\* czy „panów”, jak chce autor, na Litwie Historycznej, żywo napisaną fantazją o schyłkowym dwudziestolecu rządów carskich na tym obszarze. Autor rzuca jasne światła na fragmenty życia szlacheckiego w szpetnych pałacach i ładnych nieraz, lecz zaniedbanych, dworach i dworkach, przedzielających szarzynę chat wioskowych. Pokazuje staroświeckie wnętrza, zapuszczone parki, troskliwie konserwowane zaprzęgi,

\* Nazwa ta była w użyciu głównie w stosunku do właścicieli latyfundiów na Białorusi, składających się przeważnie z lasów, moczarów, wód i nieco uprawnej roli. Nieutytułowanych „panów” zwano często złośliwie „półtora szlachty”. Po konfiskatach roku 1863 wielkich latyfundiów w Litwie właściwej już przed I wojną nie było.

zanikające kolekcje sług i rezydentów. Obraz to ubarwiony przez z sentymentem spoglądające oczy autora. Spójrzmy na ten sam pejzaż z równym sentymentem, ale bez różowych okularów.

Panuje tam klimat obcej, niezdarnej, wrogiej władzy, ciężącej zakazami, powodującej martwość życia kulturalnego, zastój społeczny i gospodarczy, sprzyjający obskurantyzmowi i życiu nad stan — wszystko to jednak, przeniknięte gorącym patriotyzmem masy szlacheckiej, zapijającej w miasteczkowych szynkach i powiatowych „riestoranach” swoje troski, zgrywającej się w winta lub w „oczko”, lecz zawzięcie i nieporadnie broniącej swego kawałka ziemi przed wrogimi pazurami.

Na zachodzie Europy była wtedy w pełnym rozkwicie *la Belle Epoque*. U nas, w kraju biednym, zacofanym, ubezwłasnowolnionym, trwała dziedziczna walka o byt. Większość wszystkich warstw szlacheckich, od „panów” poczynając, chyliła się do upadku. Niemal wszystkich miał na swoim koncie dłużników Wileński Bank Ziemiański, który prowadził politykę „ratowniczą”. Przeciętny ziemianin żył nad stan, pokrywając deficyty z substancji majątkowej lub włączając w długi. Ale — trzeba nadmienić — było pomiędzy nimi sporo tęgich, pracowitych, bez fanaberii, rolników.

Ponadto, wyjątkiem byli ci, którzy mogli uzupełnić dochody lub pokryć deficyty z gospodarstwa wpływami z innych źródeł: z kapitału, nieruchomości miejskich, lub z innego zawodu, wykonywanego gdzie indziej. Gdy tych źródeł nie było, ofiarą padały lasy — za bezcen przeważnie. Gdy i tych nie stało — parcelowano kawałki gruntu pomiędzy okolicznych włościan, często powracających z Ameryki z pieniędzmi emigrantów. Ze zdziwieniem i raczej niechętnie spoglądano na budzące się dokoła ruchy narodowościowe.

Rząd rosyjski rozmyślnie trzymał sześć guberni „Siewierozapadnawo Kraja” w zaniedbaniu społecznym i gospodarczym. Uprzemysłowienie kraju nie leżało w interesie ani władzy rosyjskiej ani szlachty polskiej — z wyjątkiem przemysłu rolnego, który sprowadzał się w gruncie rzeczy do gorzelnii. Obawiano się tendencji lewicowych i emancypacji społecznej. W warstwie wielkoziemiańskiej panowała postawa obrony dotychczasowych pozycji. Dopiero gdy ruch rewolucyjny w Rosji zaczął wyduszać od rządu jedno za drugim ustępstwo, wysunięty został przez słynny memoriał 23-ch konserwatystów z Królestwa i Litwy, postulat „równouprawnienia i tolerancji”. Wypadki szybko prześcignęły ten bojaźliwy postulat, złożony ks. Mirskiemu w miesiąc po manifestacji pod pomnikiem Katarzyny II.

W tym czasie znaczna większość synów szlacheckich, studiujących na wyższych zakładach Cesarstwa, w Petersburgu, Moskwie, Kijowie, Rydze, Dorpacie lub za granicą, już odbiegła od „Okopów Św. Trójcy” swoich ojców, i wzięła udział w ogólnym ruchu wolnościowym w Cesarstwie. We wszystkich nierosyjskich jego krajach wysunięto hasło autonomii — chociaż każda grupa narodowa rozumiała je po swojemu. Na obszarze 6-ciu guberni Litwy Historycznej liczba Rosjan, według oficjalnego spisu ludności z 1897 roku, wynosiła od 1,8 do 8 procent ogółu ludności. Białorusini, Litwini, Polacy, Żydzi stanowili resztę. Dwie pierwsze z tych grup narodowych snuły marzenia o narodowej autonomii, Polacy — o wielonarodowej, w jakimś związku z Polską, a Żydzi, ze względów handlowo-gospodarczych, woleli zostać w wielkiej i liberalnej Rosji i współdziałali z ogólnym ruchem wolnościowym w Cesarstwie. Podstawy do ustalenia wspólnego celu nie było żadnej. W czasie ferworu rewolucyjnego był tylko wspólny front przeciwko caratowi i samodzierżawju. Podczas reakcji stołypinowskiej ten wspólny front rozprysnął się i każda grupa narodowa, rywalizując z innymi, poszła własną drogą do finału w roku 1939/40. O niepodległości obszaru Litwy Historycznej można było myśleć tylko w głębi własnego serca. Wśród moich rówieśników (byłem uczniem starszych klas gimnazjum) ani tym bardziej wśród starszego pokolenia nawet w zamkniętym gronie, postulatu niepodległości nie słyszałem. W roku 1908, na podstawie raczej lektury książek zakazanych, postawiłem w obowiązkowym referacie w stowarzyszeniu studenckim „Arkonja” w Rydze tezę, że Rzeczpospolita musi odzyskać niepodległość, w granicach przedrozbiorowych. Teza ta wywołała sensację wśród kolegów — co prawda, przychylną. Gdy w roku 1911 przenieśliśmy się do Uniwersytetu w Petersburgu, hasło niepodległości wśród młodzieży grało już pełnym głosem. Ale jak ona miała wyglądać terytorialnie — tego nikt wówczas nie chciał przesądzać.

### *Niepodległość?*

To wielkie słowo — niepodległość — spada z lekkiego pióra księdza Meysztowicza na stroniczki „Gawęd” niejednokrotnie. „Panowie” mieli jakoby dążyć do niepodległości Rzeczpospolitej Obojga Narodów. (Ciekawe, jaką drogą zamierzali na początku XX wieku dojść do tego celu? I jaki miał być ten drugi naród?). Swemu ojcu przypisuje autor starania o „utrzymanie Unii w drodze federacji”. (Co oznacza ta łamigłówka słowna? Czy jest to

aluzja do Litwy Środkowej? Więc po cóż aresztować jedynych partnerów tej federacji?). Narodowa Demokracja miała „zagrozić jedności narodów Wielkiego Księstwa”. (Cóż, kiedy tej jedności wówczas już nie było, a endecja jeszcze się tam „nie zaflancowała” — jak powiada Korwin-Milewski). Ale gubernator kowieński, Wieriołkin potrafił jakoby wykorzystać ją (endecję), „by stworzyć nacjonalizm litewski, a ten skierować przeciwko Polakom”.

To wszystko jest już czystą fantazją. Myślenie autora mącą wizje z dawno minionej epoki. Trudno przyjąć, że sam wierzy w to, co pisze; że odmawia Litwinom (i prawdopodobnie Białorusinom, o których w ogóle nie wspomina) prawa do odrębności narodowej; że *implicite* uważa za naturalne trwanie ich, jako amorficznej masy, na terytorium, gdzie stanowią większość; i że wyobraża sobie „Rzeczpospolitą Obojga Narodów” (czyli od Unii Lubelskiej unię realną Korony z Litwą) dalekim celem „panów” polskich na Litwie na początku wieku XX!

Ksiądz Meysztowicz przeżył dzieciństwo i młodość w stanowym, rolniczym zaniedbanym zakątku dawnej Rzeczpospolitej, rozmyślnie trzymanym przez rządy rosyjskie w zastojach. Należał do warstwy zamożnej szlachty, która za pomocą uprawiania lojalizmu, stosunków z wyższymi organami władzy i łapówek, mogła zapewnić sobie większą swobodę w życiu domowym i towarzyskim. Ta sielska idylla zapadła mu widocznie w pamięci i sercu. Któż z synów „pańskich” i niepańskich nie marzył o tym, aby siła wyższa, jakaś burza dziejowa, nienaruszająca hierarchii społecznej i stanu posiadania, uwolniła kraj od „czynowników” i przywróciła mu przynależność do wolnej Rzeczpospolitej! Gdy jednak ksiądz Meysztowicz, wprowadza do programu ugodowców w początkach XX wieku takie dążenia, wykazuje nierozumienie świata swej młodości. A już w pierwszym dziesiątku tego wieku inny, bardzo wykształcony kapłan, biskup wileński Edward Ropp starał się pojąć drogi rozwoju tego świata.

Od 1863 roku nikt nie marzył o zmianach terytorialnych na obszarze b. W. Księstwa. Niektórzy rozumieli, że przyszłość tego terytorium nie jest już częścią problemu tylko polskiego, że hasło niepodległości nie oznacza powrotu do *status quo ante*, że rosną na miejscu siły przeczące prymatowi polskiemu w tym kraju. Były to wyjątki. Synowie szlacheccy, osiadający na roli, wyszumiawszy się podczas studiów, wypatrywali sobie towarzyszkę dalszego życia „równą sobie” i wstępowali w ślady ojców. Ale wielka ilość tych, którzy szykowali się do innych zawodów na wyższych uczelniach Cesarstwa, zapełniła masowe studenckie organizacje polityczne i kulturalne. Tam, w obydwu wielkich zrze-

szeniach — „Zjednoczeniu Narodowym” i w „Związku Młodzieży Postępowej” wykuwał się pod wpływem akcji Józefa Piłsudskiego i pism Wł. Studnickiego, współczesny program niepodległościowy. Co prawda, liceistów, „prawowiedów” i „paziów” tam nie było.

Aż do upadku carskiego reżymu i rozpadu całego Cesarstwa, przedstawiciele wielkiego ziemiaństwa na Litwie Historycznej o niepodległości tego kraju, ewentualnie wspólnej z Polską, nie myśleli, a tym bardziej nie mówili. Podstawą ich stanowiska politycznego było równouprawnienie, zachowanie stanu posiadania i pozycji społecznej, oraz kultury polskiej — na użytek wewnętrzny.

Ostatnim aktem wiernopoddańczym były depeşe szlachty sześciu gubernij „Siewiero-Zapadnawo Kraja” do swoich gubernatorów, wyrażające uczucia wdzięczności za odezwę W. Księcia Mikołaja Mikołajewicza z sierpnia 1914 roku, mimo że ani treść ani intencja jej do tego obszaru zupełnie się nie odnosiła. Politykę ugodową reprezentował w Rosji świetny skądinąd tygodnik *Kraj*, wychodzący w Petersburgu i redagowany przez Piltza i Straszewicza pod patronatem — dopóki żył — najtęższego umysłu konserwatyźmu polskiego, Włodzimierza Spasowicza. Wpływ tego pisma na szlachtę — i inteligencję w ogóle — na Litwie Historycznej był przemożny, a w dziedzinie kultury i znajomości szerokiego świata zasługa jego była ogromna.

### *Urojone dziedzictwo*

W swoich wywodach autor kilkakrotnie, z naciskiem przypisuje warstwie „panów” poczucie, że „dziedziczy po senatorach RP prawo i obowiązek do rządów Wielkim Księstwem Litewskim”. Wielkie ambicje, ale puste. Najpierw, to poczucie, jeżeli istniało, było niedostrzegalne, bo go nigdy, znając wielu tych ludzi, nie zauważyłem. Secundo, Senat Rzeczypospolitej składał się przeważnie z biskupów i wyższych urzędników i nie zawsze zasługiwał na naśladownictwo. W innych warstwach ludności polskiej na Litwie Historycznej na pewno te ambicje nie znajdowały oddźwięku. Dokonywując selekcji na przewodników społeczeństwa, autor stosuje wciąż kryterium majątkowe, niepomny że wskutek konfiskat i represji po trzech powstaniach dokonało się wśród wielkiej własności ziemskiej znaczne przetasowanie. Najcięższe straty poniosły rodziny najczynniejsze i najpatriotyczniejsze. Najłatwiej było utrzymać swój „stan posiadania”, stosując politykę aktywnego lojalizmu i motywując go interesem narodo-

wym. W oczach masy ludności polskiej nie była to droga prowadząca do przywództwa politycznego.

W latach 1905-1915 kierownicza, zdaniem autora, warstwa „panów” na Litwie stanęła oko w oko z narastającymi od dawna problemami: politycznym, społeczno-gospodarczym i narodowościowym. Rewolucja 1905 roku, choć nieudana, naruszyła w całym Cesarstwie dotychczasowy zdrętwiały ustrój społeczny, wydobyła z dołów na powierzchnię życia elementy dynamiczne, nadała „Ziemstwom” charakter faktycznego przedstawicielstwa ludności. W trzech guberniach „Siewiero-Zapadnawo Kraja” (kowieńskiej, wileńskiej i grodzieńskiej) Ziemstw nie było, a próbie ich wprowadzenia w antypolskiej wersji zapobiegli polscy członkowie Rady Państwa w sojuszu z prawicą rosyjską (kierującą się zresztą innymi motywami), z A. Meysztowiczem na czele. Polacy obawiali się nie bez racji, że Ziemstwa w tych guberniach zostaną opanowane przez uprzywilejowanych Rosjan, oraz litewskich i białoruskich nacjonalistów, którym bardziej wówczas zależało na wykarczowaniu szlachty polskiej niż rosyjskich zaborców. Zastygłe, w porównaniu z Cesarstwem, życie tego kraju usiłowali ruszyć z martwego punktu Litwini — wyłącznie w swoim narodowym interesie. W grudniu 1905 zwołali do Wilna tzw. Sejm Litewski. Powodzenie było krótkie. Na wiosnę 1906 bardziej czynne rejony Litwy już plądrowały ekspedycje karne, szybko przywracając stan poprzedni i wypędzonych przez miejscową ludność urzędników rosyjskich. Polacy odnieśli się do tej ważnej politycznej inicjatywy *per non est*, żadnej własnej nie podejmując. Obawa przed rządem i litewskim ruchem narodowym kazała im zachować się beczynnie.

Nikt z tych „poczuwających się do dziedzictwa po senatorach Rzeczypospolitej” w rządzeniu tym krajem, nie miał jasnej koncepcji ułożenia stosunków z ludnością litewską i białoruską, stanowiącą większość na obszarze kowieńsko-wileńskim. (Książd Meysztowicz nawet w roku 1973 uważa ruch narodowy litewski w owym czasie za twór sztuczny). Polscy ugodowcy na Litwie, nie spodziewając się wojny, nie troszczyli się o zagadnienia wykraczające poza ich wąsko pojęte interesy narodowo-gospodarcze. Prócz spóźnionych aktów lojalności wobec chwiejącego się zaborcy, żadnej inicjatywy rozwiązania miejscowych problemów nie podjęli.

Gdy w roku 1920 sformowała się ostatecznie narodowa Republika Litewska z „czasową” stolicą w Kownie, pozostali tam więksi właściciele ziemscy („panowie” kowieńscy) poczuli się zagrożeni w swoich podstawach gospodarczych. Groziła radykalna reforma rolna z politycznym ostrzem antypolskim. Powstała



wśród pewnego ich grona myśl złożenia deklaracji, nie czekając na sejm, stawającej na gruncie nowej państwowości litewskiej i lojalnej z nią współpracy. Deklaracja tego rodzaju była rzeczywiście potrzebna z punktu widzenia ludności polskiej, która opuścić kraju nie zamierzała, i w wybranym niedługo potem sejmie została złożona przez członka frakcji polskiej, księdza Lausa. Ale inicjatorzy tej pierwszej pośpiesznej deklaracji chcieli „i Bogu postawić świeczkę i diabłu ogarek”. Wyszedł spod ich piór\* dziwoląg, który został złożony prezydentowi Smetonie i poszedł do akt. Do tego niezdarne go i dwulicowego dokumentu zgłosiło akces, podpisując go, ogółem 22 ziemian. Niektórzy, wzorem kilku „kataryniarzy”, tłumaczyli się potem nieświadomością tego co — podczas obiadu — podpisują! Nie podpisał go Aleksander Meysztowicz (działo się to przed Litwą Środkową), ani prezes Kowieńskiego Towarzystwa Rolniczego, hr. Zygmunt Komorowski, ani prezes polskiego Komitetu Wyborczego (później nieoficjalnego politycznego Komitetu Polskiego w Litwie), Eugeniusz Romer. Komitet Polski prowadził w ciągu dwudziestolecia niepodległości Litwy politykę która, stojąc lojalnie na gruncie państwowości litewskiej, reprezentowała wobec władz państwowych prawa i interesy społeczeństwa polskiego w Litwie.

### *Sylwety ludzi*

W drugiej części „Gawęd” jest mniej o polityce i o rodach, wielkich i małych, lecz więcej o ludziach — z wyboru autora. Sylwetki są rysowane tak jak on je widzi — po malarsku. To nie jest temat do krytyki. Z wyjątkiem takich ludzi, którzy zostawili po sobie coś, co weszło w kroniki dziejów tego kraju.

Nawiasowo napomknę na początku że, czytając impresje o Mikołaju II i Stołypinie, pomyślałem sobie, że słuszną byłoby rzeczą, aby ktoś z wolnych historyków polskich napisał o tych dwóch ludziach poważne studium historyczne. Nic nie jest bardziej w polskiej literaturze historycznej zaniedbane, jak znajomość wielkiego sąsiada, który tak niepomiernie silnie i złowrogo wpływa w ciągu bez mała trzech stuleci na losy Polski. „Patriotyczne” pamflety znajomości obiektywnej dać nam nie mogą. Ale ten mój apel — to wciąż głos wołającego na puszczy, jakimi były głosy Aleksandra Brücknera, Wacława Lednickiego, Mariana Zdziechowskiego i innych. Ksiądz Meysztowicz jest dla Mikołaja II-go bardzo wyrozumiały. Skłonny jest udzielić mu dyspensy za

\* Jerzego Grużewskiego, Róży Komarowej i Kazimierza Łukomskiego.

to wszystko, co za jego panowania stało się w Rosji, i przypisać winę rządowi tego okresu. Być może, Mikołaj II miał pewne cechy, dla których można by mu, jako człowiekowi, współczuć i nawet — po jego dramatycznej śmierci — litować się. Ale nad nim, jako nieograniczonym władcą wielkiego państwa, historia wydała już swój surowy wyrok ustami i piórem nie jego wrogów, lecz tychże Rosjan, zarówno liberałów jak monarchistów — że wymienię tylko nazwiska wybitnych historyków: Michała Karpowicza, Gieorgija Wernadskiego, Michała T. Fłorńskiego, Gieorgija Katkowa.

Są w ostatnich rozdziałach książki sylwetki bardzo bliskich nam ludzi. Zaczniemy od Józefa Piłsudskiego. Autor ubiera go przede wszystkim w klejnoty rodzinne jego przodków. Będąc sam najnowszą legendą dziejów polskich, Marszałek genealogicznych, dorabianych, nie potrzebuje. Odmienia natomiast autor po swojemu to, co u Poboga-Malinowskiego jest też przesadne, mianowicie, to wszystko co jest u Piłsudskiego z socjalisty, demokracji, bojowca. Marszałek posiadał cechy i te i tamte — meża stanu i wodza, jak Charlemagne, jak Napoleon, jak de Gaulle. Z działalności i skąpych wypowiedzi Marszałka nie wynika, by jego celem była Polska, jako trzecie mocarstwo pomiędzy Niemcami a Rosją. Zbyt wielkim był realistą, by snuć takie rojenia. Chciał skorzystać z wyjątkowej koniunktury, aby jeden z kamieni młyńskich ciężących nad Polską rozbić i usunąć. W trzecie mocarstwo nie wierzył.

Bezpośrednio po sylwetce Marszałka idzie Jerzy Dąmbrowski, syn oficera i sam też oficer kawalerii rosyjskiej. Być może, pasowałby on do lisowczyków XVII wieku lub oddziałów „atamana” Machno na Ukrainie w latach 1918/19. Łącząc odwagę zabijaki z okrucieństwem i bezprawiem watażki, stał na czele oddziału wileńskiego, złożonego przeważnie z „paniczów i rabusiów” — jak mówił oskarżający go dokument władz wojskowych. Walcząc z bolszewikami, rozciągał to określenie na ludność białoruską i żydowską, dopuszczając się względem niej czynów, za które został zdjęty z dowództwa i zszedł z widowni. Jego dowodzenie tym oddziałem więcej zrobiło szkody polskiemu wojsku w uczuciach i pamięci miejscowej ludności, niż pożytku dla celów wojennych na wschodzie. Że ksiądz Meysztowicz tak lekko przechodzi nad tym rozdziałem swego własnego życia, jest dla mnie niespodzianką. Ze stanowiska polityki polskiej na ziemiach Rzeczypospolitej i historii, nie jest Jerzy Dąmbrowski dodatnią pozycją owych lat, i tylko męczeńska jego śmierć może wzbudzić uczucie litości.

Spośród księży opisywanych przez księdza Meysztowicza, postacią wyższej klasy był niewątpliwie biskup wileński, potem arcybp Mohylowski, Edward Ropp. Parę razy zdarzyło mi się rozmawiać z nim dłużej, a raz byłem na urządzonym dla niego obiedzie z powodu jubileuszu wieku czy kapłaństwa. Pamiętam, że wygłoszone przez niego przemówienie nie pomijające również tematów ideologicznych, było na wskroś nowoczesne i zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Słusznie pisze o nim ksiądz Meysztowicz, że „wyprzedzał on swoje czasy o lat czterdzieści”.

Nie rozumieli natomiast idących czasów ci księża, którzy w prostocie swego narodowego ducha, ale w braku głębszego wejrzenia w rzecz samą, starali się — nielojalnie w stosunku do swego zwierzchnika — biskupa Jerzego Matulewicz, usunąć go z katedry wileńskiej. Nie słusznie twierdzi, moim zdaniem, ksiądz Meysztowicz że „było to potrzebne i dla Kościoła i dla Rzeczypospolitej”. Konserwatysta, Stanisław Mackiewicz, w jednym z ostatnich listów do mnie z 6 czerwca 1965 pisał: „... broniłem jak mogłem biskupa Matulewicz, sfałszowałem nawet ustęp deklaracji zjazdu ziemian w tego biskupa godzący, ale musiałem to odwołać na skutek prostującej depechy Sapiehy, który był prezesem tego zjazdu”.

Niesprawiedliwy jest też autor „Gawęd” w stosunku do Mackiewicza, pierwotnie swego przyjaciela, później z nim poróżnionego. Nie pojechał Mackiewicz do przedpaździernikowej Polski by „na służbę przystać”. Znałem dobrze jego motywy i nie przeczę że były między nimi i materialne. Kandydatem na świętego Mackiewicz nie był. Ale nie one zadecydowały o tym jego kroku. Kilkakrotnie, długo — ja i paru innych ludzi — odradzaliśmy mu, ale, gdy wyjechał, broniłem jego honoru i prawości intencji w Radzie narodowej przed chóralnym potępieniem. To samo uczyniłbym obecnie, po kilkunastu latach. Mackiewicz nigdy nie służył reżymowi. Chciał „między wierszami” wpływać na młodzież w duchu Rzeczypospolitej. Nie udało się. Pisał potem szkice z historii dyplomatycznej XIX wieku. Był w Londynie — witaliśmy go jak dawniej. Mówił: „Ja jestem w więzieniu ale wśród żywych ludzi, Wy jesteście na wolności, ale wśród upiórów”. Drugi raz już go nie wypuścili. Zaczął swoim ostrym piórem i łatwo rozpoznawalnym stylem pisać pod pseudonimem do *Kultury* paryskiej zdecydowanie antyreżymowe artykuły. Ostatni z nich, na krótko przed śmiercią, był atakiem, pisany z pasją przypominającą ostatnie diatryby Sołżenicyna. (Zdaję sobie sprawę, że to porównanie spotka się z protestami, niemniej go nie cofam). Był to początek otwartej ofensywy na praktyki reżymu, którą wkrótce przerwała śmierć.

Ksiądz Meysztowicz czyni mu krzywdę, pomawiając o „przejsie do nieprzyjaciela” i o służbę reżymowi. Można przypuszczać, że ten zarzut był uczuciową reakcją na rzeczywiście napastliwą odpowiedź publiczną Mackiewicza na telegraficzne „Nie”, na odmowę spotkania z nim w Rzymie. Ale czy nie należałoby się spodziewać, że ksiądz Meysztowicz, któremu wypada, w imię pokory chrześcijańskiej, świecić nam, ludziom świeckim, dobrym przykładem, ten wybuch zmarłemu przyjacielowi wybaczy i od swego niesłusznego zarzutu odstąpi?

Mackiewicz pierwszy rozpoznał duże zdolności i walory intelektualne Henryka Dembińskiego i członków jego grupy. Utrzymanie ich radykalizmu w granicach naszego wówczas ustroju i politycznego myślenia nasuwało się każdemu z nas. Mackiewicz musiał zrezygnować ze swoich prób, bo kolaboracja grupy skrajnie lewicowej z konserwą była nie do przyjęcia dla obu stron. Nie udały się też nasze — demokratów wileńskich — usiłowania by przegrodzić drogę tym młodym radykałom do komunizmu i utrzymać ją w ramach koncepcji niepodległego demokratycznego państwa, odchylanego po śmierci Piłsudskiego przez ludzi o niższym poziomie politycznym na prawo. Nie udało się. Kiedy Dembiński przyjechał do Rzymu na ideologiczne rekolekcje z ks. Meysztowiczem, jako dawnym kapłanem „Odrodzenia” katolickiego, był już prawdopodobnie sformowanym ideowo komunistą. Ksiądz Meysztowicz, uczony konserwatysta katolicki, nie mógł dać mu alternatywy stosownej do jego radykalno-lewicowych inklinacji, a do II Soboru Watykańskiego było jeszcze daleko. Złowieszczy „wiatr od wschodu” zmarnował duży talent polityczny — jeszcze jeden z ziemi W. Księstwa, Oszmiańskiej, uwiecznionej w literaturze przez Chodźków i Czesława Jankowskiego.

### *Uwagi zdziwione*

W końcu parę uwag ogólnych. W całej książce księdza Meysztowicza jest za dużo czegoś, czego nie umiem nazwać inaczej jak genealogicznym snobizmem. Autor traktuje wszystkie atrybuty, rysy i obyczaje szlachty (ale tylko zamożnej, bo do takiej wyłącznie stosuje terminy „pan”, „pański” i nią się zajmuje) ze szczególną atencją. Czytając książkę, byłem mocno zadziwiony tym jej zabarwieniem, od dawna niespotykanym w takiej proporcji. W *Europie w rodzinie* Maria Czapska opowiada o dziejach i międzynarodowych powiązaniach jej rodziny, ale sylwetki swoich autentycznych arystokratów traktuje raczej prywatnie, nie

przypisując im szczególne znaczenia dla losów Europy. Inaczej książd Meysztowicz. Wyglądają jego „Gawędy” początkowo na tzw. *hobby* autora, na jego ulubioną rozrywkę historyczną (przyznaje np. gdzieś, że zaczytywał się „Złotą księgą” bajkopisarza szlacheckiego Zychlińskiego). Ale nie! Swoich kandydatów na arystokratów (przeważnie!) wynosi do roli przodującej w kraju. Wstawki o wiernych sługach lub poczciwych sąsiadach są jakby podkreśleniem paternalistycznej wyższości nad nimi „panów”. „Gawędy” księdza Meysztowicza — to szczerzy hołd dla przeżytej epoki, uosobionej w ocalałej z klęski warstwie wielkoziemiańskiej. Czy można mieć komukolwiek za złe przywiązanie, tęsknotę do przeszłości własnego kraju i swojego kręgu społecznego, czy rodzinnego? Oczywiście, że nie. Te uczucia są powszechne, godne sympatii i zrozumiałe. Nie można tylko zatrzymać biegu życia i ewolucji jego form i pojęć. Nie można wskrzeszać przeżytych hierarchii społecznych i na ich epigonów przenosić w XX wieku funkcje przewodników społeczeństwa, a nawet budowniczych jego jutra.\*.

Kazimierz OKULICZ

---

\* Druga uwaga, korektorska: Pomimo wszelkich zalet języka i stylu, zaniedbał autor w stopniu niewybaczalnym ścisłość nazwisk, faktów, dat, itp. Lista ich jest bardzo długa. Niektóre błędy mógłby autor poprawić nawet w Rzymie, gdyby zechciał o to zadbać. Książka bardzo poczytna na obczyźnie, szczególnie tego wymaga, bo wielu służy za źródło. Kilka przykładów błędów:

Podpisaniu odezwy do Polaków w 1914 przez cesarza sprzeciwił się nie tylko on sam, ale i Rada Ministrów w celu zmniejszenia zawartego w niej zobowiązania; nie było w 1919-20 prób unii z Ukrainą; zawarto tylko sojusz; Bartel nie był członkiem grupy „pułkowników”, raczej ich przeciwwagą; A. Meysztowicz i K. Niezabytowski byli ministrami nie w rządzie Bartla, lecz w rządzie Piłsudskiego; Puszkina zabił w pojedynku nie d’Ansass, lecz d’Antès; już Łobodowski sprostował, że Mikołaj II został zamordowany nie w Orenburgu, lecz w Jekatierinburgu; no, i najłatwiej chyba było sprawdzić w rodzinie, że: Karol Bystram nie był na Politechnice ryskiej i w Arkonii, lecz studiował prawo na Uniwersytecie w Warszawie, a w Rydze i w Arkonii był jego brat Kazimierz; że siedzibą Bystramów był Bystrampol, a nie Borkłojnie, które od XVII wieku należały do Szwoyńskich; że za Butryma wyszła nie Zofia, lecz Józefa Zawiszanka; że na Teodorze i Maurycym Karpiach nie skończył się ich ród, gdyż w Polsce są dwaj synowie ich brata Benedykta; wreszcie że Arkonia w Rydze nie była „filiją Filaretów”, lecz produktem prądu tzw. pracy organicznej, przybranym w formy niemieckich korporacji akademickich w krajach bałtyckich; nie wychowawcą pokoleń ziemiańskich tylko, lecz stowarzyszeniem studenckim (korporacją) bezstanowym, zdyscyplinowaną miniaturą społeczności polskiej, hartującą charakteru silniejsze, lecz niebezpieczną dla charakterów słabych lub uległych. Ścisłe przestrzeganie organizacyjnych form i rycerskie w pewnym sensie tradycje i obyczaje ściągały do tego stowarzyszenia znaczną ilość synów szlacheckich, zwłaszcza z Litwy Historycznej i Rusi.

Wacław CHOCIANOWICZ

## SZKIC DZIEJÓW LITEWSKO-BIAŁORUSKIEJ DYWIZJI

### I

Oryginalna i dziwna nazwa dywizji, która właściwie powinna nazywać się „wileńską dywizją piechoty”, o której powiedział Marszałek J. Piłsudski w dniu 22. IV. 1922 roku w Wilnie podczas dekoracji sztandarów pułkowych tej dywizji orderem *Virtuti Militari*:

„Sama nazwa dywizji, choć do niej jesteście przywiązani, jak była nieszczęśliwą i śmieszłą; litewsko-białoruska dywizja, w której nie było ani jednego Litwina i ani jednego Białorusina, a tylko źle mówiące Polaki. Nazwa, która wywoływać mogła nieporozumienia, że została sformowana dla podboju Litwy i Białorusi!”.

Zanim jednak przejdziemy do okresu powstania tej dywizji, jej krwawych i zwycięskich walk od Lepla po Warszawę i z powrotem do Wilna rozpatrzmy po krótku wypadki polityczne, które poprzedziły jej sformowanie i miały pewien związek z jej powstaniem.



Cofnijmy się do aktu 5 listopada 1916 roku, mocą którego państwa centralne zadeklarowały dość mgliście utworzenie niepodległego państwa polskiego. Koncepcją zasadniczą tego aktu było sformowanie Polskiej Siły Zbrojnej tzw. *Polnische Wehrmacht* w oparciu o Niemcy, a mającej na celu zasilenie polskim żołnierzem niemieckich wojsk walczących na froncie zachodnim. Kadrą tworzącego się pod auspicjami niemieckimi wojska polskiego miały być istniejące przy boku Austrii legiony.

Hasło to znalazło swój oddźwięk w Wilnie, wchodzącym wówczas w obszar tzw. *Ober-Ost*, zajętego przez wojska niemieckie, a obejmującego całe terytorium b. W. Ks. Litewskiego.

Miarą reakcji społeczeństwa polskiego na hasło budowy armii

---

1. J. Piłsudski, *Pisma Zbiorowe*, t. V., str. 233.

polskiej ilustruje poniższa petycja wilnian z roku 1917 o bliżej nieustalonej dacie, skierowana do Rady Regencyjnej w Warszawie<sup>2</sup>.

Do Jaśnie Wielmożnego  
MARSZAŁKA KORONNEGO

Upraszamy J. W. Marszałka Koronnego o skierowanie naszej petycji do Wysokiej Rady Stanu, albo utworzonej przy niej komisji wojskowej.

P E T Y C J A z Wilna

My wszyscy podpisani zgłaszamy się na ochotników do wojska polskiego.

Liczba nazwisk pod tym aktem byłaby niewątpliwie większa, gdybyśmy mogli zbierać publicznie podpisy i o tej naszej petycji poinformować znajomych i obcych.

Jest naszym najgłębszym przekonaniem, że jeżeli dotychczas pomimo niesprzyjających warunków napływali z Litwy żołnierze do Legionów Polskich, przekradając się za rządów moskiewskich przez kordony rosyjskie, a następnie od chwili okupacji niemieckiej — przez kordony *Ober-Ost*'u i warszawskiego generał-gubernatorstwa, oddzielające nas od naszego serca-Warszawy, jeżeli teraz nawet, pomimo wstrętu ludności do biura funkcjonującego od niedawna przy policji niemieckiej w Wilnie, zapisało się już z górą 300 ochotników do wojska polskiego, to można nie wątpić, że z chwilą powstania u nas polskich biur werbunkowych, fala ochotników napływających do armii polskiej będzie imponująca.

A gdyby jeszcze zostały usunięte szykany cenzury *Ober-Ostu*: pozwolono na debit z Warszawy, Piotrkowa i innych miast polskich pism, książek i broszur, traktujących o pełnych sławy Legionach Polskich i o naszej przeszłości, to z Wilna i z całego kraju, ciężącego ku Wilnu i Warszawie, moglibyśmy wystawić więcej niż jeden jakiś *pułk wileński*, złożonych z samych ochotników przejętych polską ideą państwową.

My niżej podpisani nie chcemy odwlekać momentu naszego wstąpienia do Armii Polskiej, aż do chwili zmiany ciężkich warunków politycznych, w jakich się dusi ludność polska w *Ober-Oście*, odcięta od naszej stolicy państwowej — Warszawy; już teraz oddajemy się pod rozkazy naszego prawowitego rządu —

2. B. Waligóra, *Dzieje* 85 p. strzelców wileńskich, str. 4.

Wysokiej Rady Stanu i czekamy na wiadomości, gdzie i kiedy i w jaki sposób możemy być wciągnięci na listę żołnierzy polskich w tworzącym się pułku wileńskim”.

(Następują podpisy).

Petycja ta została wydrukowana wraz z artykułem Wacława Studnickiego w „Jednodniówce Wileńskiej”. W artykule tym Studnicki omawia petycję Wilnian którzy powodowani szczerym uczuciem patriotycznym, chcieli nie tylko wzmocnić polską siłę zbrojną, ale samym czynem zgłosić się z Wilna do Legionów Polskich, walczących pod sztandarem Polski Niepodległej — zaświadczyć o polskości Wilna i tendencji dośrodkowej do Warszawy.

Jak z tego widać, istniało już wówczas w Wilnie silne dążenie do wystawienia „więcej niż jeden jakiś pułk wileński”. Dalsze jednak wypadki 1917 roku zmieniły gruntownie układ sił, nastąpił kryzys w Legionach, ich rozwiązanie, uwięzienie Piłsudskiego, internowanie legionistów w Szczypiornie i Beniaminowie i całkowite załamanie planu niemieckiego. Do „*Polnische Wehrmacht*” poszła z Wilna tylko niewielka ilość ochotników, którym nie udało się wycofać z podpisanych w niemieckim biurze werbunkowym prawnych zobowiązań.

Od tego czasu polityka niemiecka na terenach b. W. Ks. Litewskiego staje się wyraźnie antypolska, następuje faworyzowanie Litwinów i pogłębianie rozłamu polsko-litewskiego.

W dniu 18. IX. 1917 roku władze niemieckie zwołały w Wilnie zjazd wyznaczonych przez nich 222 przedstawicieli Litwy, narodowości wyłącznie litewskiej. Zjazd wybrał Radę Narodową tzw. Tarybę, która z czasem miała przejąć władzę nad obszarem zajętym obecnie przez wojska niemieckie.

W Wilnie dla obrony praw ludności polskiej powstał Komitet Polski, który pomimo swych usiłowań nie doszedł do porozumienia ani z Niemcami ani z Litwinami na płaszczyźnie interesów ludności polskiej.

Przewrót w 1917 roku ułatwił utworzenie na terenie Rosji dwóch polskich korpusów: I-go gen. Dowbór-Muśnickiego w Bobrujsku i II-go gen. Michaelisa na Ukrainie.

Pokój brzeski zawarty 3. III. 1918 roku pomiędzy Niemcami a Rosją był niejako ponownym rozbiorem Polski i poruszył cały naród. Niemcy obawiając się reakcji polskich korpusów wstawili do traktatu brzeskiego warunek rozbrojenia istniejących polskich



formacji i niedopuszczenia tworzenia nowych. W rezultacie I korpus zagrożony przez Niemców skapitulował, a II korpus wraz z II-gą brygadą Legionów stoczył bitwę pod Kaniowem z Niemcami i rozpoczął tułaczkę poprzez Murmań, Syberię, Kubań.

Zresztą, sprawa rozbrojenia polskich formacji na terenie Rosji była przedmiotem dyskusji i rozmów niemiecko-sowieckich znacznie wcześniej. Już bowiem 16. I. 1918 roku w głównej kwaterze sowieckiej odbyła się wspólna narada sztabów obu naszych sąsiadów gdzie uchwalono: „Zarządzić najostrzejsze środki, aż do rozstrzelania, przeciw wojskom polskim, które poddały się przeciwrwolucyjnej i imperialistycznej propagandzie”.

Zarysowuje się więc zagrożenie od wschodu przez wojska sowieckie, które miało dwa zasadnicze elementy. Pierwszy to program rewolucji światowej, która przez Polaków miała iść na zachód, a drugi to osiągnięte porozumienie niemiecko-sowieckie na temat Polski.

Z chwilą rewolucji w Niemczech te dwa elementy stanowiły jedną zgraną całość ułatwiając bolszewikom ich posuwanie się na zachód.

W czerwcu 1918 roku po stronie sowieckiej została utworzona „dywizja zachodnia”, która formowała się w głębi Rosji w guberni tambowskiej, a której zasadniczym przeznaczeniem miało być posuwanie się w ślad za cofającymi się wojskami niemieckimi, obejmując terytorium Polski. Przejmowanie przez Rosję ziem wschodnich miało odbywać się na ogólnym kierunku Mińsk-Wilno-Kowno i być ukończone do lutego 1919 roku. W listopadzie 1918 roku w rej. Witebsk-Orsza były zgrupowane trzy dywizje sowieckie, a mianowicie:

— dywizja witebska zwaną również dywizją litewską w składzie czterech pułków piechoty wśród których był stacjonowany w Dyneburgu „wileński pułk” przeznaczony do zajęcia Wilna.

— dywizja smoleńska o trzech pułkach piechoty nastawiona na Mińsk.

— wreszcie wspomniana wyżej dywizja zachodnia, najsilniejsza, wyposażona w artylerię składającą się w pewnej ilości ze skomunizowanych Polaków, przeznaczona do walki na terenie Polski.

Niezależnie od akcji wojskowej, została rozpoczęta przez bolszewików silna działalność agitacyjna i ścisła współpraca z niemieckimi radami żołnierskimi. Zgodnie z porozumieniem niemiecko-sowieckim w miarę ewakuacji oddziałów niemieckich, te ostat-

nie przekazywały broń bolszewikom. A więc np. w Pskowie oddano Rosjanom 3.000 karabinów, 15 ciężkich karabinów maszynowych. W Dorpacie przekazano im 70 lokomotyw i 1.200 wagonów, w Mińsku 1.700 karabinów itd.<sup>4</sup>

Na odcinku wewnętrznym agenci sowieccy, za zgodą istniejących jeszcze i urzędujących władz niemieckich, prowadzili szeroką agitację, by wywołać wrażenie, że ludność miejscowa łaknie przybycia bolszewików. Porozumienie Soldatenrat w Wilnie z działaczami sowieckimi doprowadziło do utworzenia w Wilnie „Rady delegatów robotniczych”, gdzie komuniści zajęli 94 miejsca, Żydowski Bund — 60, socjal-demokratyczna partia Litwy i Białorusi — 27, socjaliści-rewolucjoniści — 7, i bezpartyjni — 7. Oczywiście była to reprezentacja sztuczna, wyłoniona z elementu napływowego i co najwyżej ze skrajnych wileńskich ugrupowań politycznych zwłaszcza żydowskich. Należy nadmienić, że P.P.S. Litwy i Białejrusi nie wchodziła do Rady jak również ogół żydowski zachował się neutralnie.

Dnia 18 grudnia 1918 roku Rada ta ogłosiła się jedyną prawną władzą w Wilnie, co obwieściła plakatami rozlepionymi na mieście. I to wszystko działo się gdy w Wilnie były władze niemieckie i popierana przez nich Taryba.

Jak z tego widać, obawy infiltracji i inwazji sowieckiej były najzupełniej uzasadnione.

## II

Jakaż była reakcja społeczeństwa polskiego na zagrożenie ze strony sowieckiej?

W Mińsku, który z natury swego położenia był zagrożony w pierwszej kolejności, powstała organizacja wojskowa pod nazwą „Stowarzyszenie samopomocy wojskowych Polaków b. korpusów”. Na czele jej stał dr Bernatowicz jako prezes, zaś członkami zarządu byli: płk F. Kobordo, p. Parafianowicz, chor. Brzozowski. Stowarzyszenie to oparło się o Radę Ziemi Mińskiej, która była politycznym przedstawicielstwem społeczeństwa polskiego. Przedstawiciel Rady W. Raczkiewicz nawiązał kontakt z Rządem Polskim w Warszawie i przywiózł dekret mianujący płka F. Kobordo dowódcą formacji samoobrony na Białejrusi.

W połowie lipca 1918 roku zjawili się w Wilnie b. wojskowi I korpusu, żołnierze Polacy z b. armii rosyjskiej, którzy zorga-

4. *op. cit.*, str. 19.

nizowali się w związek b. wojskowych Polaków z celem samopomocy.

Dnia 7. X. 1918 w lokalu „Ogniska” przy zauł. Bernardyńskim w domu p. Mohlówny odbyło się zebranie b. wojskowych, któremu przewodniczył gen. Kałkowski. Został wybrany zarząd z gen. L. Żeligowskim (będącym wówczas na Kubaniu) jako prezesem. Kpt. Bobiatyński jako zastępca, płk Borodicz wiceprezes, ppłk dr F. Świerzyński — skarbnik, ppor. Giedroyć sekretarz i pp. por. Wołowicz, Czyż i Hajdukiewicz — członkowie zarządu.

Zostały powzięte uchwały: rozszerzyć agitację na rzecz samoobrony kresów, wzmocnić akcję werbunkową, założyć filie związku na prowincji, wejść w kontakt z organizacjami społecznymi i wysłać delegację do Warszawy celem nawiązania kontaktu z Radą Regencyjną.

Postanowiono również rozszerzyć ramy związku, który wkrótce liczył 130 oficerów i ponad 500 szeregowych. Rozpoczęto ćwiczenia do których została pociągnięta za zgodą władz szkolnych młodzież starszych klas. Instruktorami na terenie szkół byli kpt. Szczerbicki i ppor. Mackiewicz.

Wkrótce powstały filie związku na prowincji, a mianowicie: w Kownie — ppłk Radziwiłłowicz, gdzie wobec nieprzyjawnego nastawienia Litwinów musiano wkrótce zaniechać prac organizacyjnych;

- w Lidzie — por. Szukiewicz;
- w Oszmianie — ppłk Kołczak;
- w Koszedarach — por. Trubicki;
- w Łyntupach — por. Dubowski;
- w Wilejce — gen. Borowski.

Mniejsze zespoły zorganizowały się w Niemenczynie i w Szyrwintach. Komitet Polski w Wilnie wyłonił Komisję Wojskową w skład której weszli pp. Maciejko, Kognowicki, Szopa i Umiasowski. Zadaniem Komisji było utrzymanie kontaktu z organizacjami wojskowymi.



Nadszedł listopad 1918 roku, w Niemczech wybuchła rewolucja, wrócił Piłsudski do Warszawy, Polska ogłosiła niepodległość, notyfikując ten fakt państwowym zachodnim. Luźne dotychczas związki samoobrony, powstałe samorzutnie na terenie b. W. Ks. Litewskiego zyskały oparcie i rozpoczęły pracę organizacyjną, tworząc oddziały wojskowe.

W ten sposób w obszarze Wilna, które stało się niejako centralą organizacji samoobrony powstały dwa pułki: wileński i lidzki, rozmieszczone jak poniżej:

- Wileński pułk* — dowódca ppłk Zubrycki;  
I batalion ppłk Jankowski — Wilno;  
II batalion ppłk Ogiński — Niemenczyn, Szumsk, Szyrwinty, Malaty;  
III batalion por. Jerzy Matarewicz — Łyntupy, Podbrodzie, Święciany, Soły;
- Lidzki pułk* — gen. Mokrzecki w Lidzie;  
I batalion por. Juniewicz — Oszmiana, Barańsk, Soły II, Bohdanowo;  
II batalion kpt. Piotr Mienicki — Lida, Szczuczyn, Bielica, Badziński;  
III batalion kpt. Zaborski — Stokliszki, Orany, Nowe-Troki, Koszedary.

◆

Wojska sowieckie posuwały się szybko i zagroziły samoobronie mińskiej, która będąc niemal bezbronna, otoczona ze wszystkich stron przez uzbrojone bandy bolszewickie, wobec zdecydowanej przewagi sowieckiej i wrogiego nastawienia niemieckiego — nie miało żadnych szans oporu. Płk F. Kobordo wyprowadził z ziemi mińskiej około 1.000 ludzi z 200 karabinami. Zasilili oni częściowo samoobronę w Wilnie, częściowo zaś przedostali się przez okupację niemiecką do Polski.

◆

W międzyczasie trwały pertraktacje dowództwa samoobrony wileńskiej z władzami niemieckimi na temat zaopatrzenia naszych oddziałów w broń. Ze strony polskiej prowadził je Komitet Bezpieczeństwa Publicznego na czele którego stanął Witold Bańkowski, a w skład którego weszli: Witold Abramowicz, Stanisław Kognowicki, Zygmunt Nagrodzki i Aleksander Zwierzyński oraz jako przedstawiciel miejscowych władz wojskowych kpt. Stanisław Bobiatyński. Odbyły się również rozmowy z przedstawicielami innych narodowości, które kategorycznie odmówiły współpracy. Natomiast Niemcy zgodziły się na pewną formę organizacji zbrojnej pod warunkiem, aby w jej skład weszli przedstawiciele wszystkich narodowości. Wobec takiego stanowiska władz niemieckich i wobec odmowy ze strony innych, dowództwo samoobrony rozpoczęło starania o pomoc władz polskich w Warszawie.

W tym celu udała się do Warszawy delegacja w składzie: gen. Władysław Wejtko i Władysław Raczkiewicz, gdzie 5. XII. 1918 roku przedstawiła Naczelnikowi Państwa swoje postulaty, a mianowicie:

- a) przysłanie polskich regularnych oddziałów wojskowych do Wilna,
- b) zaliczenie żołnierzy samoobrony jako żołnierzy wojska polskiego,
- c) zaopatrzenie w pieniądze,
- d) przysłanie do Wilna delegata rządu polskiego, który by z jego ramienia prowadził pertraktacje z Niemcami.

Postulaty te z wyjątkiem przysłania oddziałów wojskowych zostały spełnione. Dekretem z dnia 8. XII. 1918 roku generał W. Wejtko został przyjęty do wojska polskiego i wyznaczony na dowódcę wszystkich formacji „samoobrony Litwy i Białorusi” oraz wszystkich oddziałów wojskowych i milicyjnych na tamtym terenie. Zaliczono również wszystkich żołnierzy samoobrony do składu wojska polskiego.

Jako przedstawiciel rządu polskiego przyjechał do Wilna rtm. Olgierd Górka, przywożąc pieniądze na potrzeby samoobrony. Ale pertraktacje jego z dowództwem niemieckim utknęły na martwym punkcie. W grudniu zjawił się w Wilnie jako mianowany przez Naczelne Dowództwo szefem sztabu gen. W. Wejtko, kpt. Klingier, który okazał się fatalnym wyborem.

W końcu grudnia od strony Mińska posuwały się ku Wilnu oddziały sowieckie, a w samym Wilnie komuniści, zaopatrzeni w broń przez Niemców zajęli gmach klubu rzemieślniczego przy ul. Wroniej wraz z sąsiadującym domem, silnie je umocnili i przygotowali się do obrony.

W noc sylwestrową 1918 roku Niemcy opuścili Wilno, a samoobrona wileńska stała się panem miasta. Rozpoczęła się walka o tzw. wronie gniazdo, czyli ów komunistyczny punkt oporu na ul. Wroniej, zakończona poddaniem się komunistów.

Podczas, gdy oddziały stacjonowane w Wilnie zajęte były walką na froncie wewnętrznym — jednocześnie rozpoczęła się walka na przedpolu Wilna z przeważającymi siłami bolszewickimi, które spychały nasze słabe oddziały. Nastąpiły kilkudniowe walki i dnia 5 stycznia wieczorem wojska sowieckie zajęły przedmieście Antokol, część Zarzeczca i górę Trzykrzyską skąd ostrzeliwały koszary samoobrony. Jednocześnie nadeszła wieść z Warszawy, że nie można liczyć na przybycie jakiegokolwiek odsieczy.

W tej sytuacji na prośbę delegacji miejskiej, która chciała uchronić miasto przed możliwymi represjami bolszewickimi —

zdecydowano przerwać działania wojenne i wycofać się w kierunku na Landwarowo.



Wycofanie z Wilna odbyło się dość chaotycznie i po dojściu do Waki zostały nasze oddziały zatrzymane przez Niemców i rozbrojone po czym przetransportowane do Łap, skąd w składzie 123 oficerów i 1.169 szeregowców odeszły do Ostrowi Mazowieckiej gdzie zasilły szeregi I Litewsko-Białoruskiej Dywizji<sup>5</sup>.

Inny oddział, por. Bolcewicz, przybył do Landwarowa już po odjeździe rozbrojonych oddziałów, załadował się do pociągu idącego do Kowna, gdzie zwerbował garść ochotników i po tygodniu tułaczki na Litwie przez Prusy Wschodnie doszedł do Ostrowi Mazowieckiej.

Jedna z kompanii samoobrony sformowana w Ginejczkach pod dowództwem por. Trubickiego maszerowała na pomoc do Wilna, jednak wobec zajęcia miasta przez bolszewików, skierowała się na Olitę, gdzie została rozbrojona przez Niemców, po czym przez Sejny i Suwałki przybyła również do Ostrowi Mazowieckiej.

Natomiast II batalion por. Kaczkowskiego z rtm. Dąbrowskim nie poszedł na Wakę przez co uniknął rozbrojenia i działając przez szereg tygodni, jako oddział partyzancki, między bolszewikami i Niemcami, ostatecznie przedostał się na terytorium Polski.

Wreszcie mały oddział kpt. Kątkowskiego, który wycofał się ostatni z Wilna ze sprzętem technicznym, podążył na własną rękę przez Orany-Lejpuny-Dąbrowę-Strękową Górę do Zambrowa przeprowadzając cały tabor w porządku.

### III

Kiedy tak po stronie sowieckiej formowały się dywizje o specjalnym politycznym nastawieniu jak dywizja zachodnia, oraz dywizja witebska przemianowana wkrótce na litewską u J. Piłsudskiego powstała myśl utworzenia litewsko-białoruskiej dywizji. Znał on doskonale położenie na Ziemiach b. W. Ks. Litewskiego i jak sam powiedział w jednym ze swych odczytów w Wilnie w 1923 roku:

---

5. lit.-biał. dywizja to będzie skrót litewsko-białoruska dywizja.

„Nie mogąc odciągnąć sił od Lwowa, zająłem się zorganizowaniem wojska z emigrantów, stworzyć bowiem chciałem jednostkę bojową swoistą, o zadaniach na Wilno przeznaczoną”.

Dnia 26. XI. 1918 roku wyszedł rozkaz z Naczelnego Dowództwa do gen. Iwaszkiewicza mianujący go dowódcą lit.-biał. dywizji, którą Naczelne Dowództwo Wojsk Polskich zamierza utworzyć przy pomocy Komitetu Obrony Kresów Wschodnich.

Na podstawie otrzymanych ze sztabu generalnego instrukcji wydany został przez gen. Iwaszkiewicza projekt organizacji tej dywizji. Według tej koncepcji, zatwierdzonej przez Naczelne Dowództwo, dywizja miała składać się początkowo z trzech dwupułkowych brygad, a mianowicie:

- I brygada — pułki suwalski i kowieński,
- II brygada — pułki grodzieński i białostocki,
- III brygada — pułki wileński i miński.

W miarę dalszego rozwoju dywizji tj. z chwilą wkroczenia na Litwę i Białoruś miały się sformować jeszcze trzy pułki tj. lidzki, ślucki i nowogródzki jako uzupełnienie do trzypułkowych brygad.

Niezależnie od piechoty, dywizja miała posiadać pułki kawalerii: zaniemeński, grodzieński, wileński i litewski oraz odpowiednio liczną artylerię, oddziały techniczne i wyposażenie tyłowe. Jak z tego widać, miał to być raczej korpus i to nawet jak na owe czasy dość silny.

Rezerwuarem siły ludzkiej dla dywizji miały być już istniejące organizacje wojskowe tzw. „samoobrony” na terenie b. W. Ks. Litewskiego obejmujące b. gubernie: wileńską, kowieńską, mińską, grodzieńską i suwalską oraz formujące się w tym celu oddziały na terenie Królestwa w Łapach i Szczuczynie. Poza tym, uzupełnienie było pomyślane w drodze zaciągu ochotniczego i to wyłącznie z ochotników pochodzących z Ziemi Wschodnich. Ten postulat w miarę formowania się nowych pułków tej dywizji nie został dotrzymany i niektóre pułki miały nie tylko ochotników z rdzennej Polski, ale nawet z czasem dostały rekrutów pochodzących z województw centralnych lub z Małopolski.

W dniu 12. XII. 1918 roku zostało utworzone w Warszawie biuro werbunkowe, a na miejsce organizacji dywizji wyznaczono Zambrów i Ostrowia Mazowiecka. Właśnie tam zostały skierowane oddziały samoobrony mińskiej, wileńskiej i grodzieńskiej, które dały początek późniejszym pułkom dywizji.

Patronat nad formowaniem lit.-biał. dywizji objął „Komitet Obrony Kresów” utworzony w Warszawie. Rzecz ciekawa, że

koszta związane z wystawieniem tej dywizji miały być pokryte w pewnej części przez ten Komitet, co nadawało całemu przedsięwzięciu specjalny posmak. Mówi o tym pkt. 7-my projektu gen. Wacława Iwaszkiewicza<sup>7</sup>:

„Na potrzeby dywizji Komitet Obrony Kresów projektuje wydać zebrane już 20 milionów marek. Wydawanie tych pieniędzy jest przewidziane przez Komitet po wkroczeniu na Litwę. Suma ta doprowadzona będzie do 70 milionów marek. Komitet Obrony Kresów liczy, iż z chwilą doprowadzenia skarbu państwa do stanu należytego i rozwiązania pomyslnego kwestii Litwy i Białejrusi sumy powyższe będą zwrócone”.



Zobaczymy z kolei jak się przedstawiał stan osobowy tej dywizji. Niestety, brak jest materiałów dotyczących całej lit.-biał. dywizji, a jedynie dostępne nam źródła odnoszą się do wileńskiego pułku piechoty. Niemniej jednak bez popełnienia większego błędu można te dane przyjąć za przeciętne dla całej dywizji, eliminując oczywiście późniejsze uzupełnienia względnie pułki formowane w drugiej kolejności.

Na liczbę przeszło 2.000 ochotników w wileńskim pułku strzelców pochodziło:

z Ziemi Wschodnich . . . . .	1.761
z Kongresówki . . . . .	206
z Rosji . . . . .	57
z zaboru niemieckiego . . . . .	15
z zaboru austriackiego . . . . .	9

Jeżeli przeanalizujemy liczbę ochotników z Ziemi Wschodnich to okaże się, że pochodziło:

z Wilna . . . . .	523
z powiatu wileńskiego . . . . .	561
z m. Oszmiany i powiatu . . . . .	318
z powiatu trockiego . . . . .	85
z powiatu święciańskiego . . . . .	92
z Grodna . . . . .	27
z Suwalszczyzny . . . . .	16
z Mińszczyzny . . . . .	49
z Kowieńszczyzny . . . . .	90

7. B. Waligóra, *op. cit.*, str. 27.



Stosunkowo małą ilość ochotników w wileńskim pułku, pochodzących spoza Wileńszczyzny tłumaczy się tym, że dążyli oni raczej do swoich pułków miejscowych, a jedynie drobny ich odsetek, z tych czy innych powodów został wcielony do wileńskiego pułku.

Rozpiętość wieku ochotników wahała się od rocznika 1871 (jeden) do rocznika 1904 (dwóch). Gros jednak przypada na roczniki:

1901 .....	17,5 %
1900 .....	16,0 %
1899 .....	10,0 %

a więc ponad 43 % to kwiat młodzieży ziem wschodnich.

Pod względem wyznaniowym statystyka wyglądała nieco inaczej:

rymsko-katolików .....	1.956
prawosławnych .....	77 (z pow. oszmiańskiego)
mojżeszowego wyznania ...	11
ewangelickiego wyznania ..	4 (z Inflant)



Organizacja dywizji postępowała powoli i stopniowo ulegała zmianom. Trudno było tworzyć specjalną jednostkę odbiegającą pod względem organizacyjnym od schematu całości formującego się wówczas wojska polskiego, a więc z konieczności należało ją uporządkować i podporządkować istniejącym etatom organizacyjnym. Z drugiej strony wymagania bojowe nie pozwoliły na całkowite ukończenie prac organizacyjnych i już nie tylko poszczególne pułki, ale nawet bataliony, a nieraz i kompanie były rzucane na front gdy powstawała konieczność operacyjna. W początkowym okresie pułki nie walczyły razem, ale były rozrzucone nieraz na wielkich przestrzeniach, przemieszane z innymi jednostkami. Ta sama konieczność organizacyjna, spowodowała, że wskutek rozrostu dywizji, w lipcu 1919 roku została ona podzielona na dwie: 1 litewsko-białoruską dywizję i 2 litewsko-białoruską dywizję, które właściwie powinnyby w myśl założenia J. Piłsudskiego tworzyć „jednostkę bojową swoistą o zadaniach na Wilno przeznaczoną”, a więc być połączone w jeden korpus względnie grupę operacyjną z zachowaniem swoistego charakteru, przeznaczoną do wykonania zadania z chwilą gdy sytuacja dojrzeje.

Ale tak się nie stało. Konieczność uzupełnienia linii frontu była dominująca i przeważała w zamierzonym użyciu pułków dywizji litewsko-białoruskich.

Rozpatrzmy w wielkim skrócie kolejno losy tych pułków, ich organizację i udział w walkach o niepodległość i granice Polski.

### *Lidzki pułk<sup>8</sup>*

Trzeci batalion samoobrony wileńskiej, jak pamiętamy z poprzednich stron, nie przyjął w Wace warunków kapitulacji i wraz z legią oficerską i trzema szwadronami ułanów postanowił przebić się przez Niemców i dołączyć do polskich oddziałów. Wyruszył więc z Waki przez Jeziorosy do Szczuczyna, dokąd przybył 15. I. 1919 roku. Tam również dołączył oddział samoobrony z Lidy pod dowództwem kpt. Piotra Mienickiego w sile 16 oficerów i 146 szeregowych. W Szczuczynie nastąpił 10-dniowy odpoczynek przeznaczony na reorganizację. Powstały dwa bataliony piechoty i trzy szwadrony kawalerii, całością dowodził mjr Jerzy Dąbrowski, skąd powstała nazwa „oddział mjra Dąbrowskiego”.

Rozpoczął się 400-kilometrowy marsz po osi: Szczuczyn-Jeziornica-Ozimowicze-Różana-Prużany, dokąd oddział dotarł 30-go stycznia 1919 roku. Jest rzeczą ciekawą, że marsz ten odbywał się w pasie ograniczonym od wschodu posuwającymi się wojskami rosyjskimi, a od zachodu cofającymi się oddziałami niemieckimi. Coś jakby w roku 1939.

Dnia 7 lutego nastąpiła walka z Niemcami o Brześć i oddział ten został podporządkowany dowódcy grupy poleskiej. Walczył w jej składzie pod Berezą Kartuską, Pińskiem, Bytaniem, nad rz. Szczarą i dopiero w połowie kwietnia 1919 roku został podporządkowany dowódcy lit.-biał. dywizji, ale ciągle jeszcze jako „oddział mjra Dąbrowskiego”, i wziął udział w walkach o Baranowicze. Wreszcie 6. VI. 1919 roku został przeniesiony do Lidy celem reorganizacji i uzupełnienia, gdzie przemianowano go na lidzki pułk piechoty o składzie dwóch batalionów.

W lipcu tegoż roku wskutek podziału lit.-biał. dywizji na pierwszą i drugą został wcielony do 2 lit.-biał. dywizji tworząc z kowieńskim pułkiem jej III brygadę.

Od tej chwili pułk walczył w ramach tej dywizji na szlaku: puszcza Nalibocka-Kamień-Rudka. Od lipca 1920 roku był w odwrocie w stałych walkach przez Wilno-Orany-Grodno-Łomża-

---

8. Według *Zarysu Historii Wojennej* 76 p.p.

Różana-Pułtusk-Nasielsk-Przasnysz-Chorzele, skąd w sierpniu 1920 roku przeszedł do Modlina na uzupełnienie, by w dniu 21 października 1920 roku zostać skierowany na teren Litwy Środkowej, wchodząc w skład jej wojsk. Ówczesny stan pułku wynosił: 17 oficerów i 620 szeregowych z czego 85 % pochodziło z Wileńszczyzny.

W okresie działań bojowych pułk stracił 116 żołnierzy poległych, których nazwiska zostały ustalone. Uzyskał 11 krzyży *Virtuti Militari* i 114 Krzyży *Walecznych*.

Po wojnie 1920 roku został przemianowany na 76 lidzki pułk piechoty i wszedł w skład 29 dywizji piechoty z miejscem postoju w Grodnie.

### *Białostocki pułk piechoty*

Jedną z osi wycofania się niemieckich wojsk z Ziemi Wschodnich była linia kolejowa Brześć-Białystok-Grajewo, utrzymanie której w rękę było dla nich kwestią zasadniczą. Stąd utworzony początkowo przez wojskowe władze polskie Okręg Generalny Białostocki miał z konieczności swą siedzibę w Łapach. Tam zorganizowano biuro zaciągowe do wojska polskiego z przeznaczeniem w pierwszej kolejności do białostockiego pułku piechoty.

Organizacja pułku odbywała się w wyjątkowo ciężkich warunkach materialnych przy braku dosłownie wszystkiego. Należy tu podkreślić niezmierną pracę dla dobra pułku przedstawiciela Komitetu Obrony Kresów p. Melchiora Ciundziewickiego.

Równoległe z przebiegiem organizacji pułku, powstające kompanie, nieumundurowane, niewykształcone musiały odpierać wypady niemieckie na teren Polski, osłaniając tor kolejowy i most na Narwi przed zniszczeniem go przez Niemców.

19 lutego 1919 roku został zajęty Białystok przez oddziały kawalerii płk. Dziewulskiego łącznie z gotowym I batalionem białostockiego pułku. Wkrótce pułk odjechał do Wołkowyska, by wejść na linię frontu obsadzoną przez oddziały lit.-biał. dywizji, której został podporządkowany. A jednocześnie przystąpiono do organizacji II batalionu, który w początkach kwietnia 1919 roku był już gotów i wyruszył na front.

W Beniaminowie w marcu 1919 roku został sformowany tzw. VIII batalion milicji ludowej, który w początkach kwietnia znalazł się na froncie w rejonie Baranowicz i został podporządkowany taktycznie lit.-biał. dywizji, gdzie go przezwano „Senealczyzy” od czarnych płaszczy w jakie był umundurowany. Na-

wiasem mówiąc, te płaszcze, nie będąc koloru ochronnego, były przyczyną stosunkowo dużych strat jakie poniósł ten batalion. W lipcu 1919 roku wcielono go jako III, do białostockiego pułku piechoty.

Wobec podziału lit.-biał. dywizji białostocki pułk pozostał do października 1919 roku w składzie 1 dywizji, po czym zostaje przydzielony pod względem taktycznym do 2 dywizji legionowej, a po ukończeniu tej fazy walk wchodzi w skład 2 lit.-biał. dywizji.

Szlak walk pułku wiedzie przez miejscowości: Słonim-Baranowicze-Nowogródek — linia dawnych okopów niemieckich na wschodzie — ofensywa na Mińsk-Borysów, walki nad rz. Berezyną i Mścizem.

Lipiec 1920 roku zastaje pułk na demarkacyjnej linii polsko-litewskiej w obszarze Sejn, Suwałk, Szyrwint. Bierze on udział w ciężkich walkach o Wilno, o czym pisze dowódca sowieckiego korpusu konnego Gaj (*Na Warszawę*, str. 50):

„Oddziały 2 lit.-biał. dywizji walczyły z zaciętością odpierając wszystkie ataki oddziałów korpusu; działanie ich (2 lit.-biał. dywizji Przyp. Red.) zasługuje na pochwałę”.

Beznadziejne położenie, otoczenie ze wszystkich stron — zmusiło pułk do przejścia na terytorium litewskie z zamiarem przebicia się na teren polski. Litwini nie dotrzykali umowy i pułk został internowany.

Masowe ucieczki z obozów litewskich umożliwiły reorganizację pułku dopiero we wrześniu 1920 roku. Pełną gotowość osiągnął on 26 listopada 1920 roku w Ozorkowie.

W reorganizacji pokojowej pułk dostał nr 79 i wszedł w skład 20 dywizji piechoty z miejscem postoju w Słonimie.

Lista strat pułku, odtworzona częściowo, zawiera 55 nazwisk, a liczba odznaczonych krzyżem *Virtuti Militari* 18 nazwisk.

### *Grodziński pułk strzelców*

Dnia 12 listopada 1918 roku odbyło się w Grodnie zebranie Polaków b. wojskowych, na którym została wyłoniona „Rada Wojskowa Ziemi Grodzieńskiej” pod przewodnictwem gen. Mikołaja Sulewskiego, która postanowiła zorganizować samoobronę w postaci grodzieńskiego pułku strzelców. Zostało utworzone na najbliższym terenie poza Grodnem 14 „komendantur” o charakterze werbunkowym i w ciągu kilkunastu dni stan samoobro-

ny grodzieńskiej osiągnął 700 ludzi, dochodząc wkrótce do tysiąca.

Oddziały organizowane w poszczególnych miejscowościach zostały skoncentrowane w ilości 250 ludzi w Kopciowszczyźnie (12 km na południe od Grodna) tworząc I batalion. Tak żywiołowy odzew ludności Grodzieńszczyzny nie odpowiadał polityce niemieckiej. Toteż w nocy z 15/16 stycznia 1919 roku niemiecki pułk piechoty z karabinami maszynowymi otoczył Kopciowszczyznę i zmusił zebrany batalion do częściowego rozbrojenia i rozproszenia się.

Rozpoczęto organizację od początku i już dnia 4 lutego 1919 roku I batalion złożył przysięgę i w początkach marca tegoż roku dołączył do lit.-biał. dywizji. Dalsza organizacja pułku odbyła się w Wołkowysku. Należy nadmienić, że przy pułku trzymało się do 31 października 1919 roku pół szwadronu ułanów grodzieńskich pod dowództwem por. Czuczełowicza.

W lipcu został sformowany II batalion podczas gdy I-szy od kwietnia walczył razem z lit.-biał. dywizją. Stworzono wkrótce III batalion, który został użyty na uzupełnienie strat poprzednich batalionów i odtworzony dopiero 15 czerwca z batalionu marszowego formowanego w Wadowicach. Jak widzimy jest to druga jednostka lit.-biał. dywizji, która nie posiadała wyłącznie stanu osobowego Ziemi Wschodnich.

Szlak walk pułku wiódł przez miejscowości: Słomim-Stołowicze-Bobrujsk-Lepel-Horodce-Wielka Czernica — odwrót lipcowy na Mosty-Roś-rz. Bug-Małkinia-Radzymin skąd do rej. Bielsk-Czeremcha, bitwa nad Niemnem, bój o Lidę i udział w akcji gen. Żeligowskiego na Wilno oraz walki w Litwie Środkowej.

Za całokształt swej akcji bojowej pułk został odznaczony krzyżem *Virtuti Militari* na chorągiew pułkową oraz 41 żołnierzy pułku tym orderem indywidualnie.

Straty pułku: 260 poległych i około 800 rannych.

Po wojnie pułk dostał nr 81 i wszedł w skład 29 dywizji piechoty z postojem w Grodnie.

#### *41 suwalski pułk piechoty im. Józefa Piłsudskiego*

W początkowo pomyślanej koncepcji 1 dywizji litewsko-białoruskiej miał wchodzić również w jej skład i suwalski pułk. Tak się jednak ułożyły warunki, że pułk ten nigdy w jej skład nie wszedł, chociaż niejednokrotnie walczył na tym samym co i dywizja obszarze operacyjnym.

Niemniej jednak pułk spełnił swoje zadanie, przewidziane w swym założeniu przez J. Piłsudskiego i ilokroć wymagała tego sytuacja polityczna — był kierowany na teren suwalszczyzny, jako wywodzący się z tego obszaru.

Początki organizacji jego sięgają dokładnie dnia 19 grudnia 1918 roku kiedy to ówczesny jego organizator i pierwszy dowódca, syn ziemi suwalskiej, mjr Mieczysław Mackiewicz wydał pierwszy rozkaz pułkowy w Zambrowie.

Wkrótce zaczęli napływać ochotnicy z Suwalszczyzny i z Kowieńszczyzny i w połowie stycznia 1919 roku był już sformowany I batalion oraz oddział konnych zwiadowców, z przybyłego z Olity szwadronu kawalerii.

12 lutego I baon tego pułku wyruszył do strefy przyfrontowej, a jednocześnie w Ostrów Komorowie rozpoczęło się formowanie II batalionu. Pułk dostał nazwę 1 suwalski pułk strzelców i w dniu 22 lutego skoncentrował się w rej. Skidla, gdzie wszedł w skład grupy zaniemeńskiej.

Pierwszą walkę pułk odbył 8 marca 1919 roku pod Szpilkami-Ogrodnikami-Możejkwem w lidzkim powiecie.

Rozpoczął się długi szlak walk 1 suwalskiego pułku od Lidy, gdzie w dniach 15-17 kwietnia wziął udział w operacji na Wilno, zyskując uznanie J. Piłsudskiego, który w dniu 19 kwietnia 1919 roku będąc na obiedzie w pułku wpisał do Złotej Księgi Pułkowej słowa:

„Dwa dni po wzięciu Lidy, jako drzwi otwarte do Wilna i w dzień wzięcia Wilna przy obiedzie w pułku suwalskim, słownie dziękuję pułkowi za pracę w boju lidzkim”.

Jednocześnie Wódz Naczelny zgodził się przyjąć szefostwo pułku.

W międzyczasie formował się III batalion na terenie Suwalszczyzny z tzw. Dowództwa Obrony Kresów Suwalskich, oraz z ochotników i członków P.O.W. Batalion ten przejmował kolejno ewakuowane tereny przez Niemców trzymając straż na linii demarkacyjnej wzdłuż kanału Augustowskiego.

Suwalski pułk (dwa bataliony) walczył pod Wilnem i Nowogródkiem, po czym do lipca zajmował Suwałki i ich rejon. Od 18 lipca do 8 sierpnia 1919 roku wziął udział w walkach o Mińsk i w tym czasie został przemianowany na 41 suwalski pułk piechoty, tym samym zrywając swe więzy z lit.-biał. dywizją do której już nigdy nie wrócił.

21 sierpnia pułk wrócił na Suwalszczyznę, gdzie pozostawał na polsko-litewskiej linii demarkacyjnej do marca 1920 roku, spełniając zadanie, do którego w pierwotnym założeniu został powołany. W kwietniu 1920 roku pułk został przerzucony na

Ukrainę, skąd po walkach pod Owruzczem, Malinem, Kijowem rozpoczął odwrót na Owrucz-Skorodno-Dawidgródek, by następnie odjechać koleją do Grodna. Tam rozpoczęły się walki odwrotowe aż pod Warszawę, gdzie pułk wszedł w skład 5 Armii gen. Sikorskiego i walczył nad Wkrą. Po powrocie do Suwałk, uderza w składzie 1 dywizji Legionowej na Lidę, dociera przez Nowogródek do Stołpców, gdzie kończy swe działania wojenne, by wrócić do swych Suwałk.

W uznaniu zasług bojowych pułk został odznaczony na chorągiew *Virtuti Militari*, a 41 żołnierzy tego pułku dostało indywidualnie *Virtuti Militari* i 244 Krzyże Walecznych. Poległo 244 żołnierzy.

### *Kowieński pułk piechoty*

Z ramienia Komitetu Polskiego w Wilnie, ppłk Radziwiłłowicz przystąpił do organizacji samoobrony w Kownie. Jednak stanowisko Litwinów zmusiło do zwinięcia tej placówki i młodzież polska z Litwy i Żmudzi była zmuszona dołączyć do samoobrony w Wilnie bądź też przekradać się przez kordon na teren polski, gdzie była kierowana do organizującego się w Zambrowie kowieńskiego pułku strzelców.

Organizacja tego pułku rozpoczęła się 12 grudnia 1918 roku pod dowództwem mjra Łada-Zawistowskiego. Dokładnie w dwa miesiące później, pułk o stanie zaledwie paru kompanii odszedł na front, dokąd stale przybywały uzupełnienia z kadry i w początkach kwietnia 1919 roku osiągnął stan jednego pełnego batalionu.

W początkach czerwca 1919 roku został sformowany II batalion, a dopiero w rok później tj. 21 czerwca 1920 roku w Oranach osiągnął gotowość bojową III batalion.

Szlak bojowy pułku zaczął się 26 lutego 1919 roku pod Różanką, a skończył się 21 listopada 1920 r. pod Giedroyciami w wojsku Litwy-Środkowej. Był on długi i krwawy wiodąc przez miejscowości: Nowogródek-Mińsk-Dyneburg - polsko-litewska linia demarkacyjna - Wilno w lipcu 1920 r. - Grodno - odwrót nad Wisłę - walki na przedmościu Warszawy - obrona Płocka - walki nad granicą pruską. Kampanię polsko-rosyjską zakończył pułk pod Lemaniem, skąd przeszedł do Modlina na uzupełnienie i reorganizację.

W październiku 1920 roku na wieść o zajęciu Wilna przez oddziały gen. Żeligowskiego, żołnierze pułku pochodzący z tych stron zgłaszali się ochotniczo do tych oddziałów. Dnia 21 października 1920 r. pułk w składzie 18 oficerów i 900 szeregowych

przybył do Wilna, gdzie wszedł na linię frontu pod Niemenczynem.

Lista poległych, których nazwiska zostały ustalone wynosi 190 żołnierzy. Lista odznaczonych *Virtuti Militari* — 19 nazwisk, a Krzyży Walecznych — 118 żołnierzy pułku.

W ogólnej reorganizacji PSZ po 1920 r. kowieński pułk strzelców został przemianowany na 77 pułk piechoty i stracił swój tytuł „kowieński”. Przydzielony został do 19 dywizji piechoty z miejscem postoju w Lidzie. Dla utrwalenia idei, dla której został stworzony, Naczelnik Państwa zezwolił żołnierzom tego pułku nosić na naramiennikach, zamiast cyfry 77, herb ziemi kowieńskiej i żmudzkiej: niedźwiadek stojący na tylnych łapach.

### *Słucki pułk strzelców*

Był to najmłodszy pułk szeroko zaplanowanej lit.-biał. dywizji i został sformowany dopiero 10 kwietnia 1920 r. w Baranowiczach, nie z elementu ochotniczego ziem wschodnich lecz z poboru z obszaru Płocka, Warszawy i Mińska Mazowieckiego. Po raz trzeci została przekreślona zasada rekrutacji z Ziemi Wschodnich.

Na wieść o sformowaniu słuckiego pułku strzelców — starosta słucki przysłał depezę tej treści:

„Miasto Słuck i cały nasz powiat szczytą się z utworzenia pułku tej nazwy. Słemy pułkowi serdeczne powitania i gorące życzenia laurów zwycięskich w bojach z wrogami ku chwale ojczyzny. Przystąpiliśmy do zbierania ofiar na sztandar pułkowy i orkiestrę. Myśli nasze i serca nasze będą zawsze z wami”.

Pułk wszedł w skład 2 lit.-biał. dywizji i od pierwszych dni czerwca 1920 roku obsadzał polsko-litewską linię demarkacyjną od jez. Tauroginie do Dynebyrga, na której nie było żadnych działań wojennych.

Od 6 lipca 1920 roku rozpoczął się okres walk obronnych i odwrót pułku z Widz poprzez Michałowo - Nowa Derewnia - Święciany - Podbrodzie - Niemenczyn - Wilno - Orany - Grodno - Sokółka, które to miejscowości były świadkami krwawych walk.

Batalion zapasowy pułku, który stacjonował w Baranowiczach, cofał się w stałych walkach poprzez Leśną-Tartaki-Słonim, gdzie podporządkował się 1 lit.-biał. dywizji i wraz z nią doszedł do Ostrowi Mazowieckiej, dokąd właściwie dotarły jedynie niedobitki.



Straty poniesione przez słucki pułk spowodowały jego rozwiązanie w dniu 8 sierpnia 1920 roku i ponowne formowanie częściowo w Kaliszu, częściowo w Modlinie.

Wiosną 1921 roku słucki pułk strzelców przemianowany na 78 pułk piechoty, stracił swą nazwę „słucki” i wcielony został do 20 D.P. z postojem w Baranowiczach.

Chorągiew pułkową dostał nie od Słucka, który pozostał poza kordonem lecz od miasta Baranowicze.

Ilość poległych wyniosła ponad 300 żołnierzy z czego ustalono zaledwie 44 nazwiska. Zaginionych i rannych około 800. Nagroda pułku: dwa krzyże *Virtuti Militari* i 51 Krzyży *Walczyńskich*.

### *Nowogródzki pułk strzelców*

Gen. Stanisław Szeptycki dowódca frontu litewsko-białoruskiego rozwijając myśl J. Piłsudskiego sformowania lit.-biał. dywizji rozkazał dnia 10 lipca 1919 roku tworzenie nowogródzkiego pułku strzelców z batalionu uzupełnień lit.-biał. dywizji.

Miejscem formowania pułku była Lida, a ponad 50 % ochotników, wcielonych przez poszczególne biura werbunkowe pochodziło z obszaru nowogródzkiego.

W dwa tygodnie później, gdy stan pułku wynosił 16 oficerów i 585 szeregowych został on przeniesiony do Baranowicz, gdzie wszedł do odwodu lit.-biał. dywizji.

W drugiej połowie kwietnia 1920 roku przybył do pułku sformowany w Lidzie II batalion, składający się już z poborowych w przeciwieństwie do I-go batalionu, który miał w swym stanie ochotników.

W połowie czerwca 1920 roku został sformowany z batalionu marszowego 17 pp. III batalion, a więc już nie mający charakteru oddziału miejscowego.

Chrzest bojowy otrzymał pułk 23 września 1919 roku pod Filipowiczami nad Ptyczą. Dalszy szlak działań bojowych wiódł przez Bobrujsk - Mińsk - Ziabki - Lepel - Berezynę - Mościszczę - Lipsk - Dokszyce - Wielka Czernica. Następnie odwrót nad Niemnem, Dokudowo - Roś - walki nad Bugiem - bój pod Małkinią i wreszcie zwycięski bój pod Radzyminem. Pościg nad Swisłocz - bitwa nad Niemnem - Lida i działania na Wilno w grupie gen. Żeligowskiego. Walki na terenie Litwy Środkowej zakończone ostatnim bojem pod Muśnikami 21 listopada 1920 roku.

Poległo ponad 200 żołnierzy pułku z czego zidentyfikowana

lista poległych 109. Dorobek wojenny: 21 krzyży *Virtuti Militari* i 119 Krzyży *Walecznych*.

Po wojnie pułk otrzymał nazwę 80 pułk strzelców nowogrodzkich z przydziałem do 20 D.P. i postojem w Słonimie.

### *Wileński pułk strzelców*

Trzonem wileńskiego pułku strzelców była omawiana na poprzednich stronach samoobrona wileńska.

Niezależnie jednak od wypadków rozgrywających się w Wilnie na przełomie 1918/1919 roku podwaliny pod wileński pułk zostały położone dnia 19 grudnia 1918 roku kiedy to w Zambrowie został wydany pierwszy rozkaz pułkowy.

Wkrótce po przybyciu oddziałów samoobrony został zorganizowany I batalion i część II-go, które to oddziały wyruszyły dnia 12 lutego 1919 roku na front tworzący się na wschodzie.

Szlak bojowy pułku zaczął się dnia 1 marca 1919 roku nad Szczarą w rej. Słonima i wiódł poprzez Baranowicze-Hancewicze-Słuck-Lepel-Pyszne-Czernica-Górna Berezyna.

W lipcu 1920 roku nastąpił odwrót na Kraśne - Wołożyn - Mosty - Roś - Orlanka - rz. Nurzec - rz. Bug - bój pod Radziminem, skąd do puszczy Białowieskiej, by przez Wasiliszki - Krwawy Bór - Lebioda - Lida wziąć udział w październikowej akcji gen. Żeligowskiego na Wilno i dalej walczyć na terenie Litwy Środkowej.

W Polsce niepodległej pułk otrzymał nazwę 85 pułk strzelców wileńskich i wszedł w skład 19 dywizji z postojem w Nowej Wilejce.

Za pracę bojową pułk został odznaczony *Virtuti Militari* na chorągiew pułkową oraz 55 krzyży *Virtuti Militari* i 265 Krzyży *Walecznych* indywidualnie. Lista zidentyfikowanych poległych zawiera 231 nazwisk.

### *Miński pułk strzelców*

Trzonem organizacyjnym mińskiego pułku były oddziały samoobrony mińskiej, które wycofały się 12 grudnia 1918 roku z Mińska i doszły na terytorium polskie do Łap w liczbie około 300 ludzi. Pierwszy rozkaz powołujący pułk do życia wyszedł 17 grudnia 1918 roku z miejscem organizacji w Zambrowie, a od stycznia 1919 roku w Ostrowi.

Dnia 11 lutego 1919 roku wyruszył na front I batalion do Zelwy, a wkrótce po nim przeszedł z Ostrowi do Wołkowyska II formujący się batalion, który ostatecznie osiągnął gotowość bojową w połowie maja 1919 roku w Baranowiczach.

W tym czasie istniejący przy dowództwie lit.-biał. dywizji batalion szturmowy, został wcielony do mińskiego pułku strzelców jako III batalion. Od tej chwili miński pułk był skompletowany.

Wskutek ówczesnego charakteru walk prowadzonych na rozwinętym szeroko froncie, poszczególne bataliony walczyły przeważnie oddzielnie, będąc nieraz w odrębnych związkach taktycznych.

Pierwsza bitwa pułku odbyła się 2 marca 1919 roku o Słanim. Stąd szedł szlak bojowy oddziałów pułkowych przez Baranowicze - Pogorzelce - Hancewicze - Honczary - Lachowicze - Nieśwież - Słuck - górna Berezyna - Lepel, gdzie nastąpił dłuższy postój na linii obronnej. Pod koniec kwietnia 1920 roku przybył do pułku batalion marszowy sformowany w Mińsku w sile 700 ludzi, który wzmocnił wyszczerbiony i nieskompletowany pułk.

Od 14 maja 1920 roku rozpoczęły się walki pod Leplem-Pyszmem-Białą-Derewną-rz. Dzwinosą-Czernicą, po czym odwrót lipcowy z górnej Berezyny nad Niemen. Bój pod Wołpą, Rosią i odwrót pod Warszawę. Bitwa pod Radzyminem, gdzie stan bojowy pułku wynosił zaledwie 22 oficerów i 361 szeregowych. Za walkę pod Radzyminem pułk otrzymał od stolicy chorągiew z nadpisem „Obrońcom Warszawy”.

Spod Warszawy przerzucono pułk do rejonu puszczy Białowieskiej, skąd nad Niemen by przez Sejny-Druskieniki-Wasiliszki odciać pod Lidą drogę odwrotu cofającej się 3 armii sowieckiej. Bój pod Lidą kończy walki pułku z bolszewikami. W dalszej kolejności brał on udział w akcji gen. Żeligowskiego na Litwę Środkową i pozostawał na jej terenie do marca 1921 roku.

Z dniem 1 października 1921 roku pułk został przemianowany na 86 pułk piechoty, tracąc swą nazwę „miński” i wcielony do 19 dywizji piechoty z postojem w Mołodecznie.

Lista poległych podaje 328 żołnierzy. Za swoje czyny bojowe pułk został odznaczony orderem *Virtuti Militari* na chorągiew pułkową oraz uzyskał 63 krzyże *Virtuti Militari* i 152 Krzyże Walecznych.



Zrekapitulujmy te krótkie niejako *curriculum vitae* poszczególnych pułków przeznaczonych do składu lit.-biał. dywizji.

W grudniu 1918 roku tj. w czasie gdy na terenie ziem wschodnich organizowały się oddziały nieregularne samoobrony mińskiej, wileńskiej i grodzieńskiej — powstały załężki czterech pułków lit.-biał. dywizji na terenie polskim, a mianowicie: kowieński, miński, białostocki i wileński, których oficjalne daty powstania różnią się od siebie zaledwie o kilka dni.

W pierwszej połowie 1919 roku powstały dalsze trzy pułki tj. nowogródzki, grodzieński i lidzki. Te dwa ostatnie mają już za sobą tradycję bojową jako luźne oddziały nie będąc jeszcze ujęte w ramy organizacyjne.

Wreszcie w kwietniu 1920 roku powstał na zupełnie odmiennych zasadach tj. „nie z mieszkańców ziem wschodnich” słucki pułk strzelców.

W miarę gotowości chociażby części pułku, poszczególne bataliony, a nieraz nawet i kompanie odchodziły na front. Szły niewyszkolone, nieuzbrojone należycie, obdarte i nieraz bez butów — bo sytuacja nagliła.

Z biegiem czasu rozrastała się lit.-biał dywizja coraz bardziej, stawała się ciężką jednostką w jej dysponowaniu — wobec czego w połowie lipca 1919 roku została podzielona na dwie dywizje.

1 lit.-biał. dywizję w składzie:

I brygada z pułkami wileńskim i mińskim,

II brygada z pułkami grodzieńskim i nowogródzkiem.

2 lit.-biał. dywizję w składzie:

III brygada z pułkami lidzkim i kowieńskim,

IV brygada z pułkami białostockim i słuckim.

Obie dywizje nie zostały połączone w korpus względnie w grupę operacyjną jakby tego należało oczekiwać zgodnie z pierwotnym zamiarem J. Piłsudskiego. Niemniej jednak, jak widać z przebiegu działań bojowych tych pułków — zasadniczym obszarem ich działania były ziemie północno-wschodnie z wyjątkiem okresu odwrotu w lipcu 1920 roku i zwycięskiej bitwy pod Radzyminem, skąd z powrotem zostały użyte na wschodzie.

Z na ogół 8 pułków piechoty tylko sześć, a mianowicie: miński, wileński, nowogródzki, kowieński, grodzieński i lidzki wzięły w tej czy innej formie udział w akcji gen. Żeligowskiego i w działaniach na terenie stworzonej przez niego Litwy Środkowej, co było ostatnim akcentem ich przeznaczenia zgodnie z myślą J. Piłsudskiego w 1918 roku.

Pułki dwóch lit.-biał. dywizji walczyły niespełna dwa lata, poniosły wielkie straty, zyskały sławę bojową w walce o niepodległość i granice Polski, lecz najbliższy ich sercu cel osiągnęły tylko częściowo.

## IV

Spójrzmy z kolei na stosunek J. Piłsudskiego do lit.-biał. dywizji i na zadanie które wyznaczył jej Naczelnik Państwa w swoich planach politycznych.

Rok 1919 — J. Piłsudski szykuje w kwietniu wyprawę na Wilno i zdawałoby się, że najbardziej właściwym było użycie dla tej akcji „jednostki bojowej swoistej, o zadaniach na Wilno przygotowanej”. A jednak Naczelnny Wódz wybiera do tego działania 1 dywizję legionową, pozostawiając lit.-biał. dywizję na jej dotychczasowym obszarze w rejonie Baranowicz i Nowogródka.

Pisze o tym J. Piłsudski<sup>9</sup>:

„Tej 1 dywizji litewsko-białoruskiej, złożonej z żołnierzy pochodzących z Wileńszczyzny, wyrządziłem krzywdę, gdy nie ją wyznaczyłem do akcji wzięcia Wilna, do zdobycia granic o których ona marzyła, a o których Polska wówczas marzyć nie śmiała. Nie miałem do tej dywizji zaufania...

Wybrałem do tej akcji 1 dywizję legionową złożoną z moich znajomych, o których wiedziałem, że potrafię z nich wyciągnąć żyły, gdy takim będzie mój rozkaz. W tym czasie, działalność 1 dywizji lit.-biał., jej ataki na Baranowicze, Nowogródek, chroniące moją akcję na Wilno, kazały mi, dotychczas sceptycznie patrzącemu się na wartość tej dywizji, zmienić o niej swe zdanie...”

W połowie lata 1919 roku Naczelnny Wódz zdecydował się na próbę rozwiązania sprawy Wilna, a raczej zagadnienia polskolitewskiego na zupełnie innej płaszczyźnie, a mianowicie drogą zamachu stanu w Kownie dotychczas nieprzychylnego Polsce rządowi kowieńskiego, na rząd gotowy do współpracy z Polską.

Ze strony polskiej były prowadzone rozmowy z ewentualnymi członkami projektowanego, przyszłego rządu, którego utrzymanie się przy władzy w razie walki wewnętrznej miałyby być poparte przez polskie czynniki. I tu zachodziła możliwość użycia oddziałów lit.-biał. dywizji.

W końcu lipca, dokładnie dnia 22 lipca 1919 roku J. Piłsudski w swym liście do gen. Szeptyckiego, dowódcy frontu lit.-biał. w Lidzie, pisze o wzmocnieniu tego frontu pewnymi oddziałami piechoty i artylerii, wyjaśniając jaki cel ma to wzmocnienie, a mianowicie:

„To wzmocnienie ma też na celu umożliwić Panu Generałowi przystąpić niezwłocznie do zluzowania i odesłania pułków suwalskiego

---

9. *Pisma i Mowy J. Piłsudskiego*, t. V., str. 234.

i kowieńskiego (a po otrzymaniu dalszych świeżych oddziałów i wileńskiego) w myśl zadań jakie stają przed nimi, a które poleciłem mjr. Kasprzykiemu przedstawić Panu Generałowi osobiście.

Tu dodam raz jeszcze, że z chwilą, gdy ja robię nacisk dyplomatyczny, grożąc zastosowaniem środków wzmacniających konflikt przez rozpuszczenie na tereny zakwestionowane pułków stamtąd pochodzących, muszą być niezwłocznie wyciągnięte konsekwencje, że przeprowadza się jednak praktyczne przygotowanie, to jest luzuje się i koncentruje gdzie należy wspomniane pułki.

Liczę przeto, że Pan Generał w całym zrozumieniu powagi sytuacji zechce natychmiast po otrzymaniu skierowanych do niego baonów przystąpić do luzowania i odesłania wymienionych oddziałów, a mianowicie: suwalskiego pułku do Grodna, a kowieńskiego do Trok...<sup>10)</sup>

Jednocześnie zostało zarządzone przezbrojenie tych pułków w broń niemiecką, jak również obsadzenie polsko-litewskiej linii demarkacyjnej oddziałami lit.-biał. dywizji.

Planowany zamach stanu nie udał się, poinformowane o nim przez jednego ze spiskowców władze litewskie zarządziły masowe aresztowania i cały plan spalił na panewce, obciążając jeszcze bardziej stosunki polsko-litewskie.



Na konferencji w Spa dnia 10 lipca 1920 roku, kiedy Polska była w niezmiernie trudnym położeniu zarówno wojskowym jak i politycznym, premier Grabski zaakceptował decyzję Rady Najwyższej oddania Wilna Litwinom. W czasie dyskusji przedstawiciel Wielkiej Brytanii lord Curzon sugerował oddanie Wilna jako „zastaw Rady Najwyższej” tymczasowo Litwinom. Premier Grabski uchwycił się tej idei i ze swej strony zaproponował pozostawić w Wilnie lit.-biał. dywizję, która łącznie z wojskami Litwy Kowieńskiej miałaby być gwarantką z ramienia Rady Najwyższej. Sugestia premiera Grabskiego nie została przyjęta.

Po raz pierwszy lit.-biał. dywizja stała się przedmiotem obrad międzynarodowych.



W przededniu bitwy warszawskiej, dokładnie dnia 12 sierpnia 1920 roku dotychczasowa 1 lit.-biał. dywizja przemianowana na 19 dywizję piechoty, a to ze względu na konieczność uporządkowania numeracji poszczególnych związków taktycznych. W kilka dni po bitwie warszawskiej Naczelnny Wódz przywrócił dywizji poprzednią nazwę, wycofując ją wraz z suwalskim pułkiem piechoty z przedmieścia Warszawy na razie do Siedlec. Już wów-

10. *Niepodległość*, tom VII, str. 46.

czas w swych planach miał zamiar użycia jej do akcji na Wilno. Mówi o tym sam w swojej książce „Rok 1920”<sup>11</sup>:

„Stało się to w związku z moim zamiarem już wtedy powstałym by 41 pułk jako sformowany z ochotników suwalszczan, wysłać do rodzinnego zakątka dla oswobodzenia go od najazdu sowiecko-litewskiego. Natomiast dywizja 19, również sformowana z ochotników naszych kresów miała odejść, jak mówił rozkaz, pośpieszonymi transportami przez Warszawę-Siedlce, w kierunku na Czeremchę, by stanąć od razu jako straż przednia do oczyszczenia swej ściślejszej ojczyzny od nieprzyjaciela...”

W Siedlcach dnia 19 sierpnia 1920 roku na odprawie dowódców Marszałek Piłsudski zaznaczył, że zdecydował 1 dywizję litewsko-białoruską odznaczyć. Mówił, że śledząc w różnych okresach wojny czyny bojowe i zachowanie się dywizji, notował jakby punkty dodatnie i ujemne oddziałom i właśnie 1 dywizja litewsko-białoruska jest zaznaczona u niego, jako jedna z najlepszych.

Po niespełna dwutygodniowych krwawych walkach doszła 1 lit.-biał. dywizja do Lidy, gdzie wreszcie doczekała się spełnienia zasadniczego zadania, jakie dla niej postawił w końcu roku 1918 J. Piłsudski, a mianowicie działania na Wilno.

O tej chwili mówił J. Piłsudski w rozmowie z gen. Żeligowskim<sup>12</sup>:

Szef sztabu lit.-biał. dywizji, ówczesny kpt. E. Perkowicz, tak opisał ten moment odprawy Naczelnego Wodza w Lidzie dnia 2 października 1920 roku<sup>13</sup>:

„Naczelnny Wódz mówi: za naszą krew narzucili nam linię Curzona. Polska ma się skończyć gdzieś pod Grodnem. Wy jesteście z tych stron, macie w ręku broń, idźcie do domów. W Wilnie jest młodość. Ona rozumie, ona wam pomoże. Za wasze czyny nie mogę wziąć odpowiedzialności ja, jako Naczelnny Wódz Państwa Polskiego, ani Wam dać rozkaz. Uczynicie to na własne ryzyko i odpowiedzialność. Radzę wileńskiego pułku nie angażować w walkach, a pozostać w całości dla działań w samym Wilnie. Gen. Żeligowski przyjedzie i obejmie dowództwo. Koniec”.

Rozpoczęła się akcja gen. Żeligowskiego i marsz na Wilno, drobne walki z Litwinami, utworzenie Litwy Środkowej, zawieszenie broni, wybory do Sejmu „orzekającego” i, ostatecznie po

11. *Niepodległość*, tom VII, str. 210.

12. *Zeszyty Historyczne*, Instytut Literacki, Paryż. Zeszyt 9-ty, str. 17.

„Jeżeli teraz nie uratujemy Wilna, to historia nam tego nie przebaczy. I nie tylko Wilna, ... Musimy odbudować Litwę. Zrobić to może ludność z pomocą lt.-biał. dywizji. Trzeba, żeby ktoś wziął na siebie całą sprawę...”

13. E. Perkowicz, *Relacja*, wydanie 2-go Korpusu. Rzym, 1944.

nieudanych próbach Ligi Narodów rozwiązania sporu przez stworzenie dwukantonalnej Litwy i wspólnej stolicy w Wilnie, wcielenie wileńszczyzny jako województwa do Rzeczypospolitej Polskiej.



Pułki lit.-biał. dywizji zostały przy reorganizacji Polskich Sił Zbrojnych wcielone do nowopowstałych dywizji regularnych.

Pułki: 77 kowieński, 85 wileński, i 86 miński tworzyły  
19 dywizję piechoty.

78 ślucki, 79 białostocki i 80 nowogródzki — 20 d.p.

41 suwalski, 76 lidzki i 81 grodzieński — 29 d.p.

Tradycję 1 lit.-biał. dywizji przejęła 19 d.p., a 2 lit.-biał. dywizji 29 d.p.

W mowie wygłoszonej w Wilnie dnia 2 listopada 1922 roku z okazji wręczania sztandarów pułkom 1 dywizji legionowej powiedział Marszałek:

„Złączyłem was — być może — wbrew wszystkiemu, wbrew woli miasta i waszej może...” (mowa o 1 dywizji legionowej, którą ustawił w Wilnie, gdzie raczej było miejsce dla dawnej 1 lit.-biał. dywizji) „oddając waszej pieczy i 19 dywizji Wilno, chcę byście go strzegli nawet w najcięższych chwilach, jakby serce moje było wśród was...”

Nadszedł rok 1939. Wypadki wojenne rzuciły zarówno 1-szą dywizję legionową jak i 19 dywizję na inne tereny. 19 dywizja walczyła w rejonie Piotrkowa, w lasach spalskich, na rz. Wiśle, spełniając chlubnie swój obowiązek żołnierski tak jak jej poprzedniczka 1 lit.-biał. dywizja w latach 1918-1920.

## V

Byłoby rzeczą dość ciekawą pokusić się o odtworzenie zamierów J. Piłsudskiego w stosunku do Wilna, a raczej zagadnienia przebudowania wschodu Europy, które to zagadnienie łączył on z Wilnem. Od swych najwcześniejszych poczynań politycznych podkreślał, że ostateczna decyzja odnośnie losu naszych Ziemi Wschodnich należy do ludności miejscowej. Pierwszą tego rodzaju wypowiedź sformułował w 1903 roku w piśmie *Walka*, organie PPS Litwy.

Tezę tę powtarzał niejednokrotnie, a więc w odezwie z dnia 22 kwietnia 1919 r. do mieszkańców W. Księstwa Litewskiego



w 1919 r. po zajęciu Wilna, w dniu 2 maja 1919 r. w wywiadzie udzielonym korespondentowi *Journal des Débats*, itd. aż do groźby złożenia godności Naczelnika Państwa, na wypadek gdyby alianci zamierzali przyznać Wilno Litwie po akcji gen. Żeligowskiego. Oświadczenie to złożył Marszałek dnia 10 grudnia 1920 roku jako odpowiedź na *démarche* posłów Wielkiej Brytanii i Francji w sprawie Wilna.

Marszałek Piłsudski próbował dojść do porozumienia z Litwinami, kiedy w dniu 18 grudnia 1918 roku przekonywał delegację litewską w Warszawie:

„żeby Litwini ograniczyli swe pretensje do Litwy etnograficznej, gdyż Litwa historyczna posiada obszary bezwzględnie polskie. Polska nie ma nic przeciwko temu, aby powstało niezależne państwo litewskie, ale zdaje się, że Litwa będzie państwowo zespolona z Polską...”

Widząc jednak, że opór litewski jest silny, próbował rozwiązania drogą faktów dokonanych, o których sam powiedział w jednym ze swych wykładów wileńskich:

„Ja stałą swą wytyczną miałem — stworzenia faktów dokonanych aby później otrzymać uznanie *de jure*...”.

Sytuacja w końcu 1918 roku była taka, że nie można było stworzyć faktu dokonanego, gdyż pierwszeństwo miał problem Lwowa, od którego Marszałek jak mówi sam „nie mogąc w żaden sposób odciągnąć sił od Lwowa...” zdecydował odłożyć sprawę Wilna na okres późniejszy, a tymczasem stworzyć „jednostkę bojową swoistą o zadaniach na Wilno przygotowaną...”. Jednostką tą miała być właśnie 1 lit.-biał. dywizja.

Drugim faktem dokonany miało być stworzenie w Kownie rządu przychylnego Polsce z którym rozmowy toczyłyby się w innej atmosferze i na płaszczyźnie ścisłej współpracy. Tego miały dokonać czynniki nieprzychylne polityce Slezeviucziusa przy ewentualnym poparciu zbrojnym ze strony litewsko-białoruskiej dywizji w sierpniu 1919 roku. Akcja ta jak wspomniałem już nie udała się.

W międzyczasie zaszły wypadki, które sprawę Wilna skomplikowały. Mianowicie niepowodzenia wojsk polskich, odwrót pod Warszawę, krytyczny moment zagrożenia naszej niepodległości — spowodowały, że w dniu 12 lipca 1920 roku ZSSR zawarł układ z Litwą przyznając jej Wileńszczyznę bez powiatów Wilejka i Dzisna, rejonem Grodna, Suwałk i Augustowa. Zachęteni powodzeniem i przekonani o klęsce Polski Litwini porzucili dotychczasową neutralność i uderzyli na cofające się oddziały pol-

skie pod Landwarowem, Nowemi Trokami oraz internowali brygadę płk. Paślawskiego.

W tym samym czasie w Spa premier Władysław Grabski był zmuszony pod naciskiem przyjąć decyzję Rady Najwyższej Aliantów przyznającą Wilno w zasadzie Litwinom.

Zaogniło to jeszcze bardziej stosunki polsko-litewskie i pogrzebało sprawę przebudowania wschodu Europy po myśli koncepcji Piłsudskiego.

Wilno stało się częścią składową Litwy, chociaż nikt nie pytał mieszkańców tych ziem o ich zdanie. Z tą chwilą stało się jasne, że tylko polityka faktów dokonanych mogła dać pewien rezultat. Tym faktem dokonany było zajęcie Wilna dnia 9 października 1920 roku przez gen. Żeligowskiego i utworzenie tam Litwy Środkowej. Rolę tą z radością spełniła lit.-biał. dywizja, która na tę chwilę czekała od grudnia 1918 roku.

Po długich i bezowocnych usiłowaniach polubownego rozwiązania sporu za pośrednictwem Ligi Narodów (projekt Hyman-sa) odbyły się na terenach spornych wybory do Sejmu „orzekającego”, który po dyskusji postanowił 20 lutego 1922 roku prosić rząd polski o włączenie „Litwy Środkowej” do Państwa Polskiego. Zasada „woli ludności” zadeklarowana jeszcze w 1903 roku została dotrzymana, choć nie w tej formie i nie w takiej rozciągłości o jakiej myślał J. Piłsudski. Ale i wówczas J. Piłsudski zostawił Litwie otwarte drzwi mówiąc dnia 22 kwietnia 1922 roku: „nie mogę nie wyciągnąć ręki do tych tam w Kownie, którzy może dzień dzisiejszy, dzień naszego tryumfu uważają za dzień klęski i żałoby. Nie mogę nie wyciągnąć ręki, nawołując do zgody i miłości. Nie mogę nie uważać ich za braci”. Litwini jednak nie przyjęli wyciągniętej ręki. Przez następne szesnaście lat nie było stosunków pomiędzy Polską a Litwą. Drogi łączące te kraje w ciągu wieków, porosły trawą i krzewami.

Trudno jest mówić o „gdyby”. Jakby się ułożyły losy nasze, gdyby nastąpiła federacja czy inna forma związków z Litwą. Jaki byłby los wielkiego obszaru b. W. Ks. Litewskiego, gdyby do tego związku dołączyły inne narody, inne państwa.

Jest rzeczą pewną, że Wilno byłoby ośrodkiem dużego kraju o specyficznym układzie narodowościowym, tworzyłoby pomost pomiędzy Wschodem a Zachodem, byłoby tym „żelaznym wilkiem” który na Turzej Górze śnił się Giedyminiowi, a nie wojewódzkim miastem w Polsce „B”.

Wacław CHOCIANOWICZ

Jerzy DROBNIK

## POBYT I DZIAŁALNOŚĆ W KOWNIE (Od 10 lipca 1938 do 8 października 1939)

### *Otrzymane zadania*

Do Kowna przyjechałem dnia 10 lipca 1938 roku jako jednocześnie pierwszy i jedyny przedstawiciel prasy polskiej w Litwie po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych między Polską i Litwą.

Otrzymałem dwa zadania: 1) pełnienie normalnej służby informacyjnej dla Polskiej Agencji Telegraficznej, 2) przełamywanie wrogiego przeciwko Polakom nastroju w Litwie i doprowadzenie do normalizacji stosunków między prasą litewską i polską oraz dziennikarzami litewskimi i polskimi.

Ze znanej historii sporu polsko-litewskiego aż do chwili nawiązania stosunków dyplomatycznych, ze sposobu tego nawiązania oraz z faktu istnienia świeżego wstrząsu wynikała na razie sytuacja bardzo trudna dla przedstawicieli polskich w Kownie. O ile dla przedstawicielstwa dyplomatycznego ramy tych stosunków a także stosunków osobistych regulował protokół dyplomatyczny, który po ich nawiązaniu automatycznie obowiązywał obie strony, o tyle w stosunkach prasowych dla osoby nieoficjalnej, jaką ostatecznie jest przedstawiciel dziennika czy nawet urzędowej agencji telegraficznej, sytuacja była bardziej skomplikowana i trudna. Nie istniały w tej mierze żadne ściśle określone obowiązki, a rozwój stosunków zależał w dużej mierze od sposobu postawienia tej sprawy przez przedstawiciela prasy polskiej i wynalezienia drogi, która by doprowadziła do normalnego współżycia. Niektóre sfery litewskie, a zwłaszcza sfery nie ściśle oficjalne, stały bowiem na stanowisku, że nawiązanie stosunków oficjalnych nie jest jednoznaczne z obowiązkiem rozszerzenia kontaktów i że nawet należy tego rozszerzenia unikać, ażeby w ten sposób w dalszym ciągu utrzymać niechęć i protest na tle sprawy wileńskiej.

Tymczasem nawet możliwość pełnienia dobrej służby informacyjnej w dużej mierze zależała od należytego ułożenia się stosunku między sferami politycznymi i prasowymi w Litwie a przybyłym przedstawicielem P.A.T'a. Jasną jest bowiem rzeczą, że brak stosunków osobistych, ograniczanie się do czerpania infor-

macji z prasy albo otrzymywanych komunikatów, możliwość informacyjną ścieśniłyby do minimum, i pozbawiłyby ją wszelkiego indywidualnego i ciekawego oświetlenia. W tych warunkach obydwie zadania ściśle się zązębiały, a nawet udanie się zadania informacyjnego zależało od możliwości utrzymywania normalnych stosunków osobistych z kołami litewskimi.

### *Serwis informacyjny*

Po przybyciu do Kowna sprawy techniczne służby informacyjnej załatwiłem dość szybko, aczkolwiek nastęrczały one duże trudności, jak np. wyszkolenie tłumacza prasy litewskiej itd. Serwis był na ogół codzienny i w myśl otrzymanych wskazówek obszerny. Przeciętnie telefon do Warszawy obejmował codziennie dwie kartki maszynowego pisma, czasem mniej a czasem nawet znacznie więcej. Aczkolwiek pewien tylko procent informacji umieszczany był w wydaniu urzędowym biuletynu P.A.T.'a, przeznaczonym dla prasy, to jednak dyrekcja P.A.T.'a w porozumieniu z M.S.Z. nalegała na dalsze utrzymanie tak obszernego serwisu, stwierdzając kilkakrotnie na moje zapytanie, że reszta informacji zamieszczona bywa w biuletynie wewnętrznym i że informacje te są potrzebne.

Były one zresztą dwojakiego rodzaju: normalne depesze o faktach a poza tym komentarze fakty te oświetlające, które z reguły służyły tylko do wewnętrznego użytku i nie szły do prasy. Przekazywano je do M.S.Z. Niektóre zresztą informacje, zwłaszcza dotyczące wewnętrznych spraw Litwy, z góry kwalifikowane były przeze mnie jako przeznaczone wyłącznie „do wiadomości”, o ile z uwagi na ewentualną możliwość zadrażnień uważałem ich publikowanie za nie celowe.

Zauważyć przy tym należy, że na informacje o swoich sprawach Litwini byli nieśtychanie wrażliwi. Jako kraj nieduży, którym z natury rzeczy prasa światowa mało się zajmowała, a któremu na odwrót Polska poświęcała ze specjalnych powodów wielką uwagę, Litwa każdą wiadomość o sobie śledziła z podwójnym zainteresowaniem i odczuwała ją w tych warunkach znacznie intensywniej niż państwa, których polityka jest tematem codziennych roztrząsań i informacji prasowych. Tak więc zwłaszcza informacje, dotyczące stosunków wewnętrznych w Litwie wywoływały czasem gwałtowne reakcje i stawały się często powodem niepotrzebnych zadrażnień.

Te specyficzne warunki spowodowały, że starałem się przykładać jak największą wagę do zupełnej ścisłości informacji i ich

w pełni rzeczowego i spokojnego tonu, oraz unikałem starannie tzw. sensacji dziennikarskich, które często bywają pokusą w działalności prasowej.

Rzecz prosta, że wobec silnego zadrażnienia stosunków polsko-litewskich wszystko, co ukazywało się w prasie polskiej, było podwójnie nieprzychylnie omawiane i odczuwane. Posuwano się tu nieraz do absurdu, niemniej z faktem tym należało się liczyć i unikać rzeczy, które zadanie główne czyli „normalizację stosunków polsko-litewskich” niepotrzebnie utrudniały. Z tego politycznego punktu widzenia taktyka ta okazała się słuszną.

Poza serwisem telefonicznym po jakimś czasie wprowadziłem tygodniowy biuletyn, wysyłany pocztą, w którym zamieszczałem informacje gospodarcze, tłumaczenia niektórych artykułów i mniej pilne informacje.

### *Nawiązanie stosunków osobistych*

Nawiązanie stosunków osobistych jest w każdym kraju dla przedstawiciela obcego państwa czy też prasy rzeczą tak normalną i dokonuje się w tak zwykły sposób, że sprawa ta nie zasługiwałaby na osobną wzmiankę. W Litwie jednak rzeczy miały się inaczej. I nie jest może pozbawione po prostu historycznego znaczenia chociażby pobieżne wspomnienie o tych sprawach dla charakterystyki tego okresu.

Po przybyciu do Kowna musiałem wobec kilku nietaktownych odezwań się prasy litewskiej o Polakach i polskiej prasie zasadniczo postawić sprawę zarówno w wydziale prasowym litewskiego M.S.Z. jak też w rozmowach z dyrektorem ELTY, oraz z szefem urzędu propagandy wiceministrem Tamoszajtisem i dyrektorem prasowym tegoż urzędu Kemeżisem, obu bardzo Polsce niechętnymi. W rozmowach tych podkreśliłem z jednej strony moje najszczerze zamiary wyjaśnienia nieporozumień, z drugiej jednak strony dość otwarcie stwierdziłem, że próby utracania z góry możliwości rozmów i osobistych stosunków są niedopuszczalne. Przybywszy do Kowna na podstawie zgody rządu litewskiego — oświadczyłem — muszę bezwzględnie liczyć na to, że stosunki nie zaczną się od wzajemnego bojkotu, bo wtedy nie miałyby one celu. Skoro rząd litewski stanął raz na zasadzie normalizacji stosunków, należy z tego wyciągnąć konsekwencje. Sprawy zaś wzajemnej miłości czy przyjaźni trzeba pozostawić czasowi. Są to rzeczy, które nie zjawiają się na rozkaz, a roztrząsanie ich w prasie jest niemiłe i wywołuje tylko fałszywe sytuacje.

W wyniku tych rozmów, przeprowadzonych zwłaszcza po ostentacyjnym pominięciu mnie jako przedstawiciela P.A.T.'a w zaproszeniu na konferencję prasową do ówczesnego premiera Mironasa, dyrektor ELTY (Litewska Agencja Telegraficzna) Dajlide po upływie kilku dni wydał dla mnie jako dla korespondenta P.A.T.'a śniadanie, na które zaproszeni zostali przedstawiciele wszystkich agencji prasowych akredytowanych w Kownie, a w rozmowie dał do zrozumienia, że w razie gdybym jako korespondent P.A.T.'a chciał złożyć wizytę wiceministrowi spraw zagranicznych Urbszysowi, o którego opierały się najważniejsze sprawy prasowe, zostanie przez niego niezawodnie przyjęty na dłuższej rozmowie. W dalszym ciągu ofiarował swoje pośrednictwo w ustalaniu wzajemnych wizyt z przedstawicielami prasy litewskiej, w tym także prasy wojskowej.

Doskonała w skutkach okazała się zwłaszcza wizyta i długa rozmowa na temat stosunków prasowych obu krajów z wiceministrem Urbszysem, która trwała przeszło godzinę. Cała prasa litewska podała o niej wzmiankę i w ten sposób przedstawiciel P.A.T.'a został niejako oficjalnie wprowadzony w świat dziennikarski i polityczny Litwy, co miało duże znaczenie wobec wspomnianych powyżej tendencji bojkotowych a nawet obawy utrzymywania stosunków z korespondentem polskim, które zaznaczyły się z początku.

Rozmowa z wiceministrem Urbszysem stała się punktem wyjścia dla na ogół lojalnego i przyzwoitego odnoszenia się litewskiego M.S.Z. do przedstawiciela Polskiej Agencji Telegraficznej. W sprawach ważnych, kiedy chodziło o rozeznanie się w zasadniczych zagadnieniach i kierunku polityki litewskiej, przedstawiciel P.A.T.'a bywał niejednokrotnie przyjmowany przez wiceministra a późniejszego ministra spraw zagranicznych Urbszysa. Po wizycie u wiceministra Urbszysa nastąpiła w jakiś czas potem wizyta i dłuższa rozmowa u ministra Łozorajtisa. Zupełnie poprawnie a nawet dobrze ułożyły się też następnie w ogóle stosunki przedstawiciela P.A.T.'a z przedstawicielami prasy i kół politycznych litewskich. W ciągu dalszego pobytu podobne rozmowy doprowadzały nieraz do złagodzenia niektórych zaogniających się tematów na łamach prasy litewskiej.

#### *Układ między ELT'ą i P.A.T.'em*

Szczytowym punktem pracy nad normalizacją stosunków prasowych był przygotowany przeze mnie jako przedstawiciela P.A.T.'a w licznych rozmowach z dyrektorem ELTY Dajlide

układ między ELTĄ i P.AT.'em, w którym ustalona została współpraca między obu agencjami oraz wzajemna bezpośrednia wymiana tych depeš, na których umieszczeniu przez drugą jednej z agencji zależało. Z układu tego obie agencje często później korzystały, mając w ten sposób możność zamieszczania w prasie drugiego kraju bezpośrednich informacji a także prostowania wiadomości nieściślych. Układ zawarty został w formie wymiany jednobrzmiących listów między dyrektorem ELTY i dyrektorem PAT'a.

Po zawarciu tego układu dyrektor ELTY Dajlide (późniejszy minister pełnomocny litewski w Rydze) złożył 6 grudnia 1938 w moim towarzystwie jako korespondenta PAT'a w Kownie oficjalną wizytę dyrekcji PAT'a w Warszawie. Rewizyta dyrektora PAT'a Obarskiego w Kownie nastąpiła latem 1939 roku. W ten sposób stosunki między prasą obu krajów otrzymały ostatecznie normalną podstawę. W dalszych konsekwencjach z inicjatywy mojej jako korespondenta PAT'a w Kownie nastąpiła latem roku 1939 wycieczka grupy wybitnych dziennikarzy litewskich do Polski. Wypadki wojenne przerwały rozpoczęte już rozmowy na temat rewizyty dziennikarzy polskich w Litwie.

### *Mniejszość polska w Litwie*

Działalność polityczna i propagandowa, zmierzająca do zbliżenia polsko-litewskiego napotykała na bardzo duże trudności z powodu podtrzymywanego przez Litwinów sporu o Wilno i jątrzenia kwestii mniejszościowej. Prasa litewska obfitowała w liczne artykuły na temat mniejszości litewskiej na Wileńszczyźnie, a jednocześnie eksterminacyjna polityka władz litewskich wobec mniejszości polskiej w Litwie specjalnie utrudniała stanowisko przedstawicieli polskich w Kownie. Poruszenie bowiem tej sprawy wywoływało natychmast fale zadrażnienia, z drugiej zaś strony nie było rzeczą możliwą uznawanie eksterminacyjnej polityki litewskiej w stosunku do Polaków. Instrukcje w tym kierunku brzmiały, ażeby sprawą mniejszości zajmować się możliwie mało i w ten sposób nie utrudniać osiągnięcia najważniejszego etapu, to znaczy normalizacji stosunków między obu państwami. Nie mogłem jednak w rozmowach z Litwinami nie zaznaczyć swojego stanowiska, zwłaszcza gdy mi z wielu stron a między innymi także w wydziale prasowym litewskiego M.S.Z. wykładano teorię, że wszyscy Polacy w Litwie i na Wileńszczyźnie są spolonizowanymi Litwinami, których należy po prostu odpolszczyć. Ciekawa była kiedyś w tym kierunku rozmowa moja z za-

stępcą kierownika wydziału prasowego Jurkunasem, który przyznając, że w Wilnie mówi się po polsku, wskazywał na przykład Belgii, gdzie przecież mówiący po francusku Belgowie czują się Belgami i wcale nie zamierzają przyłączyć się do Francji.

Odpowiedziałem na to, że niechby Flamandowie, pochwycający rządy, spróbowali w Belgii np. prześladować język francuski, to w wyniku na pewno nastąpiłby rozłam między francuską częścią Belgii i flamandzką, przy czym mogłaby powstać irredenta francuska. W Belgii na odwrót, jak mu wiadomo, dominuje kultura francuska i właśnie dzięki temu nie powstaje kwestia irredenty francuskiej.

W zasadzie jednak, nie unikając rozmów i starając się również tutaj wskazywać na konieczność rewizji stosunku Litwinów do mniejszości polskiej, odkładałem te rzeczy na później. Stosowałem się w tej mierze również do życzenia ministra polskiego Charwata, który sprawy mniejszości nie chciał poruszać, zachowując w tym kierunku bardzo daleko posuniętą wstrzeźliwość i podporządkowując tę sprawę zupełnie zadaniu normalizacji stosunków między obu państwami. Czy tak daleko posunięta wstrzeźliwość była wskazana, tego na tym miejscu nie przesądzam. W każdym razie Litwini stosowali wyraźny szantaż, sami w sprawie mniejszości litewskiej w Polsce uprawiając bez przerwy agitację niepohamowaną w swojej prasie, a krzycząc natychmiast w niebogłose, gdy ze strony polskiej najmniejszą zrobiono aluzję do położenia mniejszości polskiej w Litwie. Nie ustając ani na chwilę w polityce eksterminacyjnej wobec mniejszości polskiej, przekonani, że Polsce bardzo zależy na normalizacji stosunków, wyzyskiwali z zimną krwią to dążenie Polski, dając do zrozumienia, że zajęcie się losem Polaków w Litwie wywoła nieufność do polityki polskiej i uniemożliwi wskutek tego normalizację stosunków, że dopiero daleko idące gesty dla mniejszości litewskiej w Polsce tę nieufność mogą rozproszyć. Rzecz prosta, że „mówiący po polsku Litwini” w Litwie nikogo nie powinni obchodzić, owszem, Litwa zajęcie się nimi musiałaby uważać za podejmowanie z powrotem polityki polonizowania narodu litewskiego.

Była to w istocie sytuacja dla przedstawicieli polskich w Kownie bardzo trudna, i to zwłaszcza również w stosunku do Polaków w Litwie, którzy czuli się niejednokrotnie przez Polskę opuszczeni. Osobiście dałem kilkakrotnie dla zaznaczenia swego stanowiska krótkie depeche o niektórych jaskrawych faktach prześladowania Polaków, co za każdym razem spowodowało w Litwie burzę. W jednym wypadku oświadczyłem w litewskim M.S.Z. po jakimś ataku na mnie, lansowanym w brukowym piśmie „Łaj-



kas” z powodu jednej z moich depeesz, że depesza ta jest tylko małą próbą tego, co można by na ten temat dawać, i że domagam się pohamowania niebywałych i kłamliwych artykułów w prasie litewskiej na temat mniejszości litewskiej w Polsce. Jeżeli ma być rezerwa — oświadczyłem — to musi być ona dwustronna.

Mimo pewnej poprawy szantaż trwał jednak nadal i osłabł dopiero w czasie, gdy zarysowało się widmo konfliktów międzynarodowych. Mimo to jednak mniejszościowa polityka litewska w stosunku do Polaków pozostała w zasadzie ta sama. Namyslałem się nieraz, czy to niesłychanie delikatne z naszej strony traktowanie tej kwestii było słuszne, zważywszy zwłaszcza fakt, że mentalność litewska jest niesłychanie realistyczna i zgoda nie liczy się z sentymentami. Niektóre „sentymentalne” głosy prasy polskiej wywoływały w Litwie zawsze odwrotny skutek od zamierzonego, a nawet pogardliwe uwagi. Sprawy te poruszyłem również w rozmowie z ministrem Łozorajtisem a później Urbszysem, twierdząc, że o ile agitacyjne artykuły w sprawie mniejszości litewskiej nie znikną z łamów prasy litewskiej, nie wiem czy będę mógł nadal swoją rezerwę utrzymać.

### *Stosunek do kultury polskiej*

W sprawie mniejszości polskiej grała w kołach litewskich oprócz innych motywów dużą rolę obawa przed silnym wpływem kultury polskiej. Ten motyw w ogóle w stosunkach polsko-litewskich był jednym z powodów bardzo istotnych, dla których Litwa prowadziła politykę odseparowania się od Polski. Charakterystyczne było powiedzenie jednego z Litwinów, że gdyby np. Polacy oddali byli Litwie Wilno, i tym samym byłby upadł powód zerwania stosunków, trzeba by było wynaleźć coś innego jako powód sporu, np. kwestię podziału sum, które przywiozła albo wywiozła królowa Bona, względnie coś podobnego. Litwini chcieli zachować dystans, chcieli się oddzielić. Uważali oni, że związek z Polską spowodował w narodzie litewskim zatracenie świadomości narodowej i spolonizowanie wielkiej jego części. Nie przyznawali, że to się stało dobrowolnie, owszem propaganda litewska usiłowała wykazać że Polacy polonizowali Litwinów siłą. W każdym razie w kołach litewskich istniała i istnieje nadal, jak tego dowodzą niejedne głosy prasy po okupacji Wilna i nawrót do polityki antypolskiej, przekonanie, że tylko walka z polskością zapobiegnie powtórzeniu się oraz dalszemu ciągowi procesu polonizacyjnego w Litwie.

Widząc to podkreślałem w rozmowach z Litwinami, że uważam ich poczucie narodowe za rozwinięte w pełni i nie rozumiem jakichkolwiek w tym kierunku obaw. Rozmowy te trzeba było co prawda prowadzić ostrożnie, żeby nie zadrażnić dość w tym kierunku przeczulonej narodowej miłości własnej Litwinów. Nie widzę wobec tego powodu — mówiłem — czemu mają być dla takiego motywu utrzymywane bariery między Litwą a Polską. Temat ten poruszyłem też w dość długiej rozmowie z ministrem Łozorajtisem uprzedzając, że traktuję go jako interesujące mnie zagadnienie socjologiczne w zakresie procesów wyłaniania się świadomości narodowych. Dzisiaj — mówiłem — stwarzanie zapór psychicznych między Polską a Litwą utrudnia i utrudniać może w przyszłości właśnie w decydujących chwilach rządowi litewskiemu posunięcia, które mogą się okazać konieczne. Jest więc najwyższy czas, ażeby skończyć z tym zadrażnieniem, które korzyści już nie przynosi ale za to może przynieść szkody. Poza tym kultura żadnego narodu nie może wyrastać w odosobnieniu, a jeżeli odosobnienie jest jednostronne, wtedy istnieje też niebezpieczeństwo jednostronności wpływów.

Minister Łozorajtis nie zaprzeczał istnienia tego motywu w polityce litewskiej w przeszłości, twierdził jednak, że nie gra on już roli obecnie, i że zwłaszcza młodzież litewska jest zupełnie wyemancypowana i czysta w swoim poczuciu narodowym.

Jak dalece mimo wszystko istniała jednak podatność na wpływy kultury polskiej w narodzie litewskim, dowodziło niesłychane powodzenie każdego polskiego występu artystycznego w Kownie. Na polskie koncerty po prostu nie można było dostać biletów, tak szybko je wykupywano i taki był natłok publiczności. To samo było z filmami polskimi, co wreszcie wywołało nawet interwencję posła niemieckiego zaniepokojonego tym stanem rzeczy. W wyniku zakazano wyświetlać kinom jednocześnie kilka filmów polskich. Zdarzyło się bowiem, że w centrum miasta wszystkie kina wyświetlały polskie filmy, robiąc na tym doskonałe interesy.

### *Walka z zakorzenionym zwyczajem solidaryzowania się z każdą akcją antypolską*

Jednocześnie rozwinąłem szeroką akcję przeciwko zakorzenieniu w prasie litewskiej zwyczajowi popierania wszystkiego i pisania o wszystkim, co Polsce mogło szkodzić albo miało wykazywać jej słabość. Między innymi prasa litewska zajmowała się nie tylko mniejszością litewską w Polsce, ale bardzo skwapliwie

popierała ruch ukraiński, białoruski i w ogóle każdy ruch odśrodkowy w Polsce, skwapliwie i z przyjemnością zapisując jego objawy i wyciągając niekorzystne dla Polski wnioski.

W walce z tymi objawami oparłem się na tezie, że istnienie silnej i potężnej Polski leży w interesie Litwy i że w ogóle bez Polski o rzeczywiście niepodległej Litwie nie może być mowy. Postępuje więc — mówiłem — wbrew interesowi Litwy ten Litwin, który się cieszy z wrogich Polsce objawów i który je w tej albo innej formie popiera, chociażby nawet tylko przez propagandę. Teza ta z początku dla wielu Litwinów była po prostu paradoksem, muszę jednak stwierdzić, że zwłaszcza później rozumiano ją w niektórych najwyższych sferach litewskich. Bały się one jednak z nią wystąpić a nawet hamować w prasie nieodpowiedzialne artykuły i stąd nie przeciwdziałały zupełnie szerzącej się i prawdopodobnie nieraz przez obce czynniki podsycanej akcji w sprawach ukraińskich i innych.

W wielu rozmowach wykazywałem dziennikarzom litewskim, że Litwa, wtłoczona między olbrzymią Rosję i potężne Niemcy nie zachowa w ogóle albo zachowa tylko fikcyjnie swoją niepodległość, o ile nie będzie istniał między tymi potęgami silny czynnik trzeci, w którego interesie będzie leżało zachowanie zasady niepodległych tworów państwowych położonych między tymi potęgami. A takim czynnikiem może być tylko Polska i jej polityka. Jest więc samobójstwem ze strony każdego małego państwa, ażeby występować przeciwko Polsce i cieszyć się z prądów, zmierzających do podkopania jej siły albo je nawet bezpośrednio czy pośrednio popierać.

Rozmowy w tym kierunku wydały duże owoce. Artykuły odnośne zaczęły znikać z łamów prasy litewskiej, a po jakimś czasie jeden z przywódców chrześcijańskiej demokracji, dr Dielininkajtis oświadczył mi, że po rozmowie ze mną, przemyślawszy sprawę, polecił zahamować odnośne głosy w organie chrześcijańskiej demokracji „XX Amžius”ie. Powoli istotnie zaczęło kiełkować w Litwie przekonanie, że zwalczanie Polski nie leży w interesie litewskim.

### *Nieufność do Polski*

Długi czas istniała w Litwie nieufność do Polski i jej istotnych wobec Litwy zamiarów. Podejrzewano mianowicie w niektórych kołach litewskich Polskę, że byłaby skłonna Litwę po prostu zaanektować. Nie przekonywał Litwinów fakt, że gdyby takie zamiary istniały, byłaby Polska to już zrobiła w okresie

ultimatum. Uważali oni, że Polska nie mogła się wtedy dalej posunąć z obawy przed komplikacjami między innymi również z Rosją. W ogóle umiarkowania ultimatum, o ile chodzi o szeroką opinię, nie tłumaczono sobie dobrą wolą Polski a raczej jej rzekomym skrępowaniem. Z tego też powodu po pierwszym wstrząsie, gdy zobaczono, że Polska poprzestaje na normalizacji stosunków, reaktywowano zawieszono na krótki czas antypolskie pretensje i wystąpienia, które zahamowano znowu dopiero znacznie później, gdy w związku z wypadkami czeskimi wystąpił kryzys zaufania do bezpieczeństwa stosunków europejskich i obawa o bezpieczeństwo własne, i gdy rzucono hasło „polityki dobrych stosunków Litwy z sąsiadami”.

Jednak właśnie wypadki czeskie i w ogóle cała sprawa Czechosłowacji była tematem ciągłych wyrzutów ze strony litewskiej. Dyskusja była tu bardzo trudna. Czechosłowacja była w Litwie niezwykle popularna. Być może, że odczuwano w Litwie pewne analogie z położeniem Czechosłowacji. Tu i tam stosunki były złe, zarówno z Niemcami, których się obawiano, jak też z Polską. Dobre stosunki istniały właściwie tylko z Rosją sowiecką, jeżeli chodzi o najbliższe położone mocarstwa, a tutaj właśnie nadzieja na pomoc zawiodła w chwili decydującej. W każdym razie sprawa czeska była w Litwie jednym z najbardziej odczuwanych i poruszanych w rozmowach zagadnień. Bano się może, że polityka polska w stosunku do Litwy może pójść podobnymi torami, co w stosunku do Czechosłowacji, aczkolwiek niezwykle pobłażliwość Polski w stosunku do antypolskiej polityki litewskiej mówiła zupełnie co innego. W każdym razie był to temat bardzo drażliwy i w gruncie rzeczy dopiero wtedy, gdy stało się jasne, że Polska wchodzi w konflikt z Niemcami, Litwini się trochę uspokoili. Wtedy jednak już w związku z przemianami w stosunku do Polski, o których była mowa powyżej, wystąpił inny objaw, a mianowicie obawa, jak się później niestety okazało uzasadniona, że Polska nie okaże się dość silną, ażeby Niemcom sprostać. Toteż wielu Litwinów do ostatniej prawie chwili przypuszczało, że Polska nie odważy się oprzeć zbrojnie naciskowi niemieckiemu, które to zresztą sugestie szerzyli systematycznie do ostatniej chwili przedstawiciele niemieccy w Litwie.

### *Akcja niemiecka*

Niemcy mieli w Litwie dobrą i sprawnie działającą organizację. Na usługach Niemiec była przede wszystkim doskonale zorganizowana mniejszość niemiecka, która, nie będąc tak tępio-

na jak mniejszość polska, łatwiej i głębiej wnikała w społeczeństwo litewskie. Wyzyskiwali również Niemcy gospodarcze połączenia, które mieli dość duże. Wreszcie nie ulega wątpliwości, że do niektórych organizacji litewskich pośrednio albo nawet bezpośrednio sięgały przez niektórych ludzi wpływy niemieckie. Zaznaczały się one wśród szaulisów, w niektórych formacjach młodzieży oraz w niektórych grupach partii tautininkasów. Niemcy wyzyskiwali przy tym nastawienie antypolskie Litwinów i skwapliwie je budzili i to z pewnymi sukcesami zwłaszcza wśród młodzieży oraz w grupie czasopisma „Vairas” („Ster”). Do grupy „Vairasa” należeli niektórzy młodzi członkowie partii tautininkasów. Zaznaczyła się ta robota zwłaszcza w grupie „Vairasu” od czasu, gdy generał Rasztikis wymógł na prezydencie Smetonie utworzenie rządu koalicyjnego i odsunięcie od wyłącznych rządów państwem partii tautininkasów. Niezadowoleni, młodszy zwłaszcza, członkowie tej partii rozpoczęli akcję, zmierzającą do przywrócenia dawnego stanu rzeczy i skombinowali ją z akcją antypolską. Ta akcja była bardzo na rękę polityce niemieckiej. Kilkakrotne rozruchy młodzieży, określenie przez przywódcę związku Szaulisów pułkownika Soladziusa w oficjalnym przemówieniu na uroczystości związku w obecności prezydenta Smetony Kowna jako „tymczasowej stolicy” Litwy, pogłoski o mającym nastąpić zamachu stanu, przy czym między innymi padało również nazwisko wymienionego pułkownika Soladziusa, wreszcie gwałtownie antypolskie artykuły redaktora naczelnego „Vairasa”, dr. Dirmeikisa, pozostawały w związku z tymi nastrojami i być może, jeżeli nie całkowicie, to jednak przez niektóre kanały łączyły się z robotą niemiecką.

Została ona wzmocniona bardzo wydatnie zwłaszcza od czasu, gdy już wyraźnie zaznaczył się konflikt polsko-niemiecki, to jest od marca 1939 roku. Jasną jest rzeczą, że w tych warunkach polska robota propagandowa i polityka, zmierzająca do zacieśnienia i normalizacji stosunków polsko-litewskich, napotykała na silną kontrakcję niemiecką i musiała działać przeciwko polityce niemieckiej oraz podjąć walkę z wpływami niemieckimi.

Utрудniała robotę niemiecką jednakże sprawa Kłajpedy, która w Litwie wywołała wielki wstrząs, a także coraz bardziej odślanający się zaborczy charakter polityki niemieckiej. Jak wszystkie małe państwa, Litwa szukała jakiegoś oparcia i mimo wszystko byłaby rada znaleźć je w Polsce. Obawiano się jednak angażować w tym kierunku a przede wszystkim nie dowierzano sile Polski. Propaganda polska musiała więc iść w kierunku przeciwdziałania niemieckiej robocie u samego źródła, a poza tym szerzenia świadomości, że w ostatecznej rozgrywce zwycięstwo Niemiec jest

niemożliwe i że Litwa zrobiłaby największe głupstwo polityczne, wiążąc się z Niemcami i podejmując robotę antypolską, którą w tym właśnie okresie zarówno w Polsce jak i gdzie indziej musiano by uważać za solidaryzowanie się z niemieckim atakiem na Polskę.

Na ten temat odbyłem liczne rozmowy, uwieńczone sukcesem, o ile chodzi o grupę tautininkasów, zbliżoną do byłego gubernatora Kłajpedy Navakasa, który rozumiał niebezpieczeństwo niemieckie. Duże zrozumienie znalazłem w chrześcijańskiej demokracji oraz u ludowców (laudininkasów), natomiast rozmowy z redaktorem naczelnym „Vairasa” nie dały wyniku, mimo, że nie tylko sam próbowałem na niego oddziaływać, ale otrzymawszy wiadomości o nastrojach w tej grupie, zanim jeszcze wystąpiły one wyraźniej, zetknąłem tych ludzi u siebie na śniadaniu z członkami naszego poselstwa, których przedtem poinformowałem, o co chodzi. Później w sprawie artykułów „Vairasa” rozmawiałem z dyrektorem departamentu politycznego M.S.Z. Turauskasem, wskazując, że na czele związku tautininkasów stoi bądź co bądź prezydent Smetona. Zważywszy zaś, iż „Vairas” jest organem tautininkasów, musi jego antypolska akcja budzić co najmniej wielkie zdziwienie zarówno w Polsce jak i za granicą. Wiem, że po tym nastąpiły pewne kroki w stosunku do „Vairasa”. Przestrzegałem też przed wznowieniem akcji w sprawie Wilna, którą podejmował dawny prezes Związku Wyzwolenia Wilna Juszkas, dyrektor teatru w Kownie, wskrzeszając jakiś związek rzekomo kulturalny, ale którego skład wskazywał wyraźnie na zamiar podejmowania akcji wileńskiej na wzór roboty Związku Wyzwolenia Wilna, który to Związek został w trakcie normalizowania stosunków polsko-litewskich rozwiązany. W tej organizacji jednak istniały zawsze kanały niemieckie. Próba wskrzeszenia ich była więc wyraźnym objawem wzmocnienia akcji niemieckiej.

Mimo wszystko Litwa jako całość nie życzyła sobie jednak w nadchodzącym konflikcie zwycięstwa niemieckiego a nawet można powiedzieć, że sympatie jej w istocie były po stronie polskiej. Oświadczenia rządu polskiego, że Polska nie ustąpi, witane były w Kownie po prostu z ulgą. Zdawano sobie bowiem sprawę z tego, że ustępstwa Polski oznaczają w dalszych konsekwencjach zupełną hegemonię Niemiec, czego Litwa się bała. Pozostała jednak do końca obawa co do siły polskiej a także co do jej siły militarnej. Usiłowałem i tutaj przeciwdziałać, z najlepszą zresztą wiarą. Urządziłem nawet kiedyś u siebie duże przyjęcie, na które przybyli wszyscy wybitniejsi publicyści i dziennikarze litewscy, i na które zaprosiłem również poselstwo polskie oraz pułkownika Leona Mitkiewicza, naszego attaché militaire, ażeby dać

sposobność zetknięcia się publicystów litewskich z przedstawicielem wojska. O wątpliwościach litewskich w tym kierunku mówiłem również w Warszawie w M.S.Z. W wyniku program wycieczki dziennikarzy litewskich w Polsce objął również pokazy wojskowe.

Dzisiaj gdy w obliczu klęski patrzę na te moje wysiłki, nie żałuję ich. Wynikały one z wiary w Polskę i w armię polską, której się nigdy nie będę wstydził. Miałem prawo wierzyć, tak jak wierzyły miliony Polaków.

Rzecz prosta, że moja akcja propagandowa a zwłaszcza próby odwrócenia nienawiści Litwinów i ich czujności i obawy w kierunku niemieckim wywołały w stosunku do mnie kontr-akcję niemiecką. Próbowano ją robić na wewnątrz, nie zawahano się jednak również przed otwartymi atakami prasowymi w niemieckiej prasie wschodnio-pruskiej, która specjalnie zajmowała się sprawami litewskimi. Ataki takie ukazały się w „Königsberger Allgemeine Zeitung” i w „Preussische Zeitung”, skoordynowane z próbami lansowanymi w prasie litewskiej (pewne sfery tautininkowskie), a insynuujące nawet odwołanie mnie z Kowna. Jednak litewskie M.S.Z. odsunęło się od tych prób, stwierdzając w rozmowie ze mną — wydział prasowy oraz dyrektor departamentu politycznego Turauskas — że się z treścią ataków zupełnie nie solidaryzują. W dalszym ciągu Niemcy postanowili wzmocnić w Litwie swoje przedstawicielstwo prasowe. Przedstawiciel D.N.B. („Deutsches Nachrichtenbüro”) w Litwie, miejscowy Niemiec, aczkolwiek nie głupi, nie umiał jednak ani prowadzić domu ani przyjmować ludzi i nie zajmował żadnego stanowiska towarzyskiego. Miał więc przyjechać z Niemiec wybitniejszy przedstawiciel prasy niemieckiej, jakiś baron, którego już nawet zapowiedziano w litewskim M.S.Z. Wypadki wojenne przerwały wykonanie tego zamiaru. Jak się zdaje, Niemców drażnił również fakt, że prowadziłem dom w Kownie. Bywali u mnie wszyscy wybitniejsi publicyści i dziennikarze litewscy, nazwiska wielu z nich widnieją w mojej księdze gości.

### *Sprawa Wilna jako „mit” litewski*

Gdy była mowa o Wilnie i konieczności porzucenia w tej sprawie stanowiska litewskiego, Litwini zaślaniaли się tłumaczeniem, że na tym właśnie Wilnie, na sprawie jego odzyskania, wybudowali swoją ideologię narodową, i że nie mogą się wyrzec oficjalnie Wilna, ponieważ w takim razie wstrząsnęliby podstawami swojej polityki i swojej świadomości narodowej. W istocie

sprawa Wilna stanowiła w ideologii litewskiej rodzaj „mitu” w sensie teorii Georges Sorel’a, około którego krystalizowała się uczuciowa treść szerokich mas litewskich. Ile w tym było świadomej roboty, a ile rzeczywistego uczucia, trudno określić. Rolę grały zapewne obydwa momenty. Wynikiem ich działania było w każdym razie bardzo głębokie zakorzenienie się tego motywu w masach. Byłem kilkakrotnie świadkiem manifestacji wileńskich, które powtarzały się czy to przy okazji przyjazdu Litwinów z Wileńszczyzny, czy też przy innych okazjach, mających związek z Wilnem. Mimo tłumienia potem — bardzo zresztą łagodnego — zasięgu tych manifestacji, mimo zamknięcia Związku Wyzwolenia Wilna, motyw ten tkwił jednak głęboko w psychice litewskiej i stanowił stałe niebezpieczeństwo dla stosunków polsko-litewskich. Istnienie tego motywu symbolizował fakt, że w nowej konstytucji litewskiej, uchwalonej już po nawiązaniu stosunków polsko-litewskich, a po ochłonięciu z pierwszego przerażenia po ultimatum, jako stolica Litwy wyraźnie określone zostało Wilno. Uważałem zawsze za błąd, że — gdy się już raz ultimatum stawiało — nie zażądano w nim wykreślenia raz na zawsze tego rodzaju stwierdzeń z oficjalnych aktów litewskich. Taki artykuł w konstytucji ustalał bowiem istnienie mitu wileńskiego i możliwość powrotu do prób jego urzeczywistnienia przy sprzyjających okolicznościach.

Namyślając się nad przeciwdziałaniem w tej sprawie doszedłem do wniosku, iż najpewniejszą rzeczą będzie odwrócenie kierunku uczuć litewskich i próba zastąpienia jednego mitu przez drugi. W tej myśli starałem się przede wszystkim wyzyskać sprawę zaostrenia się stosunków litewsko-niemieckich i odebranie Litwinom przez Niemców Kłajpedy. W wielu rozmowach, poruszając tematy historyczne, wskazywałem na to, że istotną przyczyną nieszczęść litewskich byli Niemcy. Oni to bowiem zniszczyli poważną część prawdziwego rdzenia narodu litewskiego nad Bałtykiem. To co Litwini stracili przez rzekomą „polonizację”, to były raczej kraje białoruskie. Poza tym, skoro uważają unię z Polską za rzecz dla siebie fatalną pod względem narodowym, powinni sobie uświadomić, że do tej unii zmuszeni zostali zarówno oni jak też Polacy przez nacisk zaborczego i drapieżnego Zakonu krzyżackiego. Tylko więc uwolnienie Litwy od tego nacisku może ją zabezpieczyć również w przyszłości. Posiadanie Kłajpedy i kraju kłajpedzkiego, który Niemcy im próbują odebrać — względnie później odebrali, — wschodniej części Prus Wschodnich i w ogóle zniknięcie niemieckich Prus Wschodnich, oto jedyna gwarancja rozwoju narodu litewskiego, a przede wszystkim powrót do jego istotnego rdzenia, z którego można



będzie się naprawdę odrodzić. Niechże się przyjrzą temu co się dzieje. Nie Polska dzisiaj polonizuje Litwinów, ale Niemcy ich germanizują od strony Bałtyku. Tam jest właściwy front dla walki litewskiej.

Z rozmów, które odbyłem na ten temat, do ciekawszych należały rozmowy z wybitnym publicystą chrześcijańsko-demokratycznym dr. Skrupskelisem, który wreszcie oświadczył: „Przyznajmy się obaj — zarówno wy Polacy jak też my Litwini — popełniliśmy ten sam błąd. Szliśmy na wschód zamiast bronić naszego zachodu i naszego morza. Dzisiaj wy pokutujecie w Gdańsku a my pokutujemy w Kłajpedzie”.

Interesujące były również rozmowy z młodym historykiem litewskim dr. Ivinskisem, docentem uniwersytetu kowieńskiego, należącym zresztą również do chrześcijańskiej demokracji. Napisał on bardzo ciekawą rozprawę na temat stosunku Litwy do Polski i Niemiec w historii. Teza tej rozprawy, aczkolwiek nie wprost wypowiedziana, brzmiała, że Polacy i Litwini popełnili błąd, kłócąc się między sobą, na czym korzystał „ten trzeci” — to znaczy Niemcy.

Akcja ta, którą prowadziłem zresztą w przekonaniu, że teza głoszona przez mnie jest prawdziwa i słuszna dla obu krajów, nie mogła się oczywiście ukryć. Przypuszczam, że stała się ona również jednym z powodów do zwalczania mnie przez koła niemieckie oraz Niemcom oddane.

Akcja ta jak widać miała widoki powodzenia. Chodziło mi w niej — skoro już konieczne istnienie wroga miało być odskocznią dla wzmocnienia litewskiego poczucia narodowego — żeby tym wrogiem nie była Polska ale Niemcy. Utrudniał ją fakt, że Niemcy coraz bardziej ciążyły jako potęga nad wschodem Europy, a stanowisko Polski nie było uważane w Litwie jako równorzędne Niemcom, jeżeli chodzi o siłę. Bezpieczniej i łatwiej więc było upominać się o Wilno niż o te ziemie litewskie, które były pod panowaniem niemieckim. Umożliwiło zaś w pełni tę akcję dopiero zabranie Litwie przez Niemców Kłajpedy. Póki Kłajpeda znajdowała się w ręku litewskim, Litwa czuła się od strony Niemiec jako tako zaspokojona, a w każdym razie nie była w ofensywie a raczej w defensywie. Nie ulega też wątpliwości, że Polska względnie Wilno wybrane zostało jako „negatyw” dla budowania „pozytywu” świadomości narodowej litewskiej, również dlatego, ponieważ prawie wszyscy działacze litewscy wyszli i kształtowali się raczej w walce z polskością. Starsi więc politycy litewscy uparcie tkwili w swoim antypolskim nastawieniu. Pochodzili oni przy tym z warstw włościańskich, przeciwstawiających się polskiemu ziemiaństwu. Ten moment so-

cyjny grał dużą rolę w antypolskim nastawieniu Litwy. W wyobrażeniu mas litewskich wszyscy Polacy to był „naród panów i szlachty”, do którego czuli zadawnioną nieufność. Nie zapomnę mojego zdumienia, gdy przy pierwszej rozmowie redaktor organu Związku Szaulisów „Trimitas’u” Kalnienas spytał mnie się, czy jestem szlachcicem. Na moją odpowiedź, że pochodzę z rodziny mieszczańskiej inteligencji, odetchnął głęboko i oświadczył: „Ach, to dobrze, to bardzo dobrze, to może się dogadamy”.

### *Polityka neutralności*

Zbierające się na horyzoncie chmury, a zwłaszcza wypadki czeskie, wywołały w Litwie duży niepokój. Dalsze istnienie drażnień zarówno z Niemcami jak z Polską uznano za bardzo niebezpieczne. Z tego przekonania narodziła się nowa litewska polityka zagraniczna, określona mianem „polityki dobrego sąsiedztwa z sąsiadami i polityki neutralności”. Zasada neutralności ujęta została w specjalnej ustawie, wzorowanej na podobnej ustawie państw skandynawskich. W istocie polityka litewska dążyła szczerze do urzeczywistnienia tej zasady. W praktyce jednak wynikały rozmaite odchylenia. A mianowicie czując bardzo silny nacisk niemiecki i obawę przed Niemcami, a także wskutek ciągłych interwencji niemieckich, Litwa bardzo skwapliwie unikała wszystkiego, co by się mogło nie podobać Niemcom. W stosunku zaś do Polski zaczęto w tym czasie uważać, iż nie grozi już z tej strony poważniejsze niebezpieczeństwo. Stąd nie przestrzegano tak ściśle w prasie litewskiej zasady „nie drażnienia sąsiada” w stosunku do Polski jak w stosunku do Niemiec. Zauważywszy tę zaznaczającą się w prasie jednostronność zwróciłem w dłuższej rozmowie uwagę ministra Urbszisa na niebezpieczeństwo odchylenia, płynące stąd, że Polska okazuje wobec Litwy jak najdalej idącą dobrą wolę i unika wszystkiego co mogło by robić wrażenie nacisku, podczas gdy Niemcy nie są tak uważające. Czy jednak wyniki mają usprawiedliwiać metodę niemiecką? — zapytałem.

Przedtem jeszcze przeprowadziłem podobne rozmowy z redaktorami głównych pism litewskich, a zwłaszcza z redaktorem naczelnym „Lietuvos Aidas’a” Merkelisem, byłym sekretarzem prezydenta Smetony. Urbszis oczywiście zaprzeczył, jakoby istniała jednostronność, nie zaprzeczył jednak istnienia ciągłych interwencji niemieckich, a nawet nie krył się z wyraźną troską na temat polityki niemieckiej.

W lipcu i w sierpniu 1939 akcja niemiecka, pchająca Litwę na Wilno, wzbierała coraz bardziej na sile. Jeden z członków delegacji litewskiej do rokowań gospodarczych z Niemcami, powiedział do jednego z moich znajomych, że Niemcy ofiarowywali im w Berlinie Wilno na śniadanie, na obiad i na kolację. Dużo do myślenia dawał też powrót do Litwy Waldemarasa. Otrzymałem jednak zawsze zapewnienia zarówno ze strony oficjalnej jak i poważniejszych osobistości litewskich, że Litwa w razie konfliktu zachowa neutralność. W istocie też podczas wojny okazało się, że zapewnienia te były szczere. Dopiero zajęcie Wilna przez bolszewików i zupełna klęska Polski zmieniły sytuację. Podkreśliły zmianę sytuacji żądania sowieckie w stosunku do Litwy i wynikające z tego rokowania. Nie mogłem już sprawdzić czy Litwa podczas tych rokowań wystąpiła z wnioskiem oddania jej Wilna zupełnie z własnej inicjatywy. Otrzymała je ona w istocie jako rekompensatę za ustępstwa wobec Rosji, przy czym nie jest jednak rzeczą wykluczoną, że propozycja tej rekompensaty wyszła ze strony litewskiej. Pewne głosy prasy litewskiej w czasie rokowań, uspokajające czytelników, że rząd pamięta o interesach litewskich, mogłyby wskazywać na to, że żądanie to wysunął rząd litewski. Z drugiej strony podczas jednej z ostatnich moich rozmów z dyrektorem ELTY Gustainisem, mianowanym na to stanowisko po przejściu uprzedniego dyrektora Dajlide'go na stanowisko posła litewskiego w Rydze, tenże wyraził się z pewną troską, że Litwa może otrzymać w tych rokowaniach *un cadeau embarrassant*.

### *Przełom niedokończony*

Jest rzeczą jasną, że trwająca kilkanaście miesięcy działalność polska w Litwie — której to co piszę jest tylko częścią, nie poruszam bowiem wcale działalności poselstwa polskiego w Kownie — nie mogła odrobić wyników trwającego dwadzieścia lat stałego nastawiania społeczeństwa litewskiego przeciwko Polsce. Przełom został rozpoczęty, nie został jednak w pełni dokończony a przede wszystkim nie zdołał się jeszcze umocnić. Stąd istniało zawsze i nawet w normalnych warunkach istniałoby niebezpieczeństwo nawrotu prądów antypolskich. Te prądy zaczęły w Litwie przygasać, zgoła jednak jeszcze nie zamarty. Toteż przy zmianie warunków natychmiast odżyły one od nowa. Tym też tłumaczy się — po chwilowych wahaniach — nawrót do gwałtownej akcji antypolskiej po zajęciu Wilna. Odżyły przede wszystkim w związku z włączeniem dużej ilości żywołu polskiego bar-

dzo mocno obawy o wpływ polonizacyjny tego żywiołu, jak tego dowodzą głosy prasy litewskiej. Wyłoniła się *mutatis mutandis* ta sama sytuacja, która spowodowała w latach 1919-1938 gwałtowne odcięcie się Litwy od Polski. Nie należy przy tym zapominać, że litewska polityka antypolska w sprawie mniejszości polskiej trwała do ostatniej chwili. Przyłączenie Wilna do Litwy postawiło wskutek ogromnego przyrostu tej mniejszości pod znakiem zapytania narodowo-litewski charakter tak powiększonego państwa. Z tym niebezpieczeństwem, na które zresztą zawsze Litwinom zwracałem uwagę, rozpoczęli oni walkę na swój sposób i wypróbowanymi przez lat dwadzieścia metodami.

Jakkolwiek sprawy się rozwiną w przyszłości, wydaje mi się, że okres od chwili nawiązania stosunków dyplomatycznych Polski z Litwą aż do wybuchu wojny pozostanie jednym z ciekawszych okresów w stosunkach polsko-litewskich i w ogóle w polskiej polityce nadbałtyckiej.

#### *Po wybuchu wojny (od 1 września do 8 października 1939)*

Placówka PAT'a w Kownie miała ostatni raz łączność z centralą w Warszawie w dniu 3 września 1939 roku. Od tego czasu pozostała bez łączności i bez instrukcji. Wobec tego placówka nawiązała łączność z ekspozyturą PAT'a w Wilnie, której dostarczała wiadomości zarówno z terenu litewskiego, jak też posługując się serwisem ELTA'y i przekazując dostępne w Kownie wiadomości Havas'a i Reuter'a. Podobnie działała placówka PAT'a w Rydze, tak iż Wilno mając wiadomości z obu tych placówek mogło zaopatrywać prasę wileńską, mimo przerwania działalności warszawskiej Centrali, w wiadomości nie tylko z terenu litewskiego i łotewskiego, ale również z całego świata.

Placówka PAT'a w Kownie pośredniczyła poza tym w odbieraniu wiadomości od placówki PAT'a w Moskwie, która nie mogąc się łączyć z Centralą, nadawała telefonem wiadomości do Kowna. Z kolei wiadomości z placówki PAT'a w Wilnie szły nie tylko do prasy wileńskiej, ale nadawane były w dużej części przez Radio Wileńskie i pojawiały się potem również w Radio Baranowicze i Warszawa II. Radio Wileńskie, które ze stacji polskich, oprócz Warszawy II, funkcjonowało najdłużej, przerwało swą działalność dopiero po zajęciu Wilna przez Rosjan.

Po przerwaniu działalności Centrali warszawskiej placówka w Kownie zorganizowała ponadto na miejscu, na własną rękę, biuletyn PAT'a i dostarczała go ELTA. Na biuletyn składały się wiadomości, chwymane przez radio albo też dostarczane przez

Wilno, względnie czerpane z innych źródeł. Biuletyn placówka dostarczała ELTA już w tłumaczeniu litewskim. Sporo wiadomości z biuletynu pojawiało się w ten sposób w prasie litewskiej. Utrzymując łączność z korespondentami Havas'a i Reuter'a placówka w Kownie starała się podawać pewne wiadomości również za ich pośrednictwem.

Działalność ta stawała się coraz bardziej utrudniona zarówno przez coraz słabszy napływ wiadomości (zamilknięcie wszystkich stacji radiowych polskich itd.), jak również przez zaznaczającą się coraz silniej obawę zamieszczania biuletynu przez prasę litewską w miarę rozwoju wypadków i rosnącego nacisku Niemiec a potem Sowietów na Litwę. Niemniej jako przedstawiciel placówki PAT'a utrzymywałem nadal kontakt osobisty ze sferami dziennikarskimi oraz politycznymi Litwy.

W kilka dni po zajęciu Wilna przez wojska bolszewickie wezwany zostałem przez posła R.P. Charwata, który oświadczył mi, iż działalność poselstwa R.P. w Kownie skończy się zapewne w niedługim czasie, że może to nastąpić każdego dnia, i zalecił korespondentowi PAT'a opuścić Kowno przedtem, stwierdzając, że w razie nagłego wyjazdu nie będzie mógł liczyć na wyjazd razem z Poselstwem. Mając nadzieję otrzymania jakiejś instrukcji z mojej Centrali, o której przypuszczałem, że może się już ukonstytuowała w Paryżu, nie wyjechałem, mimo że Poselstwo chciało mnie wysłać jako kuriera dyplomatycznego dnia 25 września. Nie skorzystałem również z tej samej sposobności w dniu 2 października. Gdy jednak Poseł R.P. kilkakrotnie, a ostatni raz w dniu 1 października w dłuższej rozmowie, wskazał na konieczność prędkiego wyjazdu i gdy to samo zalecenie otrzymałem od Attaché Wojskowego przy Poselstwie R.P. w Kownie płk. Leona Mitkiewicza — obydwaj zalecili wyjazd do Paryża — po bezskutecznej próbie telegraficznego porozumienia się z przedstawicielem PAT'a w Paryżu opuściłem Kowno dnia 8 października 1939, posługując się wystawionym mi w tym celu dnia 16 września 1939 paszportem dyplomatycznym i zabierając ze sobą pocztę dyplomatyczną dla Polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Paryżu.

*Jerzy DROBNIK*

Paryż, w styczniu 1940



Poniżej kopia zaświadczenia, które wystawił już w Sztokholmie dnia 19 października 1939 minister i poseł R.P. w Kownie Franciszek Charwat:

## ZASWIADCZENIE

Poświadczam niniejszym, że p. Jerzy Drobniak, reprezentant Polskiej Agencji Telegraficznej (PAT), opuścił Kowno na moje zalecenie w trakcie ewakuacji placówki Poselstwa Polskiego.

Stockholm, dnia 19 października 1939 roku.

(—) Fr. Charwat  
Poseł R.P. w Kownie.

Z powodów technicznych (opóźnienia pocztowe, etc) nie udało nam się zamieścić w tym dziele: Memoriału Zawadzkiego w opracowaniu prof. dra Wiktora Sukiennickiego oraz artykułu tegoż autora pt.: „Poszło z dymem”. Opracowania te zamieścimy w następnym Zeszycie Historycznym. — (Redakcja).

# PAMIĘTNIKI

Wiktor Tomir DRYMMER

## WSPOMNIENIA (2)

(ciąg dalszy)

### Rozdział VI

#### KOMISJA STRONNICTW NIEPODLEGŁOŚCIOWYCH. — POWRÓT KOMENDANTA PIŁSUDSKIEGO Z MAGREBUR- GA. — MÓJ WYJAZD NA PODLASIE. — MOBILIZACJA. — ODDZIAŁ DETASZOWANY

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu dostałem przydział do Komisji Stronnictw Niepodległościowych w charakterze sekretarza.

Poznawałem nowe dla mnie zagadnienia polityczne i społeczne i nowych ludzi: Ignacego Daszyńskiego i Hipolita Śliwińskiego (obu posłów do parlamentu wiedeńskiego), znanego działacza społecznego Tad. Szturm de Sztrema, redaktora *Kuriera Polskiego* Stan. Kempnera, historyka Artura Śliwińskiego no i oczywiście Bogusława Miedzińskiego (Świtka), którego znałem od dawna. Z Komisją miał żywy kontakt Śmigły, komendant Główny POW, przebywający w jakiejś misji politycznej na Ukrainie. Wraz z nim była tam grupa mniej lub więcej znanych mi oficerów legionowych jak Leopold Lis-Kula, Józef Beck i inni, delegowani tam przez „Konwent A”.

Protokołowałem posiedzenia komisji, między innymi i to na którym postanowiono utworzyć Rząd Polski na terenie okupacji austriackiej w Lublinie. Szefem rządu miał być Ignacy Daszyński, Edward Rydz-Śmigły ministrem wojny. W związku z tym wysłano mnie z bardzo pilnym i tajnym listem do Krako-

wa do Daszyńskiego. Pociągi były przepełnione, zapchane wojskiem i ludnością cywilną. Czuło się, że wszystko się wali. Nie kupiłem biletu i nie wziąłem przepustki, obowiązującej jeszcze parę dni temu, wcisnąłem kontrolującemu przepustki żandar-mowi parę marek do wyciągniętej garści. Znalazłem się na peronie. O dostaniu się do wagonu nie można było marzyć. Jedyne wolne miejsce — dach. Pociąg przybył do Krakowa rano, mocno spóźniony.

Tak jak stałem, czarny i brudny od sadzy, poszedłem na poszukiwanie posta Daszyńskiego. W domu nie zastałem go, ale poinformowano mnie, że jest jak zawsze na śniadaniu „w kawiarni na rynku”. Odnalazłem go. Przyjął mnie grzecznie i uprzejmie i nie bacząc na mój strój i brud, zaprosił na kawę. List mu oddałem prosząc o odpowiedź, którą — jak mi w Warszawie powiedziano — mam dostarczyć na najbliższe zebranie Komisji. Umówiliśmy się na jakąś godzinę.

Wyszedłem na miasto. Spotkałem tłum podnieconych wzrostków biegnących w kierunku ulicy Rajskiej (?) gdzie stał 20 pp. austriackiej, składający się głównie z krakowiaków. Pobiegłem z nimi. Było to śmieszne widowisko rozbijania krakowiaków w mundurach przez krakowiaków w cywilu. Poza paroma incydentami z oficerami, wszystko odbywało się na wesoło i z radością.

Tegoż dnia, ponownie na dachu, powróciłem do Warszawy z listem — zgodą.

W Warszawie czekało mnie polecenie zameldowania się w Komendzie Głównej POW. Dostałem rozkaz jazdy do Dąbrowy Górniczej. Zadanie: doprowadzić do porozumienia między oddziałami POW i Milicji Ludowej PPS, która, jak i POW, wchodziła do Komisji Stronnictw Niepodległościowych. Znów jazda na dachu pociągu. Jak przez mgłę pamiętam moje „spacery” między obu ostrzeliwującymi się organizacjami. Ponieważ byłem peowiakiem i bez mała członkiem PPS — udało mi się doprowadzić do porozumienia między obu stronami. Bardzo zadowolony z wykonania zadania powróciłem do Warszawy.



9 listopada otrzymaliśmy drogą organizacyjną wiadomość, że nazajutrz to jest 10 listopada około południa mają przybyć do Warszawy Komendant i Szef, zwolnieni z twierdzy niemieckiej. Dostałem polecenie od ob. Zyndram-Kościalkowskiego (z Komendy Nacz. POW) bym objął dowództwo nad Oddziałem Lotnym uzbrojonym w broń krótką, i zorganizował ochronę po-



chodu, który po powitaniu z Komendantem i Szefem ma udać się Alejami Jerozolimskimi na Nowy Świat. Oznaczało to, że ja z moimi ludźmi mam maszerować na czele pochodu, usuwając nieprzewidziane kontrdemonstracje czy zakazy niemieckie. Oddany do mojej dyspozycji Oddział składał się z kilkunastu ludzi. Po rozwiązaniu pochodu miałem zameldować się na ul. Moniuszki na przygotowanej dla Komendanta kwaterze.

Przed dworcem „Wiedeńskim” zgromadziło się tysiące ludzi. Dowiedzieliśmy się, że Komendant i Szef przyjechali wcześniej mimo to, organizatorzy manifestacji postanowili sformować pochód. Poprowadziłem ten pochód z moimi ludźmi na czele Alejami Jerozolimskimi od Marszałkowskiej w kierunku Nowego Światu. Gdy przekroczyliśmy Bracką, zobaczyłem że z Nowego Światu skręca w naszym kierunku tramwaj. Był to niemiecki tramwaj z napisem: *Nur für deutsche Militäre*. Obok motorniczego stał, jak zawsze uzbrojony w karabin, żołnierz niemiecki. Motorniczy widząc, że dzwonki jego nie skutkują zahamował tramwaj. Towarzyszący mu żołdak zmierzył się w kierunku tłumu. Zdałem sobie sprawę z nieobliczalnych skutków strzału w tłum. Błyskawicznie strzeliłem do Niemca, który zrolował do stóp motorniczego. Zaczęła się strzelanina. Widziałem padającego oficera niemieckiego, przede mną leżał robotnik z bluzgającą krwią raną na szyi. Tłum rozbiegł się w obie strony Brackiej, lub przywarł do ścian domów; widziałem ludzi leżących jeden na drugim i cywilów strzelających z okien narożnego domu Nowy Świat - Aleje Jerozolimskie. Strzelali agenci Feldpolizei, którzy mieli tam swój lokal. Starłem się palcem powstrzymać krwotok leżącego robotnika. Razem z ob. Zawadzkiem zanieśliśmy ranego do najbliższego sklepu, zmarł dosłownie na moich kolanach. Był to członek PPS nazwiskiem Majchrzak. Pierwsza danina krwi powstającej do niepodległości Polski.

Gdy wyszedłem ze sklepu, ulica była już pusta. Na skrzyżowaniu Nowego Światu i Alej Jerolimskich stały 3 niemieckie c.k.m. wycelowane w kierunku Marszałkowskiej.

Stosownie do rozkazu, zameldowałem się na Moniuszki. Wyznaczono mi funkcję czuwania nad bezpieczeństwem Komendanta i kontrolowania osób meldujących się u Niego.

Po nieprzespanej nocy, wyszedłem na ulicę. Jakże wydała mi się inną Warszawa tego pamiętnego 11 listopada. Widziałem snujące się grupki uśmiechniętych żołnierzy niemieckich, którzy zamiast broni mieli czerwone kokardki. Widziałem cywilów, którym Niemcy wręczali broń i chłopaków-gazeciarzy, którzy najbardziej wydzielali karabiny z rąk bardziej opornych.

Pobiegłem na umówione miejsce zbiórki. Nie mogąc doczekać się mego bezpośredniego przełożonego, wziąłem ze sobą paru zaradniejszych chłopców, w tym mego brata ciotecznego Janusza Różańskiego, i poszliśmy w pięciu na ulicę Wierzbową do pałacu Brühla, gdzie mieściła się centrala osławionej z prześladowań Polaków — *Feldpolizei*. Wejście do dawnego pałacu Brühlowskiego prowadziło nie od placu Saskiego lecz od Wierzbowej. Rozbroiliśmy łatwo strażnika w bramie i paru kręcących się agentów. Pozostawiając moich kolegów na dole, poszedłem na 2-gie piętro. Na drzwiach była tabliczka: Szef policji polowej von Pokrzywnicki<sup>1</sup>. Ostrożnie otworzyłem drzwi do tego pokoju. Biegał po nim w pośpiechu od biurka do kasy, duży, krótko ostrzyżony blondyn. Do kieszeni munduru pakował jakieś papiery i pieniądze, które z drżących rąk rozsypywały się po podłodze... Nasyciwszy się tym widokiem, krzyknąłem ostro: Ręce do góry. Drań zrozumiał doskonale. Kazałem mu odwrócić się do ściany, zrewidowałem, zabrałem mały nikłowy pistolet browning oraz dwa pistolety z szafy i biurka, po czym odebrawszy mu kartę tożsamości i legitymację, kazałem pieniądze, które wziął z kasy, włożyć tam z powrotem; zabrałem klucze od biurka i kasy, zamknąłem jego pokój na klucz. Przy tej sposobności zafasowałem doskonały płaszcz wojskowy, który mi służył w wojsku przez parę lat.

Pokrzywnickiego sprowadziłem na dół i oddałem wraz z dokumentami w ręce kolegów, którzy tymczasem zebrali jeszcze paru łapsów. Pozostawiłem jeńców pod opieką dwóch kolegów, poszedłem z trzecim na penetrację lokali i biur *Feldpolizei*. Zamknęliśmy i zabezpieczyliśmy dwa pokoje z kartotekami i aktami, które w przyszłości bardzo się przydały do rozszyfrowania wielu agentów i konfidentów w tzw. General Gubernatorstwie. Nie spodziewanie dla nas w końcu korytarza natknęliśmy się na koszarę żołnierską, zainstalowaną w kilku pokojach. Była to widocznie własna straż *Feldpolizei*. Tak niedawno groźni, teraz byli potulni jak baranki. Po odebraniu im broni, puściliśmy ich wolno, bo nie bardzo wiedzieliśmy co we czterech możemy z nimi zrobić.

Powróciliśmy do naszych, aresztowanych agentów. Kazaliśmy im ustawić się parami i otoczywszy ich pomaszzerowaliśmy Wierzbową na plac Teatralny, wprost na ratusz, aby stamtąd dostać się na Danilewiczowską, gdzie mieściło się znane mi więzienie śledcze. W drugim podwórku ratusza, zatrzymał nas patrol uzbro-

---

1. S. von Pokrzywnicki, został puszczony wolno z Polski. Znalazł się wkrótce w Gdańsku, gdzie kontynuował swoją robotę przeciwko Polsce.

jonych w karabiny Niemców. Któryś z nich rzucił w naszym kierunku granat, na szczęście nieszkodliwie. Trzeba było wycofać się. Dostaliśmy się na Danilewiczowską, która już była opatowana przez POW. Oddaliśmy tam jeńców wraz z ich dowodami osobistymi.

Akta, legitymacje, klucze od kasy i pokoju Pokrzywnickiego oddałem szefowi Żandarmerii POW ob. Zyndram-Kościółkowskiemu, który wkrótce potem zajął lokal *Feldpolizei* na użytek POW i żandarmerii. W dziesięć lat później, bo w roku 1929, i ja usiadłem tam za biurkiem jako zastępca naczelnika wydziału prasowego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

W ratuszu Niemcy trzymali się uporczywie, mimo usiłowań peowiackich. Przy pomocy jakiegoś oddziału, ustawiliśmy na tarasie Teatru Wielkiego ciężki karabin maszynowy Maxim. Odległość z tarasu do ratusza była niewielka, widzieliśmy Niemców poruszających się po salach 1-go piętra. Puściłem po nich serię, jedną, drugą, wkrótce odpowiedzieli nam salwami ze zwykłych karabinów. Obustronna strzelanina trwała do wieczora.

Zostałem skierowany do objęcia dowództwa przy zdobywaniu pałacu prymasowskiego, na którego tyłach, na ulicy Koziej, połała się krew z obu stron. Udało się nam doprowadzić do zajęcia jednego skrzydła. Nad ranem Niemcy opuścili pałac, wycofując się na Zamek, w którym nadal urzędował gen. Beseler. Rada Stanu czy też Rada Regencyjna pertraktowała z nim na temat opuszczenia Polski przez wojska okupacyjne.

14 listopada Rada Regencyjna „kierując się dobrem ojczyzny” postanowiła rozwiązać się i złożyła władzę w ręce Józefa Piłsudskiego.

Wszczęte negocjacje z Beselerem, prowadzone tym razem w imieniu Komendanta przez Tytusa Filipowicza<sup>2</sup>, doprowadziły do zgody Niemców na opuszczenie znacznej części Kongresówki, pozostawiając otwarte drogi do ewakuacji wojsk niemieckich z Ukrainy i Rosji do Prus Wschodnich via Grajewo, omijając centralną Polskę.



Ogłoszono mobilizację Polskiej Organizacji Wojskowej i przemianowanie jej na Wojsko Polskie.

Zostałem mianowany podporucznikiem W.P. z jednoczesnym rozkazem powrotu na Podlasie, zmobilizowania peowiaków i

2. Tytus Filipowicz, minister, wieloletni ambasador R.P.

objęcia komendy nad dawnym moim obwodem. Otrzymawszy pieniądze na umundurowanie, pojechałem pociągiem do Siedlec.

Druga połowa listopada. Byłem szczęśliwy, że będę mógł moim podlasiakom przekazać manifest rządu lubelskiego, ogłaszającego reformę rolną, leśną i społeczną i zrównanie wszystkich obywateli w ich prawach i obowiązkach.

W Siedlcach nie potrafiąco poinformować mnie, jak wygląda sytuacja za Bugiem, czy istnieje nadal kolejowy most na Bugu i gdzie są Niemcy. Nie było wiadomości czy Siemiatycze i Drohiczyn są wolne od wojsk niemieckich. O nadal silnej obsadzie Brześcia wiedziałem naocznie, gdyż byłem tam przed kilku dniami. Lokalne, siedleckie władze wojskowe ofiarowały mi do mojej wyłącznej dyspozycji lokomotywę i dwa wagony celem dokonania zwiadu. Maszynistą był siedlecki peowiak. Pojechalśmy. Ostatnim naszym posterunkiem w kierunku wschodnim był pluton dobrze odzianych i uzbrojonych (4 c.k.m.) dowborczyków na stacji w Platerowie. Twierdzili oni, że linię Bugu obsadzają Niemcy. Okazało się że wiadomości nie były ścisłe. Szczęśliwie dojechałem do Siemiatycz, gdzie mój zastępca ob. Olszewski samorzutnie zmobilizował POW, zresztą zrobił to samo ob. Daniluk w Mierzwicach. Dowództwo nad całością objął kapitan b. armii rosyjskiej Trojanowski (?), który z własnej inicjatywy przekazał mi komendę nad całością. Rozesłałem niezwłocznie kurierów do oddalonych placówek peowiackich. Po zorganizowaniu dowództwa na miejscu i zakwaterowaniu mego wojska, zapewniając mu zaimprovizowane wyżywienie, powróciłem „moim” pociągiem do Siedlec, starając się o zaopatrzenie a przede wszystkim o broń i amunicję. Nic nie dostałem. Pojechałem do Warszawy. Szczęśliwie w Komendzie POW natknąłem się na por. W. Jędrzejewicza, który ułatwił mi dostanie broni, amunicji i pewnej ilości umundurowania. Dostałem też sporą ilość orzełków do czapek dla moich żołnierzy. Spotkałem mego kolegę peowiackiego i legionowego z karabinów maszynowych Fijałkowskiego<sup>3</sup>. Miał jakiś słaby, garnizonowy przydział. Zaproponowałem mu, by przeszedł do mnie, zgodził się skwapliwie. Na oznaczoną godzinę zjawił się na dworcu z czterema umundurowanymi kolegami, peowiakami, obznajmionymi nieco z karabinami maszynowymi. Na stacji Platerów zabrałem dowborczykom — trochę przemocą trochę perswazją — dwa c.k.m., uważając że na tych głębokich tyłach nie są im potrzebne. Powróciwszy do Siemiatycz zwołałem wielkie zebranie wszystkich obywateli miasta i zaproszonych sołtysów z okolic, oznajmiając im, że rząd polski w Warszawie objął te

---

3. Fijałkowski z czasem administrator w Prez. Rady Ministrów.

terytoria, dotychczas okupowane przez administrację *Ober Ost*'u, w swoje władanie. Do chwili mianowania administracji cywilnej, ja jestem odpowiedzialny za wszystko. Oczywiście nikt nie miał w Warszawie ani czasu ani możliwości dania mi takiego pełnomocnictwa. Musiałem tak zrobić, gdyż kilkuletnia administracja niemiecka tak głęboko przeniknęła w życie tej dzielnicy Polski, że pozostawienie jej bez choćby samozwańczej władzy, wprowadziłoby anarchię. Śmieszyło mnie początkowo gdy zgłaszano się do mnie z prośbą o zezwolenie na ślub lub na wypas bydła w jakimś odległym od Siemiatycz lesie, ale tak było za rządów niemieckich i musiałem to czas jakiś tolerować. Moje rządy nad wojskiem, które liczyło już około 400 ludzi i nad którym przejawem życia ludności zjednało mi przezwisko, najpierw w Siedlcach a później i w Warszawie, „Drymmera z republiki siemiatyckiej”. Po krwawym zdobyciu na Niemcach miejscowości Nurzec na wschód od Siemiatycz, poszerzyłem terytorialnie moją „republikę”. Miałem obecnie na północy Drohiczyn, na wschodzie Nurzec, na południu Mielnik, a na zachodzie Mierzvice i całą spokojną okolicę aż po Białą Podlaską i Siedlce. Po Bożym Narodzeniu przybyło z Warszawy 4-ch podchorążych, świetnych młodych ludzi, przeszkolonych w polskim Wehrmachcie: Jankowski, Fiszer, Mostowski (czwarte nazwisko wyleciało z pamięci), oraz kapitan Janiszewski z rozkazem dla mnie abym sformował Oddział Detaszowany, składający się ze stu ludzi celem patrolowania terenu na wschód od linii Brańsk-Brześć (w prostej linii około 100 km.). Według wiadomości Sztabu Generalnego w ślad za ustępującymi Niemcami idą bolszewicy, ponadto polecono mi usuwać siłą rabujących Niemców. Kpt. Janiszewski miał po mnie objąć komendę terenową. Wybrałem sobie 100 doskonałych chłopaków i dobrego podoficera z dawnego Wehrmachtu nazwiskiem Topiel, jako mojego zastępcę. Przydał mi się bardzo dla wprowadzenia nieco „drylu” wojskowego, poza tym był miły, inteligentny i sympatyczny. Koledze Maksymiukowi poleciłem wybrać podwozy z dobrymi woźnicami (nie starymi) i końmi. Każdy mój żołnierz był dobrze umundurowany i uzbrojony. Amunicji miałem wystarczająco na pierwsze dni, resztę obiecywałem sobie zdobyć na Niemcach. Całość mego oddziału zamykał Fijałkowski ze swoimi maszynkami, i ja na zdobyczej wierzchołce. Wyruszyliśmy. Żołnierze wożeni na podwozach, najczęściej na saniach, byli weseli i palili się do wojaczki. Istotnie szczęście nam dopisywało, biliśmy Niemców, zdobywaliśmy coraz lepsze odzienie i uzbrojenie. Jedzenia i palenia mieliśmy w bród. W niektórych naszych walkach brali udział i woźnice; poza tym napływali ochotnicy. Tak jak w Siemiatyczach, zbierałem na

postojach ludność, oznajmiałem zajęcie terenu przez Polskę i mówiłem o reformach, zapowiedzianych przez rząd lubelski. Co jakiś czas zapadaliśmy w puszcze (Białowieską) na odpoczynek dla ludzi i koni. Straty miałem niewielkie.

Nadszedł kwiecień 1919 roku i rozkaz Sztabu Generalnego: Oddział Detaszowany<sup>4</sup> po tygodniowym odpoczynku w Siemiatyczach oddać 22 p.p. stacjonowanemu w Siedlcach. Ja miałem się zameldować w Warszawie u gen. Rybaka.

## Rozdział VII

### GRUPA POLESKA. — PIŃSK, ŁUCK, RÓWNE

W poczekalni Sztabu Generalnego zastałem wielu sławnych już oficerów, czekających tak samo jak i ja na dalsze rozkazy. Byli tam major W. Sławek, kapitan Józef Beck, kapitan Wyżel-Scieżyński, kapitan Börner i inni. Wyszedł do nas major Ignacy Matuszewski, który przedstawił się nam jako Szef Wydziału Wywiadowczego i wyjaśnił nam cel naszego wezwania: mamy być wszyscy użyci na froncie jako oficerowie wywiadu. Mjr Sławek zauważył, że przecież nie mamy o tym najmniejszego pojęcia. — „To się panowie nauczycie, gen. Rybak jest w tej materii wielkim specjalistą, wszystko panom wyjaśni i poinstruuje. Stawiając kandydatury panów do wywiadu, brałem pod uwagę dwa elementy: ideowość i inteligencję panów. Reszta jest do nauczania się”. Za chwilę padła komenda: bacność. Major Matuszewski meldował gen. Rybakowi zebranych. Wiekiem i stopniem wojskowym należałem do najmłodszych.

Gen. Rybak w jakimś narzeczu czy gwarze polsko-austriackiej, w której mieszały mu się słowa polskie z czeskimi i niemieckimi, dawał nam fachowe rady i tłumaczył rolę oficera informacyjnego, bowiem tym słowem kamuflowano właściwe nasze przeznaczenie: wywiad. Mnie z odprawy tej pozostał w głowie chaos, pamiętałem tylko słowa: „szyf, Dancyg, zaś-ale”. — Wszystko to raczej śmieszyło niż interesowało. Takie były początki naszego wojska, sklejanego z trzech zaborczych armii, w której *gros* oficerów zawodowych nie znało dobrze języka polskiego. Po skończeniu

---

4. Ppłk Adam Borkiewicz (kolega legionowy) historyk z Wojsk. Biura Historycznego powiedział mi kiedyś przed wojną: „u nas w B.H. przechowywana jest teczka z opisem Twojego oddziału detaszowanego pod nazwą: „front porucznika Drymmera”.

tej męczącej odprawy, dostałem się do majora Matuszewskiego i oświadczyłem mu, że ani w ząb nie rozumiem o co chodziło gen. Rybakowi i że myślę, że się do tej roboty informacyjnej nie nadaje. Major Matuszewski poświęcił mi dużo czasu objaśniając zadania i sposoby prowadzenia wywiadu, zresztą dodał, wkrótce ma się ukazać obszerna praca i instrukcja wywiadowcza.

Następnie mjr Matuszewski wręczył mi dokument, przydzielający mnie do Komendy Grupy Operacyjnej gen. Listowskiego w charakterze szefa Oddziału Informacyjnego Grupy (O.I.G.), miejsce pobytu Brześć.

„Grupa gen. Listowskiego” składała się z 34 i 35 p.p., niewielkiej ilości artylerii i kawalerii, oraz z jakichś formujących się oddziałów piechoty — wszystko mieściło się w dobrze zachowanych budynkach fortecznych.

Gen. Listowski z armii rosyjskiej, był bardzo miłym, kulturalnym panem, ale wygląd jego nie znamionował „rycerza”. Był mały, szczupły, szpakowaty. Mówił dość dobrze po polsku, tylko miał zabawne przyzwyczajenie mówienia do pojedynczej osoby: „proszę państwa”; to „państwo” było wymawiane z rosyjska przez twarde „n”. Poza tym był bardzo roztargniony i może dlatego robił wrażenie zdzieciniałego, ale jak się okazało był dobrym dowódcą. Osobiście bardzo odważny, szczerzy i dobry polski patriota, w wydaniu *Kuriera Warszawskiego*, tj. endecko-liberalnym. Jego szefem sztabu był rotmistrz armii austriackiej, Grobicki, który na gwałt udawał rotmistrza kawalerii rosyjskiej. Widocznie taka była moda w tworzącej się kawalerii polskiej.

Oficerem operacyjnym był rotmistrz Żurawski, oficer kawalerii rosyjskiej, młody, bystry, inteligentny, poważnie interesujący się zagadnieniami wojskowymi. Miał, jak wielu oficerów z kawalerii rosyjskiej, jakieś charakterystyczne zmanierowanie. Rtm. Żurawski np. idąc ulicą obie ręce trzymał przed sobą, lekko zgięte w łokciu tak jak jeździec na koniu. Widocznie zależało mu na tym aby wszystkie Żydóweczki brzeskie mówiły o nim: „co coś to musi być kawalergard”. Salutował bardzo krótko, ale nie dwoma palcami, jak był rozkaz, lecz czymś pośrednim między całą dłońią i dwoma palcami, aby nikt nie miał wątpliwości, że jest zawodowym oficerem rosyjskim. Po wojnie opuścił wojsko. Został korespondentem *Kuriera Warszawskiego*. Do kompletu szefem żandarmerii polowej był również b. kawalerzysta rosyjski por. Wehr. Słynął z nienawiści do bolszewików, dla których miał jedno słowo: *razstrielat*. Dobrze, że nie był na froncie i nie miał możliwości zaspakajania swych instynktów. Niemniej miałem z nim stale zatargi służbowe.

Takie było moje najbliższe otoczenie, gdy znalazłem się w dowództwie Grupy Poleskiej. Byłem podporucznikiem, jedynym oficerem legionowym i to najniższego stopnia. Nosiłem z dumą na kołnierzu munduru srebrny wężyk, a na naramienniku, nazywanym przez nas „srebrną trzepaczką” — jedyną gwiazdkę. Wężyk na kołnierzu nie podobał się nikomu, poczynając od generała. Wkrótce obdarowano nim wszystkich żołnierzy i oficerów.

Do pomocy w moim Wydziale Informacyjnym nie miałem nikogo, tym bardziej że ani szef sztabu ani generał nie bardzo wiedzieli co ten oficer informacyjny ma robić.

Pewnego dnia zostałem wezwany do generała, który polecił mi napisać o nim i o Grupie Poleskiej artykuł do *Kuriera Warszawskiego*. Starałem się wyjaśnić generałowi, że nie jest moim zadaniem pisanie artykułów, o czym nie mam najmniejszego pojęcia i że informacja to nie znaczy, że ja mam informować społeczeństwo co robi wojsko. Na tę rozmowę wszedł rtm. Żurawski i przysłuchiwał się jej przez pewien czas. Po chwili odezwał się: „Padparucznik Drymmer będzie, panie gienierale, robił rozwiadkę i taki jest cel jego tu do nas kamandirówki, ot co”. To wyjaśnienie generał od razu pojął. Rtm. Żurawski musiał coś mieć wspólnego z „rozwiadką” gdyż dał mi kilka bardzo cennych uwag, które mi się przydały na początku mojej kariery wywiadowczej.

Po wyjaśnieniu rtm. Żurawskiego moje stosunki z gen. Listowskim wyraźnie polepszyły się, toteż często zabierał mnie ze sobą na front. Generał, stojąc w pierwszej linii, nie miał zwyczaju kłaść się w ogień, a więc i ja, naśladowując generała, starałem się jak i on nie kłaniać się świstającym kulom. Staliśmy jak dwa kłosa na jesiennym rżysku. Żołnierzom ta postawa generalska bardzo się podobała, mnie mniej.

Przybył na front mój rodzinny 22 pułk piechoty. Radości było co niemiara. Płk Krok-Paszkowski stary legun, dowódca pułku, no i mój batalion „peowiacki”, którym dowodził porucznik Jankowski. Chodziłem często do pułku, bowiem w sztabie nudziłem się. Z czasem płk Krok dawał mi kompanię lub pluton, szedłem na ochotnika zdobywać jeńców. Miałem potem temat do raportów wywiadowczych, które według rozkazów, szły wprost do Naczelnego Dowództwa. Od jeńców sowieckich uczyłem się organizacji armii czerwonej. Znając dobrze język rosyjski czytałem pisma i listy, czasem dokumenty, wszystko cenne dla poznania nowego przeciwnika.

Front nasz ruszył naprzód. Znalazłem się w Pińsku. Miałem w legionach kolegę spod Pińska, który mi cuda opowiadał o tym



pięknym mieście. Zobaczyłem, rozczarowany, brudne, cuchnące miasto o ludności przeważnie żydowskiej. Jedyną, a właściwie dwoma ozdobami Pińska był kościół z piękną wieżą barokową nad majestatyczną rzeką.

Pod tą piękną wieżą zobaczyłem drobnego, chudziutkiego podchorążego w niezdarne założonych owijaczach. Z zadartą głową oglądał uważnie wieżę. Mnie zastanowiło podnoże wieży: Niemcy usunęli wschodnią ścianę, wsuwając pod wieżę doskonale zamaskowane dalekonośne działa. Stały, porzucone, zdemonstrowane. Lufy skierowane w stronę wzniesienia po drugiej stronie rzeki, na wieś Horodyszczce. Widać tam było sowieciarzy uwijających się przy poprawianiu starych, z roku 1916-17, betonowych umocnień rosyjskich.

Podchorąży jak się okazało dowodził kompanią ciężkich karabinów maszynowych 22 pułku piechoty.

— „Cóż pan tak adoruje tę wieżę, panie podchorąży — powiadam — pchaj się pan z tymi maszynkami na górę, będzie z niej znakomity obstrzał” — „Tak, ale konwencja nie pozwala”. — „Jaka konwencja?” — „Ano międzynarodowa, nie pozwala używać kość...”. — „U...j się pan na konwencję, zobaczy pan jak bolszewiki zaczną naparzać nas i wieżę”. — W złą godzinę powiedziałem. Właśnie zaczęło się. Sterroryzowałem podchorążego i wraz z nim i jego obsługą poczęliśmy taszczyć c.k.m. na górę po wąskich niewygodnych schodkach. Dostaliśmy się wreszcie na galerijkę, której już Niemcy używali i dla obserwacji i dla karabinów maszynowych. Widok z wieży był piękny i wgląd w umocnienia wsi Horodyszczce znakomity. Przy pożegnaniu powtórzyliśmy sobie nasze nazwiska. Był to podchorąży Tytus Komarnicki, późniejszy nasz poseł w Genewie i Delegat R.P. do Ligi Narodów. Przyjaźń nasza, zawarta pod wieżą w Pińsku przetrwała lata dobre i lata złe.

Za wieżę i dobre działanie oddziału C.K.M. podchorąży Komarnicki dostał od gen. Listowskiego specjalne podziękowanie.

O ile mnie pamięć nie zawodzi po zajęciu Pińska i wzmocnieniu się naszych sił, Grupa Poleska została przemianowana na Front Poleski.

Do tego Frontu Poleskiego została przydzielona nowo sformowana Flotylla Pińska, która składała się z kilku płaskodennych motorówek, uzbrojonych w działka 37 mm i parę c.k.m. Komendantem Flotylli został oficer marynarki rosyjskiej, którego w parę lat później zastałem na stanowisku attaché wojskowego w Rydze.

Marynarze pływali i wojowali na swych zmotoryzowanych, warkoczających łodziach, piechota zaś wołała zwykłe łódki wio-

słowe, ciche i zgrabne, a ja najlepiej lubiłem pińskie „duszehubki”. Były to łodzie wydłubane z jednego pnia drzewa, lekkie, zwrotne.

W miarę jak podrastały trzciny i tataraki, prześwity wodne stawały się węższe i węższe. Tworzyła się sieć kanałów. Posuwając się takim kanałem wodnym, nigdy nie wiedziało się czy kilka metrów dalej nie stoi ukryta w trzcinach łódź, gotowa zasypać cię strzałami lub granatami zniszczyć twoją łódkę. Tu uszy odgrywały większą rolę niż oczy no i szybki refleks. Lubiałem te „polowania na bolszewika”, tę ciszę na wodzie, zwłaszcza w nocy, i nagle raptowne strzelaniny...



Wczesnym świtem w pobliżu zatopionych w wodzie i w wodrostach wiosek, jeśli tak można nazwać te porozdzielane przez wodę, bagno i bujną zieleń, siedliska ludzkie, widywało się biednych Poleszuków w swoich, „duszehubkach” oraz kobiety i dzieci, wrywających z wody tatarak i odgryzających białą, jadalną, słodkawą część łodygi, przyrosłej do podwodnego korzenia. Powszechny głód panował zawsze na przedwiośniu; w roku wojen i teraz w roku 1919 był dla tego biednego, spokojnego i pracowitego narodu szczególnie dotkliwy. Widywało się u możniejszych gospodarzy krowę małą i chudą, niewiele większą od świni, która pływała od kępy do kępy, wybierając sobie żywność. Chude, zwykle czarne, zdziczałe świnię również pływały jak psy wokół domu. Czego szukały, trudno było zrozumieć. Chata stała na jednej wyspie, obora i stodoła na drugiej. Dobrze jeśli gospodarstwo zmieściło się na dwóch wyspach. Konie, krowy, ludzie i świnię wszystko to przewożone było na „duszehubkach”. Sól w owych czasach była na wagę złota. Chłopi i ich rodziny jako ubranie mieli samodziałowe koszule, na nogach łąpcie plecione z kory wierzbowej. Mężczyzna w lecie nosił długie białe kalesony i koszulę wyrzucaną na kalesony. Przewiązywał się powrósem z konopi lub jakąś własnego pomysłu kombinacją łyka, trawy i czasami włosia. W zimie nosili, ci co mieli, spodnie z samodziałowego brunatnego sukna oraz spencerek również sukienny. Biedny, bardzo biedny kraj.



Niektóre okolice czy wsie na Polesiu były zupełnie niedostępne. Pamiętam np. wieś Rubel, która — najwidoczniej pod wpływem rewolucji w Rosji — ogłosiła się republiką. Podobno

za czasów carskich ze wsi tej nie brano rekrutów ani nie ściągano podatków, bo nikt nie odważył się iść do niej po tak zwanej „słonecznej drodze”. Słoneczną drogę znali mieszkańcy wsi Rubel a orientowali się według słońca i według sobie znanych roślin czy bardzo rzadkich krzewów rosnących na tych niezmiierzonych błotach. Na jedynych, dostępnych nam mapach rosyjskich, droga do wsi Rubel oznaczona była wijącymi się kropeczkami z napisem po rosyjsku: *Sołniecznaja doroga*. A jednak lekarze nasi potrafili do tej wsi dotrzeć, gdy doszła ich wiadomość, że ospa dziesiątkuje ludność. Poszli, zanieśli ze sobą sól i szczepionki. Po tygodniu, po zaszczepieniu całej wsi, powrócili cisi i skromni. Dowiedziałem się o tym wiele miesięcy później. Przyszła odwilż, wiosna i kontakt naszych lekarzy z Rublem urwał się.



Ludność poleska nie miała żadnego poczucia narodowego. Mówili, że są tutejsi i że mówią językiem tutejszym (białoruskim). Inaczej było z wysepkami szlachty zagrodowej. Ci biedni, zahukani, wyniszczeni Białorusini poczuwający się do wspólnoty z „Polszczą”, którą uważali za swoją ojczyznę, jakkolwiek języka polskiego prawie nie znali. Z chłopami nie chcieli się łączyć, bo oni są szlachta! W domach, tak jak i na Polesiu Wołyńskim, w kuferkach, na samym dnie, spoczywały nadania szlacheckie, pokazywane tylko najwierniejszym przyjaciołom, bo Moskale je konfiskowali. Szlachta zagrodowa nie była ani bogatsza ani bardziej wykształcona niż przeciętny Poleszuk, posiadała natomiast poczucie wspólnoty z „Polszczą” i jakąś osobistą dumę, godność.



Pod koniec mego pobytu w Pińsku w roku 1919 przysłano do mnie z dowództwa Frontu, Poleszuka, który chciał złożyć w polskim sztabie ważne dokumenty, których nie chciał na linii frontu nikomu pokazać: tylko — jak mówił — w polskim sztabie w Pińsku. Skierowano go do mnie. Ponieważ mój dom, w którym urzędowałem, był tuż nad wodą, mój Poleszuk zjechał swoją „duszehubką” pod sam dom. Dobrze trafił. Przywiedziono do mnie zabiedzzonego chłopą. Przywitałem go i posadziłem na krześle. Widocznie nie pasowałem memu gościowi na „wysoko postawioną” osobę w sztabie, więc mimo wypalonych kilku papierosów nie mówił nic konkretnego. Znając nieco psychikę wiejskich ludzi, nie naciskałem. Paliliśmy papierosy i mówiliśmy o różnych rzeczach, w czasie rozmowy mój gość patrzył

uważnie na mnie swoimi wodnistymi oczami. Badał mnie, milcząco. Wreszcie uznał, że może powiedzieć z czym przybył spoza frontu, gdzieś daleko spoza Łunińca. Oto jego relacja: „Kilka dni temu dwóch polskich panów przybyło do jego chaty z prośbą o nocleg. Mówili mu że idą z Kijowa i że proszą, by ich nazajutrz skoro świt przewiózł przez front do polskiego wojska. Radził im, żeby jechać zaraz, bo bezpieczniej przejechać nocą. Kiedy zbierali się do wyjazdu przyszli nasi moskale (Poleszucy na żołnierzy mówili moskale. Gdy ich pytaliśmy czy nie było tu Rosjan odpowiadali stereotypowo: byli nasi moskali ale byli też wasi moskali) i aresztowali obu panów polskich. Jeden z panów ściągnął marynarkę i mówiąc po naszymu powiedział a to wam zapłata za gościnę, a po cichu powiedział do mnie po polsku (bo ja jestem proszę pana oficera szlachcic polski i po polsku rozumiem) że pod podszewką są zaszyte płótna to trzeba je sekretnie zawieść do wysokiego sztabu polskiego. Tak zrobiłem”... i tu wyciągnął zza pazuchy 2 duże kawałki płótna na których był napisany na maszynie raport Komendy Naczelnej POW 3 Kijów. Raport był istotnie bardzo ciekawy. Ponadto chłopisko wyciągnęło zawinięte starannie w szmaty i obwiązane sznurkiem — nadanie szlacheckie, bodaj podpisane przez Batorego. To moje *nadanie szlacheckie* — tak mi powiedział po polsku ten bosy w białych gaciach w podartej koszulinie Polak spod Łunińca!! Uściskałem go serdecznie dałem mu papierosów, ile zapragnął, kazałem go nakarmić i dać mu worek soli. To był dla niego na pewno skarb, bo za tę sól mógł kupić co najmniej parę krów. Pieniądzy nie przyjął bo co by z nimi mógł zrobić.

Raport K.N.3 wysłałem do Warszawy przez kuriera.

W kilka dni czy kilkanaście dni zjawili się u mnie wysłanicy K.N.3 z Kijowa ob.ob. Ziemiański i Kruk, ci sami którzy zawierzyli raport Poleszukowi. Byli bardzo szczęśliwi, że raport już był w Warszawie i że wynagrodziłem owego Poleszuka.



Wiadomości z Warszawy przychodziły złe. Sejm nie chciał przeprowadzić reform socjalnych, zapowiadanych przez rząd lubelski.

Rewolucja rosyjska była dla proletariatu miejskiego i wiejskiego wielką atrakcją a że nie wybuchła u nas zawdzięczać to możemy autorytetowi Józefa Piłsudskiego i patriotyzmowi biednych mas odradzającej się Polski.

Ataki osobiste na Komendanta Piłsudskiego, utrudnienia robione przez niedojrzały, ale uzurpujący sobie prawo do rządze-

nia Polską Sejm, doprowadzały nas, młodych, do wściekłości.

Front nie ruszał się. Było dużo czasu na czytanie i dyskusje.

Była nas niewielka grupka jednakowo rozumujących. Wybijali się na czoło podchorążowie Włodzimierz Czajkowski, Henryk Kintopf, Jan Urbaniec i paru innych przyjaciół, których nazwisk nie pamiętam. Po wielu dyskusjach nasza czwórka z tego zespołu, postanowiła przystąpić do czynu: wydawać pismo. Rozejrzeliśmy się po naszych możliwościach finansowych i drukarskich oraz zdolnościach pisarskich i... zaczęliśmy w tajemnicy wydawać pismo ze mną jako redaktorem naczelnym drukowane. Dziś już nie pamiętam tytułu ani ilości egzemplarzy. Pisaliśmy bardzo bojowo, bardzo rewolucyjnie. Przez nasze drogi i przez pocztę przesyłaliśmy pismo do niektórych posłów sejmowych i do prasy z *Robotnikiem* na czele. Odgłosy jakie nas dochodziły były dziwne, m.in., że to PPS wydaje dla wojska buntownicze pismo, a może... może ktoś inny jest w tym zainteresowany... Pismo, jak każda nielegalna literatura, było czytane i komentowane. Zbiegło się to z zapowiedzią przysłania na nasz front batalionu Milicji Ludowej. Był to niewątpliwie piękny gest ze strony PPS, wzmocnienia naszych oddziałów bojowych. Poufną drogą dowiedziałem się, że gen. Listowski zamierza ten batalion, po przybyciu do Pińska rozbroić (!), jako element niebezpieczny!? Istotnie baon rozbrojono przy pomocy żandarmerii por. Wehra. Broń „mulkom” zabrano, rozżalonych robotników, którzy ochotniczo poszli do batalionu by pójść na bolszewików, odesłano do Warszawy. W tym samym okresie czasu gen. Listowski zezwolił białym oficerom rosyjskim na formowanie oddziału pod dowództwem polskim. Taka była rzeczywistość polska w pierwszych miesiącach powstawania państwa polskiego.



Wiosną 1920 nastąpiła ogólna reorganizacja i wzmocnienie całego frontu wschodniego.

Gen. Listowski został mianowany dowódcą Frontu Wołyńskiego z miejscem pobytu w Łucku. Wkrótce zażądał przysłania mnie już z Łunińca do Łucka na stanowisko szefa sekcji defensywy, to jest kontrwywiadu. Szefem Oddziału II (jak się już wtedy na modłę francuską nazywały oddziały Informacyjne) był mój dobry znajomy i działacz POW na Ukrainie por. Hildt, a szefem sekcji ofensywnej podch. Jan Urbaniec kolega legionowy.

Wraz ze sztabem frontu ulokowałem się początkowo we Włodzimierzu Wołyńskim.

Podch. Kintopf i Szczepański pozostali nadal w dtwie frontu poleskiego. Ich brak, jak i natłok nowych zagadnień zmusiły mnie do zawieszenia pisma.

W okresie reorganizacji naszych dowództw, dwukrotnie przez odcinek naszego frontu na Wołyniu przechodził na Ukrainę Walery Sławek. Towarzyszył mu zwykle por. J. Z. M.<sup>5</sup> znający dobrze Ukrainę. Wprawdzie porucznik podlegał mnie, ale polecenie towarzyszenia Sławkowi przychodziło od mjra Matuszewskiego na moje ręce dla JZM. Nigdy nie pytałem go ani gdzie byli, ani kogo widzieli. Sądzę że były to jakieś rozmowy z Machno (przywódca dużego zgrupowania Ukraińców antybolszewików), z polecenia Komendanta Piłsudskiego.

Na Wołyniu spotkałem się z działalnością „Rosyjskiej Komunistycznej Partii (bolszewików)”, jak się wówczas mianowali współdziałającej z Polską Partią Komunistyczną. Głównym zadaniem obu partij komunistycznych było: szpiegostwo, sabotaż i dywersja. Po przeniesieniu się dtwa frontu do Równego, na skutek przesunięcia się naszego frontu na wschód, zwiększyła się moja praca i odpowiedzialność za bezpieczeństwo wojska i jego dróg komunikacyjnych. Na naszych, nawet głębokich tyłach, ginęli pojedynczy żołnierze, a nawet od czasu do czasu małe oddziały wojska. Gdy zginął wraz z koniem bez śladu młody podchorąży Kanicki, wiozący rozkazy Dtwa Frontu do garnizonów tyłowych, gen. Listowski postanowił wysłać szwadron ułanów dla spacyfikowania tyłów. Akcja szwadronu, dowodzonego przez młodych ludzi, pochodzących właśnie z Wołynia, dała jak najgorsze rezultaty. Na szwadron spadło odium, że „panowie” mszczą się na chłopach i dochodzą swoich krzywd. Gdy meldowałem generałowi, że w tych oskarżeniach jest dużo prawdy, poparł mnie płk Przewłocki szef sztabu.

Ponieważ w jednej dużej wsi Sady, powiatu dubieńskiego, lub w jej najbliższej okolicy w ciągu paru tygodni zginęło 4-ch żołnierzy, zastrzelonych i obrabowanych i ponieważ zebrane przeze mnie wiadomości mówiły o dużej ilości broni ukrytej w tej wsi, oraz o ukrywającej się w niej jaczajce komunistycznej,

---

5. J.Z.M. to Jan Zagłoba Mazurkiewicz w okresie naszej wojny z bolszewią, w czasie okupacji Polski przez Niemcy i w czasie powstania warszawskiego, ppłk Radosław.

przedstawiłem gen. Listowskiemu wniosek, aby postawić wsi 24-godzinne ultimatum, żądające wydania posiadanej broni. Jeśli wieś broni nie wyda — zostanie spalona. Wniosku wydania „jaczajki”, jako postulatu nierealnego, nie stawiałem.

Generał przychylił się do mojego wniosku. Przyniosłem mu do zaakceptowania treść ultimatum, które miałem zamiar wydrukować w języku polskim i ukraińskim i rozwiesić w całym powiecie. Generał zgodził się z treścią, ale podpisać nie chciał. „Niech pan podpisze panie poruczniku”. Podpisałem. W oznaczonym dniu dostałem pluton piechoty, jako asystę wojskową. Otoczyłem wraz z moimi podoficerami i żołnierzami wieś i czekałem do oznaczonej godziny. Wieś nie przejawiała żadnych oznak życia. Wysłany patrol stwierdził, że we wsi nie ma ani ludzi ani bydła, wszystko schroniło się do lasu. Kazałem wieś podpalić. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że we wsi może być takie nagromadzenie amunicji małokalibrowej a nawet artyleryjskiej. Zabudowania po prostu wybuchły. Następnego dnia oglądaliśmy dwa spalone działa niemieckie (!).

Ukaranie wsi Sady za przechowywanie amunicji i broni podziało zastraszająco na okolicę. Zaczęliśmy otrzymywać duże ilości broni i amunicji z okolicznych wsi. Przekonałem się, że aczkolwiek decyzja spalenia była przykra i dramatyczna to w skutkach okazała się słuszna. Nigdy, nawet w okresie naszego odwrotu spod Kijowa, nie było na Wołyniu wystąpień zbrojnych przeciwko nam. Nie przypisuję tego wyłącznie spaleniu wsi, ale zakazowi wymierzania sprawiedliwości na własną rękę, przez poszczególne oddziały, jak to miało, niestety, miejsce uprzednio.

Po ponownym objęciu Wołynia, nasze władze cywilne wydały spalonej przeze mnie wsi drzewo na odbudowę — za darmo. Zupełnie słusznie.



Trudniejszą sprawą dla Sekcji Defensywy, była walka ze szpiegostwem. Jeden z moich podoficerów, spędzający kilka dni urlopu w Łucku, zauważył, że do zacisznego dworku na przedmieściu Łucka, przychodzą młodzi ludzie, których znał z Równego. Przy pomocy miejscowego oddziału sekcji defensywy, rozpoczął obserwację domu i odwiedzających. Obserwacja ustaliła ich nazwiska i adresy w Równem. Przypadek zrzucił, że stwierdziliśmy iż jest to „jaczajka” komunistyczna; zdobyliśmy nawet adres przywódcy. O tej samej godzinie przeprowadziliśmy rewizję i aresztowanie wszystkich członków organizacji. W towarzystwie 2-ch podoficerów wszedłem do mieszkania domniemanego przywódcy, młodego, wysokiego, przystojnego i dobrze zbudowanego Żyda

rosyjskiego — jak sam o sobie mówił. Nie zdążył sięgnąć po rewolwer, który leżał na stole, przykryty serwetką. Szczegółowa rewizja przeprowadzona przez moich podoficerów nie wykryła nic ciekawego poza rewolwerem. Obserwowałem aresztowanego, który po pierwszym szoku opanował się i patrzył na nas ironicznie. Zauważyłem, czy może wydało mi się, że gdy któryś z podoficerów zbliżył się do nocnego stolika aresztowany jakby zaniepokoił się. Poleciałem podoficerowi pilnować aresztowanego a sam podszedłem do stolika. Otworzyłem drzwiczki — nic, szufladka, trochę drobiazgów, szczotka. Ale dno szufladki było wyłożone papierem. Podniosłem papier: miałem w rękę cały materiał szpiegowski na kartkach i bibułkach, *ordre de bataille* naszego frontu, jakieś meldunki z Warszawy i Łodzi o charakterze partyjno-politycznym.

Po zaprowadzeniu aresztowanych do gmachu Sekcji Defensywy, zacząłem z jednym podoficerem badanie aresztowanych. Jeden z członków organizacji, Ukrainiec, przyznał się, że była to partyjna jacejka komunistyczna dla zadań szpiegowskich i że wszystkie materiały były regularnie odsyłane do Razwiedupra (*Razwiedyiwatielnoje Uprawlenie* — zarząd wywiadowczy) XII sowieckiej armii. Z dalszego badania wynikało, że „jacejka” rówieńska miała kontakt z analogiczną jacejką komunistyczną w Mozyrzcu, zajmującą się głównie dywersją. Podano mi nazwisko przywódcy. Aresztowano w Mozyrzcu całą grupę i oddano ją pod Sąd Polowy. Moją jacejkę oddałem również pod Sąd Polowy. Wszyscy zostali skazani na śmierć z wyjątkiem doktora z Równego (nazwiska nie pamiętam) bardzo popularnego lekarza, za którego lojalność ręczyło Ognisko Polskie, i poszczególni matorczy m. Równe. Nie miałem co do doktora niezbitych danych, ale poważne poszlaki, że on był tym, który wynajął dom w Łucku i że był członkiem jacejki. W owym czasie przysługiwało mi prawo internowania na okres wojny ludzi mocno podejrzanych. Internowałem doktora i wysłałem do obozu w Poznaniu. Jakież było moje zdumienie, gdy po zawarciu preliminarza pokojowego z Rosją sowiecką, i obustronnej wymianie więźniów<sup>6</sup>, na pierwszych 3-ch miejscach były nazwiska dotyczące mego terenu a) doktor z Łucka, b) niejaka Łomakina, szpieg sowiecki, c) Rybak, członek Sowjeta Truda i Obrony. Postać nierozszyfrowana i bardzo tajemnicza.

Doktor z Łucka przybył do Polski, po wymianie aresztowanych, z pierwszą oficjalną Misją Sowiecką. Po nawiązaniu sto-

---

6. Między innymi, na mocy tej wymiany przybył do Polski, wprost z więzienia sowieckiego arcybiskup Ropp.



sunków dyplomatycznych i po przemianowaniu Misji na poselstwo, pozostał członkiem poselstwa sowieckiego w Warszawie.

Łomakina, która uporczywie podawała się za siostrę Lenina została przeze mnie aresztowana na skutek swojej nadmiernej gorliwości i ciągłego narzucania się. Zgłosiła się do mnie w Równem, po zajęciu przez nas miasta, jako agentka naszej 4 d. piechoty, działającej na północ od naszego frontu. Prosiła o przepustkę dla siebie (w owym czasie ze względu na przeciążenie kolei i na bezpieczeństwo, wymagane były przepustki dla pasażerów udających się z terenów przyfrontowych w głąb kraju) do Krakowa do rodziny (sic). Wydało mi się to dość podejrzane, by rodzina jej mogła mieszkać czy przebywać w Krakowie. Kazałem jej zgłosić się za kilka dni. W międzyczasie zarządziłem obserwację. Obserwacja była robiona dość niezdarnie toteż Łomakina przyszła do mnie uskarżając się, że jest śledzona i to na pewno przez bolszewików. Nalegała dalej bym dał jej przepustkę. Odmówiłem, tłumacząc ogromnym ściskiem na kolejach. Musi czekać swojej kolejki.

W międzyczasie przysłano mi z Dłta Frontu cały worek różnych aktów, zdobytych przez działające na tyłach sowieckich oddziały kawalerii mjra Dąmbrowskiego, mjra Jaworskiego i innych. Zacząłem przeglądać i segregować te akty, które stanowiły archiwum jakiejś sowieckiej dywizji, działającej na wprost Frontu Polskiego. Zaciekawiały mnie akta sowieckiego wydziału wywiadowczego. Ku wielkiemu zdumieniu zobaczyłem parę ręcznie pisanych meldunków o Froncie Polskim i Wołyńskim podpisanych nazwiskiem Łomakina. Porównałem jej charakter pisma z podań jakie do mnie pisała z pismem na raporcie wywiadowczym, złożonym w sowieckiej dywizji. Identyczny. Kazałem przepisać wszystkie jej meldunki na rosyjskiej maszynie. Gdy zgłosiła się do mnie pokazałem jej maszynopisy meldunków. „Ot, widzi pan, panie poruczniku, jak chcą mnie bolszewicy utopić, przysyłają fałszywe meldunki”. — „Więc pani rzeczywiście ich nie pisała?” — „Przysięgam, że nigdy do tych drani nie pisałam”. Wyjąłem wtedy jej oryginalne meldunki i powiedziałem: „Kłamstwo — oto dowody”. Łomakina kompletnie załamała się i zaczęła powoli sypać wszystko co wiedziała lub słyszała. Siedząc w więzieniu zgłaszała się jeszcze z przypomnianymi sobie adresami w Łodzi i Warszawie, dokąd miała z partii polecenie nawiązania stosunków. W końcu oświadczyła, że jest rodzoną siostrą Lenina i że bolszewicy będą się o nią starać. Jak pisałem wyżej, była na liście dwudziestu paru bolszewików do wymiany. Na czołowym miejscu.

Tajemniczą osobą był dla mnie Rybak. Po wielu badaniach i rozmowach wiedziałem o nim tylko to, że przy aresztowaniu znaleziono przy nim wszyty kawałek białego płótna, opatrzone podpisem nieczytelnym i pieczęcią STO (*Sowiet Truda i Oborony* — Rada pracy i obrony, najwyższa instancja sowiecka). Najwidoczniej był jej emisariuszem.

Rybak był mężczyzną w sile wieku, mówiącym biegle po polsku. Sympatyczny i wybitnie inteligentny o ruchach, gestach i wymowie świadczących, że na pewno nie jest pochodzenia proletariackiego. Parokrotnie z nim rozmawiałem, ale nigdy z niczym się nie zdradził i do końca nie wiedziałem ani jakie było jego nazwisko, ani jakiej był narodowości. Mówiłem mu, że będzie internowany”. W Rosji byłby Pan na pewno rozstrzelany gdyby znaleziono przy Panu mandat emisariusza polskiej Najwyższej Rady Wojennej”. Uśmiechnął się tylko.

## Rozdział VIII

### OFENSYWA KIJOWSKA. — ZDOBYCIE ŻYTOMIERZA I KOROSTENIA. — KIJÓW

Przed ofensywą na Kijów utworzone zostało dowództwo Frontu Południowo-wschodniego z armiami 3, 2 i 6. Dowódcą frontu został gen. Rydz-Śmigły, szefem sztabu ppłk Tadeusz Kutrzeba. Szefem Oddziału II sztabu, któremu podlegali szefowie oddziałów drugich poszczególnych armii, został kpt. Janusz Gaładyk. Ja zaś zostałem mianowany szefem Sekcji Defensywy frontu z podległymi mi sekcjami armii.

Front ciągnął się od Błot Pińskich do granicy rumuńskiej.

Wkrótce po utworzeniu dtwa Frontu w końcu kwietnia 1920 roku przybył do Równego Komendant Piłsudski ze swym sztabem polowym, w którym szefem Oddziału II był ppłk I. Matuszewski, od którego otrzymałem szereg wytycznych i rozkaz składania meldunków *wprost* do Naczelnego Dowództwa.

W pierwszych dniach maja zaczęła się nasza ofensywa. Padł Żytomierz i Korosteń.

Poruszałem się wraz ze sztabem. Okazało się jednak że moja „trakcja” konna jest powolna i że nie zdążę wejść do Kijowa z pierwszymi oddziałami. Moi ludzie postarali się więc w Żytomierzu o samochód „na kilka dni”. Pojechaliśmy nim w składzie czterech oficerów i podchorążych.

Byłem świadkiem wkroczenia naszej piechoty do Kijowa.

Pamiętny dzień 8 maja 1920 roku.

Po zdobyciu Kijowa Naczelný Wódz powrócił do Warszawy.

Kwatermistrze przeznaczili dla mojej Sekcji Defensywy, willę jakiegoś kupca, byłego milionera. Sekcja składała się z 4-ch oficerów i 3-ch podchorążych, kilku podoficerów, dwóch maszynistek i kilkunastu szeregowców. Razem było nas 20 osób. Jak na olbrzymi front od Pińska do Kołomyi — ilość raczej skromna. Mieszkaliśmy, jedliśmy i pracowali w tej samej willi. Na parę dni przed naszym odwrotem z Kijowa, w związku ze wzmożoną działalnością bojówek komunistycznych, poprosiłem generała Śmigłego o przydzielenie mi kilkudziesięciu żołnierzy. Dostałem pluton harcerzy łódzkich z dowódcą ppor. Kwiatkowskim, który wraz z Sekcją towarzyszył nam aż do Lublina.



Pierwszą moją czynnością było odszukanie lokalu sławnej *Wsieukrainskoj Czerezwyczajnoej Komisji (WCZEKA)*, myśląc, że tam mogę znaleźć interesujące papiery czy dokumenty. Okazało się, że to nie był tylko jeden dom, lecz cały kompleks domów z dużym gmachem jakiegoś banku pośrodku, w którym mieściły się biura Czeki. Wszystkie okoliczne domy zamienione zostały na więzienia, które — jak obliczyliśmy — mogły pomieścić kilka tysięcy ludzi. Wszedłem do pierwszego z brzegu domu.

Ściany tego domu były pokryte od dołu do góry napisami. Tysiącami napisów identycznej treści: *Imię, nazwisko, wiek i dodatek „idu na rozstrzał...”, „idu na rozstrzał...”, „idu na rozstrzał...”*. Od ścian wiało męką i grozą... I tak było w dziesiątkach innych domów. W jednym tylko zauważyłem popularny już wierszyk: *„Jabłoczko, jabłoczko, kuda kotiszsia, popadiesz w czerezwyczajku nie worotiszsia”*... Dużo nazwisk polskich.

Schodami z białego marmuru zszedłem na dół, usłyszawszy jakiś odgłos życia. Wszedłem do obszernej, pustej, białej sali. Zza węgła wypadł mały chłopczyk bawiący się piłką. Gdy mnie zobaczył stanął jak wryty. Patrzył na mnie i na mój mundur dużymi okrągłymi oczami. Zagadałem do niego po rosyjsku: skąd się tu wziął? Odpowiedział mi, że jest synem stróża, ale ojciec i matka uciekli przed „Biełopolakami” i jego zostawili. „Bawię się piłką, zawsze się tu bawię piłką, czekałsi pozwalają mi”.

7. „Jabłuszko, jabłuszko, dokąd się toczysz, dostaniesz się do czerezwyczajki i już nie powrócisz”...

Rozglądając się po tej pustej sali, spojrzałem na boczną ścianę z poodbijanym tynkiem, spod którego wзираły czerwone cegły. Ślady po strzałach. Podeszedłem bliżej myśląc że to tu pewno rozstrzeliwano. Nie było widać śladów krwi. Moje zamyślenie przerwał chłopiec. „Tu — powiada — stawiali kontrrewolucjonistów i straszili go rozstrzałem, strzelali naokoło niego, aby się przyznał. Jak to nie pomagało prowadzili na 'rozwał' — wskazał ręką na uchylone, malowane na biało drzwi. Zobaczyłem na drzwiach krwawe ślady rąk, czepiających się krawędzi. Chłopiec otworzył szeroko drzwi do małego pokoiku. To co zobaczyłem było straszne: cementowa podłoga była buro-czerwona od krwi, której nadmiar wessały na dużą wysokość bielone ściany. Cuchnęło krwią, moczem i ekskrementami ludzkimi. Róg tego pokoiku czy kuchenki był tak postrzelany, że cegła była wybita na głębokość dłoni. Wokoło tej krwawej dziupli rozbryzgi krwi na białej ścianie. Patrzyłem jak porażony. Mój przewodnik po tym piekle, przerwał ciszę niepytany: „Tu w tym rogu stawiało się bandytę aby go ranić a nie zabić, ale jak nie chciał mówić to waliło się go karabinem po głowie (na podłodze leżały umazane we krwi karabiny z resztkami potrzaskanych kolb), aż mózg pryskał” — wskazał ręką na niski sufit. Nad moją głową zwisały jakieś brudno-szare grzyby zastygłej papki. Oparte o ścianę, stały czerwone od krwi nosze.

Więc tak wyglądała izba badań w słynnej Czeka?

Ostatnie badanie odbyło się wczoraj w przeddzień naszego zajęcia Kijowa<sup>8</sup>.

Moi oficerowie przeglądali papiery i fotografie, jakie znaleźli na piętrze tego potwornego budynku. Znaleźli również dużą fotografię sztabu Wszuchukraińskiej Czeka. Figurował na niej aresztowany przez nas w Równym szef jacejki szpiegowskiej Żyd rosyjski. Jak sam zeznał był przedtem szefem Czeka.

Śmierć tysięcy zakatowanych i wymordowanych ludzi została pomszczona wyrokiem Sądu Polowego.

Z centralnego więzienia w Kijowie, kazałem zwolnić wszystkich więźniów politycznych których Czeka nie zdążyła zlikwidować.



Z szefem sztabu Frontu ppłk. T. Kutrzebą, moje stosunki od pierwszego dnia ułożyły się jak najpomyślniej. Prosty, kole-

8. Poleciałem mojemu fotografowi porobić zdjęcia z tej kaźni. W roku 1921 lub 1922 ukazało się we Francji ilustrowane wydawnictwo, pod redakcją E. Herriota, poświęcone rewolucji rosyjskiej i jej okrucieństwom. Były w nim dwie fotografie z Czeka kijowskiej.

żeński, skromny i pracowity. Rozumiejący pracę i znaczenie kontrwywiadu. Z moim bezpośrednim szefem, kpt. Gaładykiem i z por. Wittekówną, szefem sekcji ofensywnej, stosunki miałem doskonałe.

W sprawach szczególnej wagi meldowałem się wprost u gen. Śmigłego. Był tak jak Kutrzeba, łatwy w obejściu, uważny w słuchaniu raportu, wydający decyzje jasne i dokładne.

Przy takim układzie praca moja była bardzo ułatwiona.

Gen. Śmigłemu podlegała 6 dywizja gen. Udowiczenki, znanego i dzielnego patrioty ukraińskiego. Sztab jego stacjonował w Kijowie. Oddział II jego dywizji podlegał naszemu Oddz. II, a w zakresie kontrwywiadu mnie. Szefem Oddz. II był sympatyczny kpt. Serga, niestety uległ wpływom swego szefa kontrwywiadu, niemiłego człowieka, por. Didko-Kołomackija.

Nasza intendentura nawaliła. Pierwsze dni w Kijowie były głodne. Na rynku można było kupić „siemioczki” i rzodkiewki. Po dwóch dniach takiego odżywiania się, celem zarekwirowania żywności, posłałem na głęboką wieś sierżanta Ochotę, byłego podoficera II Brygady legionowej. Dostał się on do niewoli rosyjskiej pod Kaniowem, po czym zwiął i dołączył do armii czerwonej, która formowała „wojsko polskie”. Wstąpił do „polskiego białogrodzkiego” pułku, z którego bolszewicy bezskutecznie próbowali zrobić polską czerwoną gwardię. Na froncie poleskim znalazł się jako dowódca kompanii karabinów maszynowych. Pamiętam jak przyprowadzono do mnie w Pińsku grupę jeńców sowieckich. Na jej czele szedł wysoki, kościsty dryblas ze skrzyżowanymi na piersi, na modłę bolszewicką, taśmami karabinów maszynowych. Gęba jego śmiała się szeroko. Stanął przede mną na baczność i meldował się: „sierżant Stanisław Ochota z 3 p. piechoty II Brygady melduje się posłusznie jako jeńiec bolszewicki”. Po krótkiej rozmowie opowiedział mi swoje przejścia od Kaniowa. Kazałem mu się zaraz zameldować w naszej kompanii sztabowej dla ewidencji, i przydzieliłem go do Sekcji Defensywy. Aż do końca naszej kampanii sierżant Ochota był ze mną, karny, zawsze gotowy na każde ryzyko i oddany. Po zdemobilizowaniu się poleciłem go gorąco do Policji Państwowej. Ostatnie wiadomości jakie miałem od niego były ze Świącian, bodajże był tam komendantem posterunku Policji Państwowej.

W Kijowie został uruchomiony przez dtwo *Kurier Kijowski*. Redaktorem był podporucznik Kazimierz Wierzyński. Poznaliśmy się właśnie w Kijowie i zaprzyjaźnili.



Przeżyłem w Kijowie zamach na moje życie. Strzały oddane do mnie przez oświetlone okno, gdy siedziałem do niego tyłem, chybiły. Nawet rozbite szyby nikogo nie zraniły. Pomyślałem, że jednak trzeba okno osłaniać. Warty przed gmachem nie postawiłem, bo nie mieliśmy na to ludzi. Okno jednak zasłoniliśmy roletą.

Agenci moi, szperający po całym Kijowie, zameldowali, że na Padole (przedmieście Kijowa, do którego żadna z licznych okupacyj Kijowa nie ośmieliła się zajrzeć) aż kipi od dezertersów z białej i czerwonej armii, byłych machnowców i innych zabijaków, których bolszewicy chcieliby zwerbować do tak zwanych *bojowych dziesiątków* (dziesiątki bojowe, prototyp sowieckich oddziałów partyzanckich). Obecnie działał na Padolu zakonspirowany sztab tych „dziesiątek”.

Uzyskałem nie tylko zgodę sztabu na zrobienie obławy na Padół, ale dostałem dwie kompanie piechoty jako asystę. Ściągnąłem z 2-ej armii oficerów z Sekcji Defensywy i wraz z moimi oficerami i podoficerami, zaczęliśmy przeczesać słynny Padół. Rezultat przeszedł oczekiwania: aresztowaliśmy kilku emisariuszy z mandatami „Sowieta Truda i Oborony”, podobnych do tego, jakie miał Rybak na Wołyniu. Aresztowałem paru ludzi ze sztabu „bojdesów”. Tam też na Padolu dostałem informację o wybitnym szpiegu polskim, kobiecie, która grasuje w jakimś pułku naszej kawalerii (mówiono w „jeździe tatarskiej”). Podano mi nie tylko jej rysopis, ale i adres w mieście.

Nie czekając na ściągnięcie na miejsce wszystkich ludzi, poszedłem z kilkoma podoficerami pod wskazany adres. Aresztowaliśmy ją. Jak było do przewidzenia, nie znaleźliśmy ani przy niej, ani w mieszkaniu, żadnych kompromitujących dowodów. Była to młoda kobieta olśniewającej urody. Przyprawiona do naszego gmachu, nie przyznawała się do niczego, miałem jednak w swoich rękach bolszewika, który sam był szpiegiem i ją wydał. Przyznała się natomiast — nie wiem czemu — do zabójstwa swego męża, milionera z czasów carskich, którego poślubiła tuż przed wojną. Nie powiedziała mi nic o swoim życiu w okresie wojny. Ponieważ opuszczaliśmy Kijów, razem z innymi więźniami dowiozłem ją do Korostenia, a stamtąd pod silną eskortą całą gromadę kazałem odstawić do obozu internowanych pod Pozna-

niem. W ślad za nimi posłałem również przywiezione ze sobą z Kijowa akta, dla postępowania sądowego. W czasie procesu, który odbył się już po preliminariach pokojowych, napisał do mnie do Tallina — gdzie byłem wtedy zastępcą attaché wojskowego — jej mąż, pułkownik armii rumuńskiej, który chciał ją ratować za wszelką cenę. Pobrali się w Rosji prawdopodobnie po zamordowaniu męża milionera. Wkrótce dostałem wiadomość z Fordonu pod Bydgoszczą, że oskarżona umarła na tyfus. Reszta aresztowanych albo dostała wyroki więzienia, albo też została po wojnie zwolniona z internowania.

Wkrótce po tej wyprawie na Padół i rozkazie opuszczenia w jak najszybszym czasie Kijowa, dostałem rozkaz udania się do Żytomierza.

Jednocześnie przysłała smutna wiadomość, że moja narzeczona, pracująca w sztabie i wysłana z listami urzędowymi do Żytomierza, została wzięta do niewoli. Wiadomość przyniósł mi szofer samochodu, którym Halszka Trzcicka jechała. On sam zdołał umknąć w jakieś krzaki i na piechotę przyszedł, aby mi to osobiście zameldować.



Kpt. Gaładyk poinformował mnie, że na naszym froncie północnym nie jest dobrze i że dlatego Śmigły śpieszy się by skrócić front.

Z rozkazów wiedziałem, że jako ostatnie mają wyjść z Kijowa ciężkie działa strzelające do ostatka. Dowódcy tych dział, płk. Aleksandrowiczowi, gen. Śmigły zlecił, by w ostatecznym wypadku działa zniszczył a sam z ludźmi opuścił Kijów we wskazanym terminie.

Z rozkazów wynikało też że powinienem niezwłocznie opuścić Kijów. Praktycznie nie było to wykonalne, nie mogłem zostawić ani więźniów, ani aktów, a jako jedyny środek lokomocji miałem elegancki lekki powóz, zaprzężony w parę siwków. Trzeba było radzić sobie samemu. Wysłałem patrole dla rekwizycji jak największej ilości wozów, bryczek czy innych środków transportu. Po paru godzinach moi ludzie znaleźli samochód osobowy Hupomobil z benzyną, oraz platformę strażacką zaprzęgniętą w dwa konie. To było wszystko.

Zgromadziłem w ogródku przy Sekcji Defensywy wszystkich więźniów, co do których miałem niezbite dowody ich działalności szpiegowskiej lub dywersyjnej, chcąc oddać ich pod Sąd Polowy. Usłyszałem kilka strzałów w sąsiedztwie. Pobiegłem w tym kierunku i zobaczyłem dwóch żołnierzy ukraińskich z karabinami, pochylonych nad drgającymi jeszcze ciałami dwóch męczyczn.

Z zeznań żołnierzy wynikało, że zabitymi był komendant i zastępca naczelnika więzienia. Zastrzelili ich z rozkazu szefa sekcji defensywy ukraińskiej por. Didko-Kołomackija i szefa Oddz. II por. Sergi. Posłałem niezwłocznie po nich jednego z moich oficerów. Oficer mój zastał obu panów zajętych rozsypywaniem prochu dymnego po podłogach biura dla wzniesienia pożaru i zatarcia śladów po depozytach i kosztownościach, które mieli w swoich chlebakach. Aresztowałem obu. Zrobiłem bardzo krótki protokół i włączyłem ich do transportu więźniów, których miałem — jak przyszołość pokazała — doprowadzić aż do Korostenia, a stamtąd skierować do Poznania i oddać pod sąd polowy wraz z piękną kobietą — morderczynią i szpiegiem.

Akta zajęły prawie całą platformę strażacką. Kilku starych wiekiem więźniów oraz dwóch oficerów ukraińskich — jechało moim powozem. Ja z moimi oficerami — Hupmobilem, reszta szła. W ostatniej chwili objechałem budynki i biura naszego sztabu i kazałem spalić pozostawione akta. Przejeżdżając z por. Fahrenholzem około Banku państwowego, pomyślałem sobie, że należałoby zabrać znajdujące się tam pieniądze, po co mają się dostać bolszewikom. Por. Fahrenholz stał przy drzwiach, zapewniając mi odwrót, szofer z bronią siedział w samochodzie. Nie bez strachu schodziłem z dwoma urzędnikami bankowymi do podziemnego skarbcza. Pokazano mi 10 czy 11 worków — takich jak w Polsce używało się do przewożenia kartofli. Powiedzieli mi, że w każdym worku jest milion rubli. Potwierdziłem odbiór, będąc przekonany że wywożę 10 czy 11 milionów rubli carskich, które były jeszcze w obiegu nawet w Polsce. Po dostarczeniu tych pieniędzy do Warszawy, okazało się, że tylko w jednym worku były ruble carskie, w pozostałych ruble tzw. „kierenki”, wypuszczone przez rząd Kiereńskiego, których wartość była bardzo niska.

Pieniądze, więźniowie i akty, były to sprawy, których stale trzeba było pilnować jak oka w głowie. Miałem już doświadczenie jak ludziska są złośliwi i jak łatwo szafują oskarżeniami.

Po stoczeniu paru potyczek z „bojdesami”, odprawiłem ostatni pociąg z uchodźcami z dworca kijowskiego. Jak się później dowiedziałem, pociąg dotarł szczęśliwie do naszych linii. Z moją nieliczną grupką ludzi i więźniów zacząłem opuszczać Kijów w kierunku Żytomierza. Wkrótce okazało się, że byliśmy ostatnim oddziałem polskim opuszczającym miasto i tym samym staliśmy się strażą tylną cofającej się armii. Na szosie widoczne ślady paniki, spalone wozy ciężarowe, część taborów i bateria zmotoryzowana, część załogi z 2 c.k.m. bez oficera — wlokła się bez nadziejnien szosą. Oficer podobno był zabity, inni mówili, że cięż-



ko ranny. Zebrałem to towarzystwo, przemówiłem do słuchu i kazałem maszerować z nami. Spotkaliśmy oddział przerażonych żandarmów, po czym pluton jazdy na koniach-szkieletach. Wszystko to porządkowałem, uspokajałem i wcielałem pod swoje rozkazy, mówiąc że za nami ciągnie straż tylna. Kłamstwo to dodawało zdemoralizowanym ducha i uspakajało wypłoszonych.

Po drodze rekwirowałem wozy i żywność. Raz na dzień w kubbach gotowaliśmy posiłek dla wszystkich. W miarę jak przybywało wozów, nasze posuwanie przyspieszało się. Dzień był długi, maszerowaliśmy od świtu do zmroku. Na noc dobrze ubezpieczałem obóz i kładliśmy się spać. Spotkaliśmy po drodze „deliberujących” szoferów wozów ciężarowych (pustych!). W owym czasie samochody ciężarowe nie miały opon a tylko koła obciążone kilkucalową warstwą gumy. Kazałem szoferom uruchomić tyle wozów na ile starczy benzyny do Żytomierza, resztę spalić. Na samochody przeładowaliśmy co cięższe bagaże, pieniądze i akty. Jeden samochód ciężarowy z 2 c.k.m. szedł przodem, dwa samochody, każdy po 2 c.k.m. w straży tylnej. Ja ze swoim Hupmobilem trzymałem się na tyle kolumny, jedynie od czasu do czasu wyskakując do przodu dla zwiadu i kontroli. Żołnierzom widocznie podobało się to, że trzymałem się tyłu i straży tylnej naszej kolumny. Znów znaleźliśmy opuszczone c.k.m. i kilometrowy wąż spalonych taborów. Był to przygnębiający widok. Po ludziach i koniach ani śladu. Uciekli. Dopędziliśmy wreszcie kompanię saperów, która miała zadanie... wysadzania mostów. Nie wysadzili ani jednego, co wytknąłem dowódcy kompanii, jakiemuś kapitanowi. Dowodem było to, że przez wszystkie mosty przejechaliśmy doskonale. Przemówiłem i jemu i saperom do rozumu. Zaczęli przygotowywać most do wysadzenia, ale gdzieś z daleka rozległy się strzały i moja kompania saperska porzuciła most, ale raczej wycofała się niż uciekła, była więc już jaka taka poprawa.

Moja „zbieranina” sięgnęła około 1.000 ludzi w tym bardzo zdyscyplinowany pluton por. Kwiatkowskiego oraz kilkunastu moich podoficerów i podchorążych, którzy szybko przekształcili się w bojowych żołnierzy. Powierzałem im, tak samo jak i por. Kwiatkowskiemu, większe oddziały do dowodzenia.

Ponieważ byłem, jak to się mówiło, „gorączka”, po na szczęście niecelnym strzelaniu do naszego uciekającego żołnierza, oddałem mój pamiątkowy browning podchorążemu Rząśnickiemu. Dla ukarania się, porzuciłem palenie i srebrną papierośnicę podarowałem jakiemuś innemu przyjacielowi. Chodziłem jedynie z laską wyniesioną z Czeki kijowskiej, pokrytą od góry do dołu monogramami. Połamałem ją uderzając podoficera, który odmówił

skrobania kartofli. Z laski została mi tylko rączka. Zaprowadziłem bowiem taki zwyczaj, że nie skrobali kartofli tylko ci, którzy mieli funkcje dowódcze, reszta musiała pomagać by jak najszybciej przygotować posiłek i dalej maszerować. Było około 1.000 ludzi do nakarmienia. Czas nie grał na naszą korzyść.

Odwrót. Cóż może być straszniejszego dla młodego, niedoświadczonego żołnierza jak cofać się. Zwłaszcza ciężkie i niezrozumiałe było to dla oddziałów tyłowych: taborytów, żandarmerów, kierowców samochodowych. Ponadto, myślę, że dużą winę ponosili oficerowie i ich postawa. Widziałem oficerów płaczących i rozpaczających głośno, wymyślających na wszystko i na wszystkich, niby z żalu nad Polską, ale czułem w tym akcenty strachu przed dostaniem się w ręce bolszewików. Widziałem żandarmerów, od oficerów poczynając, zrywających swoje odznaki żandarmskie, na pierwszy odgłos strzałów. Widziałem oficera-lekacza, który leżał w rowie i bał się przejść przez szosę wzdłuż której strzelał jakiś pojedynczy karabin maszynowy. Wlałem na jakąś opuszczoną zabiedzoną szkapę i stanąłem na środku szosy, by dodać otuchy naszym żołnierzom no i zawstydzić pana oficera.

Takie to było nasze jeszcze niedojrzałe, jeszcze niezahartowane w walkach wojsko z którym musiał Piłsudski wojować i zwyciężać.

Pamiętam jakiś wykład czy odczyt Komendanta o wojnie tureckiej na Bałkanach i jej walkach odwrotowych. Komendant nie miał słów pochwały dla żołnierzy tureckich mówiąc, że prawdziwego żołnierza poznaje się w walkach odwrotowych<sup>9</sup>.

Przed Żytomierzem wysłałem w przód patrole, które doniosły że Żytomierz jest zajęty przez bolszewików. Nie pozostało nic innego tylko raptownie skrócić na północ, na jakąś polną drogę, i próbować dotrzeć do polskich oddziałów, które według moich przewidywań, powinny były tamtędy wycofywać się na zachód. Po kilkunastu metrach przejechanych po piaszczystej drodze nasze ciężarowe samochody ugrzęzły. Nastąpiło przeładowywanie się na podwozy konne. W trakcie tej operacji podsunął się szosą jakiś większy oddział bolszewików, który nas atakował dość śmiało przy użyciu cekaemów, wywołując małą panikę w mojej zbieraninie.

Już pod wieczór dotarłem do jakichś lasów; tam na obszernej polanie, postanowiłem rozłożyć się obozem i dać wypoczynek ludziom i koniom. W trakcie ostatniej walki i skutecznych prób opanowania paniki, zdarłem sobie zupełnie głos, co mi utrudniało

---

9. Prawie słowo w słowo powiedział to młody prezydent Stanów Zjednoczonych John Kennedy o zachowaniu się brygady tureckiej, w wojnie koalicyjnej przeciwko Północnej Korei w latach 1950.

bardzo dowodzenie. Porozstawiałem strażę wokoło obozu, który wyglądał staromodnie nawet jak na ówczesne czasy. Wszystkie wozy i podwozy były zwrócone dyszlami do środka. Wolną przestrzeń w obozie zajmowały konie i ludzie. Zrobiłem to w obawie nocnego ataku jazdy bolszewickiej, no i łatwiejszego trzymania ludzi w garści w obrębie tego zaimprovizowanego obozu obronowego.

Opanowanie tej masy ludzkiej, przejętej ostatnim atakiem sowieckim, przy braku pomocy ze strony oficerów, za których było mi wstyd, było trudne. Jednego z oficerów musiałem mocno uderzyć gdy siedział na kamieniu i rozpaczął wykrzykując, że wszystko stracone, że Piłsudski nas zdradził i wydał bolszewikom. Inny znów chodził wokoło i płakał jak dziecko. Ludzie z placówek, przeze mnie osobiście rozstawionych wokół obozu, uciekali do środka obozu; trzeba było grozić, kląć a od czasu do czasu walić kijem. W takich warunkach zapadła noc, obóz powoli się uspakajał, nie słychać było strzałów. Postanowiłem wysłać w kierunku na Korosteń mego przyjaciela, sierżanta-podchorążego Edka Czyżewskiego, z meldunkiem o stanie rzeczy i z prośbą o ewentualne przysłanie jakiegoś regularnego oddziału, bym mógł tę bandę doprowadzić do połączenia się z większym oddziałem. Po kilkunastu minutach usłyszałem kilka strzałów, wkrótce zjawił się jakiś podoficer z okrwawioną twarzą, wołając: bolszewicy, bolszewicy! Niespodzianie zjawił się też Edek Czyżewski; stanął przede mną bardzo przepisowo i zameldował, że zabił naszego żołnierza z placówki. Pokazałem mu rannego, na szczęście powierzchownie. Żołnierz z tej placówki był sam sobie winien bo do jadącego od strony obozu Czyżewskiego zaczął krzyczeć po rosyjsku. Ten sądził, że to bolszewik i strzelił. Żołnierz krzyknął: O Jezu! i padł na ziemię. Po wyjaśnieniu incydentu Czyżewski odjechał i dotarł do jakiejś dywizji, stojącej nad rzeką Tietierew. Niestety nie mogła udzielić mi pomocy! dali jedynie „dobrą radę”, bym sobie sam poradził.

W środku nocy znów, koło mego wozu, zrobił się gwałt i okrzyki, że prowadzą jeńca sowieckiego. W grupie żołnierzy, z rękami wykręconymi do tyłu, szedł mój osobisty ordynans Tumola, autentyczny Chińczyk wzięty do niewoli przez oddział, którym dowodziłem na Polesiu. Chińczyk umiał tylko 3 słowa: pokazywał na siebie i mówił Tu-mo-la, na mnie „diadia” no i znał trzecie słowo „woda” co oznaczało i wodę i jedzenie w ogólności. Patrzyło mu dobrze z oczu, wziąłem go na ordynansa, przechrzciliem na Tumolę, dodałem jakieś imię i wcieliłem do Wojska Polskiego. Był ze mną prawie aż do demobilizacji. Przypadała go sobie jakaś kobieta i pobrali się. Nie wiem czy

nauczył się czwartego słowa, które oznaczało małżeństwo. Otóż tego Tumolę przyprowadzili do mnie. Jak mnie zobaczył rozpląkał się jak dziecko. Wyjaśniłem żołnierzom, że to mój ordynans, dałem im i Tumoli po papierosie i poszedłem spać, Tumola obok mnie.

Rankiem, po wyjściu z lasu, dotarliśmy do bardzo dużej wsi. Na wszelki wypadek zatrzymałem całą kolumnę, a sam moim Hupmobilem przejechałem przez wieś. Za wsią zobaczyłem dużą kolumnę wojsk. Byłem przekonany że to nasi. Na szczęście dla mnie za wsią był tak sycki piasek, że posuwaliśmy się powoli. Ku memu przerażeniu zobaczyłem szpiczaste czapki<sup>10</sup>. Tu przyszła mi genialna myśl, ponieważ bolszewicy posuwali się w tym samym kierunku, postanowiłem iść za nimi, rozumując, że nie przyjdzie im do głowy, że za nimi idą Polacy. Tak zrobiłem. Jestem przekonany, że w mojej kolumnie, poza kierowcą Hupmobila i trzema moimi kolegami, nikt nie zdawał sobie sprawy, że mamy przed sobą bolszewików.

Czyżewski, o którym pisałem wyżej wskazał nam nie drogę na zachód, jaką szli bolszewicy i my za nimi, lecz na północ do (już zapomnianej przez mnie) miejscowości nad rzeką Tietierew.

Pod Korosteniem dotarłem do wojsk gen. Listowskiego. Zameldowałem się u niego i oddałem do jego dyspozycji ponad tysiąc ludzi i 15 czy 16 cekaemów, co go niezmiernie ucieszyło. Listowski chciał abym z moimi ludźmi przed nim przedefilowałem, ale widząc, że śpię stojąc, zwolnił mnie od tego. Poszedłem do rzeki wykapać się i położywszy się zasnąłem. Gdy się obudziłem, byłem spalony od słońca, po odprowadzeniu mnie przez kogoś na kwaterę straciłem przytomność.

Gdy się obudziłem obok łóżka siedziała dziewczyna wiejska, bardzo podobna do Halszki Trzcńskiej. To była właśnie ona. Opowiedziała mi o swoim cudownym ocaleniu. Gdy razem z szoferem zobaczyli oddział jazdy sowieckiej, przecinającej szosę, kierowca raptownie zahamował, dał nura i tyle go widziała. Ona zrobiła to samo i wpadła do porządnie wyglądającego domu wiejskiego. Krzyknęła po ukraińsku (urodzona na Wołyniu, do szkoły chodziła w Żytomierzu) „dawajcie coś do przebrania — bolszewicy”. Dziewczęta dały jej jakiś przydzwiek, któraś krzyknęła by umazała sobie ręce i nogi błotem. Halszka wybiegła przed dom. Zobaczyła cały oddział zajęty szperaniem w samochodzie i rozrzucaniem jej kobiecych strojów. To dało jej czas do opamiętania się. Podeszła do brzegu szosy i zapytała żołdatów czego szukają. Któryś z nich odpowiedział, że samochodemjechała

10. Bolszewicy nosili sukienne czapki, zakończone tępym szpicem.

„barysznia” i chcą ją znaleźć i czy przypadkiem ona nie widziała jej. Na zaprzeczającą odpowiedź dostała w podarunku jakąś część swojej garderoby. Halszka powróciła do chaty, zjadła ofiarowany jej kawałek chleba i na wszelki wypadek ulotniła się. Schowała się w okolicznym zagajniku i tam przespała pół dnia. Nad ranem obudził ją huk motorów. Wyrzała na szosę. Z Kijowa posuwała się nasza kolumna samochodowa. Wkrótce usłyszała głosy i szofera, który ją wiozł, i komendanta transportu, naszego dobrego znajomego, który rozpytywał dziewczęta wiejskie gdzie podziła się pasażerka auta, stojącego jeszcze na szosie. Na te rozmowy i badania nadbiegła Halszka Trzcńska rzucając się na szyję swoim wybawcom. Kolumna samochodowa dotarła na kilka godzin przed nami do Korostenia. „No i jestem” — zakończyła swoje opowiadanie.



Po zwycięskiej kontr-ofensywie Komendanta nad Wisłą i nad Niemnem, znalazłem się z moją Sekcją w Białymstoku, w oficjalnej stolicy Podlasia.

Trafiliśmy tam na gorące jeszcze ślady tak zwanego „rządu polskiego”. Znaleźliśmy szereg dużych fotografii i odezwo do ludu polskiego. Na jednej z fotografii, pod wielkim transparentem z orłem polskim i napisem po rosyjsku „Polskaja Socjalistyczeskaja Respublika”, stał „polski rząd” z Julianem Marchlewskim, Feliksem Konem, Feliksem Dzierżyńskim szefem CZEKA, Edwardem Próchnikiem, Józefem Unszlichtem i paru innymi, których nazwisk nie pamiętam.

## R o z d z i a ł IX

### SZTAB GENERALNY. — PORZUCENIE I POWRÓT DO WOJSKA. — TALLIN

Po zakończeniu wojny dostałem ponownie przydział do Oddziału II, do referatu przygotowującego elementy do konferencji pokojowej. Gorliwie uczyłem się do egzaminu by zdawać na majora. Myślałem o ukończeniu Szkoły Sztabu Generalnego, tym bardziej że otrzymałem więcej niż pochlebny opinię z wojska od płk. I. Matuszewskiego i innych moich wodzów, a ponadto

awans na kapitana, odznaczenia *Virtuti Militari* i 3-krotny Krzyż Walecznych. Egzamin na majora zdałem. Z dostaniem się do Szkoły były jakieś trudności, którymi się nie przejmowałem.



Po zawarciu pokoju w Rydze rozpoczęła się gwałtowna walka polityczna. Jedni uważali, że powinniśmy byli domagać się dalej na wschód posuniętych granic, inni że niepotrzebnie „zagarbaliśmy” tereny o ludności mieszanej. Na osobie Piłsudskiego używali sobie wszyscy z wojskiem włącznie. Głoszone przez partie hasła reform socjalnych ginęły w walce z Naczelnikiem Państwa. Atmosfera Warszawy i jej polityków buntowała mnie i obrażała moją wiarę w przyszłość. Porzuciłem wojsko nie mogąc pogodzić się z tym że i w Polsce i w moim wymarzonym wojsku — działo się źle, nawet bardzo źle.

Szukałem pracy. Daremnie. Brałem różne prace przygodne. Pomagałem w Wolnej Wszechnicy, która powstała z dawnego Towarzystwa Kursów Naukowych. Uczyłem się. Buntowałem się coraz bardziej. Obietnice pracy, tak różowe gdy byłem w mundurze — znikwały jedna po drugiej. Koledzy namawiali do powrotu do wojska. Nie chciałem wracać do karierowiczostwa i marazmu, wolałem klepać biedę. Przypadek zrządził, że spotkałem na ulicy płk. Matuszewskiego. Powiedziałem mu wszystko co mnie boli w tej wymarzonej Polsce i w tym wyśnionym wojsku. Matuszewski tłumaczył mi i uspakajał. Kraj musi przejść przez swego rodzaju *catharsis*, nie wolno nam właśnie, nam peowiakom i legionistom upadać na duchu, trzeba cierpliwości i wytrzymałości. Jest wiele zła i nieprawości, ale też są i rzeczy pozytywne. Trzeba czasu, by z tego zlepka stworzyć nową, dobrą Polskę. Zachęcał do powrotu do wojska. Prosił mnie bym sobie przemyślał to o czym mówiliśmy, pogadał z bliskimi mi kolegami i bym do niego wpadł za tydzień. Nastąpiła druga i trzecia rozmowa. Koledzy „buntownicy” stali po stronie Matuszewskiego. Wahałem się.

Dostałem oficjalne pismo od płk. Matuszewskiego wzywające mnie do Sztabu. Płk Matuszewski oświadczył mi, że znalazł częściowe rozwiązanie dla dręczących mnie problemów. Proponuje oderwać się od męczącej mnie atmosfery przez wyjazd na parę lat do Rewla (Tallina) w charakterze zastępcy attaché wojskowego, którym jest beliniak major Konstanty Tatar-Abłamowicz.

Dał mi trzy dni do namysłu. Zapewniał mnie, że pracę tam będę miał interesującą: wywiad na Rosję. Na trzeci dzień zameldowałem się u Matuszewskiego, wyrażając zgodę i dziękując

mu za zadanie sobie tyle trudu, by „zbuntowanego” zaprząć do roboty.

Na wiosnę 1921 roku przybyłem do Tallina, przyjęty serdecznie przez Konstantego Tatara-Abłamowicza i przez posła R.P., Władysława Neumana. Neumanowi zawdzięczam wiele, bardzo wiele. Mądry i taktowny, wprawną ręką wprowadzał mnie w obcy, nowy świat, w którym uczyć się musiałem wszystkiego — od noszenia ubrania cywilnego po wyszukane (śmieszne) formy dyplomatyczne z czasów Kongresu Wiedeńskiego. Neuman był członkiem PPS toteż nawiązaliśmy rychło kontakt wzajemny.



W Tallinie spędziłem prawie siedem lat. Przy początkowej złej komunikacji z Polską, wiadomości z kraju przychodziły rzadko. Prasa miejscowa niewiele miejsca poświęcała sprawom polskim. Estonia nie leżała na szlaku uczęszczanym przez rodaków, toteż skazani byliśmy jedynie na kurierów dyplomatycznych, nie zawsze dobrze zorientowanych, no i na przygodnych przyjezdnych.

Jazda pociągiem w jedną tylko stronę — zabierała 4 pełne dni. Kilka zrujnowanych mostów — zwłaszcza wielki most na Dźwinie — zrujnowane tory, wymagały jazdy furką, zaprzęgniętą w konika, przeprawy albo łódką albo po moście pontonowym na Dźwinie — zawsze zawałonym podróźnymi i towarami. Wreszcie powolna jazda pociągiem, no i złośliwości graniczne estońskolotewskie. Pociąg z Rygi do Tallina chodził raz na dzień, ale rozkład jazdy był tak urządzony, że na stację graniczną Wałk, pociąg ryski przychodził w godzinę po odejściu pociągu tallińskiego. Trzeba było czekać 23 godziny w smrodliwej stacyjce lub na powietrzu.



Uczyłem się języka estońskiego i nauczyłem go o tyle, że mogłem czytać gazety. Poznawałem kraj, jego historię, obyczaje i ludzi. Nawiązywałem znajomości i przyjaźnie. Po paru latach pobytu w Estonii uważałem ją za moją „drugą ojczyznę”. W pracy miałem dość dobre rezultaty, pozytywnie oceniane przez sztab, co w sumie nie wyszło mi na dobre, gdyż przedłużano mi ciągle pobyt, a w końcu mianowano mnie attaché wojskowym i na Estonię i na Łotwę.

Poza Estonią poznawałem, na razie teoretycznie, Rosję, pilnie czytając i studiując prasę i raporty wywiadowcze.

Ujmowała mnie estońska prostota obyczajów i wzajemny ludzki stosunek człowieka do człowieka. Ileż razy zdumiewał

mnie, a jednocześnie napawał szacunkiem wzajemny stosunek pracodawcy do pracownika. Posiłki były wspólne, atmosfera rodzinna. Wszyscy byli w stosunku do siebie równi, nikt się nad nikim nie wywyższał. Nie widziałem w Estonii klas społecznych. Pamiętam jak mnie zdumiał Paets, prezydent i premier w jednej osobie, gdy przyszedł z rewizytą do naszego poselstwa. Najpierw przywitał się ze służącą, która odebrała od niego palto. Zagadał do niej, bo jak mi ona później mówiła, znali się jeszcze ze wsi, po czym dopiero przywitał się z posłem. Siedem lat byłem w Estonii i nigdy nie słyszałem o strajku. Wszystkie sprawy były załatwiane przez strony zainteresowane. Ruch pseudo-komunistyczny był sztuczny i przyniesiony przez Estończyków wychowanych w Rosji.

Ziemia była licha, kamienista, uboga. Kartofle i żyto. Jedynie w południowej części wyspy Ozylii i trochę około Tartu (Dorpatu) — pszenica. Reforma rolna przeprowadzona szybko i sprawnie, wywłaszczyła posiadaczy baronów i Niemców bałtyckich, dając im odszkodowanie w postaci obligacji państwowych. Reforma jednak nie zaspokoila głodu ziemi. Nadal praca na morzu i rybołówstwo były podstawą dochodu narodowego.

Naród ten nigdy nie miał niepodległości. Uzyskał ją (niestety tylko na dwadzieścia kilka lat), po rewolucji październikowej w Rosji, tak jak Finlandia, Łotwa i Litwa. Mimo to przechował język i obyczaj, a w niektórych dzielnicach nawet strój pradawny, niknący w mrokach przeszłości, jak na przykład w prowincji Setumaa nad jeziorem Pejpus. Estończycy przeszli przez niewolę duńską, ślad po niej, ponura ale w swoim rodzaju piękna XII-czy XIII-wieczna katedra w Tallinie. Po Duńczykach przyszli Szwedzi, potem Rycerze Mieczowi, znów Szwedzi i wreszcie Rosja carska, a obecnie sowiecka. Szwedzi pozostawili po sobie zamki obronne i stare kościoły gotyckie. Siłę przetrwania tego nielicznego (1 milion) narodu przypisują temu, że byli społeczeństwem chłopskim, bez szlachty i bez arystokracji. Uznawani przez okupantów za niewolników, pozostawieni sami sobie, zamknęli się jak ślimak w skorupie i przetrwali, tworząc po uzyskaniu niepodległości, prawdziwie demokratyczne społeczeństwo i państwo.

Polska za czasów Batorego zajmowała południową część Estonii. Ślady pobytu Polaków pozostały w pieśniach i legendach oraz nazwach Poola Patarei (polska bateria), mowa jest o wzgórzu pod miastem Viljandi (po polsku Felin). Są pieśni o zdobywaniu przez Polaków zamku-klasztora, stojącego rozkrokiem nad głębokim potokiem, płynącym do jeziora Pejpus. Klasztor nazywał się Pieczory był i jest siedzibą mnichów prawosławnych.



Zbocza tego potoku z pyłu krzemowego, doskonale konserwowały i mumifikowały zmarłych zakonników i bogatych okolicznych „panów”, co oczywiście tak jak i w Kijowskiej Pieczorskiej Ławrze, poczytywane było za cud. Niedaleko od klasztoru ciągnie się kraj zwany Setumaa. Ludność mówi innym dialektem niż w zachodniej Estonii. Kobiety w niedzielę i święta przywdziewają barwne pasiaste spódnice i białe bluzki. Na szyi zawieszają ciężkie, okrągłe, srebrne tarcze. Pośrodku wypukłości tarczy — sterczy ostry kolec. Nie mogłem nigdy dociec czemu kobiety noszą tarcze, których kształt wskazywałyby, że używali ich rycerze na koniach.

Mówiąc o 15 czy 20-letnim władaniu południowej Estonii przez Polskę, przypominam sobie, że miałem w swojej bibliotece książkę, kupioną u antykwariusza. Nie pamiętam ani jej tytułu ani autora. Było to doroczne sprawozdanie administratora całej tej prowincji z ilości zasianych zbóż i zbiorów. Rachunkowość, prowadzona niesłychanie drobiazgowo, wymieniała poszczególne pola i gatunki zasiewów. Sprawozdanie imponowało mi nie tylko doskonałą polszczyzną (oryginalną) ale i dorocznym raportem administracyjnym z wtętami o pogodzie. Świadczyło o wysokim poziomie administracji królewskiej.

Estończycy bardzo lubili Polskę i Polaków. W rozmowach i w prasie nazywali Polskę „naszą starszą siostrą”.

Język estoński zawiera masę samogłosek i jest śpiewny, nic więc dziwnego, że w kraju tym było mnóstwo chórów, a rokrocznie odbywały się ich olbrzymie zjazdy i koncerty.



W roku 1918 w traktacie pokojowym pomiędzy Rosją i Niemcami, Rosja uroczyście rezygnowała ze swych posiadłości: Estonii, Łotwy, Litwy i Polski. Niezwłocznie po ustąpieniu wojsk niemieckich z terenu Estonii i Łotwy, Rosja ponownie zajęła te ziemie. Rozgorzała wojna tych narodów o niepodległość którą wreszcie uzyskały jesienią 1918 roku.

Polska była jednym z pierwszych państw, które uznały niepodległość zarówno Estonii jak i Łotwy, po zawarciu przez nie pokoju z Rosją w lutym 1920 roku.

Polityka nasza w krajach bałtyckich dążyła do utworzenia federacji państw bałtyckich, tj. Finlandii, Estonii, Łotwy, Litwy i ewentualnie Polski. Finlandia pod wpływem polityki niemieckiej i Szwedów raczej stroniła od krajów bałtyckich i Polski, mając aspiracje zostania członkiem „klubu” państw skandynawskich.

Nasze usiłowania federacyjne rozbiły się zasadniczo o wrogi stanowisko Litwy, podsycane, zarówno przez Rosję jak i Niemcy.

Robiliśmy na małą skalę porozumienia sztabów wojskowych i na tym punkcie współpraca polsko-estońska i łotewska rozwijała się pomyślnie.

Praca naszej dyplomacji ograniczała się do aktów o nieagresji, do określenia pojęcia napastnika, potępienia wojny, itp. ładnie brzmiących formułek, pozbawionych właściwie treści, wobec niezyczliwej lub wrogiej postawy zarówno Rosji jak i Niemiec, oraz upartego stanowiska Litwy, nie bardzo rozumiejącej interes własny.



Poselstwo sowieckie w Tallinie zajmowało olbrzymi gmach i liczyło około setki pracowników, których głównym zajęciem był wszechstronny wywiad na państwa ościennie i Estonię.

Posłem sowieckim w Tallinie był mój „kolega” z obozu w Havelbergu, łódzki Żyd Zalcman, miły, kulturalny pan, ożeniony z równie miłą i obcą komunizmowi panną z Łodzi. Ani poseł Neuman ani ja, już w tym czasie awansowany z pomocnika na attaché wojskowego, nie utrzymywaliśmy z nimi żadnych stosunków towarzyskich, poza ściśle protokolarnymi. W czasie wizyty Zalcmana w naszym poselstwie z okazji święta 3 Maja miałem z nim zabawną rozmowę: „Tak się cieszę, że zobaczę nasze okręty które przybywają wkrótce do Tallina” — powiada Zalcman. „Tak?” — wyraziłem zdumienie — „A więc Estońscy zmienili zasadę nie przyjmowania okrętów sowieckich?” — „Ah nie, myślę o polskich kanonierkach<sup>11</sup>” — powiedział zaczerwieniony Zalcman — „czasami myślę starymi nawykami”.

---

11. Parlament estoński, w obawie zaskoczenia przez „przyjazną” Rosję sowiecką, powziął uchwałę nie wizytowania i nie przyjmowania rewizyt sowieckiej floty wojennej.

Do Tallina przybyły dwie kanonierki polskie „Józef Piłsudski” i „Gen. Haller”. Obie były przyjmowane przez Estończyków entuzjastycznie. Na wielkim przyjęciu, jakie urządziłem w attachacie z udziałem oficerów, dziennikarzy polskich i estońskich, Adolf Nowaczyński tak się rozbawił, że odsunął zawodowego grajka i sam nam przygrywał do tańca. W końcu, dobrze po północy, zagrał stojąc przy pianinie I Brygadę.

Na tym przyjęciu poseł Charwat, chcąc się zrewanżować, wygłosił, będąc dobrze „pod gazem” mowę zakończoną okrzykiem: „Niech żyje Bóg i ojczyzna”. — Tak więc zgoda panowała gdy humory zakwitwały, dobrze podlane alkoholem.

W roku 1930 lub nieco później wezwano go do Moskwy i tak jak wielu innych dyplomatów sowieckich — rozstrzelano.



Korpus dyplomatyczny w Tallinie, był początkowo bardzo liczny ze względu na okno wypadowe na Rosję.

Z natury rzeczy utrzymywałem bliskie stosunki z attachés wojskowymi lub też ich zamaskowanymi biurami. Najbliższe łączyły mnie z płk. węgierskim Smarzenko, który formalnie nie był attaché wojskowym, lecz urzędnikiem poselstwa. Również dobre stosunki miałem z pułkownikiem Intelligence Service, Micheljohnem, człowiekiem już starszym, formalnie szefem biura paszportowego. Jego interesowała Rosja, ale z pasją hodował wszelkiego rodzaju ptaki. Zrobiłem mu wielką przyjemność, gdy przywiozłem mu z Polski pudło z okazami jaj ptasich, które ktoś zbierał, po czym sprzedał w antykwariacie na Świętokrzyskiej. Po odwołaniu go do Londynu, miejsce jego zajął kpt. Ross, ożeniony z Rosjanką, Sybiraczką. Ross również był oficerem Intelligence Service. Znał Syberię, był tam z Wranglem, potem był u Kołczaka. Przybył do Tallina z Sofii, gdzie był attaché wojskowym. Przed drugą wojną był na *stage'u* w 20 p.p. w Krakowie. Nauczył się biegle polskiego. Odwiedzał mnie często w Warszawie. Przyjaźniliśmy się.

W czasie ostatniej wojny znów był attaché wojskowym w Sofii, ale już jako pułkownik. W roku 1940 spotkałem go w Stambule; chciałem wykorzystać jego wpływy, by móc zatrzymać się przez pewien okres czasu na Bałkanach i aby ponownie próbować przejścia do Polski. Po telefonicznym porozumieniu, zaprosił mnie na rozmowę do lokalu naszego attaché wojskowego, gdzie zastałem go w towarzystwie płk. Machalskiego (!). Zrozumiałem, że Ross nie chce prowadzić ze mną rozmowy w cztery oczy. W towarzystwie Machalskiego zaproponował mi stanowisko szefa wywiadu brytyjskiego na Rosję z pobytem w Stambule. Odmówiłem kategorycznie, co najwidoczniej nie podobało się Rossowi ani nawet Machalskiemu. Ross pożegnał mnie chłodno. Więcej go nie widziałem. Wiem, że był w misji brytyjskiej przyjmującej wojska gen. Andersa z Rosji.

Miałem również bardzo dobre stosunki z szefem wojskowej misji japońskiej, majorem Obata. Przez Obatę, poznałem japońskiego attaché wojskowego w Warszawie, majora Yamawaki. Znajomość nasza przekształciła się w przyjaźń.

Major Yamawaki w czasie naszej wojny z Rosją w 1920 roku odznaczył się odwagą osobistą na froncie i został dekorowany

krzyżem *Virtuti Militari*. Po odwołaniu go do Japonii został pułkownikiem i dowódcą 22 p.p. japońskiej. Przesłał mi mały upominek przez posła japońskiego w Warszawie. Było to tuż przed wojną 1939. Bezskutecznie próbowałem dowiedzieć się czegoś o nim. Był to niewątpliwie oddany i wierny przyjaciel Polski.



Tallin szalał z radości po uzyskaniu niepodległości. Pieniądze wpływały tu szeroką rzeką z różnych krajów i z różnych źródeł od rządów i przedsiębiorstw oczekujących na kontrrewolucję i rychły powrót do Rosji. Poznałem Anglika, który mieszkał od 3 lat w Estonii czekając na kontrrewolucję. Był dyrektorem kopalni złota na Lenie, mieszkał tak blisko Rosji by móc natychmiast objąć swoją dyрекcję. Był wyładowany akcjami tej kopalni, które ostrożnie, pojedynczo, sprzedawał. W restauracjach i w licznych nocnych spelunkach można było spotkać wszelkiego rodzaju „misjonarzy” amerykańskich, obtańcowywujących „dziewczynki” i wydających lekką ręką setki dolarów. Biali Rosjanie sprzedawali sporządzone w Tallinie raporty o Rosji, a Rosjanki swoje wdzięki. Roilo się od wywiadowców, hochsztaplerów, naciągaczy i oszustów zwykłych, no i oczywiście od myszkujących agentów sowieckich, działających często na dwie strony. Był handel szedł.

Nasz mądry, spokojny poseł Neuman myślał całkiem inaczej niż inni i śmiał się z tych, którzy oczekują otwarcia bram do kontrrewolucyjnej Rosji — białej, niepodzielnej i „samodzierzawnej”.

Ruch przemytniczy ludzi i towarów do Rosji był duży. Z Rosji wyciekały złote ruble i kosztowności.

W zimie port często zamarzał. Pamiętam zimę kiedy 18 statków handlowych zamarzło na redzie. Były to okręty amerykańskie z pomocą dla głodującej Rosji.



W zimie jeździłem samochodem po zamarzniętym morzu. U wejścia do portu tallińskiego w odległości kilkunastu mil, była mała wyspa, doskonale umocniona przez Estończyków (miała morskie działa przeniesione z jakiegoś pancernika). Na wyspie tej poznałem kapitana-artyleryzystę, Polaka spod Słonimia. Był to Tatar słonimski. Rewolucja rosyjska rzuciła go w ramiona jakiegoś oddziału estońskiego i tak z nim został. Mały, czarniawy, na pałakowatych nogach był 100 % przedstawicielem swojej rasy.

Mówił dziwną mieszaniną słów polskich, rosyjskich i estońskich. Zaprosiłem go aby odwiedził mnie w mieście. Na wiosnę zatelefonował, że przyjeżdża. Ponieważ był tylko raz i to parę lat temu w Tallinie, wypytywał szczegółowo jak się do mnie dostać. Minęła oznaczona przez niego godzina, później druga i trzecia. Telefon ze szpitala wojskowego powiadomił mnie że mój Tatar jest w szpitalu z obiema złamanymi nogami. Wpadł pod wóz ciężarowy tuż po wyjściu z motorówki, w porcie. Tak skończyła się jego druga w życiu wyprawa do miasta. Nigdy już nie dał się namówić na ponowną wizytę.

W mieście była spora garść Polaków wyznania rzymsko-katolickiego i paru mojżeszowego. Co niedzielę chodziliśmy do kościoła katolickiego całą paczką, z posłem Neumanem na czele, mimo że był wyznania mojżeszowego. Chodzenie do kościoła uważam za swój obowiązek, jako posła R.P. — mówił.

Ksiądz, Litwin, mówił wprawdzie doskonale po polsku, ale treść jego kazań była zupełnie opłakana. Neuman umówił się z księdzem, że będzie mu pisał co niedziela kazania. Robił to przez parę lat do końca swego pobytu w Tallinie. Żartowałem z niego i mówiłem: „Władek jesteś takim samym, albo i lepszym Polakiem niż my wszyscy, czemu nie przyjmiesz katolicyzmu, ułatwiłoby Ci to pisanie kazań i nawet lepszych niż dla tego naszego bęcwała”. — Spojrzał na mnie śmiejąc się: „Z moim nosem? Któż uwierzy, że jestem Polakiem-katolikiem?”. A jednak uwierzyliby i to wszyscy, choćby go znali tylko przelotnie. Przeniesiony na stanowisko posła do Norwegii, towarzyszył królowi w jego tułaczce wojennej.

Zakończył swoje szlachetne życie jako poseł w Meksyku, wysłany tam całkiem bezsensownie przez Sikorskiego.



Moja praca wywiadowcza rozwijała się pomyślnie, toteż Warszawa przydzieliła mi trzech zdolnych pracowników: sierżanta Władysława Michniewicza, peowiaka z Ukrainy. Oddał on mojej placówce i wywiadowi wielkie usługi na placówce wywiadowczej w Moskwie (początkowo mnie podległej) a potem w Warszawie, przy rozszyfrowaniu „Trustu”, o czym będę dalej pisał. Po ukończeniu Szkoły Sztabu Gen. i prawa, i po świetnej karierze wojskowej, jako pułkownik 2-go Korpusu we Włoszech, osiadł w Argentynie; ppor. Henryka Kintopfa peowiaka, mojego przyjaciela i powiernika z okresu moich buntów; został z czasem starostą w Łunińcu. Zginął z rąk bolszewickich 17 września 1939; i Edka Czyżewskiego, sierżanta, który również odbył swój nie-

bezpieczny staż na placówce wywiadowczej w Moskwie. Po wojnie był w MSZ, jako konsul R.P. Mieszka obecnie w Londynie.



W czasie mojej nieobecności służbowej biuro i sprawy bieżące załatwiali moi pomocnicy, na których mogłem polegać. Raz jednak wpadłem. Przesłano mi z Wydziału Wywiadowczego Sztabu Głównego młodą parę małżeńską Sysak-Bobrowskich, celem wysłania ich do Rosji, gdzie mają jakieś zadania specjalne. Ani Bobrowski ani jego żona Wera, Rosjanka, nie zrobili na mnie dobrego wrażenia. Po kilku rozmowach i po dłuższym ich obserwowaniu napisałem do Wydziału Wywiadowczego, że zdaniem moim Bobrowscy absolutnie nie nadają się do wywiadu, są już na terenie Tallina skompromitowani, zadłużeni i przebywają w towarzystwie budzącym zastrzeżenia. Wyśle ich do Rosji na wyraźny rozkaz na piśmie.

Pani Wera Bobrowska być może doskonale nadawała się do kabaretu, była ładna, młoda i zalotna, ale najzupełniej niepoważna. Bobrowscy wynajęli mieszkanie i poczęli żyć towarzysko na szeroką skalę, często, bez najmniejszej potrzeby, posługując się moim i posła nazwiskiem, jako swoimi dobrymi przyjaciółmi i zaciągając długi. Wyjeżdżając na kilka dni prosiłem jednego z mych zastępców by, broń Boże, nie pożyczał im pieniędzy ani prywatnych, ani tym bardziej urzędowych. Jakie było moje zdziwienie, kiedy po powrocie kolega pokazał mi sznur perły, jakie wziął od Bobrowskiego pod zastaw za pożyczanie mu poważnej sumy pieniędzy rządowych. Na zapytanie czemu to zrobił, oświadczył mi, że Bobrowskiego chciano usunąć z mieszkania, więc dla uniknięcia skandalu pożyczył ale pod zastaw. Perły w jego przekonaniu były znacznie więcej warte. Zły za przekroczenie mego zakazu, powiedziałem mu aby poszedł do jubлера i przyniósł mi na piśmie ocenę ich wartości. Wrócił wkrótce z oświadczeniem, że jest to japońska imitacja niewiele warta. Jubiler wie bo perły te były u niego kupione przez „pańskiego rodaka”.

Wezwałem Bobrowskiego, powiedziałem mu, że wbrew poleceniu sztabu nie mogę go wysłać do Rosji, bo jest na terenie Estonii całkowicie zdekonspirowany i skompromitowany. Dałem mu 2 bilety do Warszawy dla niego i dla żony i polecenie aby najdalej następnego dnia wyjechał, gdyż w przeciwnym razie zostanie przymusowo wysiedlony przez Estończyków. Wyjechali. Bobrowski zasłynął w Warszawie w jakichś ciemnych aferach, a żona w Berlinie. Oddział II Sztabu Głównego zorientował się

wreszcie, że został podstępnie oszukany. Wierze Bobrowskiej wzbroniono powrotu do Polski.

Ponieważ nasz Oddz. II nie składał się z zawodowców, wykształcenie szwankowało. Uczono się od kolegów, na własnych błędach i na krótkoterminowych kursach. Że uczyliśmy się na błędach dowodem następujące przykłady:

1) Udało mi się w Tallinie uzyskiwać raporty posłów niemieckich z całej Europy. Robiłem fotografie tych raportów i posyłałem do Warszawy. W Warszawie raporty robiły sensację. Któryś z nowoprzydzielonych oficerów na stanowisko kierownika referatu, postanowił raporty te, wykorzystane przez Oddz. II i MSZ — spieniężyć, by uzyskane pieniądze rzucić na inne potrzeby wywiadowcze. Raporty sprzedano w Szwajcarii czy w Paryżu. Materiał ten ponownie trafił do rąk niemieckich i po nitce do kłębska ustalono źródło — Tallin, o czym po niewczasie dowiedziałem się. Źródło raportów niemieckich raz na zawsze przepadło. Od tej pory przyjęto kardynalną zasadę, że materiałów wywiadowczych nie wolno pod żadnym pozorem pokazywać ani o nich mówić z wyjątkiem osób do tego upoważnionych i zaufanych.

2) Podczas mej pracy w D-twie Frontu Wołyńskiego przysłano mi z Warszawy śliczną panienkę, którą znałem jeszcze z Warszawy. Była kolporterką w POW. W przywiezionym przez nią piśmie, powiedziano mi, bym ją wykorzystał jako wywiadowczynię zafrontową. Oczom własnym nie wierzyłem gdym to czytał. Wysłać za front tę uderzająco ładną, jasną blondynkę o postawie i ruchach dobrze wychowanej panienki, na ukraińską wieś czy do małego ukraińskiego miasteczka, czy nawet Żytomierza, toż tego samego dnia wszyscy zauważą że jest obca. Ponadto nie mówiła po ukraińsku, jedynie po rosyjsku i to z wybitnym akcentem petersburskim, gdyż tam się urodziła i wychowywała. Przybyła do Polski tuż przed rewolucją. Tłumaczyłem jej, że nie mogę brać odpowiedzialności za jej życie i że jej za front nie wyślę. Dziewczyna się upierała ja również. Wysłałem ją z powrotem do Warszawy z listem, jak można tego rodzaju panienki wysyłać za front i ryzykować ich życiem. Mnie potrzebne są — jeśli już chcą mi kogoś przysyłać — dziewczyny wyglądające na wiejskie i znające język ukraiński z prawobrzeżnej Ukrainy.

W kilka tygodni po tym incydencie major Dąbrowski, buszujący ze swymi ułanami wileńskimi poza frontem sowieckim, schwytał gdzieś jakiś sztab sowiecki i w nim papiery. Dał mi je. Zacząłem przeglądać dokumenty oficera wywiadowczego pułku czy brygady sowieckiej. Z pliku papierów wypadły fotografie,

między innymi fotografia kandydatki na wywiadowczynię, którą odesłałem do Warszawy. Fotograf zrobił jej zdjęcie. Położył jej nagie, straszliwie postrzelane i zbroczone krwią zwłoki na stole. Głowa i długie zlepione krwią włosy zwisały ze stołu. Na odwrocie napis: polski szpion, nazwisko jakieś i data. Wyślano ją z Warszawy na Front Północny. Musiała wpaść niezwłocznie. Ktoś uległ nieopatrznie prośbom tej dzielnej i ofiarnej panny.



Zajęty głównie Rosją, mało czasu poświęcałem zagadnieniom komunizmu w Estonii. Estończycy, z którymi rozmawiałem, mówili, że ten problem nie istnieje. Są wprawdzie jakieś jacejki, głównie składające się z tych, którzy całe życie przebywali w Rosji i tam „zarazili” się komunizmem. Jeśli są, mówili, zrobimy im to co Finnowie — nożem po gardle. Znałem te noże fińskie, które nosili w Finlandii wszyscy mężczyźni od premiera do robotnika portowego. Dostałem nawet taki nóż w dowód przyjaźni. Na każdym był napis: „Piirna ja russakaan” (na diabła i na moskala). Te zapewnienia uspakajały mnie na jakiś czas. Kiedyś po otrzymaniu niepokojącego meldunku z bardzo wiarogodnego źródła, bo aż z Leningradu, postanowiłem zaprosić do restauracji na kolację, wszystkich wyższych oficerów estońskich od ministra spraw wojskowych gen. Lill poczynając, i tam zadać im publicznie pytanie jak stoją sprawy komunizmu w Estonii i czy się nie obawiają jakiegoś „puczu”.

Obiad odbył się w zacisznym gabinecie, w najlepszej tallinnskiej restauracji Linden. Przy kawie i koniaku słuchaliśmy jak zawsze z dużym zaciekawieniem opowiadania gen. Manteufla, szefa sanitarnego armii estońskiej. Baron bałtycki, zżył się i zrośł zupełnie z Estonią i Estończykami. Był nie tylko znakomitym chirurgiem, ale i świetnym gawędziarzem. I tym razem miał coś do powiedzenia na temat chirurgii i swych przeżyć na Syberii, gdzie był jako oficer i początkujący lekarz. Towarzystwo przy stole dorzucało podobne opowiadania. Gdy temat się wyczerpał powiedziałem do siedzącego obok mnie gen. Lill: „Chciałbym o krwi, ale z innej beczki, panie generale. Czy nie obawia się pan „rozlewu krwi” ze strony komunistów. Miałem wiadomości, które mnie niepokoją?” Gen. Lill i szef sztabu gen. Törwand, który siedział z mojej lewej strony, gwałtownie zaprzeczyli, mówiąc o inspiracji płynącej z niepoważnych źródeł. Rozeszliśmy się o północy.

Mieszkałem na skraju miasta, z dala od centrum. Nad ranem obudziło mnie gwałtowne kołatanie do drzwi. To syn właści-



cielki domu, student uniwersytetu nazwiskiem Poska krzychał: „Boszewicy w mieście. Zajęli sztab” i wybiegł. Zatelefonowałem do sztabu — cisza. Zatelefonowałem na pocztę, pytając czy mogę nadać o tak wczesnej porze depeszę. Odpowiedziano mi całkiem spokojnie, że oczywiście. Obok poczty mieszkał Edek Czyżewski. Zatelefonowałem do niego, zbudziłem go i powtórzyłem mu to co mi powiedział młody Poska, oraz o moim telefonie na pocztę. Radziłem, aby ubrał się i czekał na moje polecenia, ja zaś ogolę się i pojedę do sztabu. Jeszcze raz wbiegł młody Poska, zdziwiony że ja się golię, kiedy bolszewicy w mieście. Powiedziałem mu, że za chwilę jadę do sztabu, do parlamentu, na pocztę i sprawdzę wiadomości.

Gdy tylko wjechałem na główną ulicę, już z dala zobaczyłem na jakimś pędzącym samochodzie ludzi z czerwoną, olbrzymią flagą. Za chwilę byłem pod sztabem, podszedłem — cisza. Zastanowiło mnie, że nie ma zwykłego posterunku przed wejściem, ale i wewnątrz gmachu nie było żadnego ruchu. Na poczcie spokoj. Natomiast przed wejściem do parlamentu zobaczyłem grupkę jakichś ludzi z czerwonymi kokardkami. Niektórzy mieli na głowie mundurowe czapki ale ubrania cywilne, tylko kołnierze oficerskie z oznakami. Zrozumiałem podstęp. (Oficerowie estońscy mieli odznaki oficerskie tylko na czarnym kołnierzu). Nieprzemakalny płaszcz przykrywał ubranie cywilne. Wartownicy sądzili, że mają do czynienia z oficerami estońskimi i nikogo nie alarmując wpuścili zamachowców do Sztabu. Ktoś jednak uprzedził znajomego oficera. Zaalarmował cały garnizon. Zaalarmowano również szkołę oficerską, znajdującą się nieopodal miasta. Tam zamachowców powitano ogniem, biorąc kilku do niewoli. Zaalarmowano Parnawę, Viljandi i Tartu. Z Narwy przysłano specjalny oddział.

Gdy z poczty nadawałem depeszę, znajoma telegrafistka powiedziała mi, że *postara* się tę depeszę wysłać. Słowo *postara* się znaczyło, że już komuniści-zamachowcy byli na poczcie. Była to ostatnia depesza wysłana z Tallina i jedyna, która powiadomiła nasz sztab, a przez Warszawę cały świat o puczu komunistycznym w Tallinie.

W parę dni potem zbierałem gratulacje od wyższych oficerów estońskich. Przemilczano, że „krakałem” dość dawno.

Napisałem obszerny raport w jaki sposób doszło do tego puczu i jego udaremnienia. Przyjechał do Tallina ppłk Rowecki, późniejszy gen. Grot-Rowecki, któremu udzieliłem jeszcze dodatkowych szczegółów o krótkich walkach. Napisał o tym pracę, umieszczoną w *Bellonie*.

W jakiś czas po tym nieudanym puczu, zostałem udekorowany estońskim „Vabarigi Rist”, tj. krzyżem wojennym. Nie nosiłem orderów czy odznaczeń cudzoziemskich, których wiele dostałem w MSZ, ale ten „Vabarigi Rist” nosiłem jednak nawet po ponownym powołaniu mnie do wojska w roku 1943.

## Rozdział X

### PRZEWRÓT MAJOWY 1926 ROKU

Z posłem Wł. Neumanem śledziliśmy pilnie wydarzenia w kraju. Odejście marsz. Piłsudskiego ze stanowiska Szefa Sztabu Generalnego świadczyło o wzrastającym napięciu w stosunkach wewnętrznych.

Po zabójstwie prezydenta Narutowicza, nastąpiło jakby odprężenie, wykorzystane zręcznie przez gen. Sikorskiego do zdzierzgnięcia znanych nam sojuszów i paktów, które bezustannie trapiły Polskę. Widoczne było że Sikorski mierzył wyżej, jak to nam wyjaśnił Tadeusz Hołowko<sup>12</sup>, który odwiedzał Estonię. „Sikorski wije sobie gniazdko pod prezydenturę” — mówił.

Gra wszechwładnego sejmu, a właściwie skłóconych, licznych partij i partyjek, była tematem rozgrywek dużych stronnictw, przypisujących sobie prawo do rządzenia Polską: Związek Ludowo-Narodowy (aktualna nazwa starej endencji), Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast” — Witosy, oraz Chrześcijańska Demokracja, były zajadłe, bezpardonowe.

Sytuacja międzynarodowa Polski stawała się w tym okresie czasu coraz cięższa, zwłaszcza po zawarciu układów w Rapallo i Locarno. Zarysowały się wyraźnie zręby współpracy sowiecko-niemieckiej i francusko-niemieckiej.

Sejm ze strachu przed rewolucją uchwalił w roku 1920 reformę rolną, ale nie dał jej ustawy wykonawczej, odkładając tę sprawę z roku na rok, przy cichym poparciu Witosy, reprezentującego w swoim stronnictwie zamożnego chłopą, idącego tym samym ręką w rękę z partiami zachowawczymi. Bezrobocie powiększało się z roku na rok. Na kresach, dotkniętych nieprzeżywaną polityką w rękach partyjnych, rywalizowały ze sobą po-

---

12. Tadeusz Hołowko, publicysta, polityk, b. członek POW i b. naczelnik Wydziału Wschodniego M.S.Z., poseł na sejm. Przyjacieli i opiekun ludów uciemiężonych przez Rosję — zamordowany w Truskawcu przez nacjonalistę ukraińskiego.

szczególne województwa, „polonizując” ludność zarówno w szkolnictwie jak i rozdając posady dla zasłużonych ludzi partii. Wadliwy system podatkowy, zły ich wymiar, pobierany w niewłaściwych porach roku (przednówek), stwarzały wymarzony „klimat” dla wywrotowej akcji komunistycznej pod hasłami nacjonalizmu ukraińskiego i białoruskiego. Kresy stały się terenem manewrów wszelkiego rodzaju „band”, kierowanych przez dywersję sowiecką. Znałem z opowiadania naocznych świadków działania „bandy Muchy”, stacjonującej na terenie Rosji, która potrafiła zatrzymywać pociągi, wyciągać z pociągu duchownych, urzędników administracji i oficerów, obnażać ich i batożyć i, ku posmiewisku Wołynia czy Polesia — puszczać wolno nago.

Dopiero utworzenie Korpusu Ochrony Pogranicza położyło kres krążeniom band, ale nie załatwiało sprawy głównej: złej, niedołożonej, często przekupnej administracji; złego, bezmyślnie zbrodniczego szkolnictwa, usiłującego ludności ukraińskiej czy białoruskiej narzucać szkoły polskie.

W pierwszych dniach maja 1926 roku poprosiłem Sztab Generalny o kilkudniowy urlop. Przybyłem do Warszawy 10 lub 11 maja. U mnie w domu zastałem przewidywaną sytuację. Wszyscy byli za narodowcami i zajadłe antysemiccy, widząc całe zło w Żydach. Mój szwagier Zieleniewski, major rezerwy, pożegnał się ze mną 12 maja z tym, że idzie bronić legalnego rządu, a ja, że idę walczyć z legalnym „nierządem”. Uścisnęliśmy sobie dłonie i rozeszliśmy się. Skierowałem pierwsze kroki do sztabu. Zaszedłem najpierw do skrzydła, w którym mieścił się Oddział II. Nastroje były jakieś niewyraźne, niezdecydowane. Następnie udałem się do biura Szefa Sztabu Generalnego. W dużej poczekalni zobaczyłem tłum generałów. W głębi ktoś głośno pokrzykiwał. Poznałem go: to minister wojny gen. Malczewski, który po chwili głośno krzyknął: „Idę do Belwederu, kto za mną proszę...” i szybko zaczął zbiegać ze schodów. Za nim potoczyła się gromada generalicji na końcu płk T. Kutrzeba, który stękał: „A co z papierami K.O.R.<sup>13</sup>, co z papierami...” i zniknął. Na sali został jedyny generał Burhardt-Bukacki<sup>14</sup>, do którego zbliżyłem się i zameldowałem do dyspozycji. Gen. Bukacki powiedział mi na to: „Sam nie wiem co mam robić, w każdym razie pozostaję w sztabie, który wkrótce zostanie zajęty przez 22 pułk piechoty, który już przeszedł przez most Kierbedzia. Pański pułk panie kapitanie — dodał. Teraz pan rozumie czemu się od pana odsu-

13. Komitet Obrony Rzeczypospolitej, którego sekretarzem był generał T. Kutrzeba.

14. gen. Stanisław Burhardt-Bukacki, legionista I. brygady.

wano, myślano, że to już 22 p.p. jest w sztabie". Ta uwaga gen. Burhardt-Bukackiego była słuszna, gdy wszedłem na salę zauważyłem jak około mnie robiło się pusto. Nie zdawałem sobie sprawy, zapomniałem, że na naramiennikach miałem wyhaftowaną cyfrę 22.

Postanowiłem pójść na spotkanie pułku — mego pułku. Ledwie zeszedłem ze schodów zobaczyłem dowódcę pułku, płk. Krok-Paszkowskiego, a potem moich dawnych podkomendnych, obecnie dowódców baonów: Jankowskiego, Fiszera i Mostowskiego. Poradziłem im, na wszelki wypadek, jak i gdzie postawić ciężkie karabiny maszynowe. Czasu było mało maszerowali dalej. Wyszedłem na Wierzbową. Na rogu placu Saskiego i Wierzbowej zagroził nam drogę krzyczący i wiwatujący tłum. Poszedłem do Komendy miasta oddając się do dyspozycji. Ktoś dał mi polecenie zabrania kilkunastu uzbrojonych ludzi i zorganizowanie obrony centrali Cedergrena na ulicy Zielnej. Pomaszerowałem. Tam, w Cedergrenie, już dowodził kapitan Hauke-Nowak. Oddałem się mu do dyspozycji i pozostałem tam aż do końca walk w Warszawie, spełniając różne funkcje.

W Warszawie doczekałem się oświadczenia Komendanta, że nie zostanie dyktatorem, ani prezydentem. Piękny rozkaz jego po zakończeniu walk w Warszawie, zabrałem do Tallina<sup>15</sup>.



W październiku 1927 zostałem wreszcie odwołany. Opuszczałem Estonię z żalem, ale najwyższy czas było powracać do kraju. Pożegnań było bez końca, morze wódki wypite. Wsiadłem do pociągu idącego via Tartu (Dorpat) do Rygi. Zasnąłem. Obudził mnie konduktor i oficer stacjonującego w Tartu 2-go pułku huzarów, którego byłem członkiem honorowym. Na dworcu w rozwiniętym szyku szwadron ze sztandarem, orkiestra, oficerowie pułku. Mowy, szampan pożegnalny, proporczyk pamiątkowy i żegnanie się z każdym oficerem oddzielnie. Dwóch huzarów towarzyszyło mi do granicy polskiej.

Raz jeszcze byłem w Tallinie. Towarzyszyłem prez. Mościckiemu w jego wizycie oficjalnej. Byłem już cywilem, zast. nacz. wydziału prasowego w M.S.Z.

*Wiktor Tomir DRYMMER*

*(ciąg dalszy nastąpi)*

---

15. „Niech Bóg, nad grzechami litościwy, nam odpuści i rękę karzącą odwróci, a my stańmy do naszej pracy, która ziemię naszą wzmacnia i odradza”...

## RECENZJE

Józef LEWANDOWSKI

### „HISTORIA POLSKI” — TOM IV

Recenzja pracy naukowej winna być rzeczowa, obiektywna, wyważona. Zazwyczaj staram się sprostać tym wymogom, tym razem jednak recenzowany obiekt utrudnia ich spełnienie. Na wstępie chciałbym zaznaczyć, że Paweł Korzec zgoła niedawno przypomniał nam prehistorię powstawania recenzowanej części IV tomu „Historii Polski”<sup>1</sup>. A więc zespół do pracy nad tomem, który ma objąć lata 1918-1939, powstał w 1957 roku i rażno — wyposażony w etaty i środki finansowe — ruszył do pracy. Nie dotknęła go żadna reorganizacja czy kompresja etatów, przeciwnie, systematycznie wzbogacał się kadrowo, zbierał doświadczenia, subwencje. Jego członkowie mieli możliwość prowadzenia dodatkowych studiów zagranicznych, zamawiania kwerend i referatów materiałowych, korzystali też z wielu innych udogodnień. Pierwszą produkcję gotową zespół przedstawił po trzynastu latach pracy. Jeśli wziąć pod uwagę, że omawiana publikacja w najlepszym wypadku stanowi 1/4 zadania, że reszta pracy jest jeszcze nadal w kałamarnzu, to łatwo stwierdzić, że: 1) na resztę trzeba będzie jeszcze czekać 45 lat, oraz 2) że trzeba zrewidować pokutujące przekonanie o PRL jako o kraju biednym. Przeciwnie, na podobne luksusy może sobie pozwolić chyba tylko bardzo bogaty kraj. Szwecja, w której mieszkam od czterech lat, wydaje mi się niedość zasobna!

1. *Historia Polski* T. IV, cz. I, rozdz. I-XIII (1918-1921). Pod redakcją Leona Grosfelda i Henryka Zielińskiego. Warszawa 1969. Państwowe Wydawnictwo Naukowe. (Autorami stron 67-307 jest Henryk Zieliński, strony 308-416 oraz 435-466, 489-516 napisał Tadeusz Jędruszczak.

A teraz poważnie: zdawać by się mogło, iż praca dojrzewająca powoli, jeszcze wolniej niż wskazania antycznego poety, radzącego odczekać siedem lat, winna mieć mnóstwo zalet, że właśnie taka praca ma szanse oprzeć się naciskom aktualnych prądów, że w takiej publikacji sądy mogą być wyważone, fakty skorygowane, styl jasny, że zostanie osiągnięta hierarchia zjawisk, że sprawy drugorzędne będą usunięte w cień, a zasadnicze — zaznaczone i podkreślone.

Niestety, pogląd ten należy do tych stereotypów, których wyprzedzał po cenie niższej niedawno postulował w *Polityce* nieoceniony Michał Radgowski. Postaram się tego dowieść w niniejszej recenzji i zapewniam czytelników, iż nie daję się ponieść stronniczości, przeciwnie jestem nawet dość powściągliwy w ocenach.

Jako tzw. specjalista okresu, brałem udział w dwóch niewspomnianych przez Pawła Korca dyskusjach nad publikacją — nad wersją powieloną bodajże w 1964 roku i nad wydrukowaną „makieta” w 1966 roku. Nie było wówczas ani jednego poważnego badacza, który by uznał dyskutowane wersje nie tylko za dobre ale nawet za zadawalające. Nawet niektórzy członkowie ścisłego zespołu autorskiego (Drozdowski, Żarnowski) zdawali sobie sprawę z żenującego poziomu niebawem mającej się ukazać publikacji.

Może najdrastyczniejszą ocenę w czasie dyskusji nad makieta dał dyrektor Instytutu Historii P.A.N., prof. Tadeusz Manteuffel, który wyczerpawszy inne środki krytyki i perswazji, postawił sprawę na ostrzu noża i stwierdził, że opus sprawia wrażenie „jak gdyby było napisane przez nieżyczliwego Polsce i nierozumiejącego jej problemów cudzoziemca”. Manteuffel mówił mi, iż odmówi swej zgody na druk, jeśli autorzy nie dokonają szeregu zasadniczych poprawek. Wydarzenia potoczyły się jednak inaczej. Wiosną-latem 1968 roku Instytut znalazł się w obliczu szczególnych ataków i przez pewien czas sama jego egzystencja była poważnie zagrożona. Później, gdy już Instytutu wydawał się pewny, projektowano zasadniczą czystkę personelu. W tej sytuacji Manteuffel był zmuszony skoncentrować swoje wysiłki na ratowaniu egzystencji oraz warsztatu zagrożonych pracowników; na treści naukowe nie starczyło ani energii ani nawet czasu.

Wiosną 1968 narzucono zresztą Instytutowi specjalną komisję, składającą się wyłącznie z moczarowców, którzy odtąd byli władni decydować co należy a czego nie należy drukować pod firmą Instytutu. Komisja ta zatwierdziła do druku wersję „ostateczną” niewiele różniącą się od makiety. Niektóre zdania skre-

ślono — pisze o nich Korzec — poprawiono niektóre błędy elementarne, np. przestano nazywać przywódcę rosyjskich konstytucyjnych demokratów W. A. Makłakowa carskim ministrem (makieta, str. 256). Znikł też pokój rumuńsko-sowiecki, ponoć zawarty 1 marca 1920 roku, którym Jędruszcak chciał ostatecznie pognać zaborców-belwederczyków (makieta str. 311, tom str. 319). Niektóre zmiany — używając terminu ks. Pirożyńskiego — są moralnie obojętne, niektóre jednak są zmianami na gorsze. Zastąpienie dużej fotografii Lenina dużym wizerunkiem prez. Wilsona może uspokoiło nieco sumienia autorów, ale boję się że zmiany tej nikt poza mną nie zauważył — nawet cenzor. Natomiast zmiana jednego błędnego zdania: „Chłodno do projektowanej wyprawy kijowskiej odniosła się Czechosłowacja” (makieta, str. 311) na „Krytycznie do projektowanej wyprawy na Rosję odniosła się Czechosłowacja” (tom, str. 319) jest pogłębieniem błędu. W obu wariantach zawarta jest sugestia, iż Piłsudski próbował pozyskać współdziałanie a przynajmniej życzliwość Czechosłowacji dla projektowanej wyprawy i informował ją o swoich poczynaniach, co jest samo w sobie dość bzdurne, zważywszy ówczesny stan stosunków polsko-czechosłowackich. Drugie jednak zdanie, „poprawione” sugeruje, że albo Kijów leży w głębi Rosji względnie w federacji rosyjskiej, albo że zamiarem Piłsudskiego był podbój etnograficznej Rosji.

Takich błędów zresztą jest nadal moc i można by nawet napisać wdzięczną rozprawkę na temat błędów elementarnych w omawianej pracy. Brak miejsca zmusza jednak do zwrócenia uwagi na pewne wybrane zagadnienia problemowe.

1. Wcześniejsze tomy „Historii Polski” — mimo iż nie wolne od nacisku aktualności, mimo iż nie wytrzymały próby czasu — były jednak jakąś próbą syntetycznego, na miarę okresu, spojrzenia na dzieje. Zdawałoby się, że późniejsze tomy, powstające w bardziej sprzyjającej atmosferze, winny być lepsze. Tak jednak nie jest. Okazuje się, że daje o sobie znać narastająca w miarę przybliżania się do współczesności drażliwość polityczna, zarówno narzuconego ustroju jak i zahamowań tkwiących w samym społeczeństwie. Już autorzy opublikowanych części III tomu zrezygnowali z umieszczenia analizy historiografii okresu i poczynili duże ustępstwa na rzecz tradycjonalistycznej opisowości. Niejednokrotnie widziałem więc, jak męczą się studenci, usiłując przebrnąć przez nadmiernie opasłe tomy, usiłując w zalewie informacji odróżnić rzeczy istotne — tzw. fakty historyczne — od powodzi drugorzędnych szczegółów, nazw, nazwisk, dat.

„Historię Polski” wydawaną przez Instytut Historii PAN zwykło nazywać się „syntezą”. Ale autorzy IV tomu zrobili „krok

naprzód" i zrezygnowali w ogóle z syntezy na rzecz opisu. Problemy demograficzne, strukturalne, ekonomiczne, ideologiczne, prawne itd. dochodzą do głosu przypadkowo, tylko tam, gdzie niesposób ich ominąć, np. jakieś okrucy problemów narodowościowych przy okazji wyprawy wileńskiej w kwietniu 1919 roku<sup>2</sup>, struktura agrarna przy okazji walk sejmowych wokół reformy rolnej. W części pisanej przez Jędruszcza dominacja tradycjonalistycznie pojętych militariów jest pełna.

W 500 stronach dużego formatu ponad 40 arkuszy wydawniczych — można dać dużo informacji o okresie obejmującym tylko 2 i pół roku — ostatecznie cały „Wereszycki” obejmujący 53 lata mieści się na 360 stronach mniejszego formatu. Warunkiem jest jednak odróżnienie rzeczy istotnych od opisu.

2. Popularny dowcip zarzuca autorowi rozprawy „słoń a sprawa polska” skrajny polonocentryzm. Zarzut niesłuszny, albowiem autor dostrzegł słońca. Skrajny polonocentryzm polegałby na przecoczeniu i słońca.

Ta uwaga nasuwa się przy czytaniu omawianej pracy. Znajomość historii powszechnej nigdy nie była najmocniejszą stroną nauki polskiej, ale od czasów przedwojennych coś się zmieniło, świat stał się mniejszy, odległości się skróciły, świadomość współzależności pogłębiła się. Jeśli w okresie polskiego romantyzmu można było mówić o naszej wyjątkowości — co polegało na niedostrzeganiu elementów prawidłowości w naszych dziejach i na niedostrzeganiu narodów na niższym poziomie ukształtowania — to trudno ulegać takiemu pogładowi w drugiej połowie XX-go wieku. To, że Polska leży między Niemcami a Rosją jest faktem, którego nie wolno pomijać, ale faktem odkrytym przez innych. Stwierdzenie, że istnieją inne jeszcze narody w naszym regionie geograficznym, że nawet ktoś-coś leży między nami a Rosją też nie będzie odkryciem na miarę epoki, lecz na miarę krawca.

Już we wcześniej przytoczonych błędach — tych z Makłakowem i z pokojem sowiecko-rumuńskim, z umieszczeniem Kijowa w Rosji uwidocznia się bądź lekceważenie bądź nieznanomość spraw, dokonujących się poza polskim regionem.

---

2. *Nota-bene*, są one omówione źle, jeśli autor twierdzi, iż co prawda statystyki carskie były złe, ale nie można ich odrzucać, albowiem „polskie szacunki są tendencyjne w kierunku przeciwnym” (str. 261). Nawiasem mówiąc, autor rzeczywiście nie dotarł do polskich obiektywnych obliczeń Maliszewskiego, Wasilewskiego, Weryhy-Darowskiego i in. Drugi autor roz-wodzi się nad litewską ludnością „bliższych i dalszych okolic Wilna” (str. 317), nie dostrzegł tam jednak Żydów, choć koniec końców, ówczesne Wilno wraz z okolicami było w owych czasach ciągle jeszcze ważnym żydowskim ośrodkiem politycznym i bodajże czy nie głównym europejskim ośrodkiem kultury żydowskiej.



Historia Polski tego okresu jest nieoddzielna od historii powszechnej choćby z tego względu, że odbudowa niepodległości polskiej była częścią procesu powstawania niepodległych państw, państwowego kształtowania się narodów w całej Europie Środkowo-Wschodniej. Odzyskania niepodległości nie można traktować jako izolowanego procesu. Niestety, omawiany tom jest pod tym względem całkowicie tradycjonalistyczny. I co prawda jeden z podrozdziałów jest zatytułowany „Rozpad Austro-Węgier. Utworzenie i działalność Polskiej Komisji Likwidacyjnej” (str. 85) ale w praktyce tylko traktuje o tym drugim. W ten sposób, nawiasem mówiąc, zostaje przejawiona rola rewolucji rosyjskiej, przy czym rewolucji październikowej przypisuje się raz za razem zasługi rewolucji marcowej.

Akcentując problem międzynarodowości historii Polski nie tylko ze względów czysto metodologicznych, ale dlatego, że bez zrozumienia dokonujących się wówczas procesów niesposób dokonać prawidłowego wykładu. Dla przykładu: Już w momencie powstawania młode państwo polskie znalazło się w stanie wojny z równie młodą państwowością ukraińską, z Zachodnio-Ukraińską Republiką Ludową — fakt ciężący na całej historii okresu międzywojennego i wymagający starannego oświetlenia, choćby dlatego że wszystkie tereny, do których aspirowała ZURL weszły w skład Polski. Ale w omawianej publikacji jedyna informacja o ZURL to to, że powstała ona jako austriacka intryga (str. 89). Ani słowa o zamiarach i próbach obozu belwederskiego znalezienia w pierwszych 10 miesiącach niepodległości jakiegoś *modus vivendi* z ZURL, ani o atakach endencji na tenże obóz z wymienionego powodu. Obozowi temu przypisuje się jednoznacznie chęć inkorporowania Galicji Wschodniej (str. 313).

Jeszcze mniej o powstaniu Czechosłowacji lub Litwy a przecież ich powstanie w dużym stopniu określało problemy polityki polskiej. O konflikcie polsko-czechosłowackim dowiadujemy się przypadkiem, poprzez streszczenie *exposé* Paderewskiego (str. 192). Jeśli spróbować złączyć rozproszone przypadkowe wzmianki o konflikcie z ZURL, Litwą, Czechosłowacją, o stosunkach z Ukrainą Petlury itd. to otrzymane zbitki będą dość żałosne pod względem informacyjnym, a pod wieloma względami mylne. Trudno się tu zasłonić przysłowionym stanem badań, bo istniejące badania pozwalają na więcej i na lepiej.

Wiele zastrzeżeń, niestety, trzeba wnieść i do przedstawienia stosunków polsko-sowieckich. Pomijam zupełnie świadomie te sprawy, w których autorzy byli skrupowani określonymi zakazami. Ale np. twierdzenie, że Piłsudski podejmował wyprawę kijowską z aprobatą rządu francuskiego i to zgodną z dotych-

czasową polityką francuską (str. 345) kłóci się nie tylko z faktami, ale i z ustaleniami drugiego autora w tym samym tomie. Przytaczanie okolicznościowych depeš z okazji święta 3-go Maja jako dowodu na angielskie współdziałanie (str. 347) można potraktować jako satyrę na metody interpretacyjne obowiązujące w historiografii sowieckiej. Znajac autora obawiam się, że efekt jest jednak niezamierzony.

W chwalebny i niewątpliwie patriotycznym zamiarze doowiedzenia, że latem 1920 roku pochód na Warszawę był wspólnym dziełem sowiecko-niemieckim, autor przeoczył sens tej wyprawy: przeskoczenie przez Polskę, wzniesienie rewolucji w Niemczech oraz w całej Europie, który to zamiar utrudniał współdziałanie sowiecko-niemieckie. Przy okazji przeoczono źródła klęski sowieckiej — niepoczytalne, nie liczące się ze stanem wojsk polityczne dyrektywy, o czym dość przejrzyście i słusznie pisał Tuchaczewski.

Kokietowanie Francji, już nie przez rząd PRL ale przez Jędruszcza, wprowadza do nauki polskiej nowe tabu. O układzie sojuszniczym polsko-francuskim z 1921 roku pisze on podniośle, że „szczególny nacisk kładła umowa na współpracę ekonomiczną, zapowiadając zawarcie odpowiednich porozumień gospodarczych”... (str. 454) podczas gdy dotychczas wszyscy polscy autorzy są zgodni, że za wzniosłymi sformułowaniami kryły się zwykłe wymuszenia nienajuczciwszych polityków francuskich i grup kapitałowych. Podobnie na str. 260, gdy mowa o konieczności przekupywania „polityków zachodnich” — jak wiadomo, musiano przekupywać nie polityków zachodnich w ogóle, ale pewnych polityków francuskich.

3. Polityka wschodnia zajmuje w tomie dużo miejsca. Niestety, pomijając nawet sprawy problematyczne, dość dużo błędów. Na str. 260 czytamy tytuł rozdziału: „Założenia polityki wschodniej rządu Paderewskiego”, choć rząd ten nie miał żadnych założeń, ani w tej ani w wielu innych sprawach, i każdy minister miał swoją własną politykę.

Kilka stron dalej czytamy: „Punkt wyjścia (federacyjnej koncepcji obozu belwederskiego — J.L.) stanowiło dążenie do rozbicia całego terytorium dawnej Rosji na wiele mniejszych państw, wśród których trzy zachodnie: Litwa, Białoruś i Ukraina byłyby związane z Polską węzłem 'federacji' ” (str. 267). Otóż co prawda w zdaniu tym jest zawarta jakaś myśl, zapożyczona od Poboga, ale zapożyczona nieściśle, gdyż dążenie do rozbicia Rosji Pobóg przypisywał osobiście Piłsudskiemu, dla wielu natomiast federalistów myślą przewodnią było pragnienie znalezienia *modus vivendi* między narodami i właśnie oni byli twórcami koncepcji

federacyjnej. Nade wszystko należy jednak sprostować błąd, że dążono do federacji z Ukrainą. Do tego żaden reprezentatywny polski polityk ani pisarz polityczny nie dążył. Dążono natomiast do zbliżenia w oparciu o inne modele, ale bynajmniej nie federacyjne. Federacja jest konkretnym wzorcem prawno-ustrojowym i nie można pod tę nazwę podciągać wszystkiego, co po drodze. Błąd ten zresztą został powtórzony na str. 311 a w rozbudowanej postaci, szczególnie rażącej na str. 343. Zupełnie zaś nie rozumieniem umieszczania pojęcia *federacja* w cudzysłowie.

Podejmując wyprawę na Wilno w kwietniu 1919 roku, Piłsudski ani nie robił „przygotowań... żywszym tempem” (str. 272) ani nie bał się zbytnio, że go uprzedzą nieokreślone „siły niemiecko-litewskie” (*ibid.*). Przeciwnie, wyprawa była improwizacją, podobnie jak i wszystko w ówczesnej Polsce, improwizacją, mającą zaskoczyć endecką większość sejmową w czasie wielkonoctnych ferii oraz wyprzedzić przybycie do Polski gen. Hallera.

Istnieją dwa teksty odezwy wileńskiej Piłsudskiego — pisałem o tym przed laty. Zieliński zna tylko tekst ogłoszony w *Monitorze* (str. 274). Zabawne, bo odpowiedzialny za ikonografię Drozdowski na poprzedniej stronie umieścił nieznaną Zielińskiemu tekst wileński.

Wysłanie przez Piłsudskiego misji Karnickiego do Denikina nie było przejawem ulegania namowom do współpracy z białą Rosją (str. 302), przeciwnie, instrukcje, jakie otrzymał Karnicki i jego zastępca Przeździecki wyłączały współpracę. Są to sprawy dobrze znane i ujęcie powyższe jest jakimś zapożyczeniem z literatury sowieckiej. Trzeba dużej naiwności, albo złej woli, by potraktować dosłownie ofertę Paderewskiego zajęcia Moskwy na czele półmilionowej armii polskiej. Ponoć tylko sprzeciw Ententy powstrzymał Paderewskiego od wykonania tego planu. Rzeczywistość była inna: Paderewski ujawnił niekonsekwencje Ententy, która sprzeciwiała się unormowaniu stosunków polsko-sowieckich, z drugiej jednak strony nie mogła się zdobyć na konsekwentną politykę obalenia władzy sowieckiej.

Piłsudski zrezygnował z zamiaru „... utworzenia państwa białoruskiego i związania go poprzez federację z Polską” nie na wiosnę 1920 roku (str. 316) lecz o wiele wcześniej, nie później niż jesienią 1919 roku.

Trudno zrozumieć na jakich przesłankach oparty jest sąd, że Towarzystwo Straży Kresowej to „nacionalistyczna organizacja polska”, choć zgadzam się, iż w niektórych systemach myślowych każda organizacja polska jest nacionalistyczna (str. 305).

Józef LEWANDOWSKI

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

## AUSTRALIA W ROLI OPIEKUNA SPRAW POLSKICH W SOWIETACH W LATACH 1943-44

W *Australian Journal of Politics and History*, XVIII, 2 z 1972 roku ukazał się obszerny artykuł śp. Sir Peter Heydon'a (1913-1971) pt. „Protecting Polish interests in the USSR, 1943-44: an episode in Australian representation”. Dotyczy on ważnego a mało znanego aspektu losów zesłańców polskich w Sowietach, a fakt, że ukazał się na łamach pisma australijskiego, nakazuje zwrócenie nań uwagi.

Autor artykułu był w latach 1942-44 drugim sekretarzem poselstwa australijskiego w Sowietach, a następnie posłem w Brazylii, Wysokim Komisarzem na Nowej Zelandii i w Indiach, wreszcie — przez ostatnie dziesięciolecie życia — Sekretarzem w Departamencie Imigracji Rządu Australijskiego.

Dyplomacja australijska ma za sobą niespełna 50-letnią historię. W interesującym nas okresie II Wojny Światowej Australia nawiązała stosunki dyplomatyczne z Sowietami, wysyłając w styczniu 1943 roku do Kujbyszewa swego pierwszego przedstawiciela w osobie Hon. Williama Slater'a. Towarzyszył mu autor artykułu. Pracę rozpoczynano w „warunkach spartańskich” przy trudnościach komunikacyjnych, których przykładem jest 36-45 dni jako przeciętna długość podróży lotniczej z Australii do Rosji.

22 maja 1943 placówka australijska, znajdująca się jeszcze w stadium organizacji, stanęła wobec trudnego problemu: powierzono jej opiekę nad interesami polskimi. Precedens w postaci analogicznej misji brytyjskiej, której Sowiety nie uznały we wrześniu 1939 roku, gdy ambasador Grzybowski zwrócił się do Sir Williama Seeds'a z prośbą o opiekę nad gmachem Ambasady Polskiej w Moskwie i nad obywatelami polskimi w ZSSR, nie budził nadziei powodzenia.

Autor artykułu omawia obszernie i bezstronnie układ stosunków polsko-sowieckich w 1941-42 roku. Przypomina, że w zimie 1943 roku uległy one drastycznemu pogorszeniu a wszelkie próby podjęcia rozmów na temat przyszłych granic spotykały się z ostrymi sprzeciwami ze strony sowieckiej. W marcu 1943 amb. Tadeusz Romer usiłował kontynuować rozmowy na temat „obywatelstwa Polaków, którzy znajdowali się na wschód od linii Curzon'a we wrześniu 1939 roku; Mołotow uporczywie dowodził, iż sprawą zasadniczą jest przyszła granica polsko-sowiecka. Cudzoziemscy obserwatorzy w Moskwie i Kujbyszewie sądzili iż upieranie się Polaków przy linii granicznej sprzed 1939 roku może oznaczać utratę szansy uzyskania ugody regulującej te sprawy w sposób pomyślniejszy. Jak wykazały wypadki późniejsze taka ocena sy-

tuacji była prawdopodobnie błędna. Każda forma ugody do przyjęcia przez nawet najbardziej umiarkowanych Polaków w 1943 roku nie przetrwałaby chyba przemarszu Czerwonej Armii przez Polskę do Berlina w roku 1944-45 i 'zimnej wojny' w skali światowej".

Sprawa Katynia przedstawiona jest przez Heydon'a zgodnie z faktami: „raporty lekarzy i dokumenty w kieszeniach ofiar wskazywały na zgony wiosną 1940, gdy obszar (Katynia) był jeszcze we władaniu Sowietów”. Heydon uważa jednak zwrócenie się do Czerwonego Krzyża za posunięcie niefortunne ze względu na równoczesne wystąpienie Niemiec, co wroga Polsce propaganda uznała za formę cichej współpracy. Sądzi, że Rząd Polski winien się być domagać od Rosjan jasnej odpowiedzi na niemieckie twierdzenia na temat sprawców mordu katyńskiego. Heydon przypomina jednak w następnym zdaniu, iż Polacy zasypywali Rosjan pytaniami o losy zaginionych w ciągu 20 miesięcy i, nie otrzymując zadawalającej odpowiedzi, doszli do wniosku iż nie pozostaje im nic innego, jak zwrócenie się do Czerwonego Krzyża. Skończyło się zresztą na niczym, gdyż Międzynarodowy Czerwony Krzyż uchylił się od akcji, ponieważ Rząd Sowiecki uznał starania polskie „za poniżenie się do współpracy z Hitlerem”. Wywołało to zerwanie umowy polsko-sowieckiej i cofnięcie uznania dla polskiego Rządu w Londynie. 29 kwietnia 1943 amb. T. Romer i personel placówki opuścili Kujbyszew do Teheranu, powierzając opiekę nad mieniem Ambasady Brytyjczykom. Ci jednak, podobnie jak Amerykanie uchyliłi się od reprezentowania interesów polskich pod pretekstem, iż — mając wolną rękę — będą mogli działać więcej jako mediatorzy. Wielka Brytania zwróciła się przeto do Kanady i Australii z propozycją opieki. W wyniku pertraktacji między zainteresowanymi rządami premier Australii Rt. Hon. John Curtin podjął się reprezentowania interesów polskich w ZSSR i powierzył związane z tym sprawy poselstwu australijskiemu w Kujbyszewie. Personel poselstwa był z powierzenia mu tych funkcji zadowolony, a Kanadyjczycy, którzy ubiegali się o nie bez powodzenia, okazali zazdrość (sic!). Urzędnicy poselstwa mieli w ten sposób więcej okazji bezpośredniego kontaktowania się z wysoko postawionymi figurami na Kremlu: Mołotowem, Wyszynskim, Korniejczukiem, K. V. Nowikowym etc. i, jak formułuje to Heydon, pozycja Poselstwa uległa wzmocnieniu („*added standing in Kuibyshev and Moscow*”). Niemiecka agencja prasowa DNB określiła posunięcie brytyjskie jako „groteskowe” i uznała je za krok przygotowawczy do ewakuacji kłopotliwych Polaków do dalekich posiadłości Imperium.

Polacy pozostali w Sowietach dowiedzieli się o opiece australijskiej z krótkiego komunikatu w *Izwiestiach* z 25 maja. Tego też dnia przekazano Poselstwu Australijskiemu mienie Ambasady Polskiej i fundusze na rachunkach bankowych oraz 16 worków zawierających banknoty sowieckie wartości 3.600.000 rubli. Złożono je w banku na rachunku „The Australian Legation to USSR

Account No 2". Zwrócono do Burobinu meble wypożyczone przez władze sowieckie Polakom, podzielono między poselstwa austrijskie i kanadyjskie meble, materiały piśmienne, pojazdy mechaniczne itp.

W okresie obejmowania opieki przez Australię w ZSSR przebywało 650.000 Polaków. Heydon podaje iż 1 stycznia 1943 roku 270.000 obywateli polskich figurowało na listach Ambasady Polskiej w Kujbyszewie; ok. 50.000 pozostało na dalekich północnych terytoriach, ok. 100.000 znalazło się w szeregach Armii Czerwonej, mimo amnestii z 12. VIII. 1941 ok. 125.000 więziono nadal w obozach; a 75.000 wcielono do batalionów pracy. W obliczeniach Heydon'a figuruje nadto 25.000 Polaków, którzy emigrowali (sic!) do Rosji po wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku. Cyfry te nie obejmują 115.000 Polaków ewakuowanych do Iranu w 1942 roku i przypuszczalnej cyfry 220.000 zmarłych w Sowietach pomiędzy kwietniem a grudniem 1942. Heydon zaznacza, że władze sowieckie nie uznawały za obywateli polskich osób pochodzących z obszarów wcielonych do Ukraińskiej i Białoruskiej Republiki Rad na podstawie dekretu z 29 listopada 1939 roku.

Pierwszą trudnością, na którą natknęli się australijscy opiekunowie była właśnie sprawa obywatelstwa uznawanego (lub nie) przez Sowiety. Cyfra 270.000 zarejestrowanych i otrzymujących pomoc z Ambasady Polskiej w styczniu 1943 roku stopniała do 10.000-30.000 po zastosowaniu kryteriów sowieckich. Tą tylko grupą mogli zaopiekować się Australijczycy bez większych przeszkód. Była jednak trudność druga: przestrzeń. Heydon pisze, że i on i jego koledzy australijscy stykali się co dzień z nazwami miejscowości takimi jak Aszchabad czy Alma-Ata — i prośbami o ułatwienia wyjazdowe.

Trzecia trudność polegała na niezrozumieniu sytuacji zesłańców polskich. Heydon sądzi, że los ich nie był gorszy od sytuacji ogółu mieszkańców ZSSR. Przyznaje jednak, iż porównywali oni swoje obecne położenie z warunkami życia w Polsce przed rokiem 1939.

W pierwszym etapie działalności prace Australijczyków koncentrowały się na udzielaniu pomocy materialnej uchodźcom. Wysyłano po otrzymaniu prośby 400 rubli, starano się o objęcie kontrolą australijską składów żywności przeznaczonych na rozdawnictwo. W końcu 1944 nadeszły duże transporty żywności w ramach *Lend-Lease Act*; rozprawdzał je jednak Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego działający pod auspicjami komunistycznego Związku Patriotów Polskich.

W tych warunkach Australijczycy mieli ręce związane a działalność ich nie przynosiła wydatnej pomocy zesłańcom pozostałym w ZSSR. Starali się jednak o utrzymanie kontaktu z Rządem Polskim w Londynie i ze wspomnianego wyżej funduszu w rublach wypłacali owe 400-rublowe zapomogi. W lutym 1944 Min. Spraw Zagranicznych Rządu Polskiego w Londynie przesłało listę

osób upoważnionych do otrzymywania stałych zapomóg w wysokości 200 rubli miesięcznie.

Starano się także o ułatwienie wyjazdu z ZSSR naprzód dużym grupom, a gdy się to nie udało — osobom indywidualnym, dzieciom itp. Tak np. na skutek starań u Korniejczuka 22 lipca opuściła Sowiety grupa 300 dzieci z sierocińców pod eskortą 30 osób dorosłych. Obudziło to nadzieje na uzyskanie prawa wyjazdu dla 1) osób, które miały zapewnione wizy do Australii, Wielkiej Brytanii, Indii, Palestyny, Stanów Zjednoczonych i Afryki, 2) b. delegatów Ambasady Polskiej, 3) członków rodzin urzędników Ambasady, którzy opuścili ZSSR 29 kwietnia 1943, 4) rodzin członków PSZ, 5) dzieci z sierocińców i ochronek. W pierwszej fazie, w lipcu 1943 roku, otrzymano około tysiąca zgłoszeń osób z tych kategorii. Interweniowano wysoko — u samego Stalina. Ten odpowiedział, że jest tak pochłonięty sprawami frontu, że nie może zajmować się sprawami tak drobnymi i odesłał do Mołotowa. Odpowiedź, otrzymana dopiero w październiku, umożliwiała wyjazd li-tylko obywatelom polskim osiadłym w 1939 na zachód od linii Curzona. Australijczycy musieli walczyć o prawo wyjazdu dla poszczególnych jednostek i zadawała się nikłymi rezultatami. Nota sowiecka z 20 marca 1944 ucięła praktycznie i te skromne formy pomocy. Formalne zakończenie opieki australijskiej nastąpiło 23 sierpnia 1944, gdy Rząd Sowiecki zawiadomił Poselstwo australijskie o uznaniu Komitetu Wyzwolenia Narodowe jako oficjalnego przedstawiciela Polski.

W dalszym ciągu artykułu Heydon daje zwięzły przegląd stosunków sowiecko-polskich w 1943-44 roku, stawiając znak zapytania nad powodami, którymi kierowały się Sowiety wstrzymując wojska na brzegu praskim od 14 września do upadku powstania. „Jaki będzie przyszły wyrok historii? Czy opóźnienie to tłumaczy się racjami wojskowymi czy politycznymi?”.

Po cofnięciu uznania przez Sowiety Australijczycy musieli zakończyć swą działalność. Władze sowieckie nie dotrzymały obietnicy zawiadomienia Polaków w ZSSR o zmianie sytuacji. Przez kilka dalszych miesięcy Poselstwo otrzymywało prośby o pomoc różnego rodzaju i w wypadkach szczególnej wagi podejmowało starania.

Akta dotyczące poszczególnych uchodźców stanowiły problem szczególnie trudny i delikatny. Australijczycy zdawali sobie sprawę z niemożności przekazania ich reżymowi komunistycznemu. Australia uznała rząd warszawski w trzy miesiące po Wielkiej Brytanii. Wkrótce potem australijski minister James Joseph Maloney przekazał ambasadorowi warszawskiemu w Moskwie 2.916.197 rubli, tj. pozostałość wspomnianych wyżej trzech milionów oraz meble itd.

Heydon ocenia w podsumowaniu działalności Poselstwa pozytywnie. Boli go, że usilne ich starania przeszły bez śladu w historiach wojny i że Rząd Polski w Londynie nie utrzymywał kontaktów na należytych poziomach. Ze zgorzaniem przytacza fakt,

iż Mikołajczyk i Romer po przybyciu do Moskwy w końcu lipca 1944 nie skomunikowali się z Australijczykami, którzy o przyjeździe ich dowiedzieli się z audycji BBC. Tym serdeczniej ocenił słowa wdzięczności, z którymi spotkał się na terenie Australii, już po 1945, od Polaków, którzy osiedlili się tam na stałe a którzy w latach 1943-44 korzystali z pomocy Poselstwa.

*Streściła M. DANILEWICZ ZIELIŃSKA*



## LISTY I POLEMIKI

Montreal, 24 października 1973.

Szanowny Panie Redaktorze,

Od szeregu lat czytam z największym zainteresowaniem prace p. Z. S. Siemaszki. Jego ostatnie „Rozmowy z kapitanem Szabunią”, zamieszczone w Dwudziestym Piątym Zeszytcie *Historycznym*, skłoniły mnie do napisania tego listu.

Pan Z. S. Siemaszko w komentarzu płk. Szlaskiego podaje: „Po aresztowaniu 'Wilka' szły ze mną do Puszczy Rudnickiej 2, 6, 7 batalion oraz 1 szwadron 26 pułku ułanów. Potem dołączył 3 batalion Piaseckiego. Eskadra samolotów sowieckich ostrzelała nas z broni pokładowej i zrzuciła ulotki nakazujące przerwać marsz, przejść do miejscowości Gudełki i złożyć broń”. Podobny tekst jest zresztą w PSZ.

Otóż, niektórzy z uczestników tego marszu twierdzą, że samoloty, które ich ostrzelały z broni pokładowej, miały na ogonach „gruźlicze krzyże”. Zachodzi więc pytanie, czy były to samoloty sowieckie?

Gdy w roku 1942 Armia Polska pod d-twem gen. Andersa opuszczała Rosję sowiecką, do Moskwy przybyła w grudniu francuska eskadra myśliwska Normandii. Została ona stworzona decyzją gen. de Gaulle'a w Anglii w lutym 1942 roku i walczyła w czasie wiosny 1943 roku na centralnym froncie sowiecko-niemieckim pomiędzy Smoleńskiem a Orłem. Pod koniec 1943 roku eskadra ta wykruszyła się i uzupełniona została ochotnikami, wziętymi z Algieru w ciągu zimy 43/44. Na wiosnę 1944 powstaje pułk myśliwski Normandii w składzie 4 eskadr, którego kolejnym d-cą jest ppłk Delfino. Normandii podlega 18 pułkowi lotniczemu gwardii, którego d-cą był płk Gołubow. Ten z kolei podlegał gen. lot. Zacharowi. Jakiegokolwiek były powiązania organizacyjne, Francuzi podlegali wszystkim operacyjnym rozkazom lotnictwa sowieckiego i to na dość niskim szczeblu. Lotnicy francuscy cały czas latali na sowieckich YAK'ach, które znakowane były gwiazdą sowiecką na skrzydłach i kadłubie, niebiesko-biało-czerwonym pierścieniem na silniku oraz krzyżem lotaryńskim na ogonie.

Czytelnika polskiego niewątpliwie zainteresuje okres walk tej francuskiej jednostki lotniczej, wchodzącej w skład 1-szej armii lotniczej gen. Krukina, działającej w ramach 3 Frontu Białoruskiego pod d-twem gen. Iwana Czerniachowskiego, zwłaszcza od pamiętnej daty 15 lipca 1944, kiedy to Normandii przybyła do Polski.

1-sza eskadra tego pułku stacjonowała od 15 do 29 lipca w miejscowości MIKUNTANY, położonej na skraju Puszczy Rudnickiej między Wilnem

a Lidą, około 45 km na południe od Wilna. Być może, że nazwa tej miejscowości jest przekręcona i podana jest w brzmieniu fonetycznym francuskim, nie znam tamtych okolic i nie mam mapy w skali 1 : 100 000 aby to stwierdzić.

Tak oto wspomina działania naziemne, w tym rejonie, 1-szej eskadry Normandii jeden z pilotów francuskich François de Geoffre w swoim pamiętniku\*:

„Czasem rano mechanicy z 1-szej (eskadry) urządzali polowanie na ludzi, w których brał udział Pierrot, Casaneuve, Miquel, Challe i ja. Gdy tylko dano nam znać o jakiejś bandzie Niemców (sic!) w sąsiednich lasach, zmienialiśmy się w oddziały szturmowe (*commando de choc*). Z pistoletami maszynowymi w dłoni, z granatami za pasem, z naszym wiernym bębenkowcem na biodrze, posuwaliśmy się w głąb olbrzymich polskich lasów. Szukaliśmy rozdroży leśnych, gdzie w gęstwinie zaczajaliśmy się z palcem na spuście, czekając zmroku, gdyż Niemcy (sic!) poruszali się tylko nocą.

Mijały godziny złowrogie i posępne. Długo słychać było tylko szelest wiatru w gałęziach, trzaskanie świerków, krzyk lisa, puhanie sowy. I nagle, gdy ogarniała człowieka senność, stawało się coś niezwykłego. Zwykle było to trzeszczenie inne od poprzednich. Zgniatanie trawy. Mała odrębna muzyka w wielkiej symfonii nocnej lasu i stłumione kroki, szepty, ocieranie się broni o menażkę, przekleństwa urwane w połowie.

W nocy jaśniejszej od lasu zarysowują się cienie. Trudno będzie brać do niewoli. Na rozkaz trzaska dziesięć karabinów maszynowych. Jęki. Ludzie padają. Strzelamy na los szczęścia. Odpowiada nam kilka strażów. Potem zapada cisza i następuje oczekiwanie dnia. Czasem były trupy, czasem nie. Ale zawsze szerokie smugi krwi na mechu wskazywały, że trafialiśmy dobrze, a mechanicy sowieccy na zakończenie mówili: — „*Charaszo rabot*”.

Inny natomiast pilot z tej samej eskadry Roger Sauvage\*\* zauważa, że postój w poprzednim ich miejscu Dubrówce w czasie czerwcowej ofensywy przedłużał się, dla powodów znanych jedynie sztabowi sowieckiemu, mimo że front się mocno oddalił i zbliżał się do granic polskich.

Wszystkim oddziałom, biorącym udział w forsowaniu Niemna, rozkazem Stalina nadano przydomek „Niemen”. Tak więc francuski pułk myśliwski przemianowany został z Normandii na „Normandie-Niemen”.

Rola tego pułku w zwalczaniu Armii Krajowej, jak dotychczas, została dziwnie przemilczana. Akcja „Burza” ciągle czeka na swego historyka.

Z poważaniem,

Kajetan BIENIECKI

PS. Por. Gracjan Fróg ps. „Szczerbiec”, d-ca 3 zmotoryzowanej wileńskiej brygady A.K., był oficerem zawodowym piechoty i służył w 2 psp. Jego zamiłowanie do maszyn sprawiło, że opuścił piechotę i po przeszkoleniu pancerno-motorowym przydzielony został do dywizjonu pancernego wileńskiej brygady kawalerii i z tą jednostką brał udział w kampanii wrześniowej.

Przy okazji podaję tytuł książki, która być może zainteresuje p. Z. S. Siemaszkę — David Kahn, *The Codebreakers*, Macmillan Co., New York, 1970, str. 1164. Jest to historia korespondencji szyfrowej od czasów starożytnych po II Wojnę Światową.

K. B.

\* François de Geoffre, *Normandie Niemen*, André Bonn, Paryż 1969, wyd. II str. 135.

\*\* Roger Sauvage, *Un du Normandie-Niemen, J'AI Lu*, Paryż, 1959.

Montreal, 5 marca 1974.

Szanowny Panie Redaktorze!

Dwudziesty szósty numer *Zeszytów Historycznych* przepełniony jest wzmiankami o ONR-ze, Z.J-cie i NSZ-cie. Nie mogę więc powstrzymać się od paru uwag.

Pisze o nas Jerzy Michalewski, który (chyba to był on) żądał ode mnie bezwzględnie przekazania efektywów Związku Jaszczurczego do SZP. Piszą anonimowi „Intendent” i „Archiwista”. Depesze o nas drukuje p. Witold Babiński. Szkoda że obok tych depesz nie umieścił też instrukcji Naczelnego Wodza o umowie z NSZ i dla porównania kopii aktualnej umowy. Wykazałoby to o ile „propozycje Pana Generała są dalej idące od ich obecnie stawianych (mi) warunków...”. (Depesza z 22. III. 1944).

Pisze się o nas coraz więcej. Trudno w listach do Redakcji wyjaśniać błędy, fałszywe i tendencyjne wnioski. Szkaluje się nas bezceremonialnie, bo nikogo z nas nie było stać na napisanie książki. Nie mieliśmy dostępu do pieniędzy państwowych i musieliśmy wszyscy, i wciąż musimy, ciężką pracą w obcych środowiskach zarabiać na życie. I utrudnia się nam dostęp do archiwów, które jakimś cudem stały się przeważnie „prywatną” własnością nieprzychylnych nam ludzi.

Nawet pieniądze ppłk. Jana Kamińskiego jakoś nie zdołały do nas dotrzeć, mimo sugestii „Intendenta”. A może „Archiwista” ma rację, że pieniędzmi tymi zaopiekował się szwagier naszego „przyjaciela”, gen. Tatara? Czy ci panowie naprawdę nie znają słynnej sprawy funduszów Kamińskiego?

Sprawa ONR — ZJ — NSZ jest coraz częściej poruszana na łamach prasy emigracyjnej i krajowej. Wydaje się że coraz więcej ludzi korci pytanie: jak to się stało, że sto tysięcy młodych Polaków, w tym duży procent młodych inteligentów, element na wskroś patriotyczny, dał się uwieść drobnej grupce demagogów i pozwolił im stworzyć potężną organizację wojskową, najliczniejszą prasę podziemną, Służbę Cywilną Narodu. I to wszystko w straszliwych warunkach okupacyjnych i bez grosza subsydiów rządowych.

Odpowiedź jest chyba prosta. Pokolenie Polski Niepodległej opowiedziało się przeciwko podporządkowywaniu sprawy polskiej przebrzmiałym hasłom sprzed pierwszej wojny światowej, dzieleniu społeczeństwa na zwolenników tej czy innej doktryny dziewiętnastowiecznej, czy tego czy innego, zasłużonego sprawie polskiej, ale już należącego do historii, wodza z czasów Polski rozbiorowej.

Pokoleniu temu konsekwentnie odmawiano głosu w sprawach Polski, w kraju przed wojną i pod okupacją i na Zachodzie. W ostatnim momencie przed załamaniem się całej polityki wojennej „historycznych” partii, „pełnomocnik nie chce rozszerzać na prawo bez równoczesnego wciągnięcia lewicy” (Depesza z 22. III. 1944, str. 164). Dla zrównoważenia Pokolenia Polski Niepodległej potrzebni byli komuniści!

A „powracający z niewoli niemieckiej żołnierze A.K. z płk. Rzepeckim na czele uznali, że nie można pozostawić „pustki w podziemiu”, gdyż oddaje się kierownictwo ruchu oporu Narodowym Siłom Zbrojnym” (Archiwista, str. 211). Na takich i im podobnych bazach opierała się polityka polska w czasie okupacji.

Nienawiść osłepia i pozbawia rozumu.

Łączę wyrazy poważania,

W. M. MARCINKOWSKI

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę o zamieszczenie mojego wyjaśnienia w odpowiedzi na list Pana Tadeusza Wyrwy w 26-tym *Zeszytzie Historycznym*, dotyczący osoby majora Hubal-Dobrzańskiego. W liście tym p. T. Wyrwa pisze: „Pan Mostwin usiłuje zarejestrować fakty niezgodne z rzeczywistością”.

„Henryk Feliks Józef Dobrzański urodził się 22 czerwca, 1897 roku w Jaśle jako syn Pana Henryka stanu szlacheckiego Hubal-Dobrzańskiego, przedsiębiorcy prywatnego — jak stwierdza łaciński zapis metrykalny w Księgach Ochrzczonych tej Parafii. Ojciec pochodził z Łoniowa w powiecie sandomierskim, matka — Maria z Lubienieckich — była córką Włodzimierza Lubienieckiego, znanego powstańca z 1863 roku, a wnuczką oficera Wojsk Polskich w Powstaniu Listopadowym — Hipolita Lubienieckiego. Po mieczu chłopiec był potomkiem pułkownika Dobrzańskiego, adiutanta króla Stanisława Augusta Poniatowskiego<sup>1</sup>”.

Zarzut P. Tadeusza Wyrwy, że imiona Feliks Józef są zniekształceniem historii, jest niesłuszny.

P. Wyrwa pisze o listopadzie 1939 roku: „Okres, kiedy organizacje konspiracyjne w Kraju dopiero zaczynały powstawać i Hubal nie mógł wiedzieć do kogo i gdzie się zgłaszać”.

W rzeczywistości Hubal już w listopadzie usiłował zharmonizować swoją działalność z Okręgiem Służby Zwycięstwa Polski posyłając do Kielc porucznika Karpińskiego<sup>2</sup>.

Usiłowanie nawiązania łączności nie dało widocznie satysfakcji Hubalowi, gdyż sam wybrał się do Warszawy nie w listopadzie, jak podaje p. Wyrwa, ale w początku grudnia, 1939 roku, i razem z Maciejem Kotwicz-Kalenkiewiczem, który nie w listopadzie, jak p. Wyrwa twierdzi, ale w początku grudnia dopiero razem z Hubalem jedzie do Warszawy z zamiarem przedostania się do Francji odpowiadając na wezwanie Generała Sikorskiego skierowane do oficerów technicznych<sup>3</sup>.

Kalenkiewicz miał poinformować Rząd Polski we Francji o charakterze i możliwościach oddziału, uzyskując zrozumienie konceptu „Pomost do Wiosny” uzbrojonego i umundurowanego oddziału, do czasu kiedy Francja i Anglia zaczną działać, co wydawało się wtedy sprawą naturalną.

Ten właśnie okres grudniowy nazwałem (w rozmowie z panem Zbigniewem Siemaszko) „ekspozyturą warszawską Hubala”, zaznaczając, że w leśnej akcji zbrojnej Hubala nie brałem osobistego udziału. Poznałem Hubala w grudniu 1939 roku. Było to w Warszawie, w grupie oficerów-kawalerzystów w mieszkaniu prywatnym, o ile sobie przypominam w okolicach Placu Zbawiciela. Hubal był wtedy w ubraniu cywilnym, i tak po raz pierwszy i ostatni zetknąłem się z komendantem partyzantki w kieleckim, o którym opowiadali mi już przedtem koledzy. Hubal zrobił na mnie wrażenie bezpośrednie i sympatyczne. Moim zamierzeniem było wtedy przedostanie się do Francji. Hubal zainteresował się tym i poinformował mnie, że właśnie jeden z jego oficerów, Maciej Kalenkiewicz, wyjechał kilka dni temu do Francji. Zaofiarowałem się do dyspozycji majora jako łącznik do Kalenkiewicza. Hubal ucieszył się i powiedział, że jego łącznik skontaktuje się ze

1. Mirosław Derecki, *Tropem Majora Hubala*, Wydawnictwo Lubelskie, 1971, str. 27.

2. Marek Szymański, *Oddział Majora Hubala*. Książka i Wiedza, Warszawa, 1972, str. 28.

3. *Ibid.*

mną. Łącznikiem tym był leśniczy Wróblewski. Kiedy w połowie lutego, 1940 roku usiłowałem przejść granicę w Szczawnicy szedłem jako łącznik Hubala do Kalenkiewicza.

Hubal wiedział, że otoczenie Tokarzewskiego było przeciwne jego koncepcji uzbrojonego i umundurowanego oddziału co potwierdza Pobóg-Malinowski w swojej Historii i Rzepecki w Przyczynkach Historycznych<sup>4</sup>. Nie trzeba też zapominać, że w okresie kontaktu z Tokarzewskim w grudniu, 1939 roku, oddział Hubala był jeszcze małą garstką i przedstawiał raczej potencjał niż siłę realną. Nie zagrażał on wtedy jeszcze ludności cywilnej w kieleckim ściągając represje niemieckie.

Z samym generałem Tokarzewskim Hubal miał dobre stosunki, mógł liczyć na poparcie i życzliwość generała. Stosunki z Okręgiem Kielce nie odzwierciedlały stosunków z generałem Tokarzewskim. Podobnie, Wojsko Polskie na Bliskim Wschodzie nie zawsze odzwierciedlało poglądy Naczelnego Wodza — Generała Sikorskiego.

Mówiąc o „lokalnej organizacji Służby Zwycięstwu Polski, kierowanej przez generała Tokarzewskiego” miałem na myśli lokalny okręg kielecki, a nie samą osobę generała Tokarzewskiego.

P. Wyrwa pisząc: „Hubal miał do wyboru albo podporządkowanie się Komendzie ZWZ, albo pozostanie w mundurze”, sam stwierdził istnienie konfliktu.

Hubal-Dobrzański był najstarszym oficerem polskim walczącym w mundurze, w Kraju i pod okupacją. W swej samotności dał początek legendzie. Stał się symbolem niepodległości i rzeczywistością. Urok, wzrost i wpływ jego legendy na obecne pokolenie w Polsce wydaje mi się manifestacją ponownego nieprzyjęcia rzeczywistości politycznej i społecznej.

Łączę wyrazy szacunku,

Stanisław Edward BASK-MOSTWIN

---

4. W. Pobóg-Malinowski, *Najnowsza Historia Polityczna Polski*, tom III, str. 122.

Jan Rzepecki, *Wspomnienia i Przyczynki Historyczne*, Czytelnik, 1956, str. 197-9.



Szanowny Panie Redaktorze,

Ostatni numer *Niepodległości* (t. 8/1972) przynosi artykuł prof. Wacława Jędrzejewicza pt. „Front litewsko-białoruski podczas wojny 1920 roku. Uwagi Marszałka Piłsudskiego do referatu Najwyższej Wojskowej Komisji Opiniującej”. We wstępie pisze Autor, że w archiwach Instytutu Józefa Piłsudskiego znajduje się teka pt. „Sprawa gen. broni St. Szepetyckiego”. Dokumenty te są w oryginałach. Na marginesie tego dokumentu znajdują się notatki Józefa Piłsudskiego, które on sam określił jako uwagi mające „charakter i styl czysto personalno-notatkowy”.

Pozwolę sobie zauważyć, że nie jest to jedyny egzemplarz tej sprawy. W Warszawie, w aktach określonych ogólną nazwą „Kancelaria Cywilna Naczelnika Państwa” znajduje się drugi egzemplarz tych akt. Po wojnie wszystkie te akta zostały ukryte w archiwach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Chyba w roku 1954 zostały przekazane archiwum Wydziału Historii Partii przy KC PZPR, które, o ile pamiętam, przekazało je w 1958 roku Archiwum Akt Nowych. Jedna z fotokopii „Sprawy gen. broni St. Szepetyckiego” znajdowała się od 1955 roku do 1972 w moim prywatnym archi-

wum. Przed wyjazdem z Polski fotokopie te przekazałem bibliotece uniwersyteckiej wraz z wielu innymi aktami i książkami.

Akta sprawy Szeptyckiego nie są więc mi obce. Po części omówiłem je w mojej książce „Marszałek Józef Piłsudski. Zza kulis polityki”, napisanej przed laty, ale dotąd nie drukowanej. Dlatego z wielkim zdziwieniem przeczytałem artykuł prof. Jędrzejewicza, który zapowiada, że „przedstawi sprawę gen. Szeptyckiego” tak jak wygląda ona na zasadzie posiadanych dokumentów”, myśli jednak, że „istotną wartość dla historyka posiadają owe personalno-notatkowe uwagi, pisane odręcznie przez Naczelnego Wodza” — Piłsudskiego.

Miał przedstawienia sprawy gen. Szeptyckiego, Autor prezentuje czytelnikowi marginesowe uwagi Piłsudskiego, zaś akta „sprawy gen. Szeptyckiego” i zdanie Najwyższej Wojskowej Komisji Opiniującej, która poddaje gruntownej analizie przebieg wojny na froncie północnym (i nie tylko północnym), zostały podane w niewiele mówiącym streszczeniu, jako swego rodzaju tło do uwag Piłsudskiego. Dlaczego prof. Jędrzejewicz uważa marginesowe uwagi Piłsudskiego za godne przytoczenia *in extenso* a zdanie tak poważnej instancji wojskowej za margines, nie dość autorytatywny w porównaniu z uwagami Piłsudskiego, pozostaje jego tajemnicą.

Pragnę przytoczyć za Autorem, że przewodniczącym tej komisji był gen. Józef Haller, a w jej skład wchodzili generałowie J. Leśniewski, M. Kuliński, Z. Zieliński i T. Rozwadowski (ówczesny szef sztabu generalnego). Akta tej sprawy były podpisane przez tę komisję, ona więc ponosi nie tylko formalną odpowiedzialność za oceny. Nie bardzo więc rozumiem, dlaczego W. Jędrzejewicz (za Piłsudskim) streszcza zdanie „referenta” i z nim nawet poniekąd polemizuje?

Akta powyższej sprawy odczytałem całkowicie inaczej niż prof. Jędrzejewicz.

Szeptycki dowodził frontem północnym od 1 maja do 31 lipca 1920 roku. Zwolniony został tego dnia z powodu „ciężkiej” choroby. Ale już w ciągu lipca, tym bardziej później, zaczęły się mnożyć z kół belwederskich zarzuty, że Szeptycki winien jest załamania się (pod naciskiem Czerwonej Armii) frontu północnego, że Szeptycki popadł w „czarny pesymizm”. Szeptycki postanowił odwołać się do wspomnianej komisji generalskiej. Jedynie pretekstem było powołanie się na rozmowę gen. Rozwadowskiego z „jedną działaczką polityczną” (październik 1920), której miał ponoć oświadczyć: „Szeptycki musi się wprawier oczyścić z zarzutu porażki nad Berezyną, nim mu się przeznaczy jaki front”. Natomiast Rozwadowski napisał do wspomnianej komisji, że musi „sprawa porażki nad Berezyną być przede wszystkim wyświetlona”, bez czynienia Szeptyckiemu jakiegokolwiek zarzutów.

Zarzuty przeciw Szeptyckiemu zaczęły się mnożyć w czasie porażek frontu polskiego. Szeptycki odwołał się do NWKO w październiku 1920, a więc po zwycięstwie oręża polskiego; wspomniana komisja stanęła w obronie Szeptyckiego 20 kwietnia 1921 roku; 7 maja gen. Józef Haller skierował tę opinię do Piłsudskiego jako Naczelnego Wodza; po tej dacie napisane zostały na marginesie wspomniane krytyczne uwagi Piłsudskiego; później wykorzystał je w swej książce „Rok 1920”.

Przypomnienie tych dat jest rzeczą ważną, by móc uwzględnić zmiany w nastrojach Piłsudskiego czy to w okresie porażek w lipcu 1920 czy też w maju 1921, a więc po zwycięstwie.

Najwyższa Wojskowa Komisja Opiniująca stanęła bez zastrzeżeń w obronie Szeptyckiego przed zarzutami i stwierdziła:

„1. W kierownictwie operacjami Frontu Północno-Wschodniego... nie można skonstatować żadnych zaniedbań natury operacyjno-taktycznych”.

Komisja poszła jednakże znacznie dalej w swych ocenach:

„2. Odpowiedzialność za niepowodzenie na Froncie Północno-Wschodnim nie obciąża wyłącznie Gen. Szeptyckiego, gdyż przyczyny niepowodzeń tkwią głębiej, a zapobieżenie im nie leżało w jego mocy”.

Jest to zawołowany zarzut przeciw Piłsudskiemu, który w oczach Komisji Generalskiej ponosił odpowiedzialność za rozpoczęcie tej wojny bez należytego jej przygotowania i za dowodzenie bez planu.

Komisja oczyściła nadto Szeptyckiego z zarzutu „czarnego pesymizmu” oraz utraty wiary „w możliwość ostatecznego zwycięstwa”. Piłsudski jednakże podtrzymał swe zarzuty w notatkach marginesowych. Ten obszerny dokument NWKO, dla tego kto z uwagą go przeczyta, jest w gruncie rzeczy zawołowanym aktem oskarżenia przeciw poczynaniom Piłsudskiego. Ale dokumentu tego *Niepodległość* nie opublikowała, a prof. Jędrzejewicz nawet obszernie go nie cytuje, a właściwie podtrzymuje zarzuty Piłsudskiego.

W 1921 roku koła belwederskie były zdania, że dokument NWKO najlepiej jest ukryć jako „ściśle tajny”. Chyba dlatego akta te przeleżały ponad 50 lat, by doczekać się zaledwie... artykułu p. Jędrzejewicza.

Piłsudski, by zrzucić winę z siebie, podniósł zarzut „pesymizmu” przeciwko wielu generałom w swej książce „Rok 1920”, wielu zdjął ze stanowisk, m.in. gen. Szeptyckiego, Stan. Hallera i innych. A przecież w końcu lipca 1920 roku, na posiedzeniu Rady Obrony Państwa, sam powiedział:

„Co do frontu południowego jest bardzo duża psychoza kawalerii”. Prysłana tam brygada rezerwowa jest „zarażona przez kraj paniką” i uciekła, „rozsypała się zupełnie” — „co było katastrofalne”. „Nasza kawaleria, której tam działał dywizja, topniała w oczach, duże straty w ludziach, ogromne w koniach, które ginęły nie wytrzymując tak ciężkiej roboty”. Niestety „aktywność zawsze jest po tamtej stronie. W sumie, wielkie zmęczenie, nastrój kiepski”. „Na północy przezwyciężenie frontu było niespodzianką”. „Naród chory daje armię chorą”. „Choroba wzrasta, rzeczy, które się przedtem udawały, obecnie się nie udają”. „Ogólne moje wrażenie — brak moralu w kraju wywołuje brak moralu w wojsku. Stąd ciężkie kryzysy w armii. Moje zdanie — tylko poprawa moralu w kraju da poprawę na froncie, inaczej uważam sytuację za straconą. Jak baza zepsuta, to frontu trzymać nie można”. „Główną chorobą jest depresja kraju, która wywołuje depresję w armii”. „Front zawsze się będzie chwiały. Będziemy mieli coraz więcej takich jednostek jak brygada rezerwowa”.

Czy nie był to „czarny pesymizm”?

Nauka historyczna już dawno dowiodła, że prawdy historycznej nie da się ukryć.

Aleksander LITWIN

Szanowny Panie Redaktorze!

Nawiązując do listu p. Stefana Kisielewskiego (*Zeszyty Historyczne* nr 27) sądzę, iż byłoby pożądane wyjaśnienie następujących wydarzeń i powojennych dziejach Pawła Jasienicy:

- współpraca z katolickim *Tygodnikiem Powszechnym* w latach 1945-1948 i podstawy ideologiczne na których ta współpraca była oparta;
- aresztowanie w czerwcu 1948, które miało miejsce według jednych przed, a według innych po, aresztowaniu Łupaszki;
- zwolnienie z więzienia i wyeliminowanie z procesu Łupaszki i jego współtowarzyszy, w którym wszyscy oskarżeni zostali skazani na śmierć;
- powody przerwania współpracy z *Tygodnikiem Powszechnym* po zwolnieniu z więzienia;
- rozpoczęcie w 1948 roku współpracy z *Dziś i Jutro*, wydawanym przez Bolesława Piaseckiego, którego zadaniem, jak wiadomo, była dywersyjna działalność wśród katolików;
- poinformowanie na przełomie 1949/50 przez czynniki partyjne, iż współpraca z Piaseckim nie jest warunkiem wyeliminowania z procesu „Łupaszki” i umożliwienie współpracy z marksistowskim *Życiem Warszawy* (w świetle tego należy zadać pytanie komu właściwie zawdzięczał Jasienica zwolnienie z więzienia i wyeliminowanie go z procesu Łupaszki);
- okres harmonijnych stosunków z władzami partyjnymi i państwowymi w latach 1950-1968 (tak przed, jak i po październiku 1956) i wydanie w tym czasie zarówno prac pozytywnych z punktu widzenia tych władz, a między innymi „Świt słowiańskiego jutra” i „Wisła pożegna zaścianek”, jak i prac tolerowanych przez władze — „Polska Piastów”, „Polska Jagiellonów”;
- bunt w lutym 1968 przeciwko odgórnjej akcji antysemitkiej i przyczyny tego buntu — współczucie w stosunku do prześladowanych, przekonanie iż antysemityzm szkodliwy jest dla Polaków, poparcie zwalczanej frakcji partii, czy też ogólne zniechęcenie do istniejącego systemu;
- oświadczenie Gomułki z 19 marca 1968, iż Jasienica został zwolniony z więzienia w 1948 roku „z powodów sobie znanych”;
- wyeliminowanie z życia intelektualnego kraju przez władze PRL w latach 1968-70;
- dramaty Jasienicy i przyczyny jego śmierci.

Dyskusja na te tematy nie jest łatwa do przeprowadzenia zarówno z powodu niemożności uzyskania niezaprzeczalnych danych, jak i z powodu drażliwości spraw poruszonych. Dlatego wymianę wiadomości i opinii można prowadzić jedynie w atmosferze spokoju, umiaru i uszanowania biorących udział w dyskusji.

Tymczasem p. Kisielewski zastosował wręcz odmienną formę i używając zwrotów takich jak „nonszalancja i niedbałość”, „szermowanie plotkami”, „szkodliwa brednia”, „podobnego nonsensu w życiu nie czytałem”, „wymysł wręcz absurdalny” zwolnił mnie z obowiązku odpowiadania na Jego list. Nie mam zamiaru prowadzić dyskusji na poziomie takich epitetów.

Pozostaję z szacunkiem,

Z. S. SIEMASZKO



## SPIS TREŚCI

Piotr Wandycz: <i>Pierwsza Republika a Druga Rzeczpospolita</i> (Szkic) .....	3
Józef Garliński: <i>Oświęcim walczący</i> (Podziemne grupy różnych narodowości w oświęcimskim obozie) .....	21

## OKRUCHY HISTORII

Jan Drewnowski: „ <i>Proces Centralnego Urzędu Planowania</i> ” w 1948 roku .....	39
<i>Wyjaśnienia Sztabowca</i> .....	60

## W. KSIĘSTWO LITEWSKIE

Wiktor Sukiennicki: <i>Wilno na schyłku rządów carskich</i> ..	88
<i>Memoriał rosyjskiego oberprokuratora</i> .....	92
Wiktor Sukiennicki: <i>Początki Ober-Ostu i sprawa Konfederacji W. Ks. Litewskiego w 1915-1916</i> .....	99
Kazimierz Okulicz: <i>Opowieści nobliwe i sentymentalne</i> ..	104
Wacław Chocianowicz: <i>Szkic dziejów Litewsko-Białoruskiej Dywizji</i> .....	124
Jarzy Drobnik: <i>Pobyty i działalność w Kownie</i> (Od 10 lipca 1938 do 8 października 1939) .....	153

## PAMIĘTNIKI

Wiktor Tomir Drymmer: <i>Wspomnienia</i> (Cz. II) .....	173
	239

## RECENZJE

- Józef Lewandowski: „*Historia Polski*” .. Tom IV ..... 219  
 Maria Danilewicz Zielińska: *Australia w roli opiekuna  
 spraw polskich w Sowieciach w latach 1943-1944* ... 226

## LISTY I POLEMIKI

- Kajetan Bieniecki: *List do Redakcji* (W związku z artykułem Z. S. Siemaszki w *Zeszytach Histor.* Nr 25) .. 231  
 W. M. Marcinkowski: *List do Redakcji* (W związku ze wzmiankami o ONR-ze, Z.J. i NSZ-cie w *Zeszytach Historycznych* Nr 26) ..... 233  
 Stanisław Edward Bask-Mostwin: *List do Redakcji* (W odpowiedzi na list T. Wyrwy, zamieszczony w *Zeszytach Histor.* Nr 26 dotyczący mjra Hubal-Bobrzańskiego 234  
 Aleksander Litwin: *Polemika na marginesie artykułu prof. Wacława Jędrzejewicza w Niepodległości pt.: „Front litewsko-białoruski podczas wojny 1920 roku”* ..... 235  
 Z. S. Siemaszko: *Odpowiedź na list Stefana Kisielewskiego (w Zeszytach Historycznych Nr 27 w sprawie Pawła Jasienicy)* ..... 238



„ZESZYTY HISTORYCZNE” UKAZUJĄ SIĘ CO  
KWARTAŁ NA POČZATKU LUTEGO, MAJA,  
SIERPŃIA I LISTOPADA KAŻDEGO ROKU.

PRENUMERATA ROCZNA — F. 80,00.

PRENUMERATA ROCZNA DLA  
PRENUMERATORÓW „KULTURY” — F. 70,00.